



GWIEZDNE WOJNY

PLANETA ŻYCIA

GREG BEAR

Przekład
ALEKSANDRA JAGIEŁOWICZ



Tytuł oryginału
ROUGE PLANET

Redaktor serii
ZBIGNIEW FONIAK

Redakcja stylistyczna
MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
JOANNA CIERKOŃSKA

Ilustracja na okładce
DAVID STEVENSON

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 2000 by Lucasfilm, Ltd. & TM.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2000 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7245-517-1

Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce...

ROZDZIAŁ

1

Anakin Skywalker stał w długiej kolejce w opuszczonym tunelu naprawczym wiodącym do wysypiska śmieci dzielnicy Wicko. Westchnął niecierpliwie, podciągnął na skórzanej uprząży cieniutkie, mocno zwinięte skrzydła lotni wyścigowej i oparł szeroki ster na pasku sandała. Potem przesunął lotnię na ścianę tunelu i, wysuwając koniuszek języka, przyłożył małe, żarzące się jak miniaturowy miecz laserowy ostrze kieszonkowej spawarki do pęknięcia lewego bocznego szwu. Skończył i na próbę pokręcił obrotnikiem. Stary, ale działa.

Tydzień temu kupił tę lotnię od poprzedniego mistrza, który złamał sobie kręgosłup. Anakin dokonał cudów w rekordowym czasie i teraz mógł uczestniczyć w tych samych zawodach, w których tamten zakończył karierę.

Anakin kochał pęd i szalone skręty lotni wyścigowej, które niemal miażdżyły mu kręgosłup i wyrzywały ramiona ze stawów. Rozkoszował się szybkością i skrajnym utrudnieniem tak samo, jak inni smakują piękno nocnego nieba - co zresztą na Coruscant było raczej trudne, zważywszy na wiecznie otaczającą-planetę łunę miejskich światel. Pragnął współzawodnictwa, podniecał go nawet odór strachu wydzielany przez zawodników, którzy wywodzili się z najgorszych mętów.

Przede wszystkim jednak uwielbiał zwyciężać.

Oczywiście, wyścig do wysypiska śmieci był nielegalny. Władze Coruscant usiłowały zachować pozory stabilnej i szacownej planety-metropolii, stolicy Republiki, centrum prawa i cywilizacji dla dziesiątków tysięcy systemów gwiazdnych. Prawda była zupełnie inna, jeśli ktoś wiedział, gdzie patrzeć, a Anakin wiedział to instynktownie.

W końcu urodził się i wychował na Tatooine.

Lubił szkolenia Jedi, ale niełatwo było mu poprzestać na tak jednostronnej filozofii. Anakin od samego początku podejrzewał, że w świecie, gdzie spotykały się i współistniały tysiące ras i gatunków, znajdzie się wiele miejsc obiecujących dobrą zabawę.

Szef tunelu, który prowadził wyścig, był Naplouzanimem, to znaczy niewiele więcej niż kłębkiem nitkowej tkanki o trzech nogach, zakończonym wiązką wilgotnych, błyszczących oczu.

- Pierwsza grupa na stanowiska - syknął, szybkimi, eleganckimi skrętami przemieszczając się wzdłuż gładkich ścian wąskiego tunelu. Naplouzanim mówił we wspólnym, jeśli akurat nie był wściekły, a jeśli był, po prostu brzydko pachniał.

- Lotnie w górę - rozkazał.

Anakin przerzucił lotnię przez jedno ramię i z wystudiowaną serią jęków i stęknień - raz-dwa-trzy - wsunął ramiona w szelki i spiął uprząż, którą wcześniej dopasował do wzrostu dwunastoletniego dziecka.

Naplouzanim pękiem krytycznych oczu przyjrzał się każdemu zawodnikowi. Kiedy podszedł do Anakina, wsunął wąską, suchą wstążkę tkanki pomiędzy jego zębra a pasek i pociągnął z taką siłą, że o mało nie przewrócił chłopca na ziemię.

- Ty kto? - wykrztusił szef tunelu.

- Anakin Skywalker - odparł chłopiec. Nigdy nie kłamał i nigdy nie obawiał się kary.

- Ty bardzo odważny - zauważył szef tunelu. - Co powiedziec matka i ojciec, my przynieść martwy chłopak?

- Wychowają drugiego - odparł Anakin w nadziei, że zabrzmie to twardo i profesjonalnie. W gruncie rzeczy niewiele go obchodziło, co myśli o nim szef tunelu, jeśli tylko pozwoli mu wystartować.

- Znam zawodników - odparł Naplouzanim. Oczy w pęczku przepychały się między sobą, żeby lepiej widzieć. - Ty nie zawodnik!

Anakin zachował pełne szacunku milczenie i skoncentrował wzrok na przyćmionym niebieskim światełku przed sobą, które rosło w miarę, jak skracala się kolejka.

- Ha! - parsknął Naplouzanim; jego gatunek nie potrafił się naprawdę śmiać. Przełtańczył do końca kolejki, pchając, ciągnąc i głoścąc kolejne prorocтва zagłady. Przez cały czas towarzyszył mu rój zachwyconych robotów technicznych.

Za plecami Anakina rozległ się cienki, ściszony głos:

- Już startowałeś w tym wyścigu.

Anakin od jakiegoś czasu wiedział, że tuż za nim stoi w kolejce Krwawy Rzeźbiarz. Na Coruscant było ich tylko kilkuset, a do Republiki przyłączyli się zaledwie sto lat temu. Byli humanoidalni i imponujący: smukli, pełni wdzięku, o długich, trójprzegubowych członkach, niewielkich głowach umieszczonych na smukłej, ale silnej szyi i perłowo-złotej skórze.

- Dwa razy - odrzekł Anakin. - A ty?

- Dwa razy - odparł uprzejmie Krwawy Rzeźbiarz, zamrugał i spojrział w górę. Wąską twarz rozdzielał długi nos, przechodzący w dwie szerokie, skórzaste fałdy, które częściowo opadały na szerokie, pozbawione warg usta. Ozdobnie wytatuowane fałdy nosowe służyły zarówno jako organ węchu, jak i bardzo czułe ucho, uzupełniające dwa niewielkie otwory w pobliżu małych, czarnych jak onyks oczu.

- Szef tunelu ma rację. Jesteś za młody - mówił w doskonałym wspólnym, jakby wychował się w najlepszych szkołach Coruscant.

Anakin uśmiechnął się i próbował wzruszyć ramionami. Ciężar lotni sprawił, że gest wypadł mizernie.

- Pewnie zginiesz tam, w dole - dodał Krwawy Rzeźbiarz, wznosząc oczy.

- Dzięki za słowa otuchy - mruknął Anakin, czerwieniąc lekko. Nie miał nic przeciwko opinii zawodowca, takiego jak szef tunelu, ale nie cierpiał głupich zaczepek, jeżeli przeciwnik próbował go zbić z tropu.

Strach, nienawiść, gniew... odwieczna trójca, z którą Anakin walczył każdego dnia, choć tylko jeden człowiek znał jego najgłębsze uczucia: Obi-Wan Kenobi, jego mistrz w Świątyni Jedi.

Krwawy Rzeźbiarz pochylił się lekko na trójczłonowych nogach.

- Śmierdzisz jak niewolnik - szepnął miękko, tak aby usłyszał go tylko Anakin.

Chłopak musiał się opanować całą siłą woli, aby nie zrzucić lotni i nie skoczyć Rzeźbiarzowi do długiego gardła. Przelknął i zdławił uczucia. Przechowa je wraz z innymi mrocznymi wspomnieniami z Tatooine w niedostępnym, tajnym miejscu. Rzeźbiarz miał rację; to jeszcze wzmogło gniew Anakina i sprawiło, że coraz gorzej panował nad sobą. Zarówno on, jak i jego matka Shmi byli niewolnikami podejrzliwego handlarza złomem, Watto. A kiedy mistrz Jedi Qui-Gon Jinn wygrał go od Watto, "musieli pozostawić Shmi na planecie... i nie było dnia, żeby Anakin o tym nie myślał.

- Teraz wasza czwórka - syknął szef tunelu; długie pasma jego ciała powiewały jak wstążki na dziecięcym wózku.

Mace Windu szedł powoli wąskim bocznym korytarzem dormitorium Świątyni Jedi, pogrążony w zadumie, z dłońmi ukrytymi w rękawach. Młody, zwinny Jedi wyskoczył z bocznych drzwi i o mało go nie przewrócił. Mace zrezygnacyjnie usunął się na bok, w samą porę, ale wystawił łokieć i przygwoździł nim młodzieńca, który natychmiast obrócił się w jego stronę.

- Przepraszam, mistrzu - sumitował się Obi-Wan, kłaniając się raz po raz. - Gapa ze mnie.

- Nie szkodzi - odparł Mace Windu. - Chociaż powinieneś wiedzieć, że tu jestem.

- Jasne, Łokieć. Nagana. Doceniam to. - Obi-Wan był naprawdę mocno zakłopotany, ale nie miał czasu na wyjaśnienia.

- Spieszysz się?

- I to bardzo - odrzekł Obi-Wan.

- Wybraniec opuścił swój ą kwaterę? - Ton Mace' a Windu choć pełen szacunku, nie był pozbawiony ironii. Mistrz miał w tym dużą wprawę.

- Wiem, dokąd poszedł, mistrzu Windu. Znalazłem jego narzędzia i warsztat.

- Już nie buduje robotów, których nie potrzebujemy?

- Nie, Mistrzu - odparł Obi-Wan.

A jeśli chodzi o chłopca... - zaczął Mace Windu.

- Mistrzu, wróćmy do tego, kiedy będzie czas.

- Oczywiście - odparł Mace. - Znajdź go. Potem porozmawiamy. .. Chcę, żeby był przy tym i wszystko słyszał.

- Oczywiście, mistrzu! - Obi-Wan nie ukrywał, że się spieszy. Mało kto potrafił ukryć swoje kłopoty lub zamiary przed Mace'em Windu.

Mace uśmiechnął się.

- Obdarzy cię mądrością! - zawołał w ślad za Obi-Wanem, który już pędził korytarzem w stronę turbowindy i wyjścia do powietrznych transportowców Świątyni Jedi.

Kpiąca uwaga nie zdenerwowała Obi-Wana. Zgadzał się z nią. Tak, mądrością... albo szaleństwem. To był naprawdę idiotyczny widok, Jedi w wiecznej pogoni za kłopotliwym padawanem. No, ale Anakin nie był zwykłym padawanem. Został narzucony Obi-Wanowi przez jego ukochanego mistrza Qui-Gona Jinn.

Kilka miesięcy temu Yoda w typowym dla siebie stylu wyjaśnił Obi-Wanowi całą sytuację. Siedzieli w niskiej, ciasnej kwaterze przy płonącym ogniu, piekąc chleb shoo i wurry. Yoda właśnie wybierał się w podróż poza Coruscant w sprawie, która nie dotyczyła Obi-Wana. Przerwał długie, pełne zadumy milczenie:

- Bardzo interesujący problem masz przed sobą Obi-Wanie Kenobi. My też go mamy.

Obi-Wan uprzejmie schylił głowę, jakby nie wiedział, o co chodzi Mistrzowi.

- Ten wybraniec, którego Qui-Gon dał nam wszystkim... nie sprawdzony, pełen strachu. To ty masz go wybawić. A jeśli tego nie zrobisz...

Od tej pory Yoda nie powiedział Obi-Wanowi nic więcej na temat Anakina. Jego słowa dźwięczały jednak w głowie Kenobiego, gdy wsiadał do ekspresowej taksówki, kierując ją na przedmieścia Dzielnicy Senatu. Czas przejazdu - kilka minut - urozmaiciły wariackie zakręty i nawroty pomiędzy innymi, tańszymi i wolniejszymi szlakami i poziomami ruchu.

Obi-Wan obawiał się, że i tak będzie za późno.

Anakin wyszedł na platformę pod tunelem. Przed nim rozpościerała się przepaść. Trzej pozostali zawodnicy tłoczyli się z tyłu, aby spojrzeć w dół. Zwłaszcza Krwawy Rzeźbiarz pochylił się brutalnie, potrącając Anakina, który miał nadzieję zachować całą energię na lot.

Co go ugryzło? - myślał chłopak.

Przepaść była szeroka na dwa kilometry, a głęboka na trzy, licząc od ostatniej tarczy przyspieszacza do mrocznego dna. Ten stary tunel konserwacyjny wychodził na drugą tarczę przyspieszacza. Anakin zmrużył oczy, spojrzał w górę i dostrzegł spód pierwszej tarczy - ogromny, wklęsły sufit podziurawiony setkami otworów, niczym odwrócony cedzak w kuchni Shmi na Tatooine. Tyle tylko, że w tym cedzaku każdy otwór miał dziesięć metrów średnicy. Z otworów padały smugi światła przecinając mrok. Służyły jako zegary słoneczne, pozwalające określić czas w zwykłym świetle, wysoko ponad tunelem. Było dobrze po południu.

Na Coruscant było ponad pięć tysięcy takich wysypisk. Planeta-miasto produkowała co godzinę bilion ton śmieci, które dostarczano tu, do dzielnicowego wysypiska. Były to odpady zbyt niebezpieczne, aby je przerabiać - tarcze spawalnicze, zużyte rdzenie hipermapędu i tysiące innych produktów ubocznych bogatego świata o rozwiniętej technologii. Wszystko zamykano w kontenerach, a kontenery przesyłano po magnetycznych szynach do ogromnej karuzeli z wyrzutnią pod najniższą z tarcz. Co pięć sekund wyrzutnia za pomocą ładunków chemicznych wystrzeliwała serię kontenerów. Tarcze kontrolowały trajektorię pojemników przelatujących przez otwory, gdzie pole

ściągające zwiększało jeszcze ich pęd, przesyłając na ściśle kontrolowaną orbitę wokół Coruscant.

Godzina po godzinie statki-śmieciarze zbierały kontenery z orbity i przenosiły je na odległe księżycy, gdzie były magazynowane. Niektóre najbardziej niebezpieczne ładunki wystrzelivano wprost w wielkie, ciemnożółte słońce, gdzie przepadały jak kłębki kurzu wrzucone w otchłań wulkanu.

Była to precyzyjna i niezbędna operacja, przeprowadzana dzień po dniu, rok po roku, z dokładnością mechanizmu zegarowego.

Mniej więcej sto lat temu ktoś wpadł na pomysł, aby leżące głęboko w miejskich podziemiach wysypiska przekształcić w ośrodki nielegalnego sportu, gdzie młodzi gniewni, pochodzący z mniej szlachetnych okolic Coruscant, mogli udowodnić swoją siłę. Takie sporty stały się niezmiernie popularne w pirackich kanałach rozrywkowych odbieranych w elitarnych apartamentach, na najwyższych szczytach drapaczy chmur planety-stolicy. Zabawa przynosiła wystarczająco dużo kapitału, by urzędnicy zarządzający wysypiskami stali się ślepi i głusi. Przynajmniej dopóty, dopóki jedynymi osobami, które się narażały, byli sami zawodnicy.

Jeden kontener odpadów pędzący przez tarcze przyspieszaczy mógł z łatwością zmieścić tuzin takich śmiałków. Ostatnia tarcza bez trudu kompensowała te kilka nędznych istnień odpowiednim impulsem korekcyjnym.

Anakin przyglądał się światłom sygnalizacyjnym tańczącym na suficie tunelu skupiony, z zaciśniętymi ustami, rozszerzonymi źrenicami, z lekką rosą potu na policzkach. W tunelu było gorąco. Słyszał ryk kontenerów, widział, jak srebrzyste punkty mkną przez otwory tarcz do następnego, wyższego poziomu, pozostawiając za sobą niebieskie smugi zjonizowanego powietrza. Powietrze w zsypie pachniało niczym stary generator warsztatowy, ciężkie od ozonu i smrodu palącej się gumy.

- Chwała i przeznaczenie! - podniecony Naplouzjanin trzepnął Anakina w rozpórkę między skrzydłami. Chłopiec, cały czas skoncentrowany, usiłował wyczuć, gdzie na tym poziomie znajdują się prądy powietrza, gdzie będą się kumulować i kręcić maleńkie wiry tworzące się pomiędzy tarczami. Ozon będzie miał zawsze największe stężenie tam, gdzie wiatr jest najsilniejszy i najbardziej niebezpieczny. A po każdej partii kontenerów, w zaplanowanym szyku przepływających pomiędzy tarczami, nadleci kolejna partia, podążając precyzyjnie wytyczoną alternatywną drogą.

Łatwizna. Jak lot pośród ulewy stalowych kropeł.

Pozostali zawodnicy zajęli miejsca u wylotu tunelu, przepychając się, aby zająć najlepszą pozycję na platformie. Krwawy Rzeźbiarz dźgnął Anakina ostro zakończonym prawym skrzydłem. Chłopiec odepchnął go na bok, nie tracąc koncentracji

Naplouzański szef tunelu podniósł wstęgowe ramię, którego koniec rozwijał się i związał niecierpliwie.

Rzeźbiarz stanął po lewej stronie Anakina i zmrzył oczy. Fałdy nosowe, pełne drobnych, wrażliwych zagłębień czuciowych, związały się i pulsowały w poszukiwaniu informacji.

Naplouzjanin wydał z siebie niski, szczekliwy dźwięk- odpowiednik przekleństwa - i nakazał zawodnikom, aby się wstrzymali. Latający robot konserwacyjny właśnie w

tej chwili kontrolował poziom. Z miejsca, w którym stali, wydawał się mały jak muszka, ledwo dostrzegalna, brzęcząca kropeczka pracowicie okrążająca szary obwód wysypiska. Jego ciche, melodyjne popiskiwanie było słychać nawet przez ryk i brzęk kontenerów. Zarządców można przekupić, roboty - nie. Muszą czekać, dopóki maszyna nie opuści się na dolny poziom.

Kolejna partia kontenerów z ogłuszającym hukiem wystrzeliła pomiędzy tarcz. Błękitne linie jonizacji wiły się jak widmowe węże między wypukłą powierzchnią górnej a wklęsłą dolnej tarczy.

- Pożyjesz chwilę dłużej - syknął Rzeźbiarz do ucha Anakina. - Mały człowieku, śmierzący jak niewolnik.

Wbrew upodobaniom, Obi-Wan wziął na siebie obowiązek zbierania informacji na temat nielegalnych wyścigów odbywających się w promieniu stu kilometrów od Świątyni Jedi. Anakin Skywalker, jego podopieczny, za którego był osobiście odpowiedzialny, jeden z najlepszych padawanów Świątyni, miał wszelkie zalety, jakie wyczuł w nim niegdyś Qui-Gon Jinn. Jednak, jakby dla zrównoważenia niezwykłych zdolności chłopca, natura obdarzyła go niemal równą liczbą wad.

Najbardziej niebezpieczną i irytującą był jego nieustający pociąg do szybkości i zwyciężania. Może Qui-Gon Jinn to pochwalał, skoro trzy lata temu, na Tatooine, pozwolił, aby chłopak ścigał się o własną wolność.

Teraz jednak Qui-Gon nie mógłby go usprawiedliwić,

Bardzo brakowało Obi-Wanowi nieprzewidywalnej energii mistrza. Qui-Gon zachęcał go do wzmoczonych wysiłków pozornie bezsensownymi pomysłami, które jednak zawsze wynikały z głębokiej i trafnej oceny sytuacji. Pod okiem Qui-Gona Jinn Obi-Wan stał się jednym z najzdolniejszych i najbardziej zrównoważonych rycerzy Jedi w Świątyni. Jeszcze niedawno niewiele różnił się od Anakina - był równie nieokrzesany i równie skory do gniewu. Szybko jednak odnalazł spokój i swoje miejsce w Mocy. Teraz wolał spokojne życie i nie znosił konfliktów z najbliższymi osobami. Z czasem stał się opoką stabilności w przeciwieństwie do niespokojnego ducha, Qui-Gona. Nie przestawał się zdumiewać, że jego niezwykła więź z Qui-Gonem Jinnem została wywrócona do góry nogami, i to przez Anakina.

Zawsze było ich dwóch - mistrz i padawan. W świątyni mówiło się nawet, że najlepsze są te pary, które się uzupełniają charakterami. Kiedyś, w szczególności ciężkiej chwili, obiecał sobie, że kiedy wreszcie uwolni się od Anakina, w nagrodę zafunduje sobie rok izolacji na pustynnej planecie z dala od Coruscant i wszystkich padawanów, których mogliby mu przydzielić. To jednak nie przeszkodziło mu dokładnie i z pasją wykonywać swoich obowiązków wobec chłopca.

W obszarze potencjalnego zasięgu wybryków Anakina znajdowały się dwa wysypiska śmieci, a jedno z nich cieszyło się złą sławą centrum wyścigów. Obi-Wan zwrócił się ku Mocy, aby go poprowadziła. Nigdy nie miał trudności ze zlokalizowaniem Anakina. Wybrał najbliższe wysypisko i po schodach obsługi wspinał się na górną platformę obserwacyjną na samym szczycie. Popędził wzdłuż pustej o tej porze galerii - minęła właśnie połowa dnia pracy urzędów. Nie zwracał uwagi na ryk pędzących w przestrzeń

kontenerów. Co kilka sekund rozlegało się wycie syreny, niezłe słyszalne na galerii, ale tłumione przez kolejne bariery, zanim dotarło do budynków na zewnątrz. Rozejrzał się za odpowiednią turbowindą, aby dostać się na dolne poziomy, do opuszczonych komór podawczych i tuneli konserwacyjnych, gdzie odbywały się wyścigi.

Ruch powietrzny nad wysypiskiem był zabroniony. Trasy pojazdów, które nieustannie krążyły nad Coruscant, tworząc wielopoziomową gęstą sieć, omijały korytarz wyrzutowy, pozostawiając wyraźnie widoczną studnię wiodącą do górnych warstw atmosfery i dalej, w przestrzeń. W samym środku tego pustego cylindra, przecinanego tylko przez szybko wznoszące się pojemniki toksycznych odpadów, bystre oczy Obi-Wana dostrzegły zawieszoną nieruchomo robota obserwacyjnego. Nie był to zwykły miejski robot, tylko profesjonalny model, o średnicy mniej więcej dwudziestu centymetrów, używany przez ekipy reporterów. Krążył wysoko po obwodzie wysypiska, obserwując, czy nie zbliżają się roboty-strażnicy lub pracownicy nadzoru. Obi-Wan rozejrzał się uważniej i zlokalizował jeszcze sześć małych robotów, czuwających u szczytu górnej tarczy. Trzy kolejne leciały kluczem nad kopułą o sto metrów od miejsca, gdzie stał.

Roboty pilnowały prawdopodobnie drogi ucieczki dla zawodników, gdyby władzom miasta przyszło do głowy zignorować otrzymane łapówki i zamknąć wyścig.

I bez wątplenia obserwowały turbowindę, do której będzie musiał wsiąść Obi-Wan, aby odnaleźć Anakina.

Następny skok trzeba było odłożyć, dopóki obserwatorzy nie zyskają pewności, że robot-strażnik przemieścił się już na kolejny, niższy poziom. Szef tunelu był wściekły z powodu opóźnienia. Powietrze było aż ciężkie od jego mdlącego smrodu.

Anakin, zdyscyplinowany jak przystało padawanowi, starał się ignorować smród i koncentrować umysł na przestrzeni między tarczami. Mogli zanurkować w każdej chwili, więc musiał znać prądy powietrza i wyczuwać rytm lotu kontenerów, wędrujących w nieskończonej procesji przez porty przyspieszacza w górę i dalej, w przestrzeń.

Krwawy Rzeźbiarz nie pomagał. Całą irytację spowodowaną opóźnieniem wyladowywał na dokuczaniu ludzkiemu chłopcu u jego boku. Wkrótce Anakin będzie się musiał zacząć bronić, jeśli nie chce wyjść na ofermę.

- Nie noszę smrodu niewolników - oświadczył Rzeźbiarz.

- Mógłbyś przestać to powtarzać - mruknął Anakin. Jedynym przedmiotem, którego mógłby użyć jako broni, była małeńka spawarka, w tych okolicznościach po prostu żałosna. Krwawy Rzeźbiarz dwukrotnie górował nad nim masą.

- Odmawiam rywalizacji z istotami niższymi, niewolniku. To przynosi hańbę mojemu ludowi, a zwłaszcza mnie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że jestem niewolnikiem? - zagadnął Anakin najgrzeczniej, jak mógł sobie pozwolić, aby nie wydać się jeszcze słabszym.

Fałdy nosowe Krwawego Rzeźbiarza ściągnęły się, tworząc pośrodku twarzy imponujące mięsiste ostrze.

- Kupiłeś swoje skrzydła od rannego Lemmera. Poznaję je. Albo ktoś kupił je dla ciebie... pewnie jakiś naganiacz. Potem wcisnął cię do wyścigu, żeby ktoś inny wypadł lepiej.

- Może ty, co? - syknął Anakin i zaraz pożałował swojej złośliwości.

Krwawy Rzeźbiarz zatoczył krąg zwiniętym skrzydłem. Anakin uchylił się w ostatniej chwili. Podmuch uniósł mu włosy. Pomimo skrzydeł na plecach szybko przyjął pozycję obronną i przygotował się do kolejnego ruchu, tak jak go nauczył Obi-Wan.

Smród spotęgował się nagle. Anakin poczuł obecność Naplouzjanina za plecami.

- Bójka przed wyścigiem? Może sprowadzić holokamerę, żeby potem bawić waszych lokalnych fanów?

Krwawy Rzeźbiarz stał się nagle uosobieniem niewinności. Jego fałdy nosowe rozsunały się, a twarz przybrała wyraz lekkiego zaskoczenia.

Długi, kręty korytarz otaczający zsypan pełen był starych maszyn, zardzewiałych, brudnych skrzyń złożonych tu setki lat temu przez dawno nieżyjących mechaników. Wokół wały się stare płozy, puste kanistry, dość duże, żeby dorosły człowiek mógł w nich stanąć wyprostowany, i pociemniałe plastalowe tory, które niegdyś prowadziły w dół do tunelów załadowniczych.

W środku tego składowiska złomu Obi-Wan natknął się na kwitnący handel akcesoriami wyścigowymi.

- Wkrótce wystartują! - krzyczał mały chłopak, młodszy nawet od Anakina. Pochodził chyba z planety o silnej grawitacji, bo był niski, silny, nieustraszony, a przy tym niewiarygodnie brudny. - Zakłady, zakłady na Greetera? Najwięcej pięćdziesiąt do jednego, wracaj do domu z forszą!

- Szukam młodego zawodnika, człowieka - zagadnął Obi-Wan, pochylając się nad chłopcem. - Jasne, krótko obcięte włosy, szczupły, trochę starszy od ciebie.

- Chcesz na niego postawić? - zapytał krępy chłopak, podejrzliwie marszcząc nos. Jego życie najwyraźniej koncentrowało się na żądzy zysku.

Skrzywione pokolenie, pomyślał Obi-Wan. Nawet Qui-Gon nie mógłby ocalić tych wszystkich dzieci.

- Postawiłbym, ale najpierw chciałbym na niego spojrzeć - powiedział i lekko skinął dłonią jak magik. - Chcę się przyjrzeć jego możliwościom.

Krępy chłopak powiódł wzrokiem za dłonią, ale nie wyskoczyła z niej żadna czarodziejska wstęga. Skrzywił się.

- Idź do Greetera - poradził. - Powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Szybko! Wyścig zaczyna się za kilka sekund!

Obi-Wan był pewien, że wyczuwa Anakina gdzieś w pobliżu, na tym samym poziomie. Czuł też, że chłopak koncentruje wszystkie siły, ale nie potrafił powiedzieć, czy chodzi o bójkę, czy o zawody.

- Gdzie mogę kupić lotnię wyścigową? - zapytał, zdając sobie sprawę, że nie ma czasu na ceregiele.

- Ty, na wyścig? - krępy chłopak ryknął śmiechem. - Mówiłem, idź do Greetera! On sprzedaje również lotnie!

Coś było nie w porządku. Anakin powinien był już wcześniej się w tym zorientować, ale skupił się na przygotowaniu do wyścigu, to zaś, co go teraz spotkało, nie miało z wyścigiem nic wspólnego.

Naplouzjański szef tunelu dostał właśnie cynk od swojego pomocnika, że robot konserwacyjny przeniósł się na kolejny poziom; to odwróciło jego uwagę od Anakina. W tej samej chwili Krwawy Rzeźbiarz wysunął ramię z uprząży i sięgnął pod tunikę.

Ten gest nie miał sensu. Anakin nagle pojął, że udział w wyścigu nie był głównym zadaniem Rzeźbiarza.

Wie, że byłem niewolnikiem, pomyślał. Wie, kim jestem, a to oznacza, że wie, skąd pochodzę.

Krwawy Rzeźbiarz wyciągnął wirosztylet. Jego ramię nagle wydłużyło się teleskopowo, prostując wszystkie stawy, po czym zgięło się na kształt litery U.

- Padawanie! - syknął Rzeźbiarz, a wirujące ostrza trzech kling załśniły niczym klejnot.

Anakin, skrupowany ciężarem lotni, nie mógł uskoczyć dość szybko, aby całkiem uniknąć pchnięcia. Uchylił się i nóż przemknął obok jego twarzy, ale jedno z ostrzy przecięło skórę na nadgarstku, a dwa pozostałe wbiły się w miejsce przymocowania lewego skrzydła. Ramię Anakina przeniknęło ból. Krwawy Rzeźbiarz, szybki jak wąż, cofnął rękę i wyprowadził kolejne pchnięcie.

Anakin nie miał wyboru. Odbił się od krawędzi tunelu, zsunął po pochyłej rampie i rozpostarł skrzydła lotni na pełną szerokość.

- Nie startować! - syknął szef tunelu i gęsta smuga smrodu wytrysnęła z korytarza, przyprawiając o mdłości pozostałych zawodników.

Obi-Wan miał zaledwie kilka sekund, aby zrozumieć główne zasady działania zakupionego właśnie sprzętu. Zarzucił lotnię na jedno ramię i pobiegł w dół długiego tunelu. Długie, luźne podpórki skrobały sklepienie. Mógł mieć tylko nadzieję, że to ten sam tunel, z którego wylecą zawodnicy. Kiedy dobiegł do wylotu, znalazł się sam na pustej rampie, a przed nim rozpościerała się przestronna, elipsoidalna przestrzeń zsypana pomiędzy dwoma przyspieszaczami.

Nowa lotnia okazała się źle dopasowana. Na szczęście była za duża, a nie za mała, a Greeter nie oszukał go zanadto, bo sprzedał mu sprzęt przeznaczony dla istoty dwunożnej i dwuręcznej. Zapiął paski na szyi tak ciasno, jak pozwoliły na to sprzączki, a potem naciągnął zaciski ramienne tak mocno, że o mało nie pogiął podpórek. Nie wiedział, czy lotnia ma ładunek i paliwo, dopóki nie umocował na oczach niewielkich okularów. Czerwone i niebieskie linie w polu widzenia pokazywały jedną czwartą ładunku paliwa. Wystarczy zaledwie na kontrolowany spadek.

Śmierć w idiotycznym śmietniskowym wyścigu, w uprząży staroświeckiej lotni nie była tym, o czym marzył Obi-Wan jako Jedi. Spojrzał w lewo i zobaczył pustą ścianę. Odwrócił się w prawo, chwytając się dla równowagi ułamanej belki. Lotnia pociągnęła go w dół. Dłuższą chwilę wisiał nad przepaścią ale kiedy odzyskał równowagę i wyprostował się z brzękiem konstrukcji, zobaczył Anakina stojącego na pochylni tuż

obok, jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Spojrzał akurat w dobrym momencie, żeby zauważyć splątany kłęb ciał i błysk broni.

Obi-Wan skoczył w tej samej chwili, gdy Anakin spadł czy może wystartował; zaledwie miał czas, by zauważyć Krwawego Rzeźbiarza, jego prześladowcę, który skoczył tuż za nim.

Lotnia rozłożyła się niemal bez wysiłku, małe silniczki na końcach skrzydeł kichnęły i ruszyły ze świstem. Czujniki na podpórkach wyszukiwały linie siłowe pola przenikające przestrzeń pomiędzy dwiema zakrzywionymi tarczami. Sama lotnia nie uniosłaby nawet dziecka, a cóż dopiero mężczyzny, ale wykorzystując pola wypływające z przyspieszaczy, lotniarz mógł wykonywać wszelkiego rodzaju akrobacje.

Pierwszym manewrem, jaki opanował Obi-Wan, był przyspieszony spadek.

Z wysokości prawie trzystu metrów.

Anakinowi szybko minął szok i ból. Czuł teraz jasność umysłu, jakiej nie doświadczył od wielu lat - a dokładnie od trzech, od czasu tamtego wyścigu na Tatooine. Wtedy po raz ostatni był tak bliski śmierci.

Prawie trzy sekundy zajęło mu ustawienie się we właściwej pozycji; stopy skierowane nieco w dół, skrzydła złożone wzdłuż boków, głowa wsparta o podpórkę. Zupełnie jak podczas nurkowania w ogromnym jeziorze. I nagle skrzydła rozpostarły się prawie same, bez świadomego udziału jego woli. Silniczki zakrzusły się i ruszyły z ostrym, dobrze zestrojonym pomrukiem, jak brzęczenie dwóch wielkich owadów. Czuł, jak sensory wirują pod czubkami jego palców, chwytając ledwie dostrzegalny wibrujący sygnał przenoszony na wewnątrz dłoni, oznaczający, że pochwycił zmienne pole.

Spadł już prawie sto metrów w dół. Skrzydła, rozłożone na pełną szerokość pięciu rozpiętości jego ramion, drżały i dygotały niczym żywe istoty, przechwytyjąc powietrze pół. Silniki wreszcie zareagowały na delikatne drgania jego ramion. Przejął całkowitą kontrolę... i ruszył.

Okulary, przekazujące odczyty paliwa i innych kontrolerek, zwisały mu bezużytecznie na szyi, ale mógł się bez nich obyć.

Nieźle, pomyślał, jak na kogoś tak bliskiego śmierci! Jasność umysłu spowodowała przyływ energii, przenikającej całe jego drobne ciało. Na chwilę zapomniał o wyścigu, o bólu w ramieniu, strachu, czując rozkosz całkowitego zwycięstwa nad materią pozornie chaotyczną płataniną metalu i włókien na jego plecach, nad przestrzenią pomiędzy potężnymi, zakrzywionymi tarczami.

I, oczywiście, nad Krwawym Rzeźbiarzem, który zamierzał go zabić.

Kątem oka pochwycił kształt, który mógł być jego prześladowcą; wirował jak spadający liść poniżej niego, po lewej. Zobaczył, że postać ociera się o ścianę czeluści i spada, a po chwili chwytła strumień powietrza i rusza z powrotem na prawo.

Ten nieszczęsny lotnik z pewnością nie był Krwawym Rzeźbiarzem. Z głową pełną mieszanych uczuć Anakin nagle zdał sobie sprawę, że jego prześladowca skoczył z rampy tuż za nim. Unosił się teraz równolegle, jakieś dwadzieścia metrów na prawo od niego.

Niewątpliwie szef tunelu już dawno skreślił ich z listy zawodników. Bardzo do-
brze, pomyślał Anakin. Nie obchodziły go formalności związane ze zwycięstwem. Jeśli
mają to być zawody wyłącznie między nim a śmiertelnościami Krwawym Rzeźbiarzem,
niech i tak będzie.

A nagroda to życie.

To nie gorsze niż wyjść z Dugiem.

Obi-Wan nie bał się śmierci, ale nie podobało mu się to, co mogło do niej dopro-
wadzić: błędy techniki, brak elegancji, nieostrożność, które zawsze usiłował wyplenić
ze swojego charakteru.

Pierwszym krokiem niezbędnym, aby uniknąć przykrego zakończenia, był zupełny
spokój i relaksacja. Po pierwszym przelotnym kontakcie ze ścianą zmusił ciało, by stało
się całkowicie bezwładne i dostroił wszystkie zmysły do relacji, jaka zachodziła po-
między polem prowadzącym, powietrzem a lotnią. Tak jak kiedyś Qui-Gon radził mu
podczas treningu z mieczem świetlnym, pozwalał, aby to urządzenie nim kierowało.

Taki proces mógł jednak zabrać całe godziny, a on miał tylko kilka sekund, zanim
rozpląszczy się na dolnej tarczy. Lepiej będzie pójść za przykładem ucznia.

Obi-Wan zerknął na prawo i zobaczył, jak Anakin przyjmuje pozycję do lotu. Sam
też rozpostarł skrzydła i pozwolił, aby stopy opadły poniżej poziomu głowy. Wiedział
dość o lataniu na lotni, aby pochwycić wibracje w stulone dłonie, aby zrozumieć, co
oznacza uchwyty najmocniejsze dostępne pole i śmigając przez tarczę jak młody
zając przez pole.

Uczucie było niesamowite, ale Obi-Wan odsunął je od siebie i skoncentrował się
na najdrobniejszych wskazówkach przekazywanych mu przez skrzydła, przez przeszy-
wający ból pasów wrzynających mu się w pierś w miejscach, gdzie były źle dociągnię-
te. Zyskał odrobinę więcej czasu.

Wibracja w dłoniach ustała. Sensory obracały się hałaśliwie. Znow zaczął spadać.
Zwiększony ciąg silników na końcach skrzydeł w tym momencie wyścigu służył raczej
do sterowania niż unoszenia, ale kiedy maksymalnie rozpostarł skrzydła, które o mało
nie wyrwały mu ramion ze stawów, czubkami palców stóp znalazł się niebezpiecznie
blisko dolnej tarczy.

W dłoniach znow poczuł wściekły dygot. Zobaczył dziesięciometrowy otwór,
przepłynął nad nim, poczuł, że pole prowadzące przy kolejnym porcie narasta i prze-
chylił się na bok w odpowiedniej chwili, by uniknąć ogłuszającego ryku przelatującego
kontenera śmieci.

Zawirowanie i podciśnienie powietrza poderwało go do góry jak muchę pochwy-
coną w wir powietrza na pustyni. Ogłuszony hałasem, ze skrzydłami dygoczącymi w
niekontrolowany sposób, dłońmi rozpalonymi wibracją sensorów ciasno przycisnął
skrzydła do boków, aby wyrwać się z najsilniejszej części pola. Przez chwilę spadał
bezwładnie, złapał gradient pola o użytecznym natężeniu i znow rozpostarł lotnię. Wy-
nik: przynajmniej częściowa sterowność.

Po drugiej stronie czeluści kolejny kontener z hukiem przeleciał przez port w dol-
nej tarczy, został przechwycony przez pola prowadzące i skierowany do kolejnego
portu. I jeszcze jeden. Ruszyła cała seria.

Obi-Wan nie miał pojęcia, gdzie się podział Anakin i czy w ogóle jeszcze żyje. A
dopóki nie uzyska choćby częściowej kontroli nad lotnią zamiast polegać tylko na
szczęściu, okoliczności miejsce pobytu jego padawana nie będą miały szczególnego
znaczenia.

Celem wyścigu na wysypisku był przelot przez wypukłą powierzchnię dolnej tar-
czy, a potem przez port, który akurat nie był zajęty przez przelatujący kontener i nała-
dowany polem przyspieszającym. Należało powtórzyć ten sam manewr z dwiema ko-
lejnymi tarczami poniżej, by wreszcie dotrzeć do dna wysypiska.

Na dnie każdy z zawodników musiał porwać w locie łuskę robaka śmietniskowe-
go, włożyć zdobycz do sakiewki i wznieść się przez tarcze do kolejnego tunelu. Tam
miał przedstawić łuskę sędziemu, to znaczy Greeterowi, który kontrolował w tych wy-
ścigach właściwie wszystkie czynności.

Śmieci nie nadające się do pakowania, zbierane z całego terytorium miasta przypi-
sanego do wysypiska, były mieszane z zawieszoną olejów silikonowych i spływały z
najniższego pierścienia zewnętrznych tuneli, by następnie ulec przetworzeniu przez
robaki. Robaki przerabiały mniej toksyczne zanieczyszczenia, przeżuwać na miazgę i
usuwać najmniejsze drobniny materii organicznej, plastyku czy złomu metalowego.

Robaki śmietniskowe były wielkie i niesympatyczne, ale niezbędne do prawidło-
wej pracy wysypiska. Miały zapewne swoich naturalnych przodków na innych plane-
tach, ale technicy z Coruscant, mistrzowie genetyki, już dawno przekształcili te istoty w
zupełnie nowy gatunek. Leniwie wijące się robaki spoczywały w zawieszonym silikonu
niczym splecione kłęby grubych kabli, przerabiając miliony ton wstępnie przetworzo-
nych śmieci na dwutlenek węgla, metan i inne materie organiczne, unoszące się w gru-
bych płatach białej piany na mętnej powierzchni silikonowego jeziora. Oddzielo-
ne metale, minerały i szkło opadały na dno i były tam zbierane przez ślamazarne roboty
denne.

Opowiadano, że duży robak może zjeść cały uszkodzony rdzeń napędu nadświetl-
nego i przeżyć... co prawda przez kilka sekund. Rzadko jednak musiały to naprawę
robić.

Na dnie wysypiska, w jeziorze silikonu mieszkało wiele takich robaków. Ich łuski,
wielkie i luźno przymocowane, lśniły jak diamenty i były przez Greetera bardzo cenio-
ne. Sprzedawał je na niewielkim, ale wybrednym rynku kolekcjonerów pamiątek spor-
towych.

Anakin przekręcił się w powietrzu i spojrzał w górę. Krwawy Rzeźbiarz był teraz
po jego lewej stronie. Inni zawodnicy skoczyli w ślad za nimi, a zatem wyścigu nie
przerwano. Szef tunelu uznał widocznie, że takie zamieszanie stanowi dodatkową
atrakcję.

Anakin nie potrafił wymyślić lepszego planu wygrania wyścigu, jak tylko trzymać
się z dala od Krwawego Rzeźbiarza, podsunąć łuskę Greeterowi i wrócić do Świątyni,

zanim ktoś zauważy jego nieobecność. W ciągu godziny może się znaleźć w sali treningowej z Obi-Wanem. Tej nocy jednak będzie spał spokojnie, bez koszmarów, zmęczony i usatysfakcjonowany w najgłębszej warstwie umysłu, jeszcze nie przesiąkniętej dyscypliną Jedi. Oczywiście, będzie musiał ukryć ranę na przegubie. Zbadał ją pobieżnie w trakcie lotu i nie wydawała się zbyt poważna.

Najwyższy czas wybrać port, zwinąć skrzydła i spadać jak kamień - ale kamień całkowicie panujący nad swoim lotem.

To znaczy stać się tym, czym Anakin chciał być zawsze.

Obi-Wan pozbierał się, wstał z wklęsłej powierzchni tarczy i korzystając z doświadczenia Jedi, ocenił swój stan fizyczny. Był posiniaczony, zdenerwowany - szybko musiał stłumić to uczucie, żeby się nie przerodziło w niszczącą wściekłość - ale udało mu się uniknąć połamania kości. Upadek wytłoczył mu powietrze z płuc, ale zaraz przyszedł do siebie, rozglądając się za pozostałymi zawodnikami.

Anakin krążył wolno po opadającej spirali nad centralnym punktem tarczy, około stu metrów nad jej powierzchnią. Druga zlocista postać spadała jak liść, szybkim, wirującym lotem mniej więcej o sto metrów nad Anakinem. Trzecia i czwarta opisywały szerokie łuki po obwodzie.

Obi-Wan skoncentrował się na Anakinie. Przygotował skrzydła do kolejnego wzlotu. Jego padawan tymczasem złożył skrzydła i jak nurek pogrążył się w centralnym otworze tarczy, poza zasięgiem jego wzroku.

Obi-Wan podbiegł do wylotu najbliższego portu, odległego o jakieś dwadzieścia metrów. Sprawdził, czy skrzydła lotni są prawidłowo zwinięte i czy w odpowiedniej chwili będzie je można łatwo otworzyć. Z trudem unosił stopy, idąc po lepkich promieniach prowadzących na powierzchnię tarczy. Powietrze owiewało go ze świstem. Czuł się tak, jakby brnął przez najgorszą burzę na najniebezpieczniejszej z planet gazowego giganta. Otoczyły go ruchliwe smugi mroźnej wilgoci wlokące się za kontenerem, który z wizgiem przeleciał przez port pięćdziesiąt metrów od niego, po prawej stronie. Wir o mocy cyklonu prawie uniósł go w powietrze. Nie był pewien, czy zbierze dość sił, aby utrzymać się na nogach w lokalnym polu siłowym.

Obi-Wan Kenobi, podobnie jak Qui-Gon Jinn, nie był zwolennikiem używania kar podczas szkolenia. Uznanie błędu przez ucznia wystarczało w większości przypadków. Mimo to ze wstydem stwierdził, że w najmroczniejszym zakątku myśli planuje dla Anakina Skywalkera ostrą nagane, dodatkowe, trudne ćwiczenia i wiele jeszcze innych dodatkowych obowiązków. I to bynajmniej nie po to, aby zmienić pogląd swojego padawana na życie.

Najczystsza radość przeniknęła Anakina, gdy rozpostarł skrzydła i pochwycił pole kolejnego, niższego poziomu. Piękno strumieni jonowych, błyskawic, które nieprzerwanie igrały pomiędzy smugami dymu wyładowań i rozświetlały odległe ściany wysypiska, rytmiczny werbel wznoszących się co pięć sekund kontenerów - wszystko to go zachwycało, i co ważniejsze, jednym głosem rzucało mu wyzwanie, bodaj czy nie większe niż wszystko, czego doświadczył na Tatooine, nawet w czasie wyścigu Boonta.

Było to miejsce, które większość istot uznałaby za przerażające, a większość z nich prawie na pewno by zginęła. On był tylko dzieckiem, dawnym niewolnikiem, czerpiącym siłę nie tyle ze szkolenia Jedi, co z pierwotnej, wrodzonej odwagi. Był sam i czuł się szczęśliwy. Chętnie przeżyłby resztę życia w takich warunkach, gdyby tylko mógł zapomnieć o dawnych klęskach, prześladowających go w nocnych koszmarach, gdy tylko próbował zasnąć. No i jeszcze to przerażające uczucie, że nie ma nad sobą pełnej kontroli.

Puste, czarne buty maszerowały przez najgorsze z jego koszmarów.

Wybrał teraz port w pobliżu środka tarczy, z którego wystrzelono tylko kilka kontenerów. Wyczuwał drgania ogromnego urządzenia miotającego pod tą najniższą tarczą. Jego zmysły dostroiły się do rytmu obracającej się wyrzutni, większej niż cała świątynia Jedi. Anakin czekał na krótką przerwę, po której następował basowy zgrzyt i szum, zanim ładunek kontenerów zostanie wprowadzony do komory i wystrzelony. Oczywiście, najlepiej było wskoczyć do portu, wykorzystując chwili ciszy pomiędzy seriami, omijając miejsce, przez które niedawno przechodził kontener wraz z towarzyszącym mu strumieniem gazów, wirami, błyskawicami i błękitnymi warkoczami jonizacji.

Zanim podjął decyzję, przez chwilę napawał się zjawiskiem, o którym do tej pory tylko słyszał od innych zachwyconych zawodników: wznoszącymi się kręgami kul plazmy, jakby celowo rozmieszczonych nad pierwszą tarczą. Zarzyły się pomarańczowo i turkusowo; Anakin prawie słyszał gwałtowne trzaski wyładowań. Dotknięcie plazmy oznaczało natychmiastowe spalanie. Obserwował, jak krąg kul eksploduje z metalicznym hukiem, a przez miejsce, gdzie były przed chwilą niby włócznie przez obręcz przelatuje kolejna, wyjątkowo jasna błyskawica. Uniosły mu się włosy na karku, ale nie przypisywał tego ładunkowi elektrostatycznemu. Czuł się tak, jakby stanął twarzą w twarz z prymitywnymi bóstwami wysypiska, prawdziwymi władcami tego miejsca, choć sama myśl stanowiła jawne zaprzeczenie wszystkiego, czego się dotąd nauczył. Moc jest wszędzie i niczego nie żąda, ani posłuszeństwa, ani lęku.

Ale oczywiście musiał tego doświadczyć, aby zapomnieć. Musiał dobrać się do czystej, dzikiej natury, do tego miejsca poza nim, gdzie drzemały groźne cienie. W takim miejscu można było w jednej sekundzie odwrócić się ku ciemnej stronie Mocy i nawet nie zauważyć, czym się różni od jasnej.

Anakin, kierując się czystym instynktem, kłębek pyłu w grze -raz jeszcze zwinął skrzydła i przeleciał przez centralny port tarczy. Nie zauważył, że pięćdziesiąt metrów nad nim Krwawy Rzeźbiarz zrobił to samo.

Mechanizm wyrzutni, spoczywający na podwyższeniu dwieście metrów poniżej tarczy, wykonywał po kolei zautomatyzowane czynności. Odbierał z torów naładowane kontenery, z których każdy wpadał do komory wyrzutowej tak, że wystawał tylko półokrągły czubek. Każdy z pojemników miał specjalne oznaczenie w programie, określone trajektorię przez cztery tarcze i szanse, aby uzyskać odpowiednie przyspieszenie na określonej orbicie. Ładunek znajdujący się pod kontenerem niósł go tylko przez pierwsze trzysta metrów, do pierwszej tarczy. Następnie przyjmowały go pola prowadzące i silniki magnetyczno-impulsowe. Konstrukcja wyrzutni była skomplikowana, zaprojekto-

wana wiele stuleci temu, prymitywna, trwała i skopiowana w wielu egzemplarzach na całej planecie.

Powietrze wokół wózka obrotowego niemal nie nadawało się od oddychania. Oparów z wybuchających ładunków nie dało się odprowadzać i przetwarzać dość szybko, by nie tworzyły toksycznej warstwy pod pierwszą tarczą. Do odwiecznej mgły płonącej gumy dochodziły miazmaty z pełnego silikonu basenu pod spodem.

Właśnie tutaj, w wiecznym półmroku, oświetlanym tylko przez słabe światełka zwisające z podpór wyrzutni, żyły i wypełniały swe funkcje życiowe najbardziej prymitywne - nie wspominając o tym, że największe - istoty na Coruscant. Niektóre z robaków były długie na setki metrów, a szerokie na trzy lub cztery.

Anakin ześliznął się na skraj najniższego poziomu i przycupnął na wsporniku wózka. Stopami wyczuwał rotację i odrzut wystrzeliwanych z komór kontenerów. Niewyobraźalnie ciężka żeliwna konstrukcja dygotała pod cienkimi podszwami butów lotniarza.

Zachował większość paliwa właśnie na tę chwilę. Pola prowadzące poniżej platformy były słabe, wystarczały właściwie tylko do odpędzania robaków, by nie przysysały się do wsporników. Kiedy tylko znajdzie szklistą łuskę robaka, będzie musiał odbić się w górę i złapać wir za kontenerem, który przeniesie go przez port w przestrzeń ponad pierwszą tarczą.

Było to czyste, choć wykonalne szaleństwo

Tym lepiej. Anakin szeroko otwartymi oczami obserwował ciemny, ruchliwy gąszcz wijących się w dole robaków. Na chwilę zablokował jedno skrzydło, uwolnił dłoń i zakrył nos i usta maską tlenową. Przy okazji przymocował okulary i opuścił gogle, aby uchronić oczy od rozprysków silikonu. Spiał się do skoku.

I wtedy popełnił pierwszy błąd typowy dla ucznia Jedi - skierował całą uwagę na pojedynczy cel. Koncentracja była jedną sprawą, zawężone pole postrzegania drugą, a Anakin zapomniał o wszystkim, co działo się nad jego głową.

Poczuł nagle dziwny ostrzegawczy impuls i obejrzał się akurat w porę, żeby przyjąc na czubek głowy cios skierowany w jego skroń. Krwawy Rzeźbiarz prześliznął się obok i wylądował na drugim słupie, z satysfakcją obserwując, jak młody Jedi spada głową w dół w spienioną masę robactwa.

Krwawy Rzeźbiarz ruszył za nim. Wyciągnął długą szyję, fałdy nosowe złożył na kształt ostrza i spłynął w dół, aby dokończyć zadanie.

Upadek Anakina zamortyzowała wysepka grubej, śmierdzącej piany, która unosiła się na powierzchni jeziora robaków. Powoli się w niej pograżał, uwalniając coraz więcej trujących gazów, aż wreszcie pęknięcie bąbla amoniaku gwałtownie przywróciło mu przytomność. Oczy go piekły, cios w głowę strącił mu gogle i przekrzywił maskę oddechową.

Powoli, po kolei. Rozpostarł skrzydła i odpiął uprząż, a potem przetoczył się tak, żeby rozłożyć na skrzydłach ciężar ciała. Lotnia pracowała na warstwie piany jak rakietta śnieżna, uniemożliwiając zanurzenie. I tak była już pogięta i bezużyteczna, nawet gdyby miał siłę ją wyrwać ze spienionej masy.

Krwawy Rzeźbiarz właśnie go zamordował. Śmierć przyjdzie dopiero wtedy, kiedy sama uzna za stosowne, ale przyjdzie na pewno. Od tego nie ma odwołania. Wysepka bladożółtej piany unosiła się wraz z falowaniem robaków. Zewsząd dochodziły trzaski pękających bąbli i drugi, o wiele bardziej złowrogi dźwięk: niski syk obłych cielsk prześlizgujących się obok i wokół siebie.

Anakin z trudem otwierał powieki. Już po mnie, pomyślał. Sięgnięcie w dal i dostrojenie się do Mocy mogło go trochę uspokoić, ale jeszcze nie doszedł do tego momentu szkolenia, które pozwoliłoby mu lewitować... no, chyba że na wysokość kilku centymetrów.

Właściwie był tak śmiertelnie przerażony swoją nierozważą, tak zawstydzony czynami, które go doprowadziły tu, na dno wysypiska, że wobec tych wszystkich porażek śmierć wydawała mu się sprawą drugorzędną.

Nie był stworzony, by stać się Jedi, cokolwiek sądził Qui-Gon Jinn. Yoda i Mace Windu od początku mieli rację. Ale gorzka świadomość poprzednich klęsk nie oznaczała, że musi pozwalać na kolejne zniewagi. Wyczuł bezszelestny przelot Krwawego Rzeźbiarza nad głową i niedbale uchylił się na bok, aby uniknąć drugiego ciosu, który chybił zaledwie o kilka centymetrów.

Jedi nie pragnie zemsty, ale mózg Anakina zaczął pracować na pełnych obrotach, oczyszczony bólem tętniącym w czasie i tępym pulsowaniem ramienia. Krwawy Rzeźbiarz wiedział, kim on jest i skąd pochodzi - tu, z dala od rządzonych przez bezprawie systemów, które niewolnictwo uważają za normalne zjawisko, nazwanie go niewolnikiem było zbyt niezwykłym zbiegiem okoliczności. Ktoś prześladował albo samego Anakina, albo wszystkich Jedi.

Anakin wątpił, aby w ciągu swojego krótkiego życia mógł stać się godzien uwagi płatnego mordercy. Za o wiele bardziej prawdopodobne uznał, że cała świątynia była obserwowana. Może jakaś grupa miała nadzieję na to, że wybije Jedi pojedynczo, czynając od najsłabszych.

To znaczy ode mnie, pomyślał Anakin.

Krwawy Rzeźbiarz stanowił zagrożenie także dla ludzi, którzy uwolnili Anakina z jarzma niewolnictwa, przyjęli go do siebie i zapewnili mu nowe życie z dala od Tatooine. Gdyby nawet nigdy nie miał zostać Jedi, nigdy nie dożyć dorosłości, mógł przynajmniej zlikwidować jednego wroga tego szlachetnego i potrzebnego zakonu.

Naciągnął maskę, nabrał w płuca filtrowanego powietrza i rozejrzał się po swojej pływającej platformie. Mógł odłamać podpórkę skrzydła i machać nią wokół jak bronią. Przesunął się ostrożnie, starannie rozkładając ciężar ciała, i chwycił cienki pręt. Podpórka wiele wytrzymała w czasie lotu, ale teraz szybko ustąpiła pod naciskiem. Anakin wyginał pręt w jedną i w drugą stronę tak długo, aż pękł. Szybko przycisnął go obutą stopą i wyrwał z osady, zrywając cieniutką powłokę. Kula rotatora na końcu tworzyła doskonałą maczugę.

Cała lotnia ważyła jednak mniej niż pięć kilo, a pałka pewnie z dziesięć deko. Aby uderzenie poskutkowało, musiał zadać je z dużą siłą.

Krwawy Rzeźbiarz znów zatoczył niski krąg. Stopy miał złączone, trójstawowe ramiona zwiślały niczym czułkonóżki śmigło-szpona na Naboo.

Był skoncentrowany wyłącznie na padawanie.

I popełnił ten sam błąd co Anakin.

Serce Anakina podskoczyło z radości, gdy zobaczył Obi-Wana krążącego nad Krwawym Rzeźbiarzem. Mistrz młodzieńca wydobył świetlny miecz i obiema stopami wylądował na lotni zabójcy, łamiąc ją niby pęczek chrustu. Dwa cięcia brzęczącej klingi i zewnętrzne końce skrzydeł Krwawego Rzeźbiarza odpadły.

Morderca wydał zdławiony okrzyk i przewrócił się na plecy. Paliwo w zbiornikach na skrzydłach zajęło się ogniem, wprawiając jego ciało w błyszczący wir. Zanim zgasło, uniosło go na co najmniej dwadzieścia metrów w górę.

Spadł bez dźwięku i zanurzył się w jeziorze o kilkanaście metrów od Anakina, wzbijając niewielką, lśniąca fontannę oleistego silikonu. Przez chwilę wirowały nad nim obłoki płonącego metanu.

Obi-Wan odzyskał równowagę i podniósł skrzydła w samą porę, by zanurzyć się w pianie tylko po pas. Gdy wyłączał miecz, miał charakterystyczną dla siebie minę: cierpliwość i cień niezadowolenia, jakby Anakin właśnie narobił błędów w prostym dyktandzie.

Anakin wyciągnął rękę, by pomóc mistrzowi wstać.

- Podnieś skrzydła i trzymaj je wysoko - zawołał.

- Po co? - zapytał Obi-Wan. - Nie wyniosę nas obu z tego bagna.

- Jeszcze mam paliwo!

- A ja prawie wcale. To paskudne maszyny, prawie nie da się nimi sterować.

- Możemy połączyć zapasy paliwa - odparł Anakin. Jego oczy jasno błyszczały w półmroku.

Piana zafalowała ostrzegawczo. Na skraju niematerialnej wyspy piany pojawiła się lśniąca, szarosrebrna rura, gruba na poczworną szerokość ramienia. Wygięła się w łuk nad silikonową zawieszyną. Jej skórę pokrywały przylepione kawałki śmieci, a wzdłuż boku ciągnęła się linia czarnych, paciorkowatych oczek, otoczonych jaskrawoniebieską otoczką. Oczy, tkwiące na krótkich szypułkach, z ciekawością przyglądały się Jedi. Robak zdawał się zastanawiać, czy warto ich zjeść, czy nie.

Nawet w takiej chwili Anakin zafascynowany patrzył na cenne łuski lśniąca na całej długości cielska robaka. Najpiękniejsze, jakie widziałem, myślał, wielkie jak moja dłoń!

Obi-Wan tonął szybko. Mrugał raz po raz, aby coś dojrzeć przez silikonową mgłę i trujące gazy, które unosiły się wokół nich. Anakin delikatnie starając się utrzymać równowagę, sięgnął w dół i odczepił cylindry z paliwem od lotni, pamiętając, by odłączyć rurki zasilające zewnętrzne silniczki i zamknąć dysze.

Obi-Wan koncentrował się wyłącznie na tym, by się nie pogrzyż w lepkiej pianie.

Jeszcze jeden segment ciała robaka, wielki i szeroki jak chodnik, wychynął z bulgotem po drugiej stronie szybko kurczącego się płata piany. Kolejne oczy przyglądały im się uważnie. Robak zadrżał niecierpliwie.

- Nigdy już nie będę taki głupi - mruknął Anakin pod nosem, przyczepiając zbiorniczkę do skrzydeł Obi-Wana.

- Powiedz to Radzie - odparł Obi-Wan. - Nie mam wątpliwości, że właśnie tam skończymy... jeśli w ciągu dwóch najbliższych minut uda nam się dokonać przynajmniej sześciu niemożliwych rzeczy.

Dwa segmenty robaka wibrowały jednym rytmem i ze świstem pruły silikon jak ciągnięte przez kogoś liny. Wreszcie wzniosły się wysoko w górę i wtedy okazało się, że jest to jedno stworzenie. Otoczyły ich dalsze zwoje: inne, większe robaki. Najwidoczniej mistrz i uczeń Jedi wyglądali smakowicie; właśnie toczyła się walka o to, komu przypadną. Segmenty łomotały o powierzchnię mazi i przy okazji o krawędzie ruchomej wysepki. Piana wzbijała się w powietrze w szybko znikających bąblach, aż wreszcie zostało z niej niewiele, ot, trudny do opanowania korek.

Anakin chwycił swojego mistrza za ramię.

- Obi-Wanie, jesteś największym z wszystkich Jedi - szepnął żarliwie.

Obi-Wan spojrział ponuro na padawana.

- Nie mógłbyś nas trochę popchnąć? - poprosił chłopiec. - No wiesz, do góry i na zewnątrz?

Mistrz pchnął, wykorzystując całą koncentrację, na jaką mógł się zdobyć w tych okolicznościach. Dokładnie w tym samym momencie Anakin odpalił silniczki.

Szarpięcie nie przeszkodziło mu sięgnąć w dół rozcapierzonymi palcami. Wyszarpnął łuskę, drapiąc śliską skórę robaka. Jakimś cudem udało im się dotrzeć do pierwszej tarczy i prześliznąć na szczycie wiru wystrzelonego kontenera. Wirując, prawie półprzytomni przelecieli przez port.

Obi-Wan czuł wokół talii szczupłe ramiona Anakina.

- Jeśli tak się to robi... - mruknął chłopak i nagle coś... czyżby świeżo nabyta umiejętność lewitacji młodego padawana? .. uniosło ich przez drugą tarczę jak gigantyczna dłoń.

Obi-Wan nigdy przedtem nie czuł się tak blisko i tak silnie związany z Mocą, ani przy Qui-Gonie, ani Mace Windu. Ani nawet przy Yodzie.

- Myślę, że nam się uda! - zawołał Anakin.

ROZDZIAŁ

2

- Możliwości są nieograniczone - powiedział Raith Sienar, wędrując wzdłuż fabrycznej galerii. Obok niego szedł komandor Tarkin z Sił Bezpieczeństwa Odległych Regionów Republiki. Wyglądali prawie jak bracia. Obaj niedawno minęli trzydziestkę, obaj byli szczupli i żyłaści, o wysoko sklepionych, kościstych czaszkach, przenikliwych zielonych oczach i arystokratycznych rysach. Poruszali się prawie jednakowo i nosili szaty senatorskie, świadczące o niezwykłych dokonaniach w ostatnim dziesięcioleciu.

- Mówisz o Republice? - zapytał Tarkin z nieukrywaną pogardą. Wykształcenie - a pochodził ze starej i dobrze sytuowanej rodziny wojskowych - nadawało jego głosowi szczególnie ton, jednocześnie znużony światem i pełen rozbawienia.

- Wcale nie - odparł Sienar uśmiechając się do starego przyjaciela. W dole, pod galerią kończono właśnie budowę statków według Ulepszanego Projektu: były czarne, smukłe, mniejsze niż poprzednie modele i naprawdę szybkie. - Od siedmiu lat nie dostałem od Republiki żadnego przyzwoitego kontraktu.

- A te tutaj? - zapytał Tarkin

- Prywatne zamówienia z Federacji Handlowej, kilku firm górniczych i tak dalej. Bardzo korzystne, dopóki nie sprzedam najlepszych modeli broni niewłaściwym kupcom. Każdy statek, który buduję, jest odpowiednio uzbrojony, zresztą na pewno o tym wiesz. W ten sposób uzyskuję znacznie lepsze ceny, ale czasami... cóż, to są delikatne kwestie. Dlatego najlepsze trzymam w rezerwie... dla najhojniejszych klientów.

Tarkin uśmiechnął się, słysząc taką odpowiedź.

- Może mam dla ciebie użyteczne wiadomości - rzekł. - Właśnie wracam z tajnego spotkania. Kanclerz Palpatine nareszcie położył kres incydentowi na Naboo. W ciągu kilku miesięcy siły Federacji Handlowej mają zostać wchłonięte przez Republikę i postawione do dyspozycji senatu. Wszyscy się muszą zgodzić, nawet Dalekie Kopalnie... w przeciwnym razie przyjdzie im stawić czoło scentralizowanej i znacznie silniejszej armii - Tarkin przez silną lornetkę studiował szczegóły budowy nowych statków. Każdy z nich miał dwadzieścia metrów szerokości i długie, płaskie łopaty chłodzące na końcach skrzydeł. Kabiny były zwarte, kuliste, niezbyt luksusowe. - Jeśli to twoje główne źródło dochodu, to chyba nie unikniesz kompromitacji.

Sienar przechylił głowę na bok. Słyszał już o dekreście kanclerza Palpatine'a.

- Federacja Handlowa ma ogromne zasoby finansowe i to prawda, że dali mi o wiele więcej ciekawych kontraktów niż Republika, ale w dalszym ciągu mam przyjaciół w senacie. Brak mi będzie patronatu Federacji Handlowej, ale jeszcze przez jakiś czas nie przewiduję całkowitego zniknięcia jej wpływów. A co do Republiki... ich zamówienia nie są specjalnie inspirujące. Jeśli już dostaję stamtąd jakiś kontrakt, muszę pracować z podstarzałymi inżynierami, poleconymi przez senat. Wierzę, że to się zmieni.

- Słyszałem, że nie patrzą na ciebie przychylnym okiem. Za bardzo ich krytykujesz, Raith. Kiedy twoi obecni klienci przejdą do historii, może rozważysz podwykonawstwo?

Sienar machnął cienkimi palcami.

- Mam nadzieję, że wiesz, jaki jestem wszechstronny. W końcu znamy się od wielu lat.

Tarkin spojrział na niego z miną mówiącą: „Daj spokój!”

- Wciąż jestem młody, Raith. Nie rób ze mnie starca.

Doszli do końca galerii i przeszli na podwieszany chodnik, prowadzący do ośmiokątnego pomieszczenia o ścianach z transpastali, zawieszono go trzydzieści metrów ponad halą fabryczną.

- Wybacz, ale te tutaj wyglądają na nowoczesne myśliwce. No i są naprawdę piękne.

Sienar skinął głową.

- Eksperymentalne modele do ochrony holowników towarowych na obrzeżach. Republika nie obsadza już policją najbardziej intratnych szlaków. Podejrzewam, że po zintegrowaniu znów zaczną to robić. W każdym razie za te statki już zapłacono.

- Można je magazynować?

- Oczywiście. Piętrowo w wolnych ładowniach. Wszystko zgodnie ze specyfikacją. Prawdziwe zaskoczenie dla piratów. No, dość o handlowych problemach. A co do naszych spraw...

Tarkin oparł dłoń na poręczy.

- Nawiązałem nowe kontakty - rzekł. - Bardzo użyteczne kontakty. Niewiele więcej mogę ci teraz powiedzieć.

- Wiesz, że jestem ambitny - odparł Sienar z pożądliwą miną która, jak miał nadzieję, była również dystygowana. Tarkina niełatwo zwieść. - Mam plany, Tarkin. Niezwykle plany, które zadziwią każdego z odrobiną wyobraźni.

- Znam wielu ludzi, którzy mają więcej niż odrobinę wyobraźni - zauważył Tarkin. - Może czasami jest aż za dużo...

Ruszyli dalej. Roboty montażowe krzątały się w dole pod ich stopami. Za ledwie kilka metrów od nich suwnica podnosiła trzy kadłuby osadzone we wspólnym gnieździe.

- Właściwie, drogi przyjacielu, przyszedłem zamącić ci w głowie, opowiedzieć interesującą bajkę i skaptować do mojej sprawy. Ale nie tu... nie na otwartej przestrzeni.

W pracowni projektowej o ścianach z transpastali, zamkniętej dla wszystkich z wyjątkiem Sienara i jego specjalnych gości, Tarkin usiadł w wygodnym fotelu z nadmuchiwanego plastiku, również projektu Sienara. Obok niego cicho szumiał ciemnoszary stół holograficzny.

Sienar opuścił czarne zasłony zabezpieczające, izolując w ten sposób oświetlone wnętrze. Obu mężczyzn otoczyła nagle upiorna cisza.

Tarkin chciał coś powiedzieć, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Sienar podał mu mały jak orzeszek, czarny koder głosu podłączony giętkim przewodem do ustnika. Pokazał Tarkinowi, jak wprowadzić koder do ucha, pozwalając, by mikrofon unosił się tuż przed jego ustami.

Teraz dopiero mogli się słyszeć.

- Nieraz oddaję pewnym ludziom przysługi - wyjaśnił Tarkin. - Kiedyś starałem się przysłużyć obu stronom, ale ostatnio moje wysiłki kierują się wyraźnie w jedną. Równowaga nie jest już konieczna.

Sienar stał przed przyjacielem i słuchał uważnie. Jego smukłe, doskonałe ciało zdawało się gardzić wypoczynkiem.

- Niektórzy z tych ludzi potrafią docenić palce... nie czułki, przyjacielu, nie macki, ale ludzkie palce, sięgające do kolejnych gwiazdnych misek pełnych zupy, by sprawdzić, czy wystygły już na tyle, że nadają się do zjedzenia.

- Dlaczego podkreślasz, że ludzkie?

- Bo ludzie są przyszłością, Raith.

- Wielu moich najlepszych projektantów nie ma nic wspólnego z ludzką rasą.

- Owszem, zatrudniamy nieludzi tam, gdzie są użyteczni, przynajmniej na razie. Ale zapamiętaj moje słowa Raith. Ludzie są przyszłością.

- Nie zapomnę. - Raith zauważył napięcie w głosie Tarkina.

- A teraz słuchaj uważnie. Opowiem ci historię skomplikowanej intrygi, w gruncie rzeczy genialnie prostej. Dotyczy statku kosmicznego bardzo rzadko spotykanego typu, niezwykle kosztownego, nieznanego produkcji, prawdopodobnie zabawki bogaczy. Ta historia prowadzi na zapomnianą planetę, pokrytą szczególnym rodzajem lasu, bardzo tajemniczą. A wkrótce może objąć również Jedi.

Sienar uśmiechnął się z zachwytem.

- Uwielbiam historie o Jedi. Wiesz, naprawdę jestem ich fanem.

- Mnie też oni intrygują - odparł Tarkin. - Jedno z moich zadań... nie powiem ci, ani kto mi je dał, ani kto za nie płaci... polega na obserwacji wszystkich Jedi na Coruscant. Obserwacji... i zapobieganiu wszelkiemu wzrostowi ich siły.

Sienar uniósł brew.

- Przecież Jedi wspierają senat, Tarkin.

Tarkin lekceważąco machnął ręką.

- Wśród Jedi jest jeden młodzik, który interesuje się robotami i wszelkiego rodzaju mechanizmami, coś w rodzaju zbieracza złomu, choć, jak rozumiem, nie pozbawionego talentu. Na drodze tego smarkacza postawiłem kosztowny, miniaturowy, ale kompletnie popsuty model robota, a on zabrał go do świątyni Jedi i uruchomił, czego się spodziewałem. Od tego czasu mogę wysłuchiwać bardzo ciekawe i bardzo prywatne rozmowy.

Sienar słuchał z rosnącym zainteresowaniem, ale i z niedowierzaniem. Przez całe jego życie, poświęcone projektowaniu i budowaniu wspaniałych statków i maszyn, Jedi nigdy nie wykazywali zainteresowania zamówieniem statku. Zawsze zadowalali się podróżą „na łebka”. Na ile się orientował, Jedi, przy całej swojej uprzejmości i zdyscyplinowaniu, byli technicznymi ignorantami... jeśli, rzecz jasna, nie liczyć mieczy świetlnych. Tak, to ciekawe...

- Słuchaj mnie uważnie, Raith - wyrwał go z zadumy głos Tarkina. - Przechodzę do najciekawszej części.

Pół godziny później Sienar umieścił bezpiecznie kodery głosu w pudełku i podniósł zasłony. Był blady, a dłonie drżały mu lekko. Z trudem ukrywał wściekłość.

Tarkin wdiera się na tereny, które powinny należeć do mnie! - podsumował gniewnie.

Ale zdusił złość w zarodku. Tajemnica już się wydała i zasady uległy zmianie.

Machinalnym ruchem, jakby próbował zamaskować swoje poruszenie historią opowiedzianą przez Tarkina, włączył ekran holograficzny. Miliony cienkich linii zaczęły wić się i łączyć nad ciemnoszarą powierzchnią stołu. Uformowały wolno obracającą się kulę z wyciętym fragmentem. Dwie mniejsze unosiły się nad obydwoma biegunami, połączone z główną kulą szerokimi płaszczyznami o nierównej powierzchni.

Tarkin powoli obracał hologram. Miał surowy, ale pogodny wyraz twarzy. Wąskie, okrutne wargi, mocno zaciśnięte, zdradzały jego pochodzenie od wielu pokoleń arystokratycznych przodków. Pochylił się, aby przyjrzeć się lepiej, i aż uniósł brwi.

Sienar był zadowolony z jego reakcji.

- Gigantyczne - sucho skomentował Tarkin. - Marzenie uczniaka?

- Wcale nie - odparł Sienar, odnotowując zainteresowanie Tarkina. - Całkowicie wykonalne, chociaż kosztowne.

- Obudziłeś moją ciekawość - przyznał się Tarkin. - Co to takiego?

- Jeden z moich pokazowych projektów. Ma wywierać wrażenie na kontrahentach, szczególnie tych ze skłonnością do megalomanii - wyjaśnił Sienar. - Tarkin... dlaczego ci ludzie wybrali właśnie mnie?

- Chyba nie zapomniałeś, że jesteś człowiekiem?

- To nie mógł być główny powód.

- Zdziwiłbyś się, Raith. Ale masz rację, na tym etapie prawdopodobnie nie to zdecydowało. Chodzi o twoją pozycję i inteligencję. O doświadczenie konstruktorskie, znaczenie większe niż moje, choć uważam, że w projektach wojskowych jednak cię przewyższam. Oczywiście, ja też miałem na to pewien wpływ. Trzymaj się mnie, a razem zobaczymy różne miejsca. Bardzo ciekawe miejsca.

Tarkin nie mógł oderwać wzroku od wolno obracającej się kuli. Dopiero teraz jego oczom ukazał się potężny, zasilany wprost z rdzenia turbolaser.

- Rozumiem - uśmiechnął się. - Zawsze musi być jakaś broń. Pokazywałeś to już komuś?

Sienar potrząsnął głową ze smutkiem. Już wiedział, że Tarkin połknął haczyk.

- Federacja Handlowa dokładnie wie, czego chce, i nie interesuje jej nic innego. Pozałowania godny brak wyobraźni.

- Wyjaśnij mi to.

- To marzenie, ale całkiem konkretne, jeśli uda się osiągnąć postępy w dziedzinie hipermaterii. Rdzeń implozyjny z plazmą o średnicy mniej więcej kilometra jest w stanie zasilić sztuczny twór wielkości niewielkiego księżyca. Kilka dużych asteroid lodowych jako paliwo... wciąż dość popularne w skrajnych systemach...

- Całego systemu mógłby pilnować jeden statek z niewielką załogą - myślał głośno Tarkin.

- Cóż, załoga nie powinna być za mała, ale jeden statek wystarczyłby na pewno. - Sienar okrążył obraz, demonstrując projekt szerokimi gestami. - Rozważam możliwość usunięcia mniejszych kul i pozostania przy jednej wielkiej, o średnicy dziewięćdziesięciu do stu kilometrów. Wygodniejsze w transporcie.

Tarkin uśmiechnął się dumnie.

- Wiedziałem, że wybrałem odpowiedniego człowieka do tego zadania, Raith - Ze ściągniętymi brwiami przyglądał się projektowi. - Co za wyczucie skali! Co za niewypowiedziana moc!

- Nie jestem pewien, czy znajdę tyle wolnego czasu - odparł Sienar, marszcząc czoło. - Pomimo braku powiązań wciąż udaje mi się mieć pełne ręce roboty.

Tarkin lekceważąco machnął ręką.

- Zapomnij o dawnym życiu i skup się na przyszłości. Wiesz, jaka może być ta przyszłość, Raith, jeśli zadowolisz właściwych ludzi?

ROZDZIAŁ

3

Świątynia Jedi była masywną liczącą wiele stuleci budowlą. Odznaczała się pięknem i dostojnością, ale podobnie jak domy na całym Coruscant, jej fasada ucierpiała od długoletniego zaniedbania. Wysoko lśniło nieskalanym pięknem pięć minaretów, ale niżej, na poziomie sypialni i wejść dla obsługi, farba się łuszczyła i odpadała płatami, a pod szerokimi, łukowatymi dachami od miedzianych rynien spływały strumienie zieleni. Odlewane metalowe płyty straciły warstwę izolacji i uległy korozji, w miejscach styku wytwarzając na powierzchni fantastyczne tęczkowe wzory.

Pomieszczenia wewnątrz świątyni, domeny rycerzy Jedi i ich padawanów, były chłodne i słabo oświetlone, z wyjątkiem prywatnych kwater, które, choć skromne, wyposażono w lampy żarowe, pozwalające na czytanie tekstów wypożyczonych z wielkiej biblioteki. Każda z cel dysponowała również komputerem i holoprojektorem, co umożliwiało dostęp do najnowszych prac z dziedziny różnych nauk, ale głównie historii i filozofii.

Ktoś z zewnątrz mógł odnosić wrażenie uczonej powagi, ale dla Jedi świątynia była ośrodkiem nauki i rycerskiej tradycji, nie mającej sobie równej w całym znanym wszechświecie.

Miało to być miejsce spokoju i zadumy, przeplatanej okresami rygorystycznego szkolenia. Jednak rada Jedi coraz częściej poświęcała uwagę trudnym sprawom politycznym i dalekosiężnym reperkusjom wieloletniej zapaści ekonomicznej.

Republika nie mogła sobie pozwolić na zbyt długi namysł ani zbyt dogłębne badania. Wkrótce rozpocznie się czas działania sił sprzysiężonych przeciwko wolności i zasadom, które przyświecały Jedi w ich żarliwej pracy dla senatu i Republiki.

Wyjaśniało to, dlaczego tak wielu mistrzów wyjechało ze świątyni, kierując się w różne podupadające zakątki Republiki. Ale nikt nie wiedział, jak tłumaczyć zadumany uśmiech Mace Windu, który przewodniczył beznadziejnej dyskusji nad przypadkiem Anakina Skywalkera.

Obi-Wan nigdy nie potrafił rozszyfrować Mace Windu. Wielu uważało, że to Yoda był najbardziej tajemniczym z rycerzy Jedi, bo wolał uczyć, raczej używając różnych sztuczek niż na własnym przykładzie, zadawał zagadki, zamiast przytaczać fakty. Natomiast Mace Windu, jakiego znał Obi-Wan, przewodził innym, korzystając z

żelaznych zasad i niezmiennej dyscypliny, zamiast zaskakiwać sztuczkami. A jednak z wszystkich Jedi to on najlepiej potrafił docenić dobry żart, często zastawiał złośliwe filozoficzne pułapki w najgorętszej dyskusji.

W treningu fizycznym był bodaj najtrudniejszym przeciwnikiem do pokonania, bo nigdy się nie wiedziało, co za chwilę zrobi. Jeśli coś proponował albo czemuś się sprzeciwiał, zwykle okazywało się, że to tylko zręczny wybieg, który miał spowodować całkowicie odwrotny wynik. Jego charakter był na tyle kapryśny, że opierał się wszelkiej analizie intelektualnej. I był to jeden z powodów tego, że Mace Windu został mianowany mistrzem Jedi.

Dekadencyjni cynicy z Dzielniczy Senatu, którzy niewiele wiedzieli o Jedi, uważali ich za ponurych, nadętych głosicieli przebrzmiałej, dziwacznej religii, która niebawem musi ustąpić miejsca czasom chirurgicznej precyzji i suchych faktów. Mace Windu przypominał wszystkim, którzy się z nim zetknęli, że Jedi to zakon pełen sprzeczności i obdarzony żywotnością trudną - a niektórzy twierdzili, że niemożliwą - do pokonania.

Jak tylko Obi-Wan i Anakin zeszkrobali i zmyli z siebie silikon i smród, podążyli klatką schodową do starej, ale pięknie utrzymanej turbowind, która zawiozła ich na szczyt lśniącej Wieży Rady. Przedwieczorne słońce wlewało się przez szerokie okna komnaty. Okrągłe pomieszczenie zalewało światło barwy starego złota, ale blask nie sięgał postaci Anakina, którego smukła sylwetka kryła się w cieniu wysokiego, pustego krzesła.

Padawan wydawał się dość oszołomiony.

Obi-Wan stał obok, bo mistrz musi towarzyszyć uczniowi w chwili, gdy grozi mu usunięcie z zakonu.

Obecni byli tylko czterej mistrzowie. Pozostałe krzesła stały puste. Przewodniczył Mace Windu. Obi-Wan przypominał sobie wiele surowych przesłuchań, jakim poddawany był jego własny mistrz Qui-Gon Jinn, jednak podczas żadnego z nich atmosfera nie była tak napięta jak teraz, niezależnie od rozbawionej miny Mace Windu.

- Anakin Skywalker jest z nami już od trzech lat i udowodnił, że jest zdolnym uczniem - zaczął Mace. - Więcej niż zdolnym. Doskonałym uczniem, pełnym talentu i siły, które mieliśmy nadzieję wspólnie rozwinąć i kontrolować.

Mace wstał i okrążył stojącą pośrodku parę, a jego szata szeleściła cicho w rytm stąpania długich, silnych nóg.

- Siła charakteru to wyzwanie, któremu padawan musi sprostać. Nie powinna ona stanowić maski dla braku koncentracji i celu. To, co w młodości wydaje się cudownie, z wiekiem traci blask, by wreszcie legnąć w gruzach. Jedi nie może mieć takich słabostek. - Mace zatrzymał się przed chłopcem. - Anakinie Skywalkerze, jaki jest twój błąd?

Obi-Wan wystąpił naprzód, by przemówić, ale uniesiona dłoń Mace nakazała mu milczenie. Mistrz musi bronić swojego padawana, ale tym razem widocznie sprawa miała się potoczyć inaczej. Obi-Wan obawiał się najgorszego: że wyrok został już wydany i Anakin zostanie wydalony ze świątyni.

Anakin, pokorny jak nigdy, rozszerzonymi oczami wpatrywał się w Mace.

Ten nie ustępował.

- Pytam raz jeszcze, jaki jest twój błąd?

- Przyniosłem wstyd zakonowi i świątyni - szybko odpowiedział Anakin wysokim i leciutko drżącym głosem.

- To mało precyzyjne stwierdzenie. Więc co z tym błędem?

- Złamałem prawa miejskie i... i...

- Nie o to chodzi! - oświadczył Mace i uśmiech nagle znikł z jego twarzy jak słońce z ciemnej, ołowianej chmury.

Anakin jakby się skurczył.

- Obi-Wanie, wyjaśnij swojemu padawanowi jego błąd. W końcu wynika on z tych samych źródeł co twój własny. - Mace uniósł brew i zmierzył Obi-Wana zagadkowym spojrzaniem.

Obi-Wan rozważał te słowa przez chwilę, zanim udzielił odpowiedzi. Nikt go nie popędzał. Wewnętrzna prawda leżała u kresu trudnej wędrówki, nawet dla Jedi.

- Już wiem - rzekł po chwili. - Obaj pragniemy pewności.

Anakin zmarszczył brwi i podniósł na mistrza pytający wzrok.

- Wyjaśnij nam wszystkim, w jaki sposób zawiodłeś swojego padawana - odpowiedział Mace łagodniejszym tonem.

- I on, i ja jesteśmy o wiele za młodzi na luksus pewności - zaczął Obi-Wan. - Nasze doświadczenie jest niewystarczające, by zapewnić nam choćby chwilowy spokój. O wiele bardziej troszczyłem się o jego rozwój niż o mój własny. Zastanawiałem się nad jego oczywistymi wadami, zamiast użyć go jako zwierciadła i pozwolić mu się poprowadzić, tak abym i ja z kolei mógł poprowadzić jego.

- Dobry początek - skinął głową Mace. - A teraz, młody Skywalkerze, wyjaśnij Radzie, jak możesz znaleźć spokój, szukając tanich emocji pośród najniższych warstw mieszkańców tej planety.

Zmarszczka na czole Anakina pogłębiła się.

- Nie przechodź do defensywy - ostrzegł Mace.

- To, co zrobiłem, miało wypełnić pewną lukę w moim szkoleniu - ostrożnie zaczął Anakin.

Twarz Mace'a przybrała wyraz kamiennego spokoju, powieki opadły ciężko. Le-niwie zmrużonymi oczami obserwował chłopca.

- A kto jest odpowiedzialny za tę lukę? - zapytał, zakładając ręce za plecami.

- Ja, Mistrzu.

Mace przytaknął. Jego surowa twarz przypominała starożytną rzeźbę z ledwo ociosanego kamienia. Ulotnił się gdzieś dobry humor. Za tą maską jeśli ktoś wiedział, jak ją przeniknąć, płonął jasny płomień koncentracji, w niczym nie ustępujący legendarnym mistrzom minionych wieków.

- Próbuję uciec przed bólem - szepnął Anakin. - Moja matka...

Mace podniósł dłoń i Anakin natychmiast zamilkł.

- Ból może być naszym najlepszym nauczycielem - rzekł Windu, zniżając głos do ledwie słyszalnego szeptu. - Dlaczego od niego uciekasz?

- To... to moja siła. Tak to widzę.

- Nieprawda - wtrącił Obi-Wan, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. Zmieszany Anakin spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Co jest nieprawdą, nauczycielu?

- Jeśli opierasz się na bólu jak na lasce, rodzi się w tobie gniew i mroczny lęk przed prawdą - wyjaśnił Obi-Wan. - Ból jest przewodnikiem, ale nie stanowi wsparcia.

Anakin przechylił głowę na bok. Między wspaniałymi rycerzami Jedi, pośród tej przytłaczającej atmosfery wydawał się drobny, wręcz niematerialny. Twarz wydłużyła mu się z rozpaczy.

- Moje najbardziej użyteczne talenty nie są talentami Jedi.

- To prawda, poświęcasz się całkowicie maszynom i bezsensownym zmaganiom, zamiast stawić czoło własnym uczuciom - odparł Mace. - Wyposażyłeś naszą świątynię w więcej robotów, niż kiedykolwiek będziemy potrzebowali. Tłoczą się w korytarzach. Potykam się o nie. Ale oddaliśmy się od głównego tematu dyskusji. Spróbuj raz jeszcze wyjaśnić swój błąd.

Anakin potrząsnął głową rozdarty między uporem a chęcią płaczu.

- Nie wiem, co chcesz, żebym powiedział. Mace westchnął lekko i przymknął oczy.

- Zajrzyj w głąb siebie, Anakinie.

- Nie chcę - bez tchu szepnęła Anakin. - Nie podoba mi się to, co widzę.

- Czy to możliwe, abyś nie widział nic oprócz kłopotów zbliżającej się dorosłości?

- zapytał Mace.

- Nie! - wykrzyknął Anakin. - Widzę zbyt wiele... zbyt wiele.

- Zbyt wiele czego?

- Wszystko we mnie płonie jak słońce - głos chłopca zabrzmiał donośnie jak dzwon.

Chwila milczenia.

- Interesujące - przyznał Mace Windu i na jego wargach pojawił się przelotny uśmiech. - I co dalej?

- Nie wiem, co z tym począć. Chcę uciekać. Tracę rozsądek i szukam czegoś nadzwyczajnego. Nie będę miał za złe nikomu z was, jeśli... - nie zdołał dokończyć zdania.

Obi-Wan czuł przerażenie i ból chłopca niczym nóż wbity we własne wnętrze.

- Nawet matka nie wiedziała, co ma ze mną zrobić - wyszeptał Anakin.

W odległym końcu sali nagle otworzyły się drzwi. Mace i Obi-Wan podnieśli głowy, by spojrzeć, kto wchodzi.

W krąg wkroczyła kobieca postać, ubrana w szaty świątyni. Czysty głos dźwięcznie poniósł się przez komnatę.

- Właśnie tak myślałam. Mała wewnętrzna inkwizycja... a może się mylę?

Mace wstał, uśmiechem kwitując jej drwiący ton.

- Witaj, Thracio.

Obi-Wan z szacunkiem pochylał głowę. Anakinie, czy mogę stanąć obok ciebie? - Thracia Cho Leem przeszła na środek sali, gdzie stali już Anakin i Obi-Wan. Jej siwe włosy okrywały podłużną głowę jak lśniący hełm, orli nos węszył w chłodnym powie-

trzu, jakby kobieta oceniała każdego po zapachu. Oczy, wielkie i błyszczące, z tęczękami jak błękitne paciorki, przesunęły się po pustych siedzeniach. Uniósł długą ciemną szatę i podwinęła rękawy, ukazując szczupłe, silne ramiona. Wojowniczo wysunęła podbródek.

- Powinam cię była ostrzec, że wracam, Mace - zauważyła.

- To dla nas zawsze zaszczyt, Thracio.

- Zdaje się, że wspólnie napadacie na tego chłopca.

- Mogło być gorzej - odparł Mace. - Większość Rady wyjechała. Yoda byłby znacznie mniej pobłażliwy...

- Ten wielkouchy sztywniak nie wie nic na temat dzieci. I ty też, jeśli już o tym mowa. Nigdy nie byłeś żonaty, Mace! Mam wiele synów i córek na wielu światach. Nieraz wydaje mi się, że powinieneś sobie zrobić przerwę, tak jak ja, i powąchać trochę prawdziwego powietrza, zobaczyć, jak Moc objawia się w życiu codziennym, zamiast włóczyć się tu i tam machając mieczem świetlnym.

Uśmiech Mace'a wyrażał szczery zachwyt.

- Cudownie, że znów jesteście z nami, Thracio. Po tylu latach...

- w jego głosie nie słychać było ani śladu ironii. Rzeczywiście cieszył się z jej obecności, a jeszcze bardziej z tego, że tak ich zaskoczyła. - Co radzisz nam zrobić z młodym Skywalkerem?

- Ze mną jest coś nie w porządku - przerwał Anakin i natychmiast mocno zacisnął usta, rozglądając się wokół.

- Nonsens! - wykrzyknęła Thracia, z irytacją krzywiąc usta. Była mniej więcej wzrostu Anakina i spoglądała mu prosto w oczy.

- Żadne z nas nie potrafi zajrzeć do serca drugiego człowieka. Na szczęście Moc nie pozwala nam tego robić. Powiedz nam, chłopcze, co chcesz udowodnić?

- Wiesz, co się wydarzyło? - dopytywał się Obi-Wan.

- Wróciliście dziś po południu pokryci szlamem i śmierdzący jak śmietnisko. Tak mówią ludzie ze świątyni - wyjaśniła Thracia. - Lubią Anakina. Wniósł w to miejsce więcej energii i życia niż ktokolwiek, kogo pamiętają nawet Qui-Gon Jinn. No więc, chłopcze, co chcesz udowodnić?

- Nie zamierzam nic udowadniać. Muszę wiedzieć, kim jestem, jak mi to nieustannie powtarza Obi-Wan.

Thracia jeszcze raz pociągnęła nosem. Obrzuciła Obi-Wana wzrokiem pełnym sympatii, a jednocześnie przenikliwym.

- Z tego, co widzę, Obi-Wan zapomniał, że kiedyś sam był dzieckiem.

Obi-Wan uśmiechnął się niepewnie.

- Qui-Gon nie zgodziłby się z tobą.

- Qui-Gon! Sam nigdy nie przestał być dzieckiem, a wydaje mu się, że jest mądrzejszy od niejednego! No, dość żartów. Czuję prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Zdarzyła się próba morderstwa - wyjaśnił Obi-Wan. - Krwawy Rzeźbiarz.

- Podejrzewamy, że opozycyjne siły wewnątrz Republiki maczały w tym palce - dodał Mace.

- Wiedział o mnie wszystko - wtrącił Anakin.

- Wszystko? - zdziwiła się Thracia, unosząc pytająco brwi.
 - Pozwoliłem mu... - oczy chłopca rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu. Obejrzał się na Obi-Wana. - Mistrzu, już wiem, jaki popełniłem błąd!

Thracia zacisnęła wargi i spojrzała na mistrza.

Obi-Wan skrzyżował ramiona na piersi. On i Anakin mogli być braćmi, w końcu był tylko dwa razy starszy od chłopca. A jednak najbardziej przypominał Anakinowi ojca.

- Tak?

- Szukałem własnego spokoju i satysfakcji w wyścigu na wysypisku, zamiast myśleć o większych i szczytniejszych celach jako Jedi.

- Co jeszcze? - zachęcał Obi-Wan.

- To znaczy... wiem, że wymknięcie się ze świątyni było złe, tak samo jak oszukiwanie mistrza i angażowanie się w nielegalną zabawę, która mogła przynieść szkodę zakonowi...

- Długa lista - zauważył Mace Windu.

- W dodatku... nadal myślałem wyłącznie o osobistych celach, nawet kiedy już powinno być dla mnie jasne, że świątynia jest zagrożona.

- Rzeczywiście, poważna sprawa - mruknęła Thracia. Ujęła Anakina za ramiona i pytająco spojrzała na Obi-Wana. Skinął głową, choć raczej niechętnie. Thracia była sławną nauczycielką kobiet Jedi, a nie młodych chłopców.

- Anakinie, pewnego dnia twoja moc może stać się większa niż każdego z nas na tej sali. Powiedz mi, co się dzieje, kiedy coś się pcha coraz mocniej?

- Porusza się coraz szybciej - odrzekł chłopak.

Skinęła głową.

- Masz w sobie dziedzictwo, które tylko niewielu potrafi zrozumieć. - Thracia opuściła ramiona. - Obi-Wanie?

- Kiedy ktoś się zbyt szybko spieszy, ma mało czasu na zastanowienie - podjął Obi-Wan myśl Thracii w tym samym miejscu, w którym przerwała. - Musisz utemperować swoje pasje, ale na razie mniej troszczyć się o unikanie bólu. Młodość to czas niepewności i niepokoju.

- Sama bym tego lepiej nie powiedziała - uśmiechnęła się Thracia. - Anakinie, bądź nadal dzieckiem. Nurzaj się w dzieciństwie. Sprawdzaj, do czego jesteś zdolny. Irytuj i prowokuj. To twoje życie. Będziesz miał czas na mądrość, kiedy wydepczesz dziury w kilku parach butów. Doprowadzaj swojego mistrza do rozpaczy. Dobrze mu to robi, przypomni sobie czasy, kiedy sam był chłopcem. A teraz powiedz nam, czego potrzebujesz, aby dość tam, gdzie musisz w czasie szkolenia.

Mace Windu wyraźnie miał ochotę się sprzeciwić, ale Thracia obdarzyła go promiennym uśmiechem, wysoko unosząc brwi na pooranym zmarszczkami czole, i Windu zrezygnował. Thracia była jedną z niewielu osób, które potrafiły go przegadać, i mistrz dobrze o tym wiedział.

Anakin rozejrzał się po pokoju i nagle zdał sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak rozpoczęło się zebranie, teraz już nie zechcą wydalić go ze świątyni. Thracia udowodniła swoje racje, jak zwykle zresztą przy okazji każdemu wbijając szpilę.

- Potrzebuję zadania, misji - szepnął głosem drżącym z emocji. - Muszę coś robić. Coś prawdziwego.

- Ale jak moglibyśmy obdarzyć cię zaufaniem? - zapytał Mace. Nachylił się, by móc spojrzeć chłopcu prosto w twarz. Anakin nie odwrócił wzroku. Moc jego osobowości ujawniła się nagle z niezwykłą siłą.

- Rzeczywiście, padawanie, jak mamy ci zaufać po tych wszystkich błędach? - zapytała Thracia spokojnym głosem. - Zrobiłeś, co chciałeś, bo jesteś taki, a nie inny... ale wciągać innych w niebezpieczne sytuacje, to całkiem inna historia.

Anakin wpatrywał się w nią przez kilka długich sekund, jakby szukał na mapie jej twarzy drogi do własnego domu.

- Nigdy dwa razy nie popełniam tego samego błędu - rzekł wreszcie i powoli przymknął oczy. Po chwili popatrzył na pozostałych członków Rady. - Nie jestem głupi.

- Zgadzam się z tobą - odparła Thracia. - Mace, daj tej dwójce coś użytecznego do roboty. Niech nie kszą w nieróbstwie.

- Też doszedłem do tego wniosku - przyznał Mace.

- I zabrało ci to cały dzień, a w dodatku przeraziłeś chłopaka! - wykrzyknęła Thracia.

- Anakina nie tak łatwo wystraszyć, przynajmniej nam - ponuro odparł Mace. - Thracio, musi być chyba jakiś inny powód tego, że tu dzisiaj przyjechałaś.

- Co za przenikliwość - zadrwiła. - Niebezpieczeństwo rośnie z każdym dniem, a nasi wrogowie, kimkolwiek są w senacie czy poza nim, mogą urządzić zasadzki na naszych uczniów, zanim ci będą gotowi, by się skutecznie bronić - Thracia odrzuciła w tył fałdy szaty i usiadła w pustym fotelu obok Mace'a. - Wysłaliście moją dawną uczennicę Vergere w misję, z której nie wróciła. Od roku nie mamy od niej żadnej informacji. Vergere jest samodzielna jak wszyscy Jedi. Może przedłużyła tę misję lub znalazła sobie inną. Żądam, aby Obi-Wan Kenobi dołączył do niej i dał wsparcie.

- Ja też? - zapytał Anakin i twarz rozjaśniła mu się radością. Pamiętał Vergere, żywą wysportowaną drobniutką dziewczynę, która traktowała go z uprzejmą rezerwą... jakby był dorosły. Szczególnie podobały mu się delikatne jak pióra włosy otaczające jej twarz, a także ogromne, wiecznie zdziwione oczy.

- Czy to będzie długa misja? - zapytał Obi-Wan.

- Trzeba się dostać na drugą stronę galaktyki, daleko poza granice panowania Republiki - odparł Mace. - Jeżeli się na to zgodzimy.

- Szansa na pouczającą przygodę z dala od ponurych intryg planety-stolicy - powiedziała Thracia. - Obi-Wanie, nie wyglądasz na zachwyconego.

Obi-Wan wystąpił naprzód.

- Jeśli świątynia jest w niebezpieczeństwie, wolałbym zostać i jej bronić.

- Znam tę drogę, wszyscy nią podążamy - odparł Mace. - Thracia martwi się o swoją uczennicę nawet teraz, gdy Vergere jest już rycerzem Jedi. Ta misja oznacza zagadki, długie podróże, niezwykle miejsca... wszystko, co może zainteresować młodego padawanę.

- Nie możemy popierać awanturnicznych zapędów - zaproponował Obi-Wan. Anakin spojrział na niego ze zgrozą.

Mroczna mina Mace'a wskazywała, że podzielał pesymizm Obi-Wana, ale nie do końca. Podniósł rękę.

- Na Coruscant na razie kryzys nam nie grozi. To może potrwać jeszcze kilkadziesiąt lat. Cóż, Obi-Wanie, może potrafimy się obronić nawet pod twoją nieobecność. - Wargi Mace'a rozciągnęły się w cierpkim uśmiechu. - A padawan musi towarzyszyć swojemu mistrzowi. Zgadzasz się z tym, Anakinie?

- Oczywiście, jeszcze jak! - Anakin aż związał się z radości, zadowolony, że zaraz będzie mógł się usunąć sprzed tych wszystkich krytycznych oczu. - Czy spotkanie już się skończyło?

- Zaraz, zaraz - odparł Mace, mrużąc oczy. - Na razie opowiedz jeszcze raz, jak się wpakowałeś w ten wyścig.

ROZDZIAŁ

4

Anakin leżał na pryczy w swojej celi, obracając w palcach werbomózg robota. Jego twarz w kręgu światła lampy wyrażała absolutne skupienie. Brwi rzucały głęboki cień na oczy. Przeczesał dłonią krótkie włosy i zajął do środka układu.

Nie podobało mu się, że zwyciężył. To nie było właściwe: popełnił poważne wykroczenie, a mimo to zatrzymali go jako padawana. Nie podobały mu się uczucia, jakie to zwycięstwo - jeśli to było zwycięstwo - budziło w jego duszy. Z wszystkich słabości arogancja kosztowała najwięcej.

Zatrzymali mnie tutaj, myślał, bo mam potencjał, jakiego nigdy przedtem nie spotkali. Pozwolili mi szkolić się dalej, bo są ciekawi, ile jeszcze mogę osiągnąć. Czuję się jak bogacz, który nigdy nie wie, czy jego przyjaciele szczerze go lubią czy tylko pragną jego pieniędzy.

Ta myśl była szczególnie irytująca, chyba nawet... nieuczciwa. No więc dlaczego ze mną wytrzymują? - zastanawiał się. Dlaczego ich ciągle wystawiam na próbę? Każą mi używać mojego bólu... a ja czasami nawet nie wiem, skąd ten ból pochodzi! Przysparzałem zmartwień matce... bez przerwy sprawdzałem, czy naprawdę mnie kocha. Odesłała mnie na wychowanie obcych ludzi, żebym nauczył się kontrolować. A ja i tak się nie nauczyłem.

Przykucnął i wsadził przewód próbnika w werbomózg. Światelka samooceny na obwodzie guzowatej kuli zapłonęły mdłą czerwienią.

W kącie pokoju stał niewielki robot protokolarny. Anakin wstał, podniósł mu górną pokrywę, włożył werbomózg na miejsce i rozmieścił przewody w rozmaitych punktach testowych. Światelka samooceny oznaczały, że jednostka znów może kierować swoimi czynnościami. Uruchomił werbomózg, który natychmiast zaczął wirować w łożyskach to w jedną, to w drugą stronę, zmieniając kierunek z prędkością niezauważalną gołym okiem i ściągając informacje z czujników rozmieszczonych w głowie robota.

Jeszcze jeden naprawiony robot. Jedi ich nie używali, ale przeważnie tolerowali również i to jego dziwactwo.

Jeden z mniejszych robotów Anakina, uduchowiony model naprawczy do użytku domowego, który w żalonym stanie znaleziono na ulicy, pewnego dnia znalazł się ni

stąd, ni z owad w komnacie Rady, naprawiając lampy, które wcale tego nie wymagały. Chłopak otrzymał go z powrotem w dwóch równiutkich połówkach, których brzegi były nadtopione w sposób znany aż za dobrze.

Cóż, dość delikatne ostrzeżenie.

Anakina trochę to pocieszało. Zbyt wielka tolerancja dla jego dziwactw oznaczałaby słabość, a zamach Krwawego Rzeźbiarza na jego życie świadczył o tym, że na Coruscant istnieje całkiem realne zagrożenie.

Odetchnął głęboko i stwierdził, że właśnie rozmawiał z jedynymi ludźmi w całej galaktyce, którzy mogą go uczyć i trenować. Oczywiście, cały ciężar zadania spoczywał na Obi-Wanie, którego Anakin kochał i podziwiał i dlatego musiał go częściej wystawiać na próbę.

Jutro opuszczą Coruscant i udadzą się w jeszcze nieznanym kierunku. Musi się trochę przespać.

Anakin bał się snu. Z jego umysłu wychodziło wtedy coś bardzo silnego, a najgorsze, że nie mógł tego odpędzić ani miłością ani strachem.

ROZDZIAŁ

5

- Vergere była moją najzdolniejszą uczennicą. Wychowywałam ją od małości, odkąd tylko wykluła się z jajka. Sama wybrała siebie tę misję. - Thracia Cho Leen odprowadzała Obi-Wana i Anakina do rampy pasażerskiej transportera orbitalnego. Transporter zajmował specjalne stanowisko, zarezerwowane przez miasto na potrzeby podróży Jedi. Thracia podała Obi-Wanowi kartę danych. Anakin stał z rękami splecionymi na plecach i obserwował starszych Jedi pełnym i uwielbienia oczami.

- Szczegóły są zbyt delikatne, by je tu omawiać - oznajmiła Thracia. - Kiedy spotkacie się z Charzą Kwinnem, dostaniecie od niego drugą kartę, konieczną aby rozszyfrować zawartość tej pierwszej. Charza może wydawać się wam nieco trudny we współżyciu, ale od ponad stu lat wiernie służy Jedi. Powierzylam mu Vergere, a teraz powierzam was. Niech Moc będzie z wami!

Transporter lekko unióś ich w przestrzeń. Anakin siedział w przedniej kabinie z Obi-Wanem, który przymknął oczy i medytował w fotelu obok. Transporter był w dobrym stanie technicznym, jak przystało na pojazd klasy senatorskiej, ale wyposażenie wydawało się Anakinowi nieco podniszczone. Nie chodziło o to, że specjalnie lubił luksus; po prostu wolał, żeby ludzie dbali o swoje maszyny.

- Mistrzu, to nie jest misja, o jakiej marzyłeś, prawda?

Obi-Wan otworzył oczy. Nie zdążył jeszcze na dobre pogрузić się w medytacji, udało mu się zaledwie wyizolować myśli od wszelkich bodźców z zewnątrz, zdążając w kierunku prostej jedności z Mocą. Dlatego bez trudu powrócił do rzeczywistości. Anakin medytował bardzo rzadko, ale doskonale wiedział, jak się to robi.

- Nauczyłem się akceptować zadania, jakie przydziela mi Rada - odparł Obi-Wan i odchrząknął.

Robot pokładowy podtoczył się do nich, oferując różne soki w pojemnikach, umożliwiających wyciskanie płynu. Byli jedynymi pasażerami na statku. Obi-Wan szybko opróżnił swój pojemnik. Anakin wziął dwa i przez chwilę żonglował nimi, zanim wysłał ich zawartość.

- Gdzie chciałbyś być teraz? - zapytał. - No wiesz, gdybyś nie musiał być moim nauczycielem.

- Jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, a nasze zadanie jest ważne.

- Dokąd się przenosisz, kiedy medytujesz? - dopytywał się Anakin.
Obi-Wan uśmiechał się, słuchając paplaniny chłopca.
- Wprowadzam się w taki stan ducha, który pozwala mi powrócić do prostoty.
Anakin zmarszczył nos.
- Ja rzadko medytuję.
- Zauważyłem.
- Dochodzę do pewnego punktu i po prostu doznaję przeciążenia. To tak, jakbym podłączył się do supernowej... albo coś w tym rodzaju. Wszystko jest we mnie takie... napięte. Wcale tego nie lubię.
Anakin nigdy wcześniej mu tego nie mówił. Oddalenie się od świątyni przynosiło już efekty. Thracia miała rację.
- Musimy nad tym popracować w czasie podróży. Na razie próbuj ukierunkować swoją energię - zaproponował Obi-Wan. - Jest wiele tekstów Jedi, które powinieneś znać. Mace nalegał, żebyś nie przerywał nauki.
- Zacznę nad nimi pracować, kiedy już się dowiem, gdzie jesteśmy i dokąd lecimy - obiecał Anakin.
Obi-Wan nawet nie próbował protestować. Anakin nie stronił od nauki. Szczerze mówiąc, był pilniejszy niż Obi-Wan w jego wieku.
Po wyjściu na orbitę transporter prawie natychmiast przycumował do doku transferowego. Anakin rozpoznał klasę jednostki po drugiej stronie doku: niewielki statek towarowy, prawdopodobnie zmodyfikowany YT-1150. Przypominał długi bochen chleba przecięty wzdłuż na trzy części, przy czym środkowa część była największa. Anakin dostrzegł moduł kadłuba, który zawierał zewnętrzne stabilizatory i integrator hipernapędu. Te modyfikacje sprawiły, że można go było zaliczyć nawet do klasy zero-osiem, szybciej niż inne maszyny w rejestrach Republiki i Federacji Handlowej.
Anakin z zainteresowaniem obserwował łączenie rękawów. Poczuli, że zmienił się zapach wewnątrz ich pojazdu. Statek Charzy Kwinna czuć oceanem, pomyślał Obi-Wan. A raczej niezbyt świeżą kałużą po odpływie.

ROZDZIAŁ

6

Charza Kwinn był Priapulinem. W galaktyce pełnej rozmaitych form życia, które większość kosmopolitycznych podróżników uważała za zupełnie normalne, Priapulini wciąż wyglądali jak senny koszmar wędkarza. Obi-Wan słyszał nieraz o tych legendarnych pomocnikach Jedi, ale wciąż nie był przygotowany na spotkanie z przedstawicielem ich rasy.

Większość robaków nie ma kręgosłupa. Charza był wyposażony w pięć gruzłowatych pseudokręgów rozłożonych wzdłuż całego rurowatego ciała. Gdyby go rozciągnąć, miałby cztery metry od czubka głowy do końca ogona. Rzadko jednak przyjmował zupełnie wyprostowaną postawę.

Na powitanie obu podróżników zwinął się w literę S, której koniec był wysoko zadarty, na kształt haka. Trzy pary oczu tkwiły na wysokości górnego wygięcia. Spód ciała Charzy był pokryty szczotką grubych igieł, które stale ocierały się o siebie z szelestem. Dolny ogon, a może stopa, wspierała się na takiej samej sztywnej szczotce, z sykiem przesuwając się po cienkiej warstwie wody pokrywającej podłogę. Wzdłuż zewnętrznych krawędzi ciała sterczały długie, elastyczne kolce, które wyglądały jak frędzle dywanu.

Anakina najbardziej zafascynował kształt tych kolców. Niektóre przypominały małe haczyki, inne były spłaszczone jak szpatułki, a jeszcze inne wyglądały jak małe, kolczaste kulki. Charza Kwinn używał ich jak setek wyjątkowo zwinnych palców.

- Witam na pokładzie „Kwiatu Morza Gwiazd” - pozdrowił ich. - Cieszę się, że Jedi znów towarzysząmi w wędrówce do gwiazd.

Charza mówił świszczącym, gładkim szeptem, wytwarzając słowa przez pocieranie o siebie kolców w pobliżu wylotu spiroskrzelii, to znaczy szczelin oddechowych. Sam fakt, że udawało mu się mówić w ten sposób, był zadziwiający. W dodatku jego słowa były zrozumiałe, a ton ogromnie sympatyczny.

Mroczne i wilgotne wnętrze statku Charzy ożywiały maleńkie, wijące się istotki. Większe stworzenia ukrywały się po kątach i wyglądały z mroku, obserwując, jak Charza oprowadza Obi-Wana i Anakina po statku. Pompy i filtry mruczały cicho, utrzymując wodę w odpowiedniej świeżości. Słabe oświetlenie pochodziło od rozproszonej

poświaty przyrządów i promieni lasera przecinających korytarz co kilka metrów. Za większymi istotami, także za Anakinem i Obi-Wanem, również biegły cienkie laserowe wiązki.

Obi-Wan nie przejmował się tym, choć miał nadzieję, że na statku są kabiny pasażerskie dla istot mniej oceanicznych niż Charza.

- To zaszczyt pracować z tobą Charzo Kwinnie - powiedział i przedstawił mu Anakina. Chłopak był zafascynowany i czujny zarazem.

Charza wydał z siebie dźwięk, który można było wziąć za chichot.

- Młodzi Jedi mają wielkie oczy, gdy wkraczają na pokład „Kwiatu Morza Gwiazd”. Nie przejmujcie się zapachami. Znikną gdy znajdziemy się w przestrzeni. Do tego czasu oszczędzamy energię i warunki są nieco gorsze.

Charza poprowadził ich wąskim korytarzem do środka kadłuba, z dala od napędu. Kiedy otarł się o duży chromowany przycisk na ścianie tunelu, właz otworzył się z cichym sapnięciem i owionęło ich suche, ciepłe powietrze, jak podmuch gorącego wiatru znad pustyni na Tatooine.

Obi-Wan wszedł do kajuty i z satysfakcją zatarł ręce.

- Naprawdę wspaniałe, Charzo - pochwalił. Anakin przestąpił właz i starannie wytarł buty w chłonną matę za progiem.

Charza został z tyłu. Wyraźnie nie odpowiadało mu suche powietrze. Niewielka, ale dobrze wyposażona kabina była jasna i ciepła. Dwie leżanki przyspieszeniowe w czasie lotu mogły służyć jako łóżka. Anakin podniósł wzrok i zobaczył okrągłe okno, dodatkowo żebrowane dla wzmocnienia.

- Wyruszamy za jedną dziesiątą przyspywu... za standardową godzinę- oznajmił Charza. - Macie do dyspozycji wodoodporne buty i sztylpy. Można je bez trudu dopasować, gdybyście się zdecydowali dotrzymać mi towarzystwa na mostku, co sprawiłoby mi niewysłowioną radość. - Priapuliny wycofał się w półmrok, zamykając właz.

Anakin usiadł i wrzucił do szafki swoją torbę.

- Vergere też tu na pewno mieszkała - zauważył.

- Chyba, że wolała popływać - odparł Obi-Wan..

- Jak myślisz, co się z nią stało?

- Nie odważę się zgadywać. Ma wyjątkowe zdolności, jest równie pomysłowa i sprytna jak Thracia i co najmniej tak samo żądna przygód jak ty.

- Ale rozsądniejsza - uśmiechnął się Anakin. Obi-Wan pokiwał głową.

- Ty też potrafisz być rozsądny - zauważył.

- Ale tylko od czasu do czasu - uśmiechnął się chłopiec. - Wiesz już może, dokąd lecimy?

Obi-Wan wepchnął swój bagaż do schowka i usiadł na krawędzi pryczy. Złożył dłonie i spokojnie spojrzął na Anakina.

- Nie poznam wszystkich szczegółów, dopóki nie dopasujemy naszej karty danych do karty Charzy. Wiem tylko tyle: Jedi dowiedzieli się o nowym świecie w Szczelinie Gardaji w Ramieniu Tingela, daleko poza granicami panowania Republiki. Wolni han-

dlarze donosili o istnieniu odległej społeczności, budującej niezwykle statki gwiazdne, niewielkie, jednoosobowe, smukłe i piękne, bez trudu osiągające klasę zero-cztery.

Chłopiec wytrzeszczył zdumione oczy i usiadł naprzeciwko Obi-Wana, chłonąc każde słowo.

- Było to związane z tajemniczą planetą, przez jednych zwaną Sekot, przez innych Zonama Sekot.

- Se...jak?

- Zonama Sekot, jak donoszą nasze źródła, jest prawdziwą nazwą planety okrążającej karłowatą gwiazdę na obrzeżach konstelacji położonej na galaktyczną północ od Szczeliny. Zdjęcia z ekspedycji prowadzonych w tym rejonie zaledwie dwieście lat temu pokazują tylko skaliste protoplanety, nic ciekawego, jeśli nie liczyć ewentualnych wypraw wydobywczych. A już na pewno nie znaleziono tam żadnego życia. Inne źródła jednak potwierdzają że istnieje tam rzadko używana droga handlowa, którą bogaci amatorzy podróży gwiazdnych przybywają na tajne spotkania, aby zamówić sobie statki. Statki takie zaobserwowano już w kilku systemach, ale nikt ze służb bezpieczeństwa Republiki nie miał okazji przyjrzeć się im dokładnie.

- Brzmi jak legenda - zauważył Anakin. - Albo jak żart.

- Może i tak. Jednak trzy lata temu w rejonie Gardaji miała miejsce inwazja nieznanego gatunku, który opanował technikę lotów w przestrzeni. Właśnie to Vergere miała zbadać, a przy okazji sprawdzić, czy uda jej się zlokalizować Zonamę Sekot. Natrafiła na planetę. .. i z najdalej z wysuniętej placówki zdołała przekazać nam krótki komunikat. Od tego czasu słuch o niej zaginął. Transmisja była pełna zakłóceń. Mamy tylko parę ciekawych fragmentów

- Czego się dowiedziało?

- Znalazła świat porośnięty gęstą dżunglą, pełną niespotykanych nigdzie indziej gatunków. Ogromne, drzewiaste formy życia i ukryte fabryki produkujące te statki. Jej raport potwierdził prawdziwość legendy.

Anakin z podziwem potrząsnął głową.

- Obłędne - szepnął z zachwytem. - Absolutnie odlotowe!

- Gdy tylko ruszymy, przejrzymy pełne raporty - obiecał Obi-Wan. - A teraz powinniśmy pójść do Charzy.

- On też jest obłędny - dorzucił Anakin. - Chciałbym go zobaczyć w walce z Hurtem.

- Charza pochodzi z gatunku miłującego pokój - zwrócił mu uwagę Obi-Wan. - Otwarty konflikt uważa za największą zbrodnię i pewnie wolałby raczej umrzeć niż walczyć. Ale zapewniam cię, że jest ogromnie inteligentny i niezmiernie ambitny.

- Więc byłby z niego dobry szpieg?

- Po prostu mistrz. I wyjątkowo pomysłowy pilot - z odparł uśmiechem Obi-Wan.

ROZDZIAŁ

7

Raith Sienar był bardzo bogatym człowiekiem. Skrupulatne badanie rynków, wyjątkowe umiejętności kierowania pracownikami nie tylko ludzkiej rasy, strategia utrzymywania stosunkowo wąskiej działalności o niewielkim zasięgu - wszystko to przynosiło mu zyski wielokrotnie przewyższające najśmielsze marzenia młodości.

Perspektywa partnerstwa z Tarkinem w przedsięwzięciu równie niejasnym, co ryzykownym przyprowadziła go o zdenerwowanie. Mimo to jakiś wewnętrzny impuls nieustannie i bezlitośnie popychał go do przodu.

Instynkt zaprowadził go daleko, a teraz podpowiadał mu, że zaprowadzi go w przyszłość. Może nawet wiedział o tej przyszłości coś, czego nie mógł wiedzieć nawet Tarkin.

Należało jednak postępować ostrożnie, rozważnie i być przygotowanym na zmianę w każdej chwili.

Kolejnym czynnikiem stanowiącym o sukcesie Sienara była umiejętność ukrywania własnego... powiedzmy nieumiarkowania. Wolął tego nie określać jako „słabostki” lub „ekscesy”.

Nawet Tarkin nie wiedział o nieudanych eksperymentach Sienara.

Raith wędrował powoli długim korytarzem leżącym ponad tysiąc metrów pod centralną halą produkcyjną fabryki Sienar Systems na Coruscant. Przed nim pojawiały się hologramy przesyłane z holoprojektorów włączanych automatycznie w chwili, kiedy do nich podchodził. Przedstawiały przekrój działalności firmy, od planu Urzędu Zaopatrzenia Obrony Republiki sprzed dziesięciu lat, poprzez zamówienia od senatorów i gubernatorów prowincji, prototypowe dostawy do poprzednich kontraktów z różnymi branżami Federacji Handlowej, aż po te najbardziej tajne, sprzedawane władzy centralnej.

Uśmiechnął się do najpiękniejszej i, jak dotąd, największej ze swoich konstrukcji, ceremonialnego krążownika klasy dwa na tysiąc osób, zaprojektowanego na uroczyste przyjęcia na planetach podpisujących kontrakty na wyłączność z Federacją Handlową.

A oto jeden z jego najszybszych i najbardziej nowoczesnych statków, również ciężko uzbrojony, wyprodukowany dla bardzo tajnego klienta, którego tożsamości, jak

podejrzewał Sienar, nie domyślał się nawet Tarkin. Nie wolno mi nie doceniać moich kontaktów i wpływów politycznych, pomyślał.

W rzeczywistości Sienar także nigdy się nie dowiedział, kim był tajemniczy klient. Wiedział tylko, że mu - lub jej - podobały się projekty Sienara. Podejrzewał, że kupiec był osobą o wielkim znaczeniu. Właściwie podejrzewał znacznie więcej. Kontrahent, którego nazwisko, nawet wymawiane szeptem, niesie śmierć, pomyślał.

A więc Republika się zmienia, może nawet umiera, mordowana dzień po dniu. Tarkin sugerował coś takiego, a Sienar nie mógł się z nim nie zgodzić.. Ale Sienar przeżyje. Jego statki przewoziły z jednego układu gwiazdowego do drugiego osobistości, o których Tarkin mógł tylko opowiadać. Był to powód do dumy, ale zarazem...

Raith Sienar wiedział, że nadzwyczajne możliwości oznaczają również nadzwyczajne niebezpieczeństwa.

Tarkin był cudownie inteligentny, bardzo kompetentny, i nieprawdopodobnie przekupny. Bawiło to Sienara, który uważał, że sam jest ponad przyjemności ciała. Jeśli jednak mowa o przyjemnościach intelektu... o, na coś takiego miał zawsze ochotę.

Wyrafinowane gry intelektualne były jego słabością; najlepiej takie, które przynosiły porażkę konkurencji. Skupywał je tanio wszędzie, gdzie się dało, wybawiając od znalezienia się na złomowisku i technologicznej hańby. Nieraz musiał ratować te produkty przed kasacją, całkiem jak przed egzekucją. Niektóre były zbyt niebezpieczne, by pozostawić je działające czy choćby kompletne.

Wstukał kod wejścia do podziemnego muzeum i wciągnął w nozdrza chłodne powietrze. Zatrzymał się na moment w ciemności niewielkiego przedsionka, rozkoszując się spokojem. Najczęściej przychodził tu rozmyślać. To miejsce chroniło go od wszelkich rozpraszających spraw, skłaniało do podejmowania ważnych decyzji.

Pomieszczenie rozpoznało go i włączyło światła. Wprowadził kolejny kod w panel przy drzwiach do długiej podziemnej sali muzeum. Z niecierpliwym westchnieniem wkroczył do tej świątyni porażek i wznosił ramiona na powitanie eksponatów.

Stojąc tak wśród przykładów zarozumiałstwa wynalazców, złego planowania albo niedostatecznej wiedzy, doznawał szczególnej iluminacji. Tyle błędów, tyle fałszywych kroków - politycznych i technicznych - dojmujących jak lodowaty, kłujący prysznic!

Jeden z jego ulubionych eksponatów zajmował przezroczysty sześcian w pobliżu wejścia. Był to oddział czterech potężnych uniwersalnych robotów bojowych. Każdy stał na osobnym podeście i był wyposażony w taką masę uzbrojenia, że ledwie mógł się oderwać od ziemi. Roboty zostały wyprodukowane w systemie fabryk Kol Huro, siedmiu planet zajmujących się wyłącznie dostarczaniem broni i statków podłemu, złośliwemu tyranowi, pokonanemu przez Republiką już piętnaście lat temu. Każdy z robotów miał cztery metry wysokości i prawie tyle szerokości; zaopatrzone w za małe ośrodki sterowania, były powolne, niezgrabne, równie głupie jak tyran, który je zamówił. Sienar przeszmugłował roboty przez służby celne Republiki dziesięć lat temu i nie rozbroił ich. Sama broń też była sprawna. Automatowi usunięto tylko rdzeń inteligencji, co i tak nie robiło wielkiej różnicy. Utrzymywano je na najniższym poziomie zasilania, tak że czujniki śledziły Sienara, kiedy przechodził obok, małe oczka lśniły złowrogo, a gniazda uzbrojenia drgały z rozczarowaniem.

Uśmiechnął się nie do tych żalonych potworów, ale do ich twórców.

Następna w hierarchii jego zdobyczy była maszyna znacznie bardziej złowroga, wykazująca obok pomysłowości pewien kunszt wykonania: kapsuła przeznaczona do lądowania na metalonośnych asteroidach słabo eksploatowanych systemów gwiazdnych, połączona z przenośnym warsztatem, wykonującym małe roboty bojowe z wydobytej rudy metalu. Urządzenie wiertnicze było perfekcyjnie skonstruowane, ale zawiódł system produkcji robotów, któremu brakowało dokładności. Tylko jeden robot na sto działał jak należy.

Sienar często rozważał pewien pomysł: jak wyprodukować maszynę do produkcji następnych maszyn, zaprogramowanych na przeprowadzanie działań ofensywnych. Republika jednak miała zbyt wiele skrupułów, żeby interesować się takimi rozwiązaniami, a neimoidiańscy przywódcy Federacji Handlowej odrzucili je z miejsca jako mało praktyczne. Cóż, brakowało im wyobraźni, przynajmniej jeszcze parę lat temu.

Może dlatego ich przywódcy skapitulowali przed senatorem Palpatine'em.

Zapłonęły kolejne światła, wydobywając z mroku szereg gablot, ciągnący się na pięćset metrów w głąb, aż do końca sali. Dwa tysiące dwadzieścia nieudanych projektów broni i statków. Każdy prowokował Sienara do powtarzania: „Pamiętaj, jesteś omylny. Zawsze pomyśl trzy razy, zanim zaczniesz działać, a i wtedy przygotuj sobie trzy alternatywy”.

Niewielka gablota wciągnięta pomiędzy dwie większe kryła w sobie dość paskudnego robota-zabójcę o długiej, cylindrycznej głowie i szczałkowym korpusie. Zabójcy tacy nie nadawali się do niczego z dwóch powodów: po pierwsze, ze względu na zbyt ostentacyjny wygląd, a po drugie, dlatego że łatwo wymykały się spod kontroli i zabijały wtedy własnych konstruktorów. Robotowi w gablocie android-ochroniarz zmiażdżył werbomózg. Sienar trzymał go tu, bo w projekt była zaangażowana jego dawna koleżanka ze studiów, którą potem zabił ten właśnie egzemplarz. Jeszcze jedno ostrzeżenie, żeby nie przeceniać swoich umiejętności.

Spodziewając się zmian w sposobach uprawiania polityki, Sienar od niedawna zaczął analizować własne słabości i ograniczenia. Zawsze wolał elegancję, finezję i subtelne formy nacisku. I zawsze miał do czynienia z przywódcami, którzy w większym lub mniejszym stopniu podzielali te poglądy - klasa rządząca przez stulecia przywykła do względnego pokoju, więc najchętniej gasiła lokalne konflikty między systemami za pomocą embarga i działań policyjnych. Kto teraz tę klasę zastąpi?

Kolejni wielbicieli elegancji i finezji? Chyba nie.

Wchodząc do tego muzeum technicznych klęsk, nagle ujrzał samego siebie ustawionego dokładnie pośrodku swojej wspaniałej wystawy: sztywnego, przestarzałego, niemodnego... chociaż młodego.

Ci, którzy zastępują szlachetne elity, zazwyczaj rządzą za pomocą terroru. Takie jest prawo galaktycznej historii. Rodzaj równowagi politycznej, przerażający, ale prawdziwy.

Wiele miesięcy temu Sienar spojrział na swoje umiejętności z innego punktu widzenia, to znaczy brutalnej siły. Rozpoczął wtedy pracę nad Ruchomą Planetoidą Bojową, której projekt tak zafascynował Tarkina. Pozwalało to sądzić, że domysł Sienara -

a raczej cios w ciemno - był jak najbardziej celny. Nowi przywódcy na pewno łatwiej pozwolą się uwieść melodramatycznym chwytom niż rozwiązaniom w dobrym stylu.

Sam Tarkin bardzo łatwo ulegał wrażeniu brutalnej siły. Dlatego właśnie Sienar pielęgnował tę przyjaźń. Tarkin był ustosunkowany politycznie i znał się na sprawach militarnych, ale w opinii Sienara nie miał dostatecznej wiedzy o maszynach transportowych i o broni. Sam zresztą przyznał to w czasie ostatniej rozmowy.

A jednak... przyznać się do słabości, do potrzeby posiadania partnera, było pod wieloma względami całkiem nie w stylu Tarkina.

Więc kto tu z kim gra?

- Niezwykle interesujące - odezwał się głos za jego plecami. Sienar aż drgnął z zaskoczenia. Okręcił się na pięcie, zajrzał między gabloty i zobaczył wysoką smukłą postać Tarkina, częściowo pogrążoną w cieniu. Oczy błyszczały mu jak srebrne paciorki. Za nim stała niezwykle wysoka istota o dziwnych wieloczłonowych kończynach, niewiarygodnie szerokim nosie i matowo-złocistej skórze. Istota uważnie przyglądała się Sienarowi.

- Doszedłem do wniosku, że mam bardzo mało czasu i że jesteś nam bardzo potrzebny - oznajmił Tarkin. - Albo jesteś z nami w tym przedsięwzięciu, albo ruszamy bez ciebie. Jeśli nie zechcesz się do nas przyłączyć, musisz przekazać nam pewną niezbędną informację. Wiem, że jeśli masz w tym interes, potrafisz dotrzymać tajemnicy, więc ze względu na naszą długoletnią przyjaźń mój młody wspólnik cię nie zabije.

Sienar wiedział, że nie może sobie pozwolić na okazanie zaskoczenia. Czasy się zmieniły. Należało się spodziewać, że stare przyjaźnie nie przetrwają. Nie zamierzał dopytywać, w jaki sposób Tarkin i jego młody wspólnik dostali się do jego prywatnego sanktuarium. Byłoby to nieskuteczne, a w tej delikatnej sytuacji nawet niebezpieczne.

- A więc chcecie czegoś ode mnie - powiedział z gorzkim uśmiechem. - I uważacie, że mogę wam odmówić. Ale przecież wystarczyło tylko poprosić, Tarkinie.

Tarkin milczał. Z jego twarzy znikła wszelka łagodność. Wydawał się zaskakująco stary i niesympatyczny. I zły. Sienar wyczuł jego desperację.

- Byłeś kiedyś głównym podwykonawcą modernizacji lekkich statków handlowych klasy YT, prawda? - zapytał Tarkin.

- To zamknięta sprawa. Większość z nich już od dawna została wyłączona z ruchu przez pierwszych właścicieli. Późniejsze modele były znacznie bardziej wydajne.

Tarkin machnął ręką.

- Wprowadziłeś moduły obserwacyjne do powłok wszystkich zmodernizowanych statków. Mogłeś je uaktywnić przy użyciu własnego kodu. I nie uznałeś za stosowne zdradzić tego ich właścicielom. Władzom też nie, jeśli już o tym mowa.

Sienar zachował niewzruszony wyraz twarzy. Spieszy mu się, pomyślał. Potrzebuje kodu, żeby uaktywnić jeden z tych układów.

- Szybciej - odezwał się Krwawy Rzeźbiarz opanowanym głosem. Sienar zauważył, że wysmukła istota niedawno odniosła rany. Większość z nich była powierzchowna, ale dwie wyglądały na poważniejsze.

- Podaj mi numer seryjny tego statku, a przekażę ci kod - powiedział Sienar. - Jak przyjacielowi. Naprawdę, Tarkin.

Tarkin dał znak Rzeźbiarzowi. Wyciągnął notes, na którym migaly czerwienią jakieś cyfry. Poniżej mrugał numer rejestracji orbitalnej. Oznaczało to, że pole dokujące wkrótce zostanie zwolnione dla kolejnego utrzymywanego przez senat statku.

Bez trudu zrekonstruował łańcuch kodowy tego statku. Pomógł mu w tym numer seryjny. Podyktował kod. Krwawy Rzeźbiarz szybko wprowadził go do komlinka i przesłał.

Sienar ostrożnie pomacał ubranie; spodziewał się odkryć miniaturowego robota szpiegowskiego, którego Tarkin prawdopodobnie przymocował mu w czasie ostatniej rozmowy.

- Moduł obserwacyjny jest bezużyteczny w nadprzestrzeni - wyjaśnił Tarkinowi. - Nie sprawdza się przy dużych odległościach. Od tego czasu nauczyłem się budować lepsze.

- Zanim statek opuści orbitę, umieścimy na niej układ naprowadzający. Kod był nam potrzebny, aby mogły się ze sobą komunikować. Razem spełnią swoje zadanie.

- Senatorski statek? - zapytał Sienar.

Tarkin potrzęsła głową.

- Właścicielem jest pomocnik Jedi. Przestań grzebać w majtkach, Raith. To nie-przywoite. - Tarkin otworzył zaciśniętą dłoń i pokazał mu niewielki układ sterowania. Pomachał nim niedbale i w spodniach Sienara zaszeleściło. Skrzywił się, gdy coś wypadło mu z nogawki i odpełzło od obutej stopy. Był to zgrabny, mały robocik z rodzaju, jakiego Sienar nigdy przedtem nie widział: płaski, bardzo elastyczny i zdolny do zmiany barwy i faktury tak, by nie odróżniać się od odzieży. Nawet ekspert mógłby go przeoczyć.

Sienar zaczął się zastanawiać, ile będzie go kosztowała ta wiedza.

- A ja właśnie miałem się zgodzić na twoją propozycję, Tarkin - powiedział z udawanym rozdrażnieniem.

- Powtarzam ci, mieliśmy mało czasu.

- Nie mieliście czasu nawet na zwykłą grzeczność... między starymi przyjaciółmi?

- Pewnie, że nie - ponuro odparł Tarkin. - Dawne czasy umierają. Musimy się przystosować. Ja już to zrobiłem.

- To akurat widzę. Co jeszcze mogę ci zaproponować?

Tarkin uznał wreszcie za stosowne się uśmiechnąć, ale nie wydał się przez to ani trochę bardziej przyjazny. Zawsze wyglądał tak, jakby miał czaszkę tuż pod skórą nawet w czasach młodości.

- Dużo, Raith. Wiem, że minęło sporo czasu od twojego szkolenia wojskowego, ale wierzę, że nie zapomniłeś. Teraz, kiedy już wiem, że jesteś z nami...

- Nie marzę o niczym innym - odparł Sienar.

- Chciałbyś zostać przywódcą wyprawy?

- Na tę egzotyczną planetę, o której mówiłeś?

- Tak.

- Dlaczego mi o niej powiedziałeś, skoro nie ufasz mi nawet na tyle, by wierzyć, że dam ci kod inwigilacji statku?

- Cóż, dowiedziałem się ostatnio, że istnienie tego świata nie jest dla ciebie tajemnicą.

Raith Sienar uniósł głowę jak wąż, który zamierza atakować, i ze świstem wciągnął powietrze.

- Jestem pod wrażeniem, Tarkin. Ilu z moich najbardziej zaufanych pracowników będą musiał... zwolnić?

- Wiesz, że ta planeta istnieje. Masz nawet jeden z tych statków.

Sienar nie lubił, kiedy się go przyłapywało na oszustwie, choćby najniewinniejszym.

- To martwa skorupa - rzekł ostrym tonem. - Dostałem ją od skorumpowanego porucznika Federacji Handlowej, który zabił jego właściciela. Statek jest bezużyteczny, jeśli właściciel nie żyje.

- Dobrze wiedzieć. Ile takich statków wyprodukowano, jak sądzisz?

- Może z setkę.

- Z dwudziestu milionów statków, zarejestrowanych i nie zarejestrowanych w całej znanej galaktyce. A ile kosztowały swoich właścicieli?

- Nie jestem pewien, ale chyba dużo. Miliony - rzucił Sienar.

- Zawsze uważałeś, że jesteś sprytniejszy ode mnie, że wyprzedasz mnie o krok - surowo powiedział Tarkin. - Zawsze twoje miało być na wierzchu, Ale tym razem to ja mogę ocalić karierę, a nawet twoje życie. Połączmy nasze źródła i nasze zasoby... i razem zajdziemy daleko.

- Oczywiście, Tarkin - przyznał mu rację Sienar. - Od dawna się spodziewałem, że kiedyś zostaniemy partnerami. Czy jest to właściwe miejsce i czas na przyjacielski uścisk dłoni?

ROZDZIAŁ

8

Obi-Wan i Anakin włożyli buty i dołączyli do Charzy w sterówce umieszczonej w prawym kadłubie statku. Przez ogromne okna otaczające fotel pilota mogli widzieć daleko w dole ciemną stronę Coruscant, gigantyczną metropolią opalizującą i migoczącą jak podwodna menażeria Otoh Gunga. Anakin stanął nad rządkiem niewielkich stworzeń o twardych skorupach i mocnych pazurach, kręcących się niespokojnie w kałuży wody za pozbawionym oparcia fotelem pilota. Obi-Wan przysiadł na mniejszym, pustym siedzeniu naprzeciwko fotela.

Charza Kwinn nie musiał się oglądać, żeby zauważyć ich parą ciemnopurpurowych oczu w srebrnej oprawie.

- Powiedzieli mi, że masz łuskę robaka śmietnikowego, zdobytą w czasie zawodów w wysypisku - zwrócił się do Anakina.

- To nie były oficjalne zawody - wtrącił Obi-Wan.

- Nie pozwoliłeś mi zanieść jej Greeterowi i zażądać podania pozycji - poskarżył się Anakin.

- Lubię oglądać zawody - wyszeptał Charza Kwinn. - Mój gatunek nie angażuje się w żadne działania wymagające walki, ale zabawnie jest obserwować bardziej agresywne gatunki, które dążą na spotkanie z losem. - Nagle odchylił się w tył, przesunął kolczastą frędzlą nad szeregiem pazurzastych stworzeń i wybrał dwa z nich. Wprowadził je do szczeliny, która otworzyła między grubymi kolcami w dolnej części jego ciała, i błyskawicznie pochłonął.

Pozostałe stworzy w szeregu nie zmieniły formacji, zaczęły tylko trzaskać pazurami, jakby były brawo.

- Ależ proszę bardzo - powiedział do nich Charza.

Anakin wzdrygnął się. Obi-Wan poruszył się niespokojnie na siedzeniu i rzucił:

- Charzo, może powinieneś wyjaśnić pewne rzeczy mojemu młodemu padawanowi?

- To przyjaciele, zaufani towarzysze podróży - wyjaśnił chłopcu Charza, wskazując na stworzenie w kałuży. - Marzą o tym, by zostać skonsumowane przez Największego.

Anakin skrzywił się paskudnie, ale szybko przybrał normalny wyraz twarzy, gdy tylko zorientował się, że Charza go widzi. Obejrzał się na Obi-Wana, czując się bardzo niepewnie.

- Nigdy nie przyjmuj za pewnik tego, co widzisz - szeptem poinstruował go mistrz.

- Wszyscy jesteśmy partnerami - mówił dalej Charza. - Pomagamy sobie wzajemnie na tym statku. Te małe dostarczają pokarmu, a ja je zjadam i noszę w sobie ich potomstwo. Potem rodzę je i opiekuję się maleństwami. Maleństwa znów stają się towarzyszami i partnerami... i pokarmem.

- Zjadasz wszystkich swoich partnerów? - zapytał Anakin.

- Na gwiazdy, ale skąd! - zawołał Charza i zaprezentował chropowatą szeleszczącą imitację ludzkiego śmiechu. - Niektórzy są okropnie niesmaczni, a poza tym tego się po prostu nie robi. Tu, na statku, mamy różne powiązania. Niektórzy są pokarmem, inni nie. Ale wszyscy współpracujemy. Sam zobaczysz.

Korzystając z układów sterowniczych zamontowanych na ożebrowaniu boków, Charza wyprowadził statek z doku orbitalnego i włączył silniki podświetlne.

Jak na swój wiek, jednostka YT-1150 przyspieszyła wyjątkowo gładko i w ciągu kilku minut opuściła orbitę Coruscant, udając się do punktu, skąd mogła wykonać skok w nadprzestrzeń.

- Dobry statek powiedział Charza i jego igły pogładziły najbliższy pulpit. - Dobry przyjaciel.

ROZDZIAŁ

9

- Raith, szukałeś takiej okazji przez ostatnie dwadzieścia lat - oznajmił Tarkin, nalewając sobie alderańskiego wina z szymbaka. Jego prywatny apartament był niewielki, ale elegancko urządzone. Znajdował się wysoko na poziomie mieszkalnym Głównej Wieży Senatu, ponad dwa kilometry nad resztą miasta. - Czy o tym wiesz, czy nie, ale zawsze chciałeś znaleźć nowe sposoby robienia interesów.

Sienar nie przepadał za winem, ale pomagało mu udawać serdeczność i chęć współpracy. Nie podobała mu się obecność Krwawego Rzeźbiarza. Podniósł kieliszek i udawał, że się delektuje. Pierścień poinformował go, że czerwony, gęsty płyn nie jest zaprawiony ani narkotykiem, ani trucizną. Spojrzał na ledwo dostrzegalny, pokrzepiający błysk jaskrawozielonego klejnotu. Doprawdy, jak na wino trunek był naprawdę delikatny i wyśmienity.

- Musisz jednak sobie uświadomić, że nie masz przyjaciół, którym mógłbyś zaufać - ciągnął Tarkin. - Przyjaźnie należą do przeszłości. Teraz liczą się tylko powiązania i korzyści. Opieranie się na zaufaniu oznacza słabość.

Tarkin chyba wcześniej przestał być łatwowski.

- Jeszcze mnie nie przedstawiłeś - przypomniał Sienar.

Tarkin odwrócił się do Krwawego Rzeźbiarza.

- To jest Ke Daiv, ze znanej rodziny polityków na Batorine. Ke Daiv był kiedyś członkiem doborowej grupy zabójców luźno powiązanej z Federacją Handlową. Zdaje się, że jego ostatnim wyczynem była nieudana próba zemsty. Jeśli się nie mylę, chodziło o atak na Jedi.

Sienar wydał wargi na myśl o takim ryzyku.

- Naprawdę? - zapytał z udawanym podziwem. Wiedział o tej sprawie znacznie więcej, niż podejrzewał Tarkin. Zyskał nawet pewność, że Tarkin maczał w tym palce, ale jego kontakty nie dostarczyły mu zbyt wielu szczegółów.

- W najlepszym wypadku była to bardzo nieprzemyślana akcja

- rzucił Tarkin, zerkając na Sienara.

- O ile mi wiadomo, Krwawi Rzeźbiarze nie angażują się w zewnętrzne rozgrywki polityczne - zauważył Sienar.

- Jestem niezależny - warknął Ke Daiv. - Zyskuje się nowe możliwości, odrzucając dawne powiązania.

- Dobrze powiedziane - pochwalił Tarkin. - Sam o niego poprosiłem. Jest wyjątkowo zdolny, a porażka w walce z Jedi to przypadek. Chętnie mu to wybaczę.

- Spróbuję jeszcze raz i uda mi się, jeśli tylko będę miał okazję

- zapewnił Krwawy Rzeźbiarz.

- Krwawi Rzeźbiarze to lud artystów - odezwał się Sienar. - Odśwież mi pamięć, jeśli się mylę... najsłynniejszymi wyrobami z Batorine są jaskrawoczerwone rzeźby, wykonane z tak zwanego krwawego drzewa, prawda?

- To podwójny symbol - wyjaśnił Ke Daiv. - Zabijanie jest rodzajem rzeźbienia. Odlupujesz to, co zbędne.

Sienar dopił wino i pochwalił gust Tarkina. Tarkin dał znak Ke Daivowi, który wstał i wyszedł.

- Imponujące - zauważył Sienar, gdy zamknęły się wąskie drzwi apartamentu. Przestrzeń na Coruscant wciąż była towarem deficytowym. Mieszkanie Tarkina, choć wysoko ponad miastem, było znacznie mniej przestronne i na pewno gorzej urządzone niż mieszkanie Sienara.

- Miną całe dziesięciolecie, zanim ludzie staną się wreszcie najwyższą rasą galaktyki - powiedział Tarkin, pociągając nosem. - Tolerancja i słabość naszych poprzedników spowodowała, że jeszcze przez jakiś czas musimy być wspaniałomyślni. - Słuchał cichutkiego pikania komlinku, którego nie wypuszczał z ręki. - Nasza ofiara właśnie opuściła orbitę Coruscant. Układ naprowadzający jest na miejscu i komunikuje się z twoim urządzeniem.

- A co zrobią Neimoidianie... i ci wszyscy inni założyciele Federacji Handlowej, gdy się nagle okaże, że są całkiem zbędni? Nowy układ z senatem może się okazać bardzo kłopotliwy.

- Powiedzmy, że mamy za sobą pewne bardzo potężne siły. Siły, których nawet ja się obawiam.

Sienar zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie mają takich samych koszmarów.

Tarkin odłożył komlink i rozmasował sobie przedramię.

- Trzeba teraz ustalić, co nas interesuje. Gra, w którą jesteśmy wplątani, toczy się o wysoką stawkę. Jak zapewne zauważyłeś, muszę jeszcze pokonać kilka stopni w hierarchii. Mam nadzieję, że w nagrodę zostanę gubernatorem prowincji, co da mi prawo kontrolowania wielu układów gwiazdnych. A ty... będziesz sprzedawał swoje konstrukcje tej sile politycznej, która się wyłoni z zamętu. Razem możemy odnaleźć tę tajemniczą planetę i wykorzystać ją do własnych celów.

- Intrygujące - mruknął Sienar. - Statki klasy zero cztery mogłyby być ciekawym odkryciem. Stosując zaawansowaną technologię, po dziesięciu latach rozwoju firmy Sienar miał szansę stać się tak bogaty, by sięgnąć po przywództwo każdego nowego organu rządzącego galaktyką.

Co i tak w tej chwili nie miałyby większego znaczenia.

- Niestety, nie mogę z tobą polecieć - mówił dalej Tarkin. - Muszę tutaj wszystkiego dopilnować. Ale załatwię ci doskonale wyposażenie.

Komlink pikanął znowu i Tarkin spojrzął na wyświetlacz.

- Przed nami teraz kilka ciężkich dni - dodał. - Obiekt naszego zainteresowania wszedł w nadprzestrzeń. Rozmieściliśmy transpondery podprzestrzenne w kilku punktach w promieniu paruset lat świetlnych od miejsca, gdzie, jak sądzimy, znajduje się nasza planeta.

- A więc mam opanować całą planetę jako komendant sił dawnej Federacji Handlowej?

- Będziesz dysponował głównie robotami, nie licząc niewielkiej załogi statku i żołnierzy - odparł Tarkin. - Oczywiście, cała załoga zostanie przeszkolona przez Federację Handlową. Republika jeszcze nie przejęła statków trzymanyh w rezerwie. Ke Daiv pojedzie z tobą. Ma doświadczenie w obsłudze broni używanej przez Federację Handlową. Będzie podlegał bezpośrednio mnie.

- Doskonale - odpowiedział Sienar, ale myślał dokładnie na odwrót. Nigdy nie lubił robotów. W jego mniemaniu, były kiepskim substytutem żywych żołnierzy. Miały ograniczoną inteligencją i brak im było wszechstronnych umiejętności.

Tarkin zdawał się wyczuwać jego niezadowolenie.

- Będziesz korzystał z nowej wersji robotów bojowych - wyjaśnił. - Mają podwyższoną inteligencję i nie są już sterowane centralnie. Federacja Handlowa nauczyła się paru rzeczy po ostatnich doświadczeniach.

- W porządku - mruknął Sienar, wciąż nie wykazując entuzjazmu.

- Mam nadzieję, że uporządkowałeś wszystkie swoje sprawy - dodał Tarkin.

- To może potrwać kilka miesięcy.

- Liczę na to, że będziesz gotów za kilka dni.

- Oczywiście - powiedział Sienar. W zadumie popukał się w podbródek. - Ke Daiv zawiódł w swojej misji... ale wygląda raczej na to, że spotkała go za to nagroda. Z niewydarzonego zabójcy awansował na asystenta komandora... właśnie, czego? Floty?

- Właściwie pułku - poprawił Tarkin. Skrzywił się lekko. - Ke Daiv nie będzie miał stanowiska w twojej strukturze dowodzenia. Ale zgadzam się z tobą. Z pewnego punktu widzenia to niezręczne posunięcie.

- Niech zgadnę. Mroczne siły grają nami wszystkimi, a Ke Daiv ma powiązania, prawda? Takie powiązania, które wciąż mogą być użyteczne?

Tarkin zrobił kwaśną minę, ale nie zamierzał odpowiedzieć.

- Po prostu się przygotuj, Raith - rzekł, ucinając dyskusję. - I ze względu na nas wszystkich przestań zadawać tyle pytań.

ROZDZIAŁ

10

Obi-Wan wsłuchiwał się w równy rytm oddechu chłopca. Anakin, wykończony wydarzeniami dnia, spał teraz mocno. Jego rysy, miękko podkreślone przyćmionym blaskiem błękitnych światła awaryjnych kabiny, były młode, doskonale i prawie piękne.

Obi-Wan położył się na pryczy. Całym ciałem wyczuwał tętnienie hipernapędu. Byli już bardzo daleko... Kenobi się niepokoił. Ta misja była kusząca... świetna przygoda, podróż do odległych zakątków galaktyki, żeby nawiązać kontakt z planetą, o której Republika prawdopodobnie nic nie wiedziała. Podobnie zresztą jak jej wrogowie. Oczywiście, nie była to całkowicie bezpieczna wyprawa, ale przynajmniej oddalą się od bezpośrednich niebezpieczeństw Coruscant.

Obi-Wan chyba dlatego czuł się niepewnie, że teraz był jedynym opiekunem Anakina. W świątyni nad chłopcem czuwało wielu Jedi i ich pomocników, co zdejmowało część ciężaru z barków Obi-Wana. Opiekowano się Anakinem jak w rodzinie.

Szczerze mówiąc, Obi-Wan nie był pewien, czy podoła temu zadaniu. Chłopak był żywy, pełen wdzięku, ale nieznośny. Obi-Wan już dawno pożegnał się z własnym dzieciństwem. Miał spokojne, równe usposobienie i przywykł do uporządkowanego życia. Anakin Skywalker burzył ten porządek ilekroć nadarzyła się ku temu okazja.

Uwielbiał robić kawały. Znalazł kiedyś starego, porzuconego robota protokolarnego, naprawił mu motywator i ubrał w szaty Jedi. Intelktualne możliwości robota wyczerpały się dawno temu, więc Anakin wyposażył go w werbomózg zwyczajnego robota kuchennego, a potem wypuścił na korytarz w pobliżu kwatery Obi-Wana. Obi-Wan nie widział spod kaptura twarzy rozmówcy i minęły dobre dwie minuty, zanim się zorientował, że to nie tylko nie Jedi, ale nawet nie żywa istota. W świątyni zawsze zresztą zachowywał mniejszą czujność. Anakin jeszcze długo pokpiwał sobie z niego - uczeń drwiący z mistrza!

Obi-Wan uśmiechnął się. Ten żart był godny Qui-Gona. Przy Anakinie zacierała się granica między uczniem a mistrzem. Obi-Wan dochodził do wniosku, że sam też mógłby uczyć się od chłopca... tyle że nie uważał tego za właściwą kolej rzeczy. Ale nie miał na to wpływu.

Niebezpieczeństwo, i to całkiem realne, polegało na tym, że Anakin nie potrafił kontrolować swoich talentów, swojej inteligencji i Mocy. Przez większość czasu był tylko chłopcem na krawędzi wieku męskiego i ofiarą normalnych w tym okresie błędów.

Nic takiego jeszcze się nie zdarzyło, ale Obi-Wan był pewien, że niedługo przyjdzie dzień, gdy oprócz chłopięcej energii i awanturniczych wygłupów zagrozi Anakinowi niewłaściwe użycie Mocy. Może dlatego był teraz taki niespokojny. A może nie.

Wprowadził się w stan czujnej medytacji. Przez kilka ostatnich lat próbował ograniczyć potrzebę snu. Wprawdzie wszyscy Jedi, których znał, musieli sypiać, ale słyszał i o takich, którzy snu nie potrzebowali. Uważał, że czujna medytacja spełniała wszystkie funkcje snu, dając mu jednocześnie czas na zgłębienie własnych myśli i odczuć w stanie pełnej przytomności.

Nie ufasz nawet samemu sobie, usłyszał wewnętrzny głos. Nie ufasz swemu nieświadomemu połączeniu z Mocą.

Obi-Wan odwrócił głowę i rozejrzał się po mrocznej kabinie. Zdawało mu się, że to głos Qui-Gona, a przecież to było niemożliwe. Chłopak też spał spokojnie.

Dziwne zdarzenie jakoś nie pogłębiło jego niepokoju. - Nie, Mistrzu, nie ufam - szepnął w pustkę. - W tym jest moja siła.

Qui-Gon sprzeciwiłby się temu stwierdzeniu. Ale odpowiedzi nie było.

ROZDZIAŁ

11

Sienar usiłował się skoncentrować na swoim wierzchowcu i zapomnieć o ciężarze trosk, jaki spadł na niego po ostatnim spotkaniu z Tarkinem.

Zwierzę, szaroniebieski skoczek trys, dreptało na sześciu zgrabnych nogach wokół prywatnego wybiegu Sienara, reagując na najdrobniejsze dotknięcia stopy czy szarpnięcie za wystające w górę ramię. Grzbiet skoczka trysa tworzył naturalne siodło, o ile genetyczne manipulacje ciągnące się od tysiąca pokoleń można nazwać naturą. Zwierzęta Sienara - a miał aż trzy skoczki - były najlepsze, jakie dało się kupić. Jeszcze jeden luksus, którego utratę ryzykował bardzo niechętnie. Jesteś za miękki, za bardzo przywiązany do otoczenia, za mało elastyczny! - wyrzucał sobie w duchu.

Mimo to próbował cieszyć się jazdą.

Delikatnie cofnął zwierzę i skoczek zatańczył na tylnej parze nóg, pozostałymi wdzięcznie machając w powietrzu. Wydawał melodyjne dźwięki, przypominające muzykę fletu, które przenikały Sienara do szpiku kości. Kiedyś potrafił całymi dniami jeździć po prerii na trysie i czuć się absolutnie szczęśliwy... oczywiście tak długo, dopóki nie przyszedł mu do głowy kolejny pomysł na statek.

Teraz zanosilo się na to, że nie będzie już ani jeździł, ani projektował, i to przez kilka miesięcy. Tarkin uważał chyba, że zdoła zmienić życie Sienara. Właził buciarami w jego interesy, groził mu, a jednocześnie chciał obficie czerpać z jego skarbcza tajemnic.

Problem polegał na tym, że Tarkin dobrze wycelował: pogrążony w gmatwaniu obowiązków i pokus Sienar stanowił łatwy łup. Prawdopodobnie właśnie Tarkin najwięcej skorzysta na udziale Sienara.

Zawrócił zwierzę i uderzył piętami, aby wprowadzić je w galop na dwóch tylnych parach nóg. Był to trudny krok, ale Sienar szczyił się zwinnością swoich zwierząt. Zwyciężyły już wiele konkursów na różnych planetach.

Obok szerokich podwójnych drzwi na wybieg wybuchło jakieś niewielkie zamieszanie. Roboty-ochroniarze cofały się na środek, wściekle wymachując kończynami. Sienar szybko zeskoczył z trysa i ukrył się za nim. Widział wszystko ponad okrytym gładkim futrem grzbietem skoczka.

Spomiędzy robotów wynurzył się Tarkin, ignorując ostrzeżenia. Ku zdumieniu Sienara miał przy sobie jonowy moduł zakłócający klasy senackiej, który skutecznie unieszkodliwił mechanicznych ochroniarzy.

Sienar uśmiechnął się ponuro i okrążył trysa, który parsknął donośnie, zaniepokojony widokiem obcego. Na szczęście tym razem Tarkin przyszedł bez Krwawego Rzeźbiarza.

- Dzień dobry, Raith - zawołał wesoło. - Muszę obejrzyć twój sekotański statek, i to teraz.

- Nie ma sprawy - uprzejmie odparł Sienar. - Następnym razem bądź tak dobry i uprzedź mnie. Nie wszystkie moje roboty są wrażliwe na moduły zakłócające... Dobrze, że przewidziałem twoje zachowanie i zaprogramowałem je tak, żeby cię rozpoznawały. W przeciwnym przypadku zostałbyś rozstrzelany w tej samej chwili, w której przekroczyłbyś próg.

Tarkin obejrzał się przez ramię i lekko pobladł.

- Rozumiem - mruknął, odkładając zakłócacz. - Nic się nie stało.

- Tym razem nie - uprzejmie dodał Sienar.

Z hal fabrycznych ukrytych głęboko w starych podziemiach stolicy Sienar został dwiema. Resztę fabryki przeniósł w bardziej eleganckie miejsce. Czynnym w podziemiach był niski, mało kto tu zaglądał, a zbyt ciekawych intruzów łatwo było się pozbyć, nie wciągając w to prawa. Pomieszczeń pilnowały roboty niezgodne z przepisami albo importowane z innych światów, najlepsze, jakie można było kupić za pieniądze. Roboty te służyły wyłącznie Sienarowi.

Sprawdzały się świetnie jako strażnicy. Nie przeszkadzała im nuda długiego czuwania.

Tarkin szedł za Sienarem, po raz pierwszy okazując zdenerwowanie. W porównaniu z ogromnymi, ciężko uzbrojonymi srebrzystymi maszynami, strzegącymi pozostałości sekotańskiego statku w ciemnym i suchym hangarze, jego własne roboty wydawały się małe i nieskuteczne.

- Sam pancierz kosztował mnie sto milionów kredytów - mruknął Sienar, włączając lampy w kilku punktach pustego, dźwięczącego echami hangaru. - Jak widzisz, nie jest w najlepszym stanie.

Tarkin okrążył powoli chropowatą skorupę, otoczoną mżącym polem zamrażającym. Pomimo głębokiego zamrożenia i innych, mniej widocznych prób konserwacji, wdzięczne krzywizny znikły pod pomarszczoną miękką warstwą.

- To coś biologicznego - zauważył, marszcząc nos.

- Myślałem, że o tym wiesz.

- Nie sądziłem, że to jest aż tak... aż tak organiczne - szepnął Tarkin. - Mówili mi, że te statki są w pewnym sensie żywe, ale... Inaczej nie nadawałyby się do użytku, prawda?

- Chyba że jako ciekawostka, taki dobrze zachowany i rzadko spotykany potwór z głębin morskich - odrzekł Sienar. - A co do możliwości tego statku... cóż, poznaliśmy je nie najgorzej.

- Widziałem ilustracje - wtrącił Tarkin. - Na przykład statki pobierające paliwo w porcie.

- I inne środki odżywcze, bez wątplenia - odparł Sienar. Pewnie miał te same obrażki.

- Czy to roślina, czy zwierzę?

- Ani jedno, ani drugie. Nie może się samo rozmnażać. Żadnej struktury komórkowej, tylko różne rodzaje tkanek, które mogą zawierać zarówno metale, jak i bardzo odporne na naprężenia i ciepło polimery... Cudo. Ale bez właściciela umiera szybko i równie szybko ulega rozkładowi.

- Czyżby coś w rodzaju technologii gungańskiej na Naboo? -podsunął Tarkin.

- Może - zgodził się Sienar. - A może nie. Gunganie wytwarzają swoje statki z materii organicznej, ale same pojazdy nie są żywe. Tu... wydaje się, że jest zupełnie inaczej. Zanim dostałem twoją ofertę, szukałem właściciela gotowego udostępnić mi w pełni sprawny statek sekotański. Do tej pory nie udało mi się znaleźć chętnych. Zdaje się, że ich umowy są obwarowane poufnością i zdrada może spowodować zerwanie więzi pomiędzy właścicielem a jego statkiem. Tyle tylko zdołałem ustalić.

- Rozumiem - odrzekł Tarkin. - Wybrałem do tej misji właściwego człowieka, Raith. Miałem przeczucie, że temu podołasz.

- A teraz, kiedy już widziałeś moją kosztowną i mało użyteczną zdobycz, czy mogę poczęstować cię śniadaniem? - zapytał Raith. - Jest późno, a ja wczoraj nie miałem czasu zjeść kolacji.

- Nie, dziękuję - odrzekł Tarkin. - Muszę jeszcze wpaść w kilka miejsc. Nie rób zbyt szczegółowych planów, przyjacielu. W każdej chwili może się coś zdarzyć.

- Oczywiście - zgodził się Raith. Mój czas należy do ciebie, Tarkin. Jestem cierpliwy, pomyślał.

ROZDZIAŁ

12

Obi-Wan zatrzymał się w drodze na mostek i zajrzał do niewielkiego pomieszczenia, gdzie w wolnych od pracy chwilach przebywali jadalni krewni, niewielkie, krabowate stworzenia. Anakin siedział pośród nich na małym stołeczku, a one otaczały go ciasnym kręgiem. Chłopiec zmarszczył brwi.

- Już sam nie wiem, czy mi się to podoba, czy nie - powiedział, podnosząc wzrok na Obi-Wana.

- Co takiego?

- Ten układ, który mają z Charzą Wydaje się, że one go czczą a on je pożera.

- W tym przypadku chyba raczej ufałbym ich odczuciom, a nie swoim - podsunął Obi-Wan.

Anakin nie był przekonany.

- Niezbyt dobrze się czuję w obecności Charzy.

- To bardzo uczciwa i godna szacunku istota - odparł Kenobi.

Anakin wstał, rozpryskując wodę wokół siebie. Jadalni krewni wycofali się, trzaskając szponami.

- Dużo rozumiem z tego, co mówią. Jak na takie małe istotki, są bardzo sprytnie. Mówią że są bardzo dumne, bo Charza nie jada nikogo oprócz nich.

- Jeść czy być zjadanym... cóż, to tylko kwestia czasu i szczęścia - odparł Obi-Wan, może nieco zbyt beztrzesko. Podziwiał dyscyplinę i poświęcenie załogi „Kwiatu Morza Gwiazd” - Za kilka minut mamy spotkać się z Charzą na odprawie. A za godzinę po raz pierwszy wychodzimy z nadprzestrzeni.

Anakin zastukał paznokciami na pożegnanie maleńkich jadalnych krewnych i brodząc w wodzie wyszedł z pokoju, aby dołączyć do Obi-Wana w centralnym korytarzu.

- Podoba ci się ten układ, bo bezkrytycznie słuchają rozkazów - rzekł.

Obi-Wan wyprostował się, nieco urażony.

- To chyba coś głębszego - odparł. - Wyczuwam wśród nich jakieś wewnętrzne struktury.

- No jasne - rzucił Anakin i ruszył przodem. Minęli wodospad odświeżonej wody morskiej, spływający po ścianie z kanału umieszczonego pod sufitem. Niósł malutkie skorupiaki, nie większe od paznokcia małego palca. Trzech jadalnych krewniaków

siedziało u stóp wodospadu, gdzie żyjątka spadały do basenu, znoszone przez prąd pod przeciwległą ścianę. Stworzenia posilały się żarłocznie, zanurzając w wodzie pazury i zawzięcie łowiąc karmę.

Za wodospadem padawan i jego mistrz skęcili do pomieszczenia pilota. Charza Kwinn był otoczony grupą pomocników i jadalnych krewniaków. Obi-Wan nigdy przedtem nie widział ich wszystkich razem. Widok robił wrażenie. Wydawało się, że każdy centymetr kwadratowy mostka okupuje co najmniej kilka stworzeń, począwszy od jadalnych krewniaków mniej więcej wielkości dłoni, po metrowe repliki samego Charzy.

Charza siedział na fotelu bez oparcia, wymachując narzędziami trzymanymi w kolcach. Szczecina na jego „głowie” ocierała się o nitkowate kończyny, wydając głośny, rytmiczny dźwięk, przypominający fale oceanu rozbijające się o przybrzeżne skały.

Charza znieruchomiał, kiedy zauważył przybycie pasażerów. Jadalni krewniacy zaszurali z rozczarowaniem. Widocznie Charza coś im śpiewał. Teraz Kwin delikatnie przesunął kolce w poblizze spiroskrzelu, aby móc naśladować ludzką mowę.

- Witam. Czy wasze kwatery są wygodne?

- Bardzo - odparł Obi-Wan.

- Teraz opowiem wam więcej o miejscu, do którego się udajemy. Po pierwsze, wielkość. Zonama Sekot jest szeroka na dziewięć tysięcy tac soli, to znaczy, w jednostkach Republiki... - przez chwilę konferował zjedną ze swoich mniejszych kopii - ...około jedenastu tysięcy kilometrów. To potrójny układ gwiazdny w ukrytym rejonie Szczeliny Gardaji, otoczony obłokami pyłu. Dwie gwiazdy, czerwony gigant i biały karzeł, orbitują obok siebie. Zonama Sekot okrąża trzecią gwiazdę, żółte słońce, które krąży znacznie dalej, w odległości kilku miesięcy świetlnych. Jest prawie niemożliwa do znalezienia, jeśli nie wiesz, gdzie szukać.

Charza urwał na chwilę, gdy dwóch krewniaków ochoczo zaoferowało mu się na śniadanie. Łagodnie pokiwał głową w tył i w przód i stworzonka cofnęły się z wyraźnym rozczarowaniem.

- Ich zegar biologiczny bije na alarm - wyjaśnił. - Muszę je spożyć przed końcem dnia, inaczej ich dzieci ulegną zniszczeniu. Teraz jednak jestem bardzo syty!

Obi-Wan obserwował reakcję Anakina. Charza chyba nie był najlepszym wzorcem ojca, z którego chłopiec mógłby brać przykład w tym akurat momencie życia.

- A teraz - oznajmił Charza, pochylając się na bok i pociągając za dwie równoległe dźwignie - wychodzimy z nadprzestrzeni.

Odsłoniły się przednie okna, a obraz, jaki ukazywały, skurczył się nagle do jednego oślepiającego punktu. Nastąpił ostry wstrząs i gwiazdy powróciły... nie tylko gwiazdy, także płonący błękitem i czerwienią wir znaczący niebo Zonamy Sekot.

- Niech mnie -jęknął Anakin, wytrzeszczając oczy. Widok był naprawdę zachwycający, chyba najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek oglądał.

- A gdzie nasza planeta? - zapytał.

- Słońce Zonamy Sekot znajduje się za nami - oznajmił Charza. - Ci dwaj wspaniali tancerze, czerwony gigant i biały karzeł, razem z tym spiralnym ogonem, są jego towarzyszami.

Wir zaczynał się wstęgą materii gwiazdnej wysanej z czerwonego giganta, która następnie owijała się wokół białego karła, a ten wyrzucał ją w przestrzeń w splecionych warkoczach zjonizowanych

gazów.

- Zaraz zobaczycie samą Zonamę Sekot... to ta mała, zielona kropka na wprost. - Charza kilkoma kolcami chwycił długi pręt i po-stukał nim w okno. - O, tu. Widzicie?

- Widzę - szepnął Anakin.

Malutcy jadalni krewni skupili się, żeby lepiej widzieć. Trajkotali głośno i z podziwem. Dwóch wskoczyło na ramiona Anakina. Jedno mniejsze, podobne do robaczka stworzenie owinęło się wokół nóg chłopca, gulgocząc z zadowolenia.

- Nie przeszkadzają ci? - zapytał Charza.

- Są w porządku - odparł chłopak.

- Czują że ich nie skrzywdzisz - z aprobatą zauważył Charza. - Jesteś dla nich rzadką atrakcją!

Określił się na fotelu i kilka z jego kolców zatańczyło nad panelem kontrolnym. Zielona planeta była już doskonale widoczna; urosła do rozmiarów czubka kciuka widzianego z odległości ramienia. - Kiedy po raz ostatni przyleciałem na Zonamę Sekot, zostawiłem Vergere na płaskowyżu na północnej półkuli, w pobliżu bieguny. Mam gorącą nadzieję, że ona wciąż żyje.

- Ogólnie uważa się, że żyje - odrzekł Obi-Wan.

- Może i tak - zaszumił Charza szczeciną. - Tu nie ma piratów ani żadnych ośrodków handlowych. Zonama Sekot jest jedyną zamieszkaną planetą w zasięgu wielu lat świetlnych. Ale znajduje się bardzo blisko obrzeża galaktyki. W tym miejscu wszystko może się zdarzyć.

- Obrzeże galaktyki - szepnął zafascynowany Anakin, wciąż zapatrzony w widok przed sobą. - Może będziemy pierwszymi istotami, które wylecą poza galaktykę! - Obejrzał się na Obi-Wana. - Jeśli tylko zechcemy.

- Granice wciąż jeszcze istnieją - zgodził się Obi-Wan. - To bardzo krzepiąca myśl.

- Dlaczego krzepiąca? - zapytał Charza. - Puste miejsca bez przyjaciół to nic dobrego!

Obi-Wan potrząsnął głową z uśmiechem.

- Dopiero w nieznanym miejscu możemy się dowiedzieć, kim jesteśmy naprawdę.

Anakin popatrzył na mistrza z zaskoczeniem.

- Tak mnie nauczył Qui-Gon - podsumował Obi-Wan, otulając kolana długimi rękawami szaty.

- Sama Zonama Sekot wcale nie jest pusta - opowiadał dalej Charza. - Mieszkają tam żywe istoty, ale się z niej nie wywodzą. Przybyły wiele lat temu, nie wiadomo jak dawno. Jednak przybyszów z zewnątrz wpuszczają dopiero od jakichś dziesięciu lat, głównie kupców z bogatych krajów. Nie należą do Republiki, nie prowadzą interesów z

Federacją Handlową. Teraz pokażę wam obraz, który Vergere przesłała na mój statek, zanim opuściłem system.

Charza wyszelecił serię rozkazów pod adresem grupki jadalnych krewnych na jednej z konsol. Stworzonka zaczęły tańczyć po przyciskach i pociągać za dźwignie, pośrodku mostka aż pojawił się projektor.

- Ludzie radzą sobie z tym lepiej - mruknął Charza.

Krewniacy wyregulowali kolorowy, ale rozedrgany obraz, który unosił się teraz nad tarczą projektora. Obraz nagle nabrał ostrości i zaczął się poruszać.

Obi-Wan i Anakin pochyliłi się, obserwując go z napięciem.

Przed nimi rozpościerał się intensywnie zielony krajobraz o zachodzie słońca. Większość przestrzeni zajmowały drzewiaste rośliny, których wielkość trudno było ocenić, dopóki Anakin nie spostrzegł w lewym dolnym rogu niewielkiej konstrukcji czegoś w rodzaju balkonu, na którym stało kilka postaci, prawdopodobnie ludzkich. Dopiero wtedy doszli do wniosku, że drzewa były wysokie na pięćset, może nawet sześćset metrów, a zielone kopuły listowia w górnej prawej ćwiartce obrazu miały po kilkaset metrów średnicy. Zielen była barwą dominującą, choć zdarzyły się liście złote, błękitne, purpurowe i czerwone.

- To nie wygląda jak drzewa - zauważył Obi-Wan.

- To wcale nie drzewa - zgodził się Charza. - Vergere nazywała je bora.

Żółte słońce planety zachodziło za zielone szeregi ogromnych roślin, wypełniając powietrze złocistą mgłą. Nie było jedynym źródłem światła na niebie. Ogromny wir błękitu i purpury pokrywał cały północny horyzont widoczny nad szczytami bora.

- To wszystko, co wiem - ciągnął Charza. - Zostawiłem tu Vergere i czekałem, dopóki nie pozwoliła mi odlecieć. Wtedy wróciłem na orbitę. Nie dostałem polecenia, żeby zabrać ją z powrotem, więc wróciłem, tak jak mi poleciła. W tym czasie zauważyłem w okolicy sześć statków znanych typów. Wszystkie były pojazdami prywatnymi. Sądzę, że należały do klientów stoczni na Zonamie Sekot.

- Dobrze zrobiłeś, Charza - powiedział Obi-Wan wstając z miejsca. - Może nic złego się nie dzieje.

- Niewykluczone, że ona żyje - mruknął Charza - ale chyba nie wszystko jest w porządku.

- Instynkt?

Charza nastroszył się i uniósł głowę pod sufit, po czym określił się dookoła, żeby spojrzeć na nich wszystkimi parami oczu.

- Zwykła obserwacja. Kiedy jeden Jedi podróżuje samotnie, pewnie nie ma powodu do niepokoju. Ale kiedy jeden Jedi znika, a pojawia się kolejny... nieszczęście gotowe!

ROZDZIAŁ

13

Tarkin siedł korytarzem w kierunku czekającego wahadłowca. Za nim podążał Raith Sienar.

- Nie ma czasu do stracenia - rzucił Tarkin przez ramię. - Właśnie wyszli z nadprzestrzeni. Odebraliśmy sygnał od układu obserwacyjnego. Masz mniej niż godzinę, żeby dołączyć do swojego pułku i opuścić Coruscant.

Sienar kurczowo ścisnął torbę podróżną i przekazywał ostatnie instrukcje androidowi protokolarnemu, który podążał za nimi chwiejnym, choć szybkim krokiem.

- Ruszaj się, człowieku! - wrzasnął Tarkin.

Sienar podał androidowi ostatnią rzecz, którą spakował dziś rano: niewielki dysk, zawierający specjalne instrukcje na wypadek, gdyby nie wrócił w określonym terminie.

Android zatrzymał się przy trapie i uniósł dłoń w uroczystym pożegnalnym geście. Sienar dogonił Tarkina w elegancko urządzonym saloniku wahadłowca. Właz zamknął się z przeraźliwym sykiem. Wahadłowiec oderwał się od swojego stanowiska na wieży i wskoczył w puste miejsce jednego z kanałów powietrznych.

Prawie natychmiast zaczął wznosić się na orbitę.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, jakie stawki wchodzi w grę - odezwał się Tarkin. Jego chuda twarz miała ponury wyraz. Spoglądał na Sienara wielkimi, szarymi, śmiertelnie poważnymi oczami, które jeszcze bardziej upodabniały jego głowę do ożywionej trupiej czaszki. -W tej chwili jesteśmy zaledwie pożytecznymi sługami. Znajdujemy się daleko poniżej poziomu zainteresowań osób rządzących galaktyką. Jeśli ta planeta i jej statki okażą się tak użyteczne, jak nam się wydaje, zostaniemy sownie wynagrodzeni. Wtedy nas dopiero zauważą. Niektórzy podzielają moje zdanie, że może to być naprawdę wielkie odkrycie. Wszyscy będą dzielić z nami ten sukces, dlatego nasza misja zasłużyła na drugi poziom w hierarchii ważności. Poziom drugi, Raith!

- A nie pierwszy? - niewinnie zapytał Sienar. Tarkin zmarszczył brwi.

- Twój cynizm może ci kiedyś zaszkodzić, przyjacielu.

- Staram się zachować niezależność myślenia - odparował Sienar.

- Na dłuższą metę może to się okazać wyjątkowo głupie - powiedział Tarkin i szare oczy zwięziły mu się w szparki.

ROZDZIAŁ

14

Charza Kwinn naprowadził „Kwiat Morza Gwiazd” na wysoką orbitę wokół Zonamy Sekot. Obi-Wan i Anakin pakowali swoje rzeczy w suchej kabinie. Mistrz wyjął paczkę, którą do tej pory ukrywał pod szatą. Rozwiązał ramię i położył podłużny pakunek w torbie podróżnej.

Anakin zerknął z nadzieją w oczach.

- Zapasowy miecz świetlny? - zapytał.

Obi-Wan uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Jeszcze nie, padawanie. Coś znacznie bardziej odpowiedniego na planecie rządzonej przez kupców. Staroświeckie kredyty z aurodium, wartości mniej więcej trzech miliardów, w kilku dużych sztabkach.

- Nigdy w życiu nie widziałem tylu pieniędzy - szepnął Anakin, podchodząc bliżej. Obi-Wan ostrzegawczo pogroził mu palcem, ale otworzył pakiet i pokazał chłopcu jego zawartość.

Dziesięć sztabek czystego aurodium zaśniło jak małe płomyki. Każda z nich krył w sobie tajemnicze światło, migoczące różnymi kolorami.

- A więc to, co mówią o świątyni, jest prawdą - mruknął Anakin.

- Że ukrywa tajemny skarb? Raczej nie - odparł Obi-Wan. -Te pieniądze podjęto ze wspólnego konta w Galaktycznym Banku Kapitałowym. Wielu bogaczy w całej galaktyce wspiera Jedi, służąc im w razie potrzeby swoimi zasobami.

- O tym nie wiedziałem - szepnął zmieszany Anakin.

- To tylko kilka procent zawartości tego konta. Oczywiście nie wydamy tego na głupstwa. Vergere miała ze sobą podobną kwotę. Powiadają, że to wystarczy, aby kupić sekotański statek. Miejmy nadzieję, że plotki okażą się prawdziwe.

- Ale Vergere... może ona już kupiła statek - podsunął Anakin.

- Może będziemy musieli zapomnieć o tym, że znaleźliśmy Vergere - odparł Obi-Wan.

- Aha... no, dobrze.

Obi-Wan zawiązał z powrotem sztabki i obwiązał je rzemieniem, po czym podał Anakinowi.

- Nie możesz się z tym rozstać nawet na chwilę.

- Bomba! - podskoczył Anakin. - Nikt nie będzie podejrzewał, że taki chłopak jak ja ma przy sobie takie bogactwo. Mógłbym za to kupić YZ-1000... nie, setkę takich YZ-1000!

- No i co byś zrobił z setką starych galaktycznych balii? - zainteresował się Obi-Wan.

- Przerobiłbym je. Wiem, co zrobić, żeby latały dwa razy szybciej niż teraz... a przecież i tak są dość szybkie!

- A potem?

- Zrobiłbym wyścig!

- Ile czasu zostałoby ci na szkolenie?

- No, niewiele - wyznał Anakin. Oczy mu się śmiały.

Obi-Wan z dezaprobatą zacisnął wargi.

- Mam cię! - wrzasnął Anakin, szczerząc zęby. Chwycił paczkę, upchnął ją pod tuniką i dokładnie przymocował do ciała długimi końcami rzemienia.

- Będę pilnował tych głupich sztabek - zapowiedział. - A w ogóle kto chciałby być bogaty?

Obi-Wan uniósł brew.

- Nie byłoby dobrze, gdybyś to stracił - ostrzegł.

Nawet z wysokości trzydziestu tysięcy kilometrów Zonama Sekot wyglądała dziwnie.

Placek perłowej bieli w rejonie bieguna północnego był otoczony półkulą skłębioonej, soczystej zieleni. Poniżej równika południową półkulę pokrywała jednolita, nieprzenikniona warstwa srebrzystych chmur. Wzdłuż równika ciągnęła się wąska smuga ciemniejszej szarości i brązu, poprzecinana liniami które wyglądały jak odcinki rzek albo wąskie jeziora. Krawędzie południowej czapy chmur zwijały się we wdzięczne pióropusze, które odrywały po kolei tworząc burzowe wiry.

Wysłali już na planetę prośbę o pozwolenie na lądowanie i czekali teraz na odpowiedź. Tymczasem w innej części statku Charza był zajęty porodem.

Anakin siedział na bocznym siedzeniu pilota. Wsparł łokcie na kolanach i wpatrywał się w Zonamę Sekot. Wykonał już pierwszy zestaw codziennych ćwiczeń i wspaniale oczyścił umysł. Czasami, gdy udawało mu się zupełnie uspokoić, wydawało mu się, że nie jest już chłopcem, ba, nawet człowiekiem. Widział wtedy wszechogarniającym spojrzeniem krystalicznie czysty świat. Miał przed sobą całe swoje życie, spełnione i bohaterkie... oczywiście, bezinteresownym bohaterstwem, jak przystało na Jedi. Gdzieś w tym życiu czeka na niego kobieta, choć wiedział, że Jedi rzadko zawierali związki małżeńskie. Wyobrażał sobie, że kobieta będzie podobna do królowej Amidali z Naboo: silna, samodzielna, piękna i dostojna, ale smutna, uginająca się pod ciężarem odpowiedzialności... który Anakin mógłby pomóc jej nieść.

Od lat już nie rozmawiał z Amidalą ani ze swoją matką Shmi, ale w obecnym stanie zdyscyplinowanej świadomości ich wspomnienie działało na niego jak odległa muzyka.

Potrząsnął głową i spojrzał w górę. Zwrócił swoje uczucia na zewnątrz, koncentrując je tak długo, aż wydało mu się, że tworzą jasny punkt przed jego oczami. Potem skupił wzrok na Zonamie Sekot, żeby zobaczyć wszystko, co się da.

Z każdej bieżącej chwili wypływa wiele ścieżek do wielu odmiennych przyszłości, ale zestrojony z Mocą adept może wybrać najbardziej prawdopodobną ścieżkę, którą powinna podążyć jego świadomość. Wydawało się, że wycieczka w przyszłość, jeśli się nie wie, co ta przyszłość przyniesie, jest sprzeczna z logiką, a jednak mistrz Jedi potrafił tego dokonać.

Obi-Wan jeszcze nie osiągnął tak wiele... tak przynajmniej powiedział Anakinowi. Opowiadano jednak że przed poważną misją każdy zdyscyplinowany Jedi, nawet padawan, może zajrzeć w przyszłość.

Anakin czuł, że właśnie w tej chwili dzieje się z nim coś podobnego. Miał wrażenie, że komórki jego ciała dostrajają się do niewyraźnego sygnału z przyszłości, subtelnego dźwięku nie pobudzającego żadnych innych zmysłów. Był to głos potężny i niski, ale jakby stłumiony, niepodobny do żadnego innego, jakie kiedykolwiek słyszał...

Wpatrywał się w planetę rozszerzonymi oczami.

Chłopiec, Anakin Skywalker, syn Shmi, padawan Jedi, w wieku zaledwie dwunastu standardowych lat, skoncentrował całą swoją uwagę na Zonamie Sekot. Zadrżał. Przymknął jedno oko, przechylił głowę. Potem gwałtownie opuścił powieki i zadrżał. Czar prysł. Trwało to zaledwie trzy sekundy.

Anakin usiłował sobie przypomnieć jakąś silną i piękną emocję, a może stan umysłu, którego właśnie dotknął, ale potrafił przywołać tylko twarz Shmi, smutno, ale dumnie uśmiechniętą. Ta twarz była jak ochronna tarcza, która zasłaniała wszelkie inne wspomnienia.

Matka, taka ważna i wciąż tak odległa.

Nigdy nie widział twarzy swojego ojca.

Obi-Wan z chlupotem wszedł do kabiny, omijając wodospad.

- Charza skończył z maluchami - oznajmił. - Już się uczą, jak obsługiwać statek.

- Tak szybko? - zdziwił się Anakin.

- Dla niektórych krewnych Charzy życie jest krótkie - odparł Obi-Wan. - Wydajesz się zamyślony.

- Wolno mi chyba, prawda? - zapytał Anakin.

- Jeśli tylko nie bujasz w obłokach - zgodził się Obi-Wan. Na twarzy mistrza widać było zdenerwowanie i troskę. Anakin nagle zerwał się i uściskał go gorąco, co ogromnie zaskoczyło Obi-Wana.

Mistrz łagodnie przytulił chłopca, pozwalając, by ta chwila trwała. Niektórzy padawani byli nieskomplikowani jak spokojne jeziora, z umysłami jak otwarta książka. Dopiero w trakcie szkolenia nabierali głębi i złożoności, która dla nich oznaczała dojrzałość. Anakin był skomplikowaną zagadką od pierwszego dnia ich spotkania, a jednak Obi-Wan nigdy nie odczuwał tak silnej więzi z żadną inną żywą istotą - nawet z Qui-Gonem Jinnem.

Chłopiec odsunął się i spojrzał na mistrza.

- Chyba czekają nas prawdziwe kłopoty - powiedział.

- Tak myślisz? - zapytał Obi-Wan.

Anakin skrzywił się.

- Czuję to. Nie wiem, o co chodzi, ale... próbowałem spojrzeć w przyszłość. Wyczuć ją. I wyczułem kłopoty. Prawdziwe.

- Tak też podejrzewałem - zgodził się Obi-Wan. - Nawet kiedy Thracia Cho Le-em...

Mostek nagle zaroił się tłumem świeżych, młodych, jaskrawo-różowych jadalnych krewniaków, szczękających i klekoczących entuzjazmem, gdy zajmowali swoje miejsca. Charza, dostojny i znużony, sunął przez płytką wodę w stronę mostku, jakby właśnie dokonał satysfakcjonującego i męczącego zarazem czynu.

- Życie biegnie dalej - zaszeleścił do Anakina, zajmując miejsce. - A teraz... zobaczmy, czy planeta raczyła nam odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ

15

Raith Sienar wszedł na pokład obserwacyjny swojego statku flagowego „Admirał Korwin” i zajął podwyższenie dla dowódcy. Obrzucił wzrokiem broń ułożoną w kolistej wnęce montażowej dawnego ciężkiego krążownika Federacji Handlowej. Staroświecka skorupa. Był nie tylko oburzony jej wyborem, ale i przerażony. Spodziewano się po nim, że weźmie w karby tę pseudowojskową hałastrę.

Co gorsza, na pokładzie nie było ani jednej maszyny jego własnej produkcji, co uznał za poważne, może nawet zdradzieckie niedopatrzenie.

Tarkin albo umyślnie nie opisał mu dokładnie siły bojowej, jaką miał do dyspozycji, albo sam oceniał ją zbyt optymistycznie.

Sienar przejrzał listę uzbrojenia. Roboty E-5... skrzywił się niemiłosiernie.

Krążownik wioził na pokładzie setkę żołnierzy Federacji Handlowej i ponad trzy tysiące robotów ofensywnych i obronnych. Trzy mniejsze i zdecydowanie mniej użyteczne statki zamykały oddział, który przekazywał mu Tarkin.

Podbój całej planety przy użyciu takiej floty może i był możliwy... pod warunkiem, że to bardzo zacofana planeta, najlepiej w ogóle nie używająca techniki.

Ale nic bardziej nowoczesnego. Podbój mógł się udać, ale na tym koniec. Nie da się sprawować kontroli.

- Nie wydajesz się zachwycony - oschle zauważył Tarkin, stając obok niego na podeście.

- Nigdy nie wierzyłem w roboty na pierwszej linii frontu - mruknął Sienar. - Nawet te najbardziej nowoczesne. Naboo była od początku stracona, nawet gdyby siły Federacji Handlowej okazały się sto razy większe.

- Mówiłem ci, że przerobiono te roboty tak, aby mogły działać niezależnie... no i są o wiele bardziej wytrzymałe niż poprzednie modele - przypomniał mu podenerwowany Tarkin.

- Powierzyłbyś im samodzielne przeprowadzenie skomplikowanego planu bojowego?

- Może - odparował Tarkin. Wodził wzrokiem po równo ułożonej broni i po pojazdach transportowych. - Muszę powiedzieć, Raith, że nie cenię sobie całkowitej niezależności tak bardzo jak ty. Neimoidianie nie dawali sobie rady z centralnym sterowa-

niem. Operatorzy na tym statku są bardzo kompetentni i wszechstronni. Zonama Sekot nie jest gęsto zaludniona, o czym zresztą dobrze wiesz. To same lasy. Te roboty powinny wystarczyć aż nadto.

- Bądź ze mną uczciwy - powiedział Sienar, podchodząc bliżej do dawnego kolegi. - Dla dobra nas obu. Gdyby Zonama była byle jaką planetką, poradzilibyśmy sobie nawet z niewielkim oddziałem badawczym. Ten pułk to z jednej strony za wiele, a z drugiej za mało. To mnie niepokoi.

- Tyle tylko zdołałem zmobilizować. Oddziały Federacji Handlowej są z dnia na dzień przekazywane pod kontrolę Republiki. Nie mogli zatrzymać więcej.

- Może tylko tyle zdołałeś od nich wyprosić, powołując się na swoje stanowisko i kontakty - prychnął Sienar.

Tarkin obdarzył go zaskoczonym, obłudnie zranionym spojrzeniem i zachichotał.

- Może masz rację - przyznał. - Od kiedy to żołnierz dostaje wszystko, czego chce? Wojnę wygrywa się wtedy, gdy się wie, co można zdziałać z tym, czym się dysponuje. Obaj pewnie wolelibyśmy sami zaprojektować i zbudować swoją flotę. Obaj umiemy myśleć strategicznie i mamy dość wyobraźni. Ale Federacja Handlowa tak samo ucierpiała wskutek zapaści ekonomicznej jak Republika. Pomiędzy systemami zaroilo się od nędznych łotrzyków, przemycających na starych frachtowcach najbardziej zyskowne towary. Zwalczenie ich i oczyszczenie szlaków, a także odzyskanie przywilejów handlowych stanowiło dla Federacji Handlowej kwestię życia i śmierci. A teraz Republika będzie musiała obstarwić policją szlaki handlowe. Jej uzbrojenie jest, szczerze mówiąc, żałosne. Mówię ci, miałem mnóstwo szczęścia, że udało mi się zebrać choć tyle.

- Oszczędź mi łzawych szczegółów - chłodno przerwał mu Sienar. - Wolęś postawić mnie na czele, zamiast narażać się samemu, choć jesteś znacznie bardziej doświadczony w walce. Klęska tej misji splami dowódcę... czyli mnie... na zawsze.

- I kto tu zagłębia się we łzawe szczegóły? - zapytał Tarkin zimno. - Raith, przez dziesięć lat zbierałeś swoją kolekcję. Przyjmowałeś jak najmniej kontraktów, bo próbowałeś się przebić ze swoją zminiaturyzowaną elegancką bronią która dawno wyszła z mody. Wylewałaś gorzkie łzy nad straconymi możliwościami i pozbawionymi wyobraźni klientami. Tymczasem ja pracowicie wspinałem się po bardzo wysokiej drabinie. Musimy sobie poradzić z tym, co mamy. Wybrałem ciebie, bo prawie mi dorównujesz, jeśli chodzi o taktykę, a rozszyfrujesz fabryki Zonamy Sekot o wiele lepiej, niż mógłbym to zrobić ja.

Sienar zwięzonym i oczami obserwował Tarkina. Obaj mieli przyspieszony oddech, jakby w każdej chwili mieli się na siebie rzucić z pięściami.

Chyba jednak do tego nie dojdzie. W końcu każdy z nich odebrał dobre, starswieckie wychowanie i znał się na wojskowej dyscyplinie. Taka bójka byłaby poniżej ich godności... nawet jeśli już dawno zapomnieli o honorze.

- Przysięgłbym, że wplątałeś mnie w to umyślnie - cicho rzekł Sienar, odwracając wzrok. Chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że nie zamierza toczyć walki o to, kto dłużej wytrzyma spojrzenie drugiego. - Kiedy patrzę na ten sprzęt, nadal nie jestem pewien twoich motywów.

- Znowu zaczynasz - mruknął Tarkin, siłąc się na pobłażliwy ton. - Masz potężny, dobrze uzbrojony okręt flagowy, trzy jednostki pomocnicze: statek-sondę klasy Taxon, statek dyplomatyczny, który może służyć jako przynęta, i ruchomą stację naprawczą astromechów. Roboty bojowe, statek transportowy wyposażony w miny latające... Twój oddział całkowicie wystarczy do wypełnienia naszej misji.

- A ty będziesz na miejscu, tak na wszelki wypadek, żeby naprawić wszystkie szkody, jakie może wyrządzić moja klęska? - zapytał Sienar.

- Zostaję na Coruscant, żeby wspierać naszą wyprawę wśród polityków. To chyba o wiele trudniejsze niż podbój dzikiej, porośniętej dżunglą planety - Tarkin potrząsnął głową. - Obydwa musimy się wspinać po szczeblach tej drabiny, jaką podsuwa nam nowa sytuacja. Ty, mój przyjacielu, potrzebujesz okazji, żeby zabłysnąć. Przydzielam ci zatem to zadanie... oczywiście, nie bez ukrytych motywów. Jestem pewien, że nie zawiedziesz. A teraz - wyprostował się - muszę wracać na Coruscant. Otóż i kapitan Kett.

Kapitan „Admirała Korvina” podszedł do Sienara i lekko skłonił głowę.

- Opuszczamy orbitę za dwadzieścia minut, komandorze -oznajmił. - Musimy tylko wziąć na pokład ostatni ładunek broni, no i roboty bojowe. Zostaną załadowane w ciągu dziesięciu minut. -Adiutant spojrział na Tarkina z błyskiem w oku świadczącym, że go rozpoznaje.

- No i proszę, Raith - odezwał się Tarkin. - Jest lepiej, niż się spodziewałem. Jeśli nie dasz rady podbić planety przy użyciu robotów bojowych...

Sienar przyjął meldunek Ketta krótkim kiwnięciem głowy.

- Mogę cię odprowadzić na pokład transportowy? - zaproponował Tarkinowi.

- Nie trzeba - odparł tamten.

- Nalegam - odparł Sienar. - Takie panują zwyczaje... na moim okręcie.

Przy okazji zyska pewność, że Tarkin nie zdąży się naradzić z agentem, ukrytym niewątpliwie wśród załogi krążownika. Takie podejrzenie mogło oczywiście nie mieć sensu, ale... najważniejsza jest ostrożność, choćby nawet przesadna.

Na własnym statku flagowym Sienar czuł się za stary i nie na miejscu.

Musi coś z tym zrobić, i to szybko.

ROZDZIAŁ

16

- Wasz statek został rozpoznany - oznajmił męski i prawdopodobnie ludzki głos kontroli orbitalnej Zonamy Sekot. - Zarejestrowaliście się jako autoryzowany statek do przewozu klientów. Niestety, mamy wątpliwości co do konta ostatniego klienta, jakiego tu przywieźliście.

Chara Kwinn dość długo czyścił szczecinę, zanim się odezwał. Wyciągnął się na całą wysokość kabiny, rozsiewając wokół siebie deszcz jadalnych krewniaków, które natychmiast rozpełzły się po całym pomieszczeniu. Anakin zasłonił twarz.

Obi-Wan nie zrobił tego i oberwał w usta dużą różową muszlą.

- Przykro mi - wymruczał Charza i natychmiast przełączył się na nadawanie. - Tu Charza Kwinn, zarejestrowany właściciel „Kwiatu Morza Gwiazd”. Nie przypominam sobie, abym osobiście gwarantował za konta moich pasażerów.

- Nie - przyznał kontroler - ale wolimy, aby nasi przewoźnicy dostarczali nam pewnych klientów.

- Odstawię za darmo moją poprzednią klientkę na jej planetę, jeśli sobie tego życzysz. Wy również nie poniesiecie żadnych kosztów - niewinnie odparł Charza. - Wiecie, gdzie ona jest?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- To nie będzie konieczne - odparł kontroler. - Macie zezwolenie na lądowanie na północnym płaskowyżu. Współrzędne nie uległy zmianie.

- Strata paliwa - zaszemrał Charza i przerwał łączność. - O wiele lepsze byłoby lądowisko na równoleżniku.

Obi-Wan obserwował przetaczającą się pod statkiem powierzchnią Zonamy Sekot.

- Dziwne - mruknął. - Nigdy nie widziałem tak doskonałego podziału systemów klimatycznych.

- Od ostatniego naszego pobytu nic się tu nie zmieniło - zauważył Charza.

„Kwiat Morza Gwiazd” błysnął kilkakrotnie silnikami podświetlnymi i rozpoczął szybkie zejście z orbity. W chwili gdy wszedł w atmosferę, Obi-Wanowi wydało się, że zauważył na tle głębokiej, gęstej zieleni dziwną brunatną pustynię czy może rozpadliną, która szybko zniknęła z pola widzenia.

Tarcze atmosferyczne chroniły ich przed przegrzaniem. Wokół statku powstał piękny pióropusz zjonizowanego powietrza, na moment zasłaniając ekrany. Gdy luna się rozproszyła, zielony kobierzec widoczny z orbity zaczął się wzbogacać o rozmaite szczegóły. Zachodzące słońce wydobywało cieniste kontury rzeźby terenu: łańcuchy górskie skąpo porośnięte ogromnymi, czerwonymi roślinami, doliny wypełnione soczystą, zieloną roślinnością.

- Dekstrorotacja - zauważył Anakin. - Bardzo niewielkie odchylenie osi. Wygląda właściwie normalnie, jeśli nie liczyć warunków pogodowych na południu.

Obi-Wan skinął głową. Vergere przekazała im tak niewiele szczegółów, że właściwie każda informacja była nowością.

- Temperatura w punkcie lądowania?

- Ostatnio była powyżej punktu zamrażania wody, ale niewiele - odrzekł Charza. - Punkt lądowania jest w pobliżu bieguna. To wąski, gładki płaskowyż otoczony zlodowaciałym morzem.

- Czy morza tutaj są słone? - zapytał Anakin.

- Nie wiem - odpowiedział Charza. - Władcy tej planety natychmiast dowiadują się o wszystkim, co tu robisz, nawet jeśli tylko używam promienia lasera do wykonania analizy widma. A oni nie lubią ciekawskich.

- Interesujące - mruknął Obi-Wan.

- Kochają tajemnice - dodał Charza.

Północny płaskowyż, na którym zezwolono im wylądować, był długi na ponad tysiąc kilometrów i wąski jak palec. Pokrywały go pokruszone bryły lodu. Część płaskowyżu była nieco wzniesiona ponad resztę, a kwadratowe lądowisko znajdujące się w sąsiedztwie półkulistych zabudowań było tylko oczyszczoną ze śniegu, gładką kamienią płytą.

Charza, korzystając jedynie z propulsorów, wdzięcznym łukiem obrócił „Kwiat Morza Gwiazd” i delikatnie osadził pośrodku pola. Z boku, na otwartej przestrzeni stały dwa inne statki typu atmosferycznego, ale nie transportowce. Pokrywała je cienka warstewka śniegu.

Śnieg padał wielkimi płatkami o wszystkich odcieniach tęczy. Charza opuścił rampę, ale jadalni krewni cofnęli się przed falą zimnego powietrza. Anakin stanął w drzwiach wyjściowych, podciągnął szatę i pozbył się wodoodpornych osłon na buty, po czym zszedł na dół. Obi-Wan rzucił mu bagaże i poszedł w ślady ucznia.

Charza obserwował ich w milczeniu. Grube włosy szczeciny i kolce stukały z zimna jedno o drugie.

Anakin szedł przed siebie. Obi-Wan podążał za nim w odległości kilku kroków. Na lądowisku daleko od statku zobaczyli samotną postać, okutaną w grube warstwy odzieży. Był to ich jedyny komitet powitalny.

Charza podniósł rampę. Statek uniósł się w górę na wysokość mniej więcej metra, po czym powoli pożeglował w kierunku swojego miejsca obok pozostałych dwóch pojazdów.

- Witamy na Zonamie Sekot - odezwał się kobiecy głos spoza czerwonego filtra śnieżnej maski. Nad grubym pochłaniaczem ciepła widać było ciemnoniebieskie oczy. Kobieta lekko uniosła dłoń na powitanie i nie czekając, aż się zbliżą, ruszyła w kierunku najbliższej kopuły.

Anakin i Obi-Wan spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i poszli za nią.

ROZDZIAŁ

17

Anakin był rozczarowany zarówno powitaniem, jak i pierwszymi wrażeniami z Zonamy Sekot. Miał nadzieję na pełen rozmachu spektakl. Coś takiego pasowałoby do oczekiwań podnieconego dwunastolatka. Niestety, kopuła powitała ich pustymi ścianami i powietrzem tak chłodnym, że widzieli obłoki swoich oddechów.

Obi-Wan bardzo starannie panował nad swoimi oczekiwaniami. Był otwarty na wszystkie ewentualności, zatem zarówno przyjęcie, jak i surowa kwatery - jeśli to w ogóle była kwatery - wydały mu się po prostu interesujące. Widocznie ci ludzie nie odczuwali potrzeby imponowania innym.

Kobieta zdjęła hełm i maskę, potrząsając gęstą grzywą srebrzystych włosów, które natychmiast ułożyły się w zgrabną falę, sprężyste leżącą na plecach kombinezonu. Pomimo siwizny twarz miała gładką. Obi-Wan gotów był pomyśleć, że jest młodsza od niego, ale w oczach barwy ciemnego błękitu dostrzegł czujność i gniew. Wydawała się bardzo doświadczona... i bardzo znużona.

- Znudzeni bogacze, co? - rzuciła ostro. - To twój syn? - pokazała palcem na Anakina.

- To mój uczeń - odparł Obi-Wan. - Jestem z zawodu nauczycielem.

- A czego masz zamiar nauczyć go tutaj? - rzuciła kolejne pytanie.

Obi-Wan uśmiechnął się lekko.

- Niezależnie od tego, czy jesteśmy bogaci, czy nie, mamy dość pieniędzy, aby kupić statek. A chłopca najpierw nauczę, że powinnaś uprzejmie odpowiadać na nasze pytania.

Anakin skinął głową w jej stronę na znak szacunku, ale nie potrafił ukryć rozczarowania.

Kobieta, nie zmieniając wyrazu twarzy, obrzuciła ich wzgardliwym spojrzeniem.

- Kto was przysłał? Może konsorcjum? Tak ugrzęźli w luksusie, że nie zechcą po-fatygować się tu osobiście?

- Fundusze przekazała nam organizacja, której zawdzięczamy nasze wykształcenie i filozofię życiową - odparł Obi-Wan.

Prychnęła z jeszcze większą pogardą.

- Nie dostarczamy statków grupom badawczym. Wracajcie do domu, uczeni.

Obi-Wan postanowił, że nie posłuży się żadnymi sztuczkami umysłowymi. Postawa kobiety zainteresowała go. Pogarda często ukrywa zranione ideały.

- Przybyliśmy z daleka - oznajmił niewzruszony.

- O ile wiem, z centrum galaktyki - odrzekła. - Tam są pieniądze. Czy zdrójcy, którym zawdzięczamy tę niepożądaną reklamę, powiedzieli wam również, że musicie najpierw udowodnić swoją wartość, zanim Zonama Sekot zaoferuje wam cokolwiek? Gościom nie wolno tu pozostawać dłużej niż przez sześćdziesiąt dni. A klientów zaczęliśmy znowu przyjmować dopiero w zeszłym miesiącu - machnęła dłonią w ich kierunku. - Znam wszystkie wasze wybiegi! Klienci to zło konieczne. Nie musi mi się to podobać.

- Nieważne, skąd pochodzimy. Mamy tylko nadzieję, że będziemy traktowani uprzejmie - spokojnie odpowiedział Obi-Wan. Był już gotów użyć subtelnej perswazji metodą Jedi, kiedy twarz kobiety nagle zmieniła wyraz. Jej rysy jakby zmiękły, a w oczach pojawiła się radość, jakby właśnie ujrziała dawno nie widzianego przyjaciela.

Spoglądała ponad jego ramieniem.

Anakin obejrzał się za siebie. Byli w kopule tylko we troje.

- Coś ty jej zrobił? - szepnął do Obi-Wana.

Obi-Wan potrząsnął głową.

- Proszę mi wybaczyć... - zwrócił się do kobiety.

Spojrzała na niego niezbyt przytomnie, jakby z wielkiej odległości, ale zaraz odyskała normalny wyraz twarzy.

- Magister mówi, że macie udać się na południe - oznajmiła. - Wasz statek może tu pozostać jeszcze przez cztery dni.

Nagła zmiana sytuacji zaskoczyła nawet Obi-Wana. Kobieta nie miała żadnego widocznego odbiornika ani słuchawki. Uznał, że prawdopodobnie ukryła komunikator gdzieś w ubraniu.

- Proszę tędy - rzuciła, wskazując na niewielkie drzwi po drugiej stronie kopuły. Znowu znaleźli się na zewnątrz. W twarz uderzył ich ostry podmuch, niosący ze sobą niemal poziome smugi śniegu.

Obi-Wan podniósł głowę i zobaczył upiorny cień, wylaniający się z serca burzy śnieżnej. Kobieta nie wydawała się zdziwiona, ale dłoń mistrza Jedi automatycznie powędrowała do ukrytego pod płaszczem świetlnego miecza.

Co go zaniepokoiło? Jaki ulotny przebłysk przyszłości sprawił, że spodziewane lądowanie transportowca napełniło go takim poczuciem zagrożenia?

Nie po raz pierwszy pożałował swojego udziału w misji i wpływu, jaki to wywrze na jego padawana. Niebezpieczeństwo, które wyczuwał, nie pochodziło z żadnego konkretnego miejsca; otaczało go zewsząd. Nie była to groźba natury fizycznej, raczej zakłócenie w Mocy tak potężne, że przekraczało jego najśmielsze wyobrażenia

Anakinowi Skywalkerowi chyba nic nie groziło; w dodatku właśnie on mógł być przyczyną tego zakłócenia.

Po raz pierwszy od śmierci Qui-Gona Jinn Obi-Wana ogarnął lęk. Musiał zmobilizować całą dyscyplinę, jaką wpoilo mu długie szkolenie Jedi, by go opanować i wreszcie stłumić.

Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Anakina. Chłopiec obejrzał się z pogodnym uśmiechem.

- Wasz transport na południe - oznajmiła kobieta, wskazując płaski transportowiec w kształcie dysku, który właśnie wylądował w wirujących chmurach śniegu.

Obi-Wan wyjął komunikator i otworzył kanał łączności z „Kwiatem Morza Gwiazd”.

- Opuszczamy płaskowyz - zameldował Charzy Kwinnowi. - Zostań tu tak długo, jak ci pozwolą, a potem... nie oddalaj się za bardzo.

Skoro nie mógł ufać nikomu, musieli być przygotowani na każdą ewentualność. To sprawa życia i śmierci.

ROZDZIAŁ

18

Mógł to być jeden z najwspanialszych momentów w życiu Raitha Sienara. Dostał rangę komandora i dowództwo pułku; mógł wreszcie wykorzystać umiejętności, które uznał za dawno zapomniane. Oddział liczący cztery okręty przygotowywał się właśnie do wejścia w najbardziej ekscytujące ze znanych miejsc - w nadprzestrzeń. To mogło być fascynujące, jeśli nie dla wojskowego, to przynajmniej dla inżyniera, a jednak czuł tylko zimny, mrozący krew w żyłach strach.

Nie tego chciał, na pewno nie o tym marzył dwa lata temu, kiedy kupował sekoński statek.

Nawet poznanie lokalizacji Zonamy Sekot było pyrrusowym zwycięstwem, skoro musiał dzielić je z kimś innym. Sienar nie lubił dzielić się z nikim, zwłaszcza zaś ze starymi przyjaciółmi. A już szczególnie z Tarkinem.

Sienar lubił walkę i wiedział o tym od dzieciństwa. Ale jednocześnie wielokrotnie stwierdzał, że jego natura wojownika ma swoje ograniczenia. Wszystkie siły poświęcał na to, aby zwyciężyć i w niedługim czasie nauczył się, jak nieomylnie wybierać konkurencje, które najlepiej pasowały do jego talentów, a omijać takie, które mu nie odpowiadały.

Zdeprymowało go odkrycie, że tak bardzo przeceniał swoją zachłanność, a jednocześnie nie docenił bezgranicznej ambicji innych. To znaczy Tarkina.

Nie miał jednak zbyt wiele czasu na roztrząsanie swojego niepewnego położenia. Adiutanci, zniecierpliwieni i dość niechętnie nastawieni do nowego komandora, ustawili się już w szeregu na pokładzie „Admirała Korvina” i czekali na odprawę.

Musiał wydać rozkaz skoordynowanego wejścia w nadprzestrzeń. Tego właśnie bał się najbardziej: kiedy opuści system, klamka zapadnie. Pozostawia tutaj większość swoich sił zbrojnych, kontaktów i układów politycznych, a przede wszystkim całe swoje bogactwo.

Opuścić dom... to trudna decyzja.

Od sześciu godzin, od momentu, gdy odprowadził Tarkina do wyjścia, nie znalazł choćby pięciu wolnych minut, aby wszystko sobie przemyśleć. Nie miał czasu na układanie planów awaryjnych, wyszukiwanie możliwości ucieczki. Wciągnął go wir dro-

białgów, które składały się na system dowodzenia: kontrole, ćwiczenia i nieuniknione, doprowadzające go do szalu opóźnienia powodowane przez awarie przestarzałego sprzętu.

Tarkin od samego początku prowadził go wąską rampą do przepaści, niczym zwierzę na rzeź.

Nie było nawet czasu na litowanie się nad sobą. W końcu on też miał pewne atuty. Co prawda, będzie musiał od nowa nabrać odpowiedniej szybkości reagowania. W ciągu ostatniego dziesięciolecia na Coruscant poddał się zniechęceniu spowodowanemu upadkiem gospodarki i zgorzkniał od korupcji, coraz bardziej zżerającej arystokrację, która była mu matką nawet bardziej niż rodzona. Czuł, że umysł mu flaczeje jak nie używany mięsień.

Teraz przybrał surową minę i uznał, że mu z nią do twarzy. Wydawała się pasować do munduru, który wybrał poprzedniego dnia - uniformu oficera dawnej gwardii Obrony Handlu: czarno-szaro-czerwonego z błyszczącymi wyłogami.

Miał teraz przynajmniej złudzenie, że kontroluje te statki i tych ludzi. Można to uznać za dobry początek, stały stabilny punkt, na którym będzie mógł się oprzeć, aby odzyskać równowagę i sprawdzić, jak daleko sięga naprawdę jego władza i niezależność.

- Czy środki dowodzenia szwadronu zostały zsynchronizowane, kapitanie? - zapytał

- Tak jest, komandorze - odpowiedział Kett. Miał na sobie mundur floty handlowej, pozostałość Federacji. Prawdopodobnie przyzwyczał się do niego; był wygodny i mniej oficjalny niż mundur Sienara. Teraz wydawał się wręcz wymięty.

Wszyscy jesteście nikim więcej niż piratami, ale bardzo starannie kształtujemy swoje wizerunki, pomyślał Sienar.

- No to strzepnijmy z ogonów gwiazdny pył - rzucił, mając nadzieję, że powiedzonko nie zestarzało się za bardzo.

- Tak jest, sir - odparł Kett z dyskretnym uśmiechem.

Sienar zapatrzył się w przestrzeń za przednim iluminatorem i zacisnął dłonie na poręczy pulpitu dowódcy. Kett, o pół poziomu niżej, stał w pozycji na spocznij, z dłońmi założonymi za plecy, na lekko ugiętych kolanach, czekając, aż punkt dowodzenia robotów nawigacyjnych oddziału odbierze rozkaz.

- Wyjście, komandorze - mruknął Kett pod adresem Sienara, gdy widok przed dziobem rozmył się i rozsunał na boki, a potem skupił w jeden świetlisty punkt. - Wchodzimy w nadprzestrzeń.

- Dziękuję, kapitanie - odparł Sienar.

- Szacunkowy czas lotu: trzy dni standardowe - dodał Kett.

- Wykorzystamy ten czas na dalsze ćwiczenia systemów obronnych - oznajmił Sienar. Załoga statków będzie miała zajęcie, a on sam będzie się mógł zająć swoimi sprawami. - Proszę przynieść mi rejestry służby wszystkich oficerów. Kompletne rejestry, kapitanie Kett.

To zabrzmiało lepiej.

- Przygotuję plan i przyniosę panu rejestry w ciągu godziny, sir - wyprężył się Kett.

Jeszcze lepiej. Sienar uznał, że to dobry początek skomplikowanej misji.

Wyprostował się, wysunął dolną szczękę i z determinacją wbił wzrok w obraz za oknem. Wirujące niebo przyprawiało go o mdłości, ale wytrzymał, dopóki nie zasunięto pokryw iluminatorów. Dopiero wtedy zszedł na dolny poziom. Granatowy robot nawigacyjny o delikatnej konstrukcji zainstalował się przy pulpicie, aby wykonywać swoją podstawową i nudną funkcję.

ROZDZIAŁ

19

Anakin wiercił się w ciasnym transportowcu. Nie mógł wyrzeć przez małe okienka umieszczone niewygodnie, bo za siedzeniami. Pochwycił wzrokiem tylko błysk nieba i nierówny zielony horyzont. Lecąc na południe, kilkakrotnie mijali granicę cienia i wewnątrz transportowca na przemian rozjaśniało się i ściemniało, dopóki wreszcie nie skręcili na zachód, lecąc w kierunku jasnej strony planety.

Transportowiec miał tylko podstawowe wyposażenie: cztery siedzenia, wąskie i stłoczone pod niskim sklepieniem. Zamknięte drzwi oddzielały kabinę pasażerską od pilota. Taki model lekkiego pojazdu wycieczkowego na krótkie trasy często przewożono we wnętrzu większego statku. W każdym razie nic nadzwyczajnego.

- To dziwny sposób rządzenia planetą - skomentował Anakin.

- Zachowują się tak, jakby dopiero co przeżyli jakieś problemy - zgodził się Obi-Wan.

- Z Vergere?

Obi-Wan uśmiechnął się.

- Vergere nie dostała instrukcji, aby siać zamęt. Może chodzi o nieznanych gości, których miała śledzić.

- Nie wyczuwam tu niczego podobnego - odparł Anakin. - Czuję Moc w całej planecie i w osadnikach, ale... - skrzywił się i potrząsnął głową.

- Ja także nie czuję niczego niezwykłego - odparł Obi-Wan.

- Aleja nie powiedziałem, że nie czuję niczego niezwykłego.

Obi-Wan przekrzywił głowę na bok i spojrzał na swojego padawana.

- Tylko co?

- To, co czuję, nie jest zwyczajne. To wszystko - wzruszył ramionami chłopiec.

Obi-Wan wiedział, że Anakin jest często znacznie lepiej dostrojony na wyczuwanie małych zmian w Mocy.

- Odpowiedz, co czujesz.

- Coś... wielkiego. Nie mnóstwo drobnych zawirowań, ale jedną wielką falę, jakąś ogromną zmianę, która albo już nastąpiła, albo nadchodzi. Nie wiem, jak ją opisać.

- Ja jeszcze nie wyczuwam takiego połączonego zakłócenia - mruknął Obi-Wan.

- Nie szkodzi - uśmiechnął się Anakin. - Może mi się tylko wydaje. Może to ze mną coś jest nie w porządku.

- Wątpię - westchnął Obi-Wan. Anakin splótł dłonie na karku i jęknął:
- Jak długo jeszcze?

W godzinę później transporter wylądował wreszcie z głośnym hukiem. Właz otworzył się natychmiast z przeraźliwym skrzypieniem i lupnął o powierzchnię lądowiska. Kabinę wypełniło ciepłe, gęste powietrze, pachnące kwiatowo i smakowicie zarazem, jak świeżo upieczone ciasto.

Anakin stwierdził, że ten zapach pobudza jego apetyt. Miał nadzieję, że zorganizowali jakiś posiłek dla gości - śniadanie albo lunch.

Kiedy jednak, nisko schyleni, wyłonili się z wnętrza statku, nie czekał na nich żaden zastawiony stół. Znaleźli się na rozległej platformie zawieszanej pomiędzy czterema potężnymi, ciemnymi pniami w środkowej części bora. Drzewa były grube i przysadziste jak beczki; każde miało około dwunastu metrów średnicy. Jasne słońce dochodziło przez niezliczone warstwy listowia nad ich głowami. Z trudem przedzierało się przez ten baldachim ocieniający całe otoczenie; czuli się tak, jakby nadchodził zmierzch. Obi-Wan, rozglądając się wokół, pomógł Anakinowi zejść z rampy. Wyprostowali się i znaleźli twarz w twarz z osobnikiem płci męskiej, odzianym w długą czarną szatę ozdobioną jaskrawozielonym medalionem. Mężczyzna był wysoki, o wiele wyższy od Obi-Wana, miał ponad dwa metry wzrostu i bladobłękitną twarz koloru mleka na Tatooine.

- Znajdujecie się na Zonamie Sekot - oznajmił. - To planeta wielkiej urody i głęboko zakorzenionych tradycji. Nazywam się Gann.

- Miło cię poznać - odparł Obi-Wan, gdy wraz z Anakinem zbliżyli się do niego. Sądząc z koloru skóry i wzrostu, należał do jednego z wewnętrznych systemów Ferro, organizacji zamkniętej i nie zawsze posłusznej prawom Republiki. Ferranie byli ludem dumnym i niezależnym, który niechętnie witał przybyszów i prawie nigdy nie podróżował daleko od domu.

- Gdzie są wasze statki, te naprawdę szybkie? - zapytał Anakin, znudzony tym przedstawieniem dla dorosłych. Miał ochotę na coś ekscytującego.

- To mój uczeń, Anakin Skywalker z Tatooine - przedstawił go Obi-Wan. - A ja jestem Obi-Wan Kenobi.

Gann spuścił wzrok, aby spojrzeć na Anakina, i jego twarz złagodniała.

- Ja także mam syna - rzekł. - To znaczy specjalnego ucznia. A właściwie wiele synów i córek. Tak nazywamy tutaj naszych uczniów. Nieważne, kto ich urodził, wszyscy jesteśmy ich matkami i ojcami, a także nauczycielami. Obawiam się, że jeszcze przez kilka dni nie zobaczysz naszych statków, młody Anakinie. - Znowu skierował uwagę na Obi-Wana i wyciągnął ramię. - Jesteśmy w miejscu, które nazywamy Średnim Zasięgiem. Tu mieścił się nasz pierwszy dom na Zonamie Sekot. Osiedliliśmy się tutaj dwadzieścia ferrańskich lat temu, czyli sześćdziesiąt lat standardowych. Co nie znaczy, że czas płynie tu tak samo jak na światach ferrańskich albo na Coruscant.

- Zdradza nas akcent, prawda? - zapytał Obi-Wan.

- Nawet kilka miesięcy na planecie-stolicy wyraźnie odbija się na sposobie mówienia - odparł Gann. - Na Zonamie Sekot mamy specyficzne podejście do upływu czasu. Czuję się, jakbym spędził tu całe swoje życie, ale równie dobrze mógłby to być zaledwie rok, miesiąc, tydzień...

Obi-Wan delikatnie przerwał mu te rozważania:

- Chcielibyśmy podpisać umowę i kupić statek - wyjaśnił. - Mamy pieniądze i jesteśmy gotowi poddać się próbom i szkoleniu.

Gann odwrócił się nagle i spojrzał w górę, gdzie wiatr cicho zaszeleścił w baldachimie liści nad ich głowami.

- Widok nie jest tu najlepszy - zauważył. - Chodźcie ze mną. Muszę was przedstawić Sekotowi.

Obi-Wan i Anakin ruszyli za Gannem w kierunku przejścia między dwoma z podtrzymujących platformę pni. Otworzył niewielką furtkę z gęstej plecionki zdrewniałych łodyg i gestem zaprosił ich, aby szli pierwsi. Mistrz i uczeń minęli pnie i wyszli na zewnętrzną platformę, skapaną w słońcu. Roztaczał się z niej widok jeszcze wspanialszy niż to, co Charza Kwinn pokazał im z pokładu „Kwiatu Morza Gwiazd”.

Gann skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się z dumą. Nad doliną wijącej się rzeki wstawały poranne mgły; sama rzeka wciąż jeszcze pozostawała ukryta w mroku, ponad dwa kilometry poniżej platformy. Wzdłuż stromych ścian kanionu naga skała oblepiały jeden nad drugim domy i platformy, zawieszane na zielonych pnączach. Te liany zwieszały się z drzew bora o ogromnych korzeniach, wbitych głęboko w pionowe krawędzie skarpy. Nad nimi rozpościerały się czerwone i zielone baldachimy liści. Między brzegami, unosząc się w lekkim porannym wietrzyku, krążyły niewielkie statki powietrzne, skonstruowane z rurkowatych białawych balonów, mocno spiętych pasami i ustabilizowanych kolejnymi balonami. Statki poruszały się wzdłuż przewodów zawieszonych w poprzek doliny, co sto metrów umocowanych do pni drzew wyrastających ze skarpy. Właśnie w tej chwili jeden z pojazdów sunął powoli przez okrągłą koronę drzewa podpierającego kabel.

- Planeta nazywa się Zonama - wyjaśnił Gann. - Żywy świat, który ją porasta, nazywamy Sekotem. To tylko niewielka część Sekotu, podobnie jak bora, które nas otaczają a wierzymy, że także my sami. Aby zasłużyć na prawo korzystania z części Sekotu, musicie dostroić się do nas. Musicie uznać Magistra, docenić jego rolę w naszym życiu i historii; musicie też uznać konieczność zespolenia z Sekotem. Nielatwa to droga i pełna niebezpieczeństw. Moc Sekotu jest ogromna. Zgadzacie się na to?

Wyraz twarzy Obi-Wana nie uległ zmianie. Anakin obejrzał się na niego i pytająco zmrużył oczy.

- Zgadzamy się - odrzekł Obi-Wan.

- Więc chodźcie ze mną, a ja wam pokażę, gdzie będziecie mieszkać.

ROZDZIAŁ

20

- Dlaczego po prostu nie zapytamy go o Vergere? - zapytał Anakin Obi-Wana, gdy rozgościli się już w kwaterach dla klientów Średniego Zasiągu.

- Mam wrażenie, że musimy cierpliwie - odparł Obi-Wan, otwierając okiennice, by wyrzeć na dolinę. - Musimy się dowiedzieć czegoś więcej o Magistrze, kimkolwiek jest.

Przełot napowietrznym pojazdem do ośrodka szkoleniowego, umieszczonego w pobliżu najwyższego wzniesienia na wschodniej skarpie, nie trwał długo, ale zachwyił ich pięknem widoków, a Anakinowi wydawał się wręcz ekscytujący. Wszystkie dziwne przecucia i wrażenia rozplynęły się w jaskrawych promieniach słońca oświetlającego rozległą przestrzeń - dość rzadką na Coruscant, a co dopiero mówić o pokładzie „Kwiatu Morza Gwiazd”.

- Jakoś tu inaczej - zauważył Anakin. - Nie tak jak na Tatooine... a mimo to czuję się, jakbym był w domu.

- Właśnie - ponuro przytaknął Obi-Wan. - Bardzo mnie to martwi. Powietrze tutaj jest pełne jest różnych nieznanymi substancjami. Może niektóre z nich mają na człowieka właśnie taki wpływ.

- Pachnie fantastycznie - Anakin wychylił się z okna, usiłując przebić wzrokiem cienie okrywające odległą rzekę na dnie doliny. - Prawie jak żywe!

- Ciekawe, co powiedziałby nam Sekot, gdybyśmy umieli odczytać te zapachy - zadumał się Obi-Wan i chwycił padawanę za ramię, zanim chłopiec zdążył wychylić się za daleko. - Zachowaj przytomność umysłu.

- Jasne - wesoło odparł Anakin i sztucznie zniżył głos: - Rzeczy nigdy nie są takie, jakimi się wydają.

- Co jeszcze wyczuwasz? - zapytał Obi-Wan. Anakin miał nadzieję, że uniknie tego pytania. Zrobił kwaśną minę.

- Nie chcę niczego wyczuwać. Mam ochotę cieszyć się świeżym powietrzem i światłem słonecznym. Statek Charzy był ciasny i mokry, a ja nigdy nie lubiłem podróży kosmicznych. Wydaje mi się, że tam, w samym środku przestrzeni, jest okropnie zimno. Już wolę znajdować się wśród żywych istot. Nawet na Coruscant. Ale tu... - obejrzał się na Obi-Wana. - Gadam od rzeczy, prawda?

Obi-Wan wyszczerzył zęby i dotknął ramienia Anakina.

- Wesołość jest czasem pozyteczna, jeśli tylko nie maskuje beztróski. - Mówiąc to, myślał o Qui-Gonie i o Windu; obaj potrafiliby się świetnie bawić nawet w sytuacjach wymagających głębokiej koncentracji.

Był to talent, którego on sam jeszcze nie posiadał.

- Mistrzu, czy ty nigdy nie bywasz wesoły? - zapytał Anakin.

- Będę miał powód do radości, jeśli opowiesz mi dokładnie, co czujesz. Potrzebuję jakiegoś punktu odniesienia dla moich własnych spostrzeżeń.

Anakin westchnął i przyciągnął do siebie wysoki stołek na czterech smukłych nóżkach. Palcami przesunął po ciemnozielonym tworzywie, z którego wykonano mebel i nagle wypuścił go z ręki. Stołek z cichym stuknięciem upadł na podłogę.

- To wciąż żyje! - szepnął Anakin z zachwytem i schylił się, by go podnieść.

- Nazywają ten materiał laminą - wyjaśnił Obi-Wan. - Oni wcale nie muszą zabijać, żeby budować domy i meble. Tu wszystkie przedmioty żyją podobnie jak sam budynek. Otwórz na chwilę swój umysł, aby ujrzeć prawdę, a nie to, co chciałbyś zobaczyć.

- W porządku - zgodził się Anakin. Jednak zaraz powrócił myślą do rzeczywistości.

- Jak ta... lamina utrzymuje się przy życiu? Czym się odżywia, jak...

- Padawanie - odezwał się Obi-Wan bez cienia surowości w głosie, ale tonem, który Anakin od dawna nauczył się rozpoznawać i natychmiast reagować.

- Tak mistrzu? - chłopiec odsunął stołek i stanął nieruchomo pośrodku pokoju. Ramiona miał opuszczone wzdłuż ciała, ale szeroko rozpostarł palce. W ten sposób mógł intensywniej odbierać sygnały z zewnątrz.

Minęło kilka minut. Obi-Wan stał o krok od Anakina. Zneutralizował własne zmysły i stłumił uczucia, aby chłopak mógł reagować w szerszym zasięgu.

- To coś niewyobraźnego, jakby jedna, wszechogarniająca osobowość - rzekł wreszcie Anakin. - Nie wyczuwam innych, cichszych głosów.

- Wszystkie formy życia współistnieją tu w naturalnej symbiozie - zgodził się Obi-Wan. - Nie spotyka się walki i drapieżności. Chyba to samo wyczułeś wcześniej. Ja również odnoszę wrażenie jednego losu, jednego przeznaczenia.

- Może, ale ja czułem także coś wokół nas.

- Wszystko może być ze sobą splecione.

Anakin rozważał przez chwilę tę myśl ze zmarszczonym czołem.

- Wyczuwam oddzielnie przybyszów i osadników - mruknął - ale nigdzie nie wyczuwam Vergere.

- Odeszła - zgodził się Obi-Wan.

- Zapytajmy, dokąd się udała.

- W odpowiednim czasie - Obi-Wan podniósł wzrok. - Obserwuj swój stołek.

Anakin spojrział w dół i stwierdził, że stołek jedną nogą przylgnął do podłogi. Schylił się i dotknął miejsca połączenia, po czym ze zdumieniem podniósł wzrok na Obi-Wana.

- On pobiera pokarm! - zawołał. - Podłoga też jest żywa!

- Musimy wcześniej rano być gotowi na przyjęcie naszych gospodarzy.

- Będę gotowy - odparł Anakin, wstając - Więcej niż gotowy!

Jak na gust Obi-Wana, poziom energii emocjonalnej chłopca był wciąż za wysoki. Pomiedzy Anakinem a Sekotem istniała jakaś więź, której jeszcze nie rozumiał, a która, ku jego zdumieniu, mówiła równie wiele o Anakinie i o Sekocie... przypominając jednocześnie Obi-Wanowi, jak niewiele wie o jednym i o drugim

ROZDZIAŁ

21

Był to pierwszy dzień Święta Klientów, które od pewnego czasu obchodzono w Średnim Zasięgu. W powietrzu latało pełno różnokolorowych balonowców wędrujących wzdłuż swoich kabli; przewoziły urzędników, robotników i ciekawskich. Anakin i Obi-Wan stali przy poręczy pojazdu powietrznego wiozącego ich wzdłuż doliny. Owalna gondola była wyposażona w małą kabinę i długi, wygięty dach z płatów laminacji oplecionych pnączami - i jedno, i drugie były wciąż żywe.

W podróży towarzyszył im Gann. Mniej więcej w połowie długości kanionu chwycił sznur służący za poręcz i okrążył kabinę, aby na dziobie porozmawiać z wysoką ferrańską kobietą.

Wiatr przynosił strzępy muzyki i pieśni z innych pojazdów. Obi-Wan z zachwytem wsłuchiwał się w dźwięki instrumentów i głosy śpiewaków. Sama ceremonia była uroczysta, ale w powietrzu czuło się coś jeszcze -jakby odrodzenie po niedawnej tragedii.

Chciałby wiedzieć, czy Vergere była świadkiem tych wydarzeń. Czy pozostawiła jakieś wiadomości dla Jedi, którzy ruszą jej śladem? Jeśli nawet, to Obi-Wan jeszcze ich nie znalazł.

Anakin przechylił się przez plecioną barierkę i wyjrzał z gondoli w dół, na rzekę, wąską i pokrytą białą pianą bystrego nurtu. Widział smukłe, blade istoty, wielkie jak gungańska łódź podwodna i mniej więcej tego samego kształtu, przesuujące się tam i z powrotem nad wodą. Wokół nich uwijały się inne kształty, znacznie mniejsze i ciemne.

- Miałbym ochotę popływać sobie tratwą- odezwał się.

- To zbyt niebezpieczne - odparł pilot statku. Był to młodzieniec w wieku szesnastu czy siedemnastu lat standardowych, według ferrańskich zwyczajów zaledwie wchodzący w wiek dojrzały. Stał za trzema dźwigniami steru w tylnej części kabiny, stabilizując co jakiś czas lot statku.

- Nikt jeszcze tego nie próbował? - dopytywał się Anakin.

- Nikt, kto ma choć odrobinę rozumu - wyszczerzył zęby pilot. - Znamy lepsze sposoby ryzykowania życiem.

- Na przykład?

- Nooo - pilot przeciągnął słowo, jakby chciał, by trwało jak najdłużej. - Na przykład w Dniu Jedności...

Gann wrócił z dziobu i spojrzał wymownie na pilota. Chłopak widocznie za wiele gadał.

- Dziesięć minut i jesteśmy na miejscu - oznajmił Gann. - Macie wszystko co trzeba?

Obi-Wan spojrzał na Anakina, który mrugnął i poklepał się po brzuchu.

- Tak - odpowiedział Obi-Wan. - Czuję się jednak o wiele lepiej, gdybym dokładnie poznał procedury.

Gann skinął głową.

- Pewnie, że czułbyś się lepiej. Jak każdy. Dzisiaj mamy tylko dwóch klientów, jeśli ciebie i chłopca liczyć razem. Kiedy przyjdzie czas wyboru, będziecie sami. A wszystko inne - spojrzał znacząco na pilota - to czeka gadanina.

Młody pilot przytaknął z powagą.

Pozostali pasażerowie statku również byli Ferranami o blado-niebieskiej, upiornie wyglądającej skórze, długich szczękach i ogromnych oczach. Kobieta, z którą rozmawiał Gann, była wyższa i nieco lepiej umięśniona niż mężczyźni. Gdy zbliżyli się do zawieszzonego na linach podestu, obeszła kabinę i przedstawiła się Obi-Wanowi i Anakinowi.

- Nazywam się Sheekla Farris - powiedziała silnym, głębokim głosem. - Jestem hodowcą i córką Pierwszych. Gann na resztę dnia przekazuje was mnie.

- Sheeklo, przekazuję ci naszych klientów - powtórzył Gann, skłonił się lekko i odstąpił o krok. Farris pochyliła się i powąchała twarz Obi-Wana. Zrobiła minę pełną uznania.

- Nie boisz się - zauważyła, po czym powtórzyła tę samą czynność z Anakinem, który spojrzał na Obi-Wana z zażenowaniem. - Ty też nie - dodała.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczymy statki - odezwał się Anakin.

Farris roześmiała się, a jej głęboki głos zabrzmiał melodyjnie.

- Dziś poznacie swoje nasiona-partnerów. Potem zaprojektujecie statek. Mój mąż Shappa pomoże wam przy tym zadaniu.

Pilot odczepił pojazd z kabla i przetoczył go w cień ściany wąwozu, po czym zgrabnie podczepił go do drugiego przewodu, wiodącego w stronę lądowiska. Kosz zakotłosał się między ciężkimi wysięgnikami zatkniętymi na grubych palach. Kabel brzęknął, gdy wysięgniki przechwyciły kosz i lekko powiodły go w dół. Dopiero teraz obsługa otworzyła bramkę. Spuszczono rampę i Sheekla Farris gestem dała im do zrozumienia, że mają zejść przed nią.

- To było genialne - mruknął Anakin do Obi-Wana, kiedy schodzili na ląd. - Myślisz, że pozwolą nam spróbować, jeśli mają tu jakieś wysięgi statków?

- Nam? - zdziwił się Obi-Wan.

- Pewnie. Byłbyś świetny - odparł Anakin. - Szybko się uczysz. Ale... - wzruszył ramionami. - Musisz mieć więcej wiary w siebie.

- Jasne - mruknął Obi-Wan.

- Jesteśmy teraz w Dalekim Zasięgu - wyjaśniła Sheekla Farris.

- Tu gromadzimy nasiona-partnerów i potencjalnych klientów. Oczywiście, wiąże się to z odpowiednią ceremonią - uśmiechnęła się do Anakina - Bardzo formalną ceremonią. Nie będzie ci się podobać.

Anakin zmarszczył nos.

- Za to spotkasz się z tym, co potem stanie się twoim statkiem

- dorzuciła.

Twarc chłopca rozjaśniła się.

- Przeżyjesz to samo, co wiele lat temu przeżył Magister, gdy ujrzał Zonamę i po raz pierwszy odczuł Sekot.

- Kto to jest Magister? - zapytał Anakin.

Sheekla Farris rzuciła Obi-Wanowi spojrzenie, którego nie potrafił rozszyfrować; było w nim ostrzeżenie i spora doza szacunku.

- Jest naszym przywódcą doradcą duchowym i tym, który wie. To jego ojciec stworzył Średni Zasięg i stał się pionierem całego naszego ludu.

Gann pożegnał się, obiecując, że zobaczą się później. Farris poprowadziła ich przez most łączący platformę lądowiska z szerokim tunelem wrytym w skalnej ścianie. Po obu stronach chodnika, wzniesionego nieco ponad poziom podłogi, spływały strugi wody, wykonane z laminy ściany tunelu były mokre od żywicy. Zielone pnącza oplatały mokrą podłogę niczym sieć. Wszystko wydawało się, bardzo starannie zaprojektowane, bardzo precyzyjne, prawie uporządkowane.

- Nasiona-partnerzy wyłaniają się z Potęgi - wyjaśniła Farris, gdy doszli do końca tunelu.

Zdumiony Obi-Wan sięgnął pamięcią do dawnych czasów. Przypomniał sobie rozmowę z Qui-Gonem Jinnem na długo przedtem, zanim mistrz Jedi przyjął go na swojego padawana.

Farris pchnęła drzwi i wyprowadziła ich na szeroki, otwarty dziedziniec. Z trzech stron pochylały się nad nim pnie niewielkich drzew bora, z czwartej wykładana kamiennymi płytami podłoga kończyła się wprost nad przepaścią. W dole słychać było szum rzeki, która w tym miejscu prawdopodobnie wpadała do podziemnej jaskini.

- Jeśli zawiedziecie, powrócą do Potęgi. Wszystko zostanie przechowane. Nasiona-partnerzy to dla nas bardzo ważna sprawa.

- Nie znam tego słowa - zwrócił się Anakin do Obi-Wana. - Co to jest Potęga?

Qui-Gon i Mace Windu zajmowali się kiedyś grupą bardzo obiecujących akolitów, którzy jednak nie zostali dopuszczeni do szkolenia Jedi. Jeden z nich, rozczarowany i gniewny, stworzył własną wersję Jedi, werbując „uczniów” z arystokratycznych rodzin Coruscant i Alderaanu. Qui-Gon opowiadał wtedy o Potędze, którą określał jako alternatywę, niejako odwrotność Mocy. Tamten uczeń opanował ją doskonale, choć zawiódł w innych dziedzinach.

Szkolenie Jedi oparte na Potędze dawno zostało osądzone przez Radę jako błędne i odrzucone. Nawet padawanom już o tym nie wspomniano.

- Sam jestem ciekaw znaczenia tego słowa - odparł Obi-Wan. A także dlaczego tutaj go używają pomyślał.

Dziedziniec wypełniali barwnie ubrani uczestnicy uroczystości, skupieni w małe grupki. Wszyscy zachowywali milczenie. Na znak Sheekli Farris Anakin i Obi-Wan powoli ruszyli przed siebie. Kobięcy głos zaintonował pieśń. Była to ta sama melodia, którą wcześniej słyszeli dochodzącą z innych statków.

Włosy mężczyzn ferrańskich, w przeciwieństwie do kobiet, ciemniały z wiekiem. Dwóch starców o włosach czarnych jak węgiel wystąpiło z grupy, niosąc szarfy obwieszane krwistoczerwonymi, workowatymi owocami. Wyższy zawiesił szarfę na szyi Obi-Wana, niższy zaś Anakinowi. Teraz wszyscy podjęli pieśń, która poniosła się echem po ścianach kanionu.

Farris uśmiechnęła się szeroko.

- Akceptują was. Podoba im się wasz zapach i wygląd. Nie odczuwacie lęku.

Wyższy z mężczyzn odstał krok do tyłu i obszedł dookoła dwóch Jedi, zatrzymując się kolejno na trzech kierunkach tutejszego kompasu. Następnie stanął przed Obi-Wanem i wyciągnął ręce.

- Wasz dar dla Potęgi - podsunęła Farris.

Na znak Obi-Wana Anakin rozsunął luźną tunikę i wydobyl sakwę wypchaną sztabkami aurodium dawnej Republiki. Podał ją Obi-Wanowi, który z kolei wręczył ją oczekującemu mężczyźnie. Ten przyjął ją z uśmiechem i lekkim pokłonem.

- Teraz przedstawimy was Sekotowi - rzekła Farris z szerokim, zupełnie niekupieckim uśmiechem. - Jestem nastrojona bardzo optymistycznie!

ROZDZIAŁ

22

Podróż przez nadprzestrzeń zaczynała już Raithowi Sienarowi nieco doskwierać. Pograżony w zadumie, siedział w fotelu przed pustym ekranem w komandorskiej kajucie „Admirała Korvina”, przekładając z ręki do ręki metalowy cylinder.

Teoria podróży w nadprzestrzeni zawsze go fascynowała -w końcu zajmował się projektowaniem takich statków, które odbywałyby tę podróż w możliwie najszybszym tempie - ale niechętnie sprawdzał ją na sobie. Rutynowe czynności związane z dowodzeniem interesowały go jeszcze mniej. Zdecydowanie wolał pracować samotnie, całe życie oddawał się samotnej pracy i rozmyślaniom.

Teraz musiał odłożyć swoje zamięłowanie na później.

Do tej pory Sienar na „Admirale Korwinie” odbył trzy inspekcje ładowni mieszczących większość uzbrojenia. Zgodnie z rodzajem się w jego umyśle planem zarządził jeszcze indywidualny przegląd wszystkich systemów obronnych: robotów kroczących, robotów latających, robotów krocząco-latających, dużych i tych najmniejszych, które mieściły mu się w dłoni. Bardzo go to zmęczyło, zważywszy, że nie mógł polubić takich czynności. Znał doskonale ograniczenia tych systemów, niezależnie od nadętych mów, jakimi raczył go Tarkin.

Nie mógł zapomnieć robotów bojowych na Naboo, stojących sztywno jak kolki, zbyt powolnych w myśleniu i w strzelaniu, sterowanych centralnie przez ich organiczne bezmózgie odpowiedniki. Właśnie te roboty przyczyniły się do upadku Federacji Handlowej.

Im bardziej Sienar starał się wzbudzić w sobie entuzjazm do tych automatów, tym trudniej było mu stłumić dokuczliwe przekonanie, że został wrobiony. Nie mógł tylko pojąć, po co. Kto i w jaki sposób mógłby skorzystać na niepowodzeniu tej misji?

Zbliżał się czas -jeśli w ogóle można było tak mówić na statku poruszającym się poza czasem - spotkania z przydzielonym mu „asystentem”, Rzeźbiarzem Krwi, Ke Daivem. Ke Daiv wzbudzał w nim strach, ale wydawał się inteligentny i dość kompetentny, jeśli nie liczyć porażki z Jedi. Sienar wstał z fotela i zaczął krążyć po obszernej, elegancko urządzonej kabinie. Jakoś nie poruszała go możliwość, że właśnie Ke Daiv został wyznaczony na jego egzekutora w razie niepowodzenia misji.

Potrzebował lepszego uzbrojenia. A także sojusznika, którego motywy potrafiłby zrozumieć i któremu mógłby zaufać, przynajmniej częściowo.

Wyprostował się i podjął decyzję. Najwyższy czas sprawdzić uzbrojenie asystenta. Zrobi to właśnie teraz, przed wyznaczonym czasem, dopóki wciąż jeszcze są nieosiągalni w nadprzestrzeni.

Będzie się musiał przygotować na to spotkanie.

Wyjął z zamkniętego w skrzyni i zabezpieczonego hasłem bagażu niewielkie pudełko i przyjrzał mu się w jaskrawym świetle, które za dotknięciem przycisku zaalało kabinę. Z podłogi pod zamkniętym oknem dziobowym w salonie komandora wysunął się niewielki stół i zestaw narzędzi.

Narzędzia Sienar zarekwirował w magazynach statku wczoraj wieczorem. Nie miał zbyt zręcznych palców, ale praca, jaką musiał wykonać przy pudełku, nie wymagała szczególnej precyzji.

Nie dowierzał robotom między innymi dlatego, że wiele lat temu znalazł sposób, aby je pokonać. Z sobie tylko znanych powodów - może też dlatego, że uważał konstrukcję robotów za zawodną - nigdy tego sposobu nie ujawnił.

Wewnątrz skrzynki znajdował się werbomózg standardowego robota, ale zbudowany według własnego projektu Sienara i zawierający jego własne programy.

Uderzył palcem w przycisk komunikatora i po chwili zobaczył przed sobą nieco zamazany wizerunek kapitana Ketta. Mógł go widzieć, ale kapitan nie mógł widzieć jego.

- Proszę przysłać do mojej kwatery robota typu Baktoid model E-5, całkowicie sprawnego i w pełnym uzbrojeniu. - Fabryka automatów bojowych Baktoid zaprojektowała te przyciężkie, niezgrabne maszyny dla Federacji Handlowej po klęsce na Naboo, a przed wcieleniem do Republiki. Sienar wolałby lżejszy model, ale E-5 okazały się wystarczająco mocne, a ich motywatory działały bez zarzutu. Uważał je za najlepsze z pozostałej masy przeciętnego złomu, ale największą ich wadą był brak inteligencji. Werbomózgi robotów były powolne jak jednostki sterujące czołgów. No ale przecież właśnie w tym specjalizował się Baktoid: w transporterach i w czołgach.

Sienar dobrze znał ich głównego projektanta. Ten kretyn po prostu kochał takie ciężkie pojazdy.

Otworzył skrzynkę, wyjął werbomózg i włożył w puste miejsce nowy cylinder programujący. Wirnik układu natychmiast obudził się do życia, zabrzęczał i zaczął czytywać z niego dane w formie promieniowania.

Przy użyciu tej maszynki Sienar mógł zmusić E-5, by tańczył jak twi'lecka baletnica.

A kiedy zmodyfikowany E-5 zdomowi się już w jego kwaterze, Sienar będzie mógł spotkać się z Ke Daivem, by opowiedzieć mu to i owo o ludziach, dla których pracuje.

ROZDZIAŁ

23

Tłum rozstąpił się w milczeniu, przepuszczając Obi-Wana i Anakina, którzy samotnie przemierzali dziedziniec. Sheekla Fars przystanęła, patrząc, jak zbliżają się do masywnych drzwi z kamienia i laminy. Drzwi otwały się bezszelestnie. Za nimi znajdowała się obszerna okrągła komnata bez sufitu, wyglądająca jak wnętrze ogromnej kuli ze ściętym wierzchołkiem. Przeświecający z góry jasny owal światła powoli wędrował po jej wnętrzu, które roilo się od tysięcy dziwnych, kolczastych, niewątpliwie żywych istot niewiele większych od ludzkiej głowy.

Obi-Wan obserwował to zatroskany, za to Anakin z uśmiechem patrzył na kolczaste kule, jakby instynktownie wyczuwał, że właśnie to są ich nasiona-partnerzy.

- Z nich wyrośnie nasz statek - szepnął do ucha Obi-Wanowi.

- Jeszcze tego nie wiemy - odparł mistrz.

- Jedi potrafi przewidzieć swoje przeznaczenie, prawda? - zapytał Anakin.

- W pełni wyszkolony Jedi może polegać na takich uczuciach, ale ucznia mogą zwieść zmiany w Mocy.

Anakin popędził do przodu. Obi-Wan truchtem ruszył, żeby dotrzymać mu kroku. Chłopiec wyciągnął ręce niby w powitalnym geście.

Po drugiej stronie ogromnej komnaty szelest i ruch ustały nagle. Wnętrze kuli wypełniła cisza, jeśli nie liczyć cichego szmeru powietrza przepływającego nad otwartym sufitem.

- To nasze nasiona-partnerzy! - krzyknął Anakin.

Drzwi za ich plecami zamknęły się bezszelestnie. Pozostali sami z kolczastymi stworami. Obi-Wan uważał, że lepiej zachować ostrożności, ale Anakin od pierwszej chwili zdawał się przekonany, że to właśnie nasiona-partnerzy.

- Na co czekasz? - krzyknął chłopiec. Jego głos nie odbił się echem od ścian - gruba warstwa kolczastych kul pochłonęła dźwięk.

- Chyba powinniśmy pozwolić, aby to one przejęły inicjatywę - łagodnie upomniał go Obi-Wan.

Anakin skrzywił się niecierpliwie i nagle znów stał się tylko zwyczajnym, upartym dwunastolatkiem. Po trzech latach szkolenia w świątyni nie pozostało ani śladu. Obi-

Wan położył obie dłonie na ramionach chłopca, wyczuwając w jego ciele napięcie. Anakin stał się jak młode zwierzę, całkowicie niedostępne dla sugestii.

Obi-Wan przez moment był przerażony, że jego młody padawan w jednej chwili zdołał podrzucić wszelkie umiejętności wpajane mu podczas szkolenia. Wydało mu się nagle, że ma do czynienia z całkiem innym dzieckiem, niepodobnym do tego, które Qui-Gon uważał za tak wyjątkowe.

Anakin odezwał się cichym, ledwie słyszalnym głosem i zaraz powtórzył głośniejszym.
- Jestem gotów!

Dopiero wtedy Obi-Wan pojął, co się dzieje i włosy zjeżyły mu się na karku. Od dawna nie czuł takiej grozy, co najmniej od kilku lat, od czasu, kiedy spotkał i pokonał ostatkiem sił czerwono-czarnego lorda Sithów Dartha Maula, uzbrojonego w podwójny miecz świetlny o czerwonym ostrzu. Lorda Sithów, który zadał śmiertelną ranę Qui-Gonowi Jinnowi.

Chłopiec niemal całkowicie stłumił wszystkie zewnętrzne wibracje swojego ciała. Wyciszył się w Mocy w taki sposób, jaki nawet Obi-Wanowi sprawiał ogromną trudność, choć nie był dla niego nieosiągalny. Dzieciak jednak dokonał tego w ułamku sekundy.

Anakin uczynił ze swojego ciała antenę, odbierającą głosy stworzeń wypełniających kulę. Zrobił to szybko i genialnie, jak każde dziecko, nie zaś w sposób zdyscyplinowany i świadomy, jak czynią to dorośli.

A kolczaste kulki, równie wyciszzone, z otwartością i szczerością dzieci wsłuchiwały się w swoich dwóch potencjalnych klientów.

- One czegoś od nas chcą - podsunął Obi-Wan.

Anakin potrząsnął głową. Uczeń nie zgadzał się ze zdaniem mistrza, nie po raz pierwszy zresztą i, jak skrycie podejrzewał Obi-Wan, na pewno nie po raz ostatni.

- Jesteśmy inni niż myślały - odezwał się znowu.

Anakin skinął głową.

Dwie najeżone kulki oderwały się od ściany mniej więcej w połowie jej wysokości i stoczyły się po grzbietach towarzyszy, by wreszcie trafić na otaczający ludzi kawałek pustej podłogi. Teraz toczyły się powoli, niepewnie, aż zatrzymały się o kilka centymetrów od stóp chłopca.

Kolejne kulki odczepiły się od ścian i poszły w ich ślady. Wkrótce wokół Anakina i Obi-Wana uwijało się już dziesięć małych nasion-partnerów, z których każdy wydawał ciche piski i rozsiewał ciężki, kwiatowy zapach.

- Przyjmują nas - oznajmił Anakin, zerkając na mistrza. - Czują, że się nie boimy.

Entuzjazm w oczach chłopca przycisnął lekko, stłumiony koniecznością zachowania ostrożności.

- Ale... jeśli nas przyjmują, to oznacza z ich strony zobowiązanie, prawda?

- Podejrzewam, że tak - zgodził się Obi-Wan.

- Dla nich to bardzo poważna sprawa.

- Może.

Dziesięć kulek cofnęło się, przerywając swój niespokojny taniec. Powietrze było ciężkie od ich zapachu, który nagle stał się gorzki jak wiatr wiejący od morza.

Atmosfera stała się nagle ciężka jak cisza przed burzą.

Kule na podłodze zaczęły wibrować. Obi-Wan podniósł wzrok ku sufitowi i zobaczył, jak kolejne kule staczają się w dół. Działo się to już z szybkością lawiny. Warstwa nasion-partnerów na ścianie bardzo się przerzedziła. Dziesiątki, potem setki kolczastych stworzeń odpadały, zderzając się z tymi, które znajdowały się już na wklęsłej podłodze. Kule świstały, grzechotały i wydzielały kłęby odurzającego, kwiatowego zapachu.

- Zaraz spadną wszystkie! - krzyknął Anakin i odwrócił się, ale nie było dokąd uciekać. Przez chwilę stał w miejscu, potem przykucnął i pociągnął za sobą Obi-Wana.
- Będzie ciężko! Ale cokolwiek zrobią, nie wolno ci się bać!

Obi-Wan instynktownie sięgnął po miecz świetlny, ale to nie miało sensu. Mogli się tylko ustawić plecami do siebie, zasłonić twarze i czekać, aż wszystkie kolczaste kule z całego pomieszczenia ciernistą kaskadą spadną na nich i na podłogę. W ciągu kilku sekund obaj byli zasypywani, szarpani i popychani. Podniesionymi rękami usiłowali utrzymać kolce z dala od twarzy, ale potop zalewał ich ze wszystkich stron, przyciskając im dłonie do ust i nosów. Wreszcie zakryło ich z głowami. Kawałki kolców i pokruszonych powłok fruwały w powietrzu, chmura kurzu unosiła się ze wzburzonego kłębowiska.

Już nie mogli się ruszyć.

Po kilku sekundach zabrakło im tchu.

ROZDZIAŁ

24

- Mam wielki szacunek dla cywilizacji Krwawych Rzeźbiarzy - oznajmił Raith Sienar wysokiemu, milkliwemu osobnikowi stojącemu w przedpokojach kwatery komandora. Słyszał powolny, cichy oddech Ke Daiva i równomierne postukiwanie długich czarnych paznokci jego dłoni, wydających taki dźwięk jak drewniane dzwonki na wie-trze.

- Po co mnie tu sprowadziłeś? - zapytał Ke Daiv po chwili. - Za wcześnie na misję.

- To bezczelność z twojej strony!

- Taki już jestem. Służę i słucham również po swojemu.

- Rozumiem. Wejdz, proszę, i rozgość się. - Raith odszedł na bok i wskazał dłonią w stronę salonu.

Ke Daiv zrobił pół kroku, zawahał się i lekko skłonił.

- Nie jestem godny takiego traktowania.

- Jeśli ja mówię, że jesteś, to znaczy, że mam rację - odparł Sienar, patrząc na młodego Krwawego Rzeźbiarza z wystudiowaną powagą.

Ke Daiv skłonił się jeszcze raz i wszedł do sali widokowej. Okna wciąż były zasłonięte. Robot nawigacyjny ocenił, że pozostają jeszcze w nadprzestrzeni cztery lub pięć godzin, po czym wrócą do normalnego wymiaru.

- Proszę, usiądź - nalegał Sienar. Wolał zachować rozkazujący ton na inny moment. Czuł, że Ke Daiv stanie się bardziej wrażliwy, kiedy już dowie się coś niecoś o całej sytuacji i o Sienarze.

Ke Daiv powoli zgiął potrójne stawy i ukląkł przy stole z kryształowym blatem. Nie chciał siadać na kanapie.

- Czy dobrze cię traktowano na pokładzie „Admirała Korvina”? - zapytał Sienar.

Ke Daiv nie odpowiedział

- Trochę się o twoje dobre samopoczucie - dorzucił komandor.

- Karmią mnie pokarmem, którego potrzebuję, dają mi spokój w mojej małej kwarterze. Nie jestem członkiem załogi, więc trzymają się z daleka, a mnie to odpowiada.

- Rozumiem. Kryjesz się za ścianą, czy tak?

- Nie bardziej niż na Coruscant. W tej części galaktyki nie ma nas zbyt wielu. Musimy dopiero zaznaczyć swoją obecność.

- Podziwiam wasz lud i mam nadzieję, że możemy wymienić informacje użyteczne dla obu stron.

Ke Daiv powoli odwrócił głowę i ściągnął szerokie fałdy nosowe, co nadało jego twarzy nieprzyjemnie ostry wygląd. Odwrócił się i spojrzał na przyczajonego w kącie robota E-5. Robot obrócił szeroką, płaską głowę w ich kierunku. Czerwone oczy jarzyły się jak węgle. Automat lekko zmienił pozycję, aby patrzeć prosto na Krwawego Rzeźbiarza.

- Wierzysz we wszystko, co ci powiedziano o tej misji? - zapytał Sienar.

Ke Daiv zwrócił ku niemu jedno oko, drugiego nie spuszczał z E-5.

- Niewiele mi mówili. Wiem, że mi nie ufacie.

- W tym jednym punkcie jesteśmy sobie równi - odparł Sienar. - I w żadnym innym. Wciąż jestem komandorem. Twoim dowódcą.

- Po co mi o tym przypominasz, jeśli jesteś taki pewien? - bez ogródek spytał Ke Daiv.

Sienar uśmiechnął się i uniósł dłonie.

- Może jesteśmy sobie równi także pod innymi względami. Ty masz wątpliwości, ja mam wątpliwości. Niewiele wiesz o mnie i o tym, co chowam w zanadru. Albo i nic.

Stawy Ke Daiva skrzypnęły lekko, gdy odwracał się od E-5. Robot go nie przerażał.

- Co chcesz wiedzieć?

- Rozumiem, że masz kontrakt z Tarkinem.

- Nie możesz rozumieć tego, czego nie wiesz, a tego akurat wiedzieć nie możesz.

- Trochę więcej szacunku - mruknął gniewie Sienar.

- Komandorze - dodał Ke Daiv, znowu potrząsając stawami ramion.

- Opowiedz mi o waszej umowie.

- Nie boję się śmierci. Jestem w niełasce u mojej rodziny, a śmierci nie trzeba się bać.

- Nie mam zamiaru cię zabijać ani pozwolić ci umrzeć - wyjaśnił Sienar. - Ten robot jest tu na wypadek, gdybyś ty zamierzał mnie zabić. Jest pod moją całkowitą kontrolą.

- A dlaczego ktoś chciałby cię zabijać? Jesteś komandorem.

- Co za tupet! - zdumiał się Sienar. - Prawie cię podziwiam. A teraz zadam ci parę pytań, a ty będziesz odpowiadał.

- Twoje słowa świadczą o słabości.

- Wręcz przeciwnie, o uprzejmości. Tak zostałem wychowany, a twoje zachowanie świadczy, że nic o mnie nie wiesz. To jest właśnie twoja słabość, Ke Daivie.

Ke Daiv zamilkł i wbił wzrok w zamknięte okno.

- Masz i inne słabości. Twój kontrakt z Tarkinem to wszystko, na co cię stać, bo nie byłeś w stanie zabić Jedi.

- Dwóch Jedi - poprawił Ke Daiv.

- Klęska całkiem zrozumiała, ale i tak przyniosłeś hańbę swoim przełożonym i zapewne swojemu klanowi. Czy masz nadzieję zrehabilitować się wypełniając tę misję?

- Zawsze mam nadzieję na sukces.
Sienar skinął głową.
- Ciężko jest zabić Jedi, Ke Daivie. Są silni, mają honor i szacunek dla wszelkich żywych istot. Dlaczego chciałeś ich śmierci?
- W mojej rodzinie straciłem honor, to wszystko, co mogę powiedzieć - odparł Ke Daiv.
- Zanim wyjechałem, popytałem się tu i ówdzie. Odkryłem, że w rejestrze genealogicznym Krwawych Rzeźbiarzy na Coruscant figurujesz jako „przedłużony”. Jak rozumiem, ma to być czymś w rodzaju ostatecznej próby. Czy to prawda?
- Prawda.
- Opowiedz, jak to się stało. To rozkaz.
- Nie wolno mi - odparł Ke Daiv.
- Jeśli nie usłuchasz mojego rozkazu, mogę kazać cię rozstrzelać... zgodnie z zasadami panującymi w Federacji Handlowej, których nasi oficerowie wciąż przestrzegają. Pozbawi cię to wszelkich możliwości odkupienia winy i znajdziesz się na liście tych, których po wsze czasy wykluczono ze Sztuki Ponad Śmiercią. Taki jest finał życia kanonu wiary Krwawych Rzeźbiarzy... pełna chwały idea życia po śmierci. Nie chciałbym ingerować w ten system.
Głowa Ke Daiva schyliła się lekko, jakby pod brzemieniem troski.
- Skontaktowałeś się z moim klanem - szepnął. - Sprowadziłeś na mnie wstyd, którego nie będę mógł zatrzeć.
- Nie, nie kontaktowałem się z twoim klanem. Szanuję Krwawych Rzeźbiarzy i ich obyczaje, a ty i bez tego masz dość problemów. Proszę cię tylko, żebyś uważnie wysłuchał, co mam ci do powiedzenia.
Ke Daiv poniósł głowę i z pokorą złożył płaty nosowe wzdłuż policzków.
- Poszedłeś za swoją zdobyczą na samo dno wysypiska śmieci Wicko i, co znacznie trudniejsze, przeżyłeś spotkanie z robactwem, które gnieździ się w śmieciach. Wydostałeś się, choć praktycznie nie miałeś na to szans, i doniosłeś o swojej klęsce. Taka dzielność godna jest każdego wojownika klanu, a twoje zaangażowanie w wykonanie zadania przewyższa wszystko, o czym słyszałem na Coruscant przez wiele ostatnich dziesięcioleci. Powiadają jednak, że...
Sienar zawahał się, jakbyś chciał dodać swoim słowom dramatyzmu i z niedowierzaniem potrząsnął głową.
- Powiadają że w przyszłości w Republice nie będzie miejsca dla istot twojego gatunku. Nie będzie w niej miejsca dla żadnych istot oprócz ludzi. Nigdy się nie zgodzę z takimi planami, a ty?
Ke Daiv uważnie spojrzał na Raitha Sienara.
- Czy to prawda?
- Tak mi powiedział mój stary przyjaciel i kolega szkolny. Wydaje mi się, że wie, co mówi.
- Tarkin?
Sienar skinął głową, zniżył głos do najbardziej przekonującego szeptu, wyćwiczonego przez wiele lat dyskusji z agentami i kupcami:

- Przeanalizuj swoje wspomnienia o Tarkinie i zaprzecz, jeśli zdołasz.
Ke Daiv przytknął oczy, po chwili otworzył je znowu, ale nic nie powiedział.
- Porozmawiajmy jeszcze przez chwilę - zaproponował Sienar. - Może uda nam się wypracować jakiś plan, z którym obaj się zgodzimy.
Oczywiście, najwięcej do powiedzenia miał sam Sienar.

ROZDZIAŁ

25

Potężne drzwi z kamienia i laminy rozsunęły się znowu, z szelestem nie głośniejszym niż cichy szmer prądu dochodzący z otwartego pomieszczenia za nimi. Odświętany tłum wycofał się na obrzeża ogromnej sali. Przy drzwiach pozostała tylko Shekla Farris. Po chwili dołączył do niej Gann.

Zajrzeli ciekawie do wielkiej, okrągłej sali. Kolczaste kule znów spokojnie oblepiały ściany, nieruchome jak kamień, z którego zwisały. Na dnie kuli, nieco poniżej poziomu drzwi, wznosiła się wysoka na dwa metry sterta śmieci.

Przez tłum przebiegło ciche westchnienie.

Farris zawołała ich po nazwisku.

Obi-Wan Kenobi wstał pierwszy, szybkimi ruchami obmacując ciało. Przyłgnęły do niego trzy kolczaste kule, jedna na piersi i po jednej na każdym ramieniu. Trzymały się mocno, a on nie próbował ich usunąć, choć miał na to wielką ochotę. Spojrzał w dół, na stos kolców i skorup, zaścielających dno miski - dzieło zniszczenia spowodowane przez przerażającą kaskadę - i dostrzegł ludzkie ramię, wystające spod najgrubszej warstwy śmieci. Stęknął cicho, pochylił się, chwycił dłoń Anakina i wyswobodził go jednym ruchem.

Anakin od stóp do głowy pokryty był kolczastymi kulami. Obi-Wan naliczył ich dwanaście. Puls chłopca bił mocno, ale Anakin najwyraźniej wprowadził się w lekki trans, aby zachować więcej tlenu i uniknąć wstrząsu, jaki mógłby spowodować uraz fizyczny. Oczy miał zamknięte.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Farris. - Nic mu nie jest? Nigdy w życiu nie widzieliśmy czegoś takiego!

Gann zbiegł po rampie na dno komory i pomógł Obi-Wanowi przenieść oblepione kulami, bezwładne ciało chłopca przez drzwi. Położyli go na poduszce przyniesionej przez dwie młode akolitki. Wszyscy uważali, żeby nie poruszyć nasion-partnerów. Widząc ich, tłum zaczął mruzczyć krótkie, przypominające modlitwę wersety:

- Wielka jest Potęga, wielkie jest życie Sekot! Wszyscy służą i wszyscy są obsłużeni, i wszyscy wracają do Potęgi!

Obi-Wan starannie ukrywał niepokój i gniew. Miał ochotę wydobyć miecz świetlny i zadać kilka, a może nawet więcej niż kilka brutalnych pytań.

- Wiedziałaś, że tak będzie? - zapytał Sheeklą Farris przez zaciśnięte zęby.

Jej oczy wyrażały lęk.

- Nie! Czy on żyje?

- Żyje. Czy one czerpią z nas pożywienie? - delikatnie sięgnął dłonią do kolczastej kuli, którą sam miał na piersi. Kula przekłuła jednym kolcem tunikę i płaszcz i dotykała jego piersi. Nie czuł skaleczenia, miał tylko nieprzyjemne wrażenie przylegania

- Nie - zaprzeczył Gann, przyklękając obok Anakina. - One nie wysysają z was krwi. Ależ ich dużo! To największa liczba partnerów, jaką kiedykolwiek widziałem na kliencie...

- Zwykle przyczepiają się trzy - wpadła mu w słowo Farris i zaraz dodała: - Ty masz tyle ile trzeba, ale twój uczeń musi być naprawdę niezwykłym młodym człowiekiem.

- Co je do tego skłoniło? - zastanawiał się głośno Gann.

Powieki Anakina zatrzępotały, otworzyły się i chłopiec spojrział na Obi-Wana bez śladu zdenerwowania. Jakimś cudem udawało mu się zachować całkowity spokój nawet w obliczu największego niebezpieczeństwa.

- Nie jesteś ranny - zapewnił go Obi-Wan. - Przyczepiają się, ale nie ranią.

- Wiem - odrzekł Anakin. - Są przyjazne. I tyle z nich chciało połączyć się z nami... wszystkie naraz!

Obi-Wan odwrócił się do Farris.

- Unikasza prawdy - powiedział.

Gann zrobił minę winowajcy, ale Farris potrząsnęła głową i poleciła pomocnikom zanieść chłopca do pomieszczenia dla tych, którzy już zostali wybrani. Dwie dziewczyny, nieco starsze od Anakina, pomogły mu wstać, starannie unikając dotykania kolczastych kul. Cała grupa ruszyła w kierunku wąskich drzwi w rogu pokoju. Anakin uśmiechnął się do dziewcząt niepewnie.

Wszyscy w tłumie odwrócili głowy w ich stronę. Odprowadzali ich wzrokiem, dopóki drzwi się za nimi nie zamknęły.

Kamienne ściany niskiego i znacznie mniejszego pokoju miały tylko jedno okno, przez które widać było skrawek nieba i purpurowo-zieloną roślinność na zewnątrz.

- Muszę coś sprawdzić... - mruknęła Farris. Poprowadziła ich w kierunku niskiego stołu oświetlonego wielką lampą.

Farris i Gann wyjęli z szafki mosiężne i stalowe instrumenty. Najpierw zmierzli kule, które przyłgnęły do Anakina, po czym nacisnęły przylegające kolce, aż puściły z dźwiękiem przypominającym westchnienie. Każda kula została umieszczona w oddzielnej skrzynce z laminy, a pomocnicy oznaczyli pudełka etykietami z emblematem koła. Nasion-partnerów zdjęte z Obi-Wana umieścili w skrzynkach oznaczonych kwadratami.

- Będzie statek, będzie wspaniały, solidny statek. Tak myślę - szepnęła Shekla porównując pomiary z wykresem na zwoju przymocowanym do krawędzi stołu. Przez chwilę porozumiewała się z Gannem przyciszonym szeptem.

- Trzy z tych nasion-partnerów wybrały już kiedyś klienta - oznajmiła Farris, kiedy zakończyli szeptaną konferencję. - Jeden z nich tym razem wybrał ciebie, Obi-Wanie. Dwa wybrały ciebie, Anakinie.

- Do kogo należały przedtem? - zapytał Obi-Wan.
 - Nie ujawniamy nazwisk naszych klientów - odparł Gann.
 - To prawda - przytaknęła Farris. - Nie chcemy oszukiwać, ale...
 - Ten klient nie pozostał z nami na tyle długo, by wyhodować statek - wyjaśnił Gann, wymieniając z Farris przeciągłe spojrzenie. - Nasiona-partnerzy wrócili do Potęgi.
 - Wybaczcie nam - powiedziała Sheekla Farris. - Musimy porozmawiać na osobności. Pozostawimy was tu na kilka minut. Proszę, odpocznijcie, odprężcie się. Pomocnicy zaraz przyniosą posiłek i napoje.

- To bardzo dobrze - ucieszył się Anakin. Podniósł ramiona, zaplatając dłonie za głowę. Chłopak zaśmiał się głośno, widząc, że Gann i Farris wychodzą przez wąskie drzwi. Dziewczęta zachowały powagę.

- Chyba się dobrze bawisz - zauważył Obi-Wan.
 - Cieszę się, że żyję - wyjaśnił Anakin. - I mam ich więcej od ciebie - dodał. - Więcej nawet niż Vergere.

Obi-Wan przycisnął palec do warg chłopca - lepiej nie wymawiać imienia Vergere.
 - Nie wiemy, czy to właśnie o niej mówili.
 - Na pewno! - zaprotestował Anakin. - A o kim innym?
 Obi-Wan udał, że nie słyszy. Podejrzewał zresztą, że chłopak ma rację.
 - W każdym razie skąd wiesz, że im więcej, tym lepiej? - zapytał ostrzegawczo.
 - Zawsze tak jest - odparł chłopak.

W chłodnym zaciszu pokoju zjedli skromny posiłek: cienkie brązowe placki podane na rzeźbionych kamiennych talerzach. Popili chłodną wodą przyniesioną w pokrytych rosą ceramicznych dzbanach. Kubki były z zielonej, poprzecinanej czerwonymi żyłkami laminy, a woda miała krystaliczny smak, odrobinę słodkawą. Anakin wydawał się zadowolony, wręcz szczęśliwy. Zerkał na Obi-Wana, jakby spodziewał się, że mistrz w każdej chwili może zgasić płomyk jego radości.

Obi-Wan powstrzymywał się na razie od wyciągania wniosków, jak im poszło i czy udało im się poczynić jakieś postępy.

Po dziesięciu minutach Gann wrócił sam. Na widok jego skwaszonej miny Anakin posmutniał.

- Jest pewien kłopot - powiedział Gann. - Magister uważa, że nie powinniśmy rozpoczynać projektowania i przetwarzania, dopóki się z wami nie spotka.

- Czy to źle, czy dobrze? - zainteresował się Anakin. - Będziemy wreszcie budować ten statek?

- Nie wiem - odparł Gann. - On rzadko spotyka się z kimkolwiek.
 - Kiedy tu przybędzie?

- To wy pójdziecie do niego - surowo upomniął go Gann, wznosząc oczy ku niebu, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. - Pójdziecie wtedy, gdy Magister uzna to za stosowne - spojrzał na nich spod grubych, zrosniętych brwi. - Będziemy trzymać wasze nasiona-partnerów w gotowości, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, kiedy już wrócicie, rozpoczniemy projektowanie, potem konwersję, a następnie ogrzewanie i formowanie.

ROZDZIAŁ

26

Kapitan Kett grzecznie powitał dowódcę, który pojawił się na pokładzie nawigacyjnym „Admirała Korvina”.

- Zbliżamy się do wyjścia - oznajmił.
 Sienar z roztargnieniem skinął głową.
 Pokrywy iluminatorów rozsunęły się na boki i komandor odwrócił wzrok od wirującego smugami gwiazd obrazu.
 - Powrót w oznaczonym punkcie - wymamrotał.
 - Według rozkazu, sir - przytaknął Kett.

- Na ile sprawne są układy kopiujące na tym statku, kapitanie Kett? - zapytał Sienar.

- Nasz zestaw astromechów wystarczy, aby przeprowadzić prawie wszystkie drobne naprawy i większość głównych w czasie podróży.

E-5 całkiem nieźle radził sobie z nowymi umiejętnościami. A Krwawy Rzeźbiarz przychylnie reagował na nowe perspektywy. Wszystko układało się doskonale, przynajmniej na razie, ale zostało jeszcze wiele do zrobienia.

Sienar wyjął pudełko pełne kart danych.
 - Chciałbym, żeby zastosowano te programy do urządzeń warsztatowych statku i wprowadzono je do wszystkich robotów bojowych. Program skopiowany z tych kart danych ma być uruchomiony w każdym urządzeniu po kolei. Zastąpi całe poprzednie oprogramowanie. Bez wyjątku, kapitanie Kett. Oczywiście sam przeprowadzę testy sprawdzające.

Uprzejmy uśmiech zniknął z twarzy Ketta.
 - To niedozwolone, sir - powiedział powoli. - To sprzeczne z polityką Federacji Handlowej.

Sienar powitał ten przyływ zdyscyplinowania pobłażliwym uśmiechem.
 - Kiedy wrócimy, nasza broń zostanie przekazana Republice. To oprogramowanie odpowiada wszelkim normom Republiki i będzie reagowało na sterowanie bez większych problemów, jeśli zastosuje się niewielkie zmiany. Nie można tego powiedzieć o obecnych programach.

- Przeprowadzenie takiej zamiany nie leży w zasięgu moich możliwości - odparł sztywno Kett.

- Mam instrukcje od samego Tarkina. Bardzo jasne instrukcje - spokojnie tłumaczył Sienar. Wiedział, że jako dowódca i dysponując z poparciem Tarkina, może wydać taki rozkaz, zwłaszcza teraz, kiedy zdobył już pewną kontrolę nad Ke Daivem. Mógł już się nie bać, że padnie ofiarą nieszczęśliwego wypadku, jeśli przypadkiem zrobi coś nie tak jak trzeba.

Robot Baktoid-5 wyszedł z turbowindy zaskakująco lekkim krokiem i wdrapał się na mostek statku flagowego. Stał pod pokładem nawigacyjnym, dokładnie widoczny dla wszystkich, którzy znajdowali się na mostku. Nie było mowy o żadnej groźbie, chodziło tylko o demonstrację nowych zasad gry. W zwykłych warunkach robot zostałby uruchomiony dopiero przed bitwą.

Kett obserwował maszynę z wyraźnym niepokojem.

- Zrozumiałem, sir - wycedził.

- I pokażcie mi statystykę napraw dokonanych przez astromechy oraz raporty z warsztatów, jak tylko skończycie pracę - polecił Sienar stanowczo.

Kett przyglądał mu się przez kilka sekund, zdumiony przemianą swojego dowódcy.

Sienar udawał, że go nie widzi. Wpatrywał się w iluminator.

- Powrót - oznajmił oficer kontrolujący hipernapęd.

- Normalna przestrzeń! - zawołał kapitan Kett, kiedy gwiazdy przyjęły normalną perspektywę, a przestrzeń i czas wróciły do poprzedniego stanu.

- Najwyższy czas - westchnął komandor. Pchnął dźwignię i pokład nawigacyjny przesunął się na szynie w kierunku ogromnego okna, aż roztaczający się przez nie widok wypełnił całe pole widzenia.

Sienar zachwyciłby się pewnie faktem, że znów ma przed sobą dobrze znane niebo, ale to, co widział teraz, naprawdę robiło wrażenie. Rozwijająca się spirala pyłów czerwonego giganta i białego karła wypełniła jego oczy hipnotyzującym światłem. W każdej innej części Republiki system ten przyciągałby miliony bogatych turystów, ale w tym zakątku wszechświata, odwiedzający go piloci mogli się liczyć najwyżej na tyśiące. Taki widok był rzadkim przywilejem.

Teraz, kiedy wprowadził do systemów obronnych subtelną myśl twórczą, mógł w spokoju rozkoszować się niecodziennym zjawiskiem.

- Planeta docelowa jest w zasięgu wzroku. Wchodzimy właśnie na stacjonarną orbitę wokół jej żółtego słońca, komendancie - wyjaśnił Kett. - Nie zbliżymy się bardziej, dopóki pan nie rozkaże.

Kett nie miał ochoty opuszczać mostku. Cały czas zastanawiał się, na ile jeszcze może sobie pozwolić. Sienarowi nie przeszkadzało niezależne myślenie, ale do pewnych granic.

- Teraz możesz wykonać instrukcje - Sienar wskazał palcem na rufę.

- Tak jest, sir. - Kett pospieszył do turbowindy, czując między łopatkami nieruchome spojrzenie paciorkowatych, głęboko osadzonych oczu robota E-5.

ROZDZIAŁ

27

Sekotański transporter powietrzny wioził ich na południe nad najdziwniejszą okolicą, jaką Obi-Wan widział kiedykolwiek. Mały, płaski pojazd leciał na wysokości około tysiąca metrów, zwinnie i z oszałamiającą prędkością przeskakując wysokie, grubopienne drzewa bora, pokryte lekkimi jak balony liśćmi, które łopotały i wirowały w ruchu powietrza spowodowanym ich przelotem.

- Myślę, że tubylcy z tych liści robią swoje statki powietrzne - mruknął Anakin, wyglądając przez tylną część owiewki, która otaczała cały pojazd.

Obi-Wan, pogrążony w zadumie, skinął głową. Jeśli nasiona-partnerzy czuły skłonność do Jedi, należało się nad tym poważnie zastanowić. Tylko organizmy władające Mocą są w stanie wykryć Jedi. Coraz wyraźniej było widać, że organizmy zamieszkujące świat Sekot -jak Gann nazywał tę jedność wszystkich form życia - były bardzo szczególne... i bardzo wyraźnie zainteresowane jego padawanem.

- To naprawdę piękne - szepnął Anakin. - Powietrze pachnie cudownie, a dżungla jest po prostu bombowa.

- Nie przyzwyczajaj się za bardzo - ostrzegł go Obi-Wan.

- Nigdy nie byłem w takim miejscu.

- Przypomnij sobie, jakie uczucia budził w tobie Sekot przedtem...

- Pamiętam - zapewnił Anakin.

- Wspominałeś o jednej fali ogarniającej teraźniejszość i przyszłość.

- Aha - mruknął Anakin i wskazał głową na drzwi oddzielające ich od pilota.

Obi-Wan podniósł rękę.

- Nie słyszy naszej rozmowy. Musimy przeanalizować to, co już wiemy, zanim damy się w to głębiej wciągnąć.

- To wrażenie fali przychodzi i odchodzi. Może się pomyliłem.

- Nie pomyliłeś się. Teraz i ja to czuję. Coś zbliża się ku nam, coś bardzo niebezpiecznego.

Anakin ze smutkiem potrzęsł głową.

- Mam nadzieję, że nic się nie stanie, zanim nie zbudują naszego statku.

Obi-Wan spojrzał na niego z przyganą.

- Obawiam się, że tracisz właściwą perspektywę.

- Przybyliśmy tutaj po statek - szepnął Anakin drżącym głosem - a także dowiedzieć się, co się stało z Vergere. Ona nie zdobyła statku, więc my tym bardziej musimy tego dokonać. To wszystko. -Skrzyżował ramiona na piersi.

Obi-Wan pozwolił, aby przez jakiś czas panowało milczenie, aż wreszcie zapytał sztucznie obojętnym tonem:

- Co ten statek znaczy dla ciebie?

- Statek, który sam wybiera potrzebną prędkość... Niech mnie! -jęknął Anakin. - Byłby moim najlepszym przyjacielem.

- Właśnie tak myślałem mruknął Obi-Wan.

- Ale nie będzie mi przeszkadzał w szkoleniu - zapewnił go chłopak.

I znów Obi-Wan poczuł, że traci kontrolę nad sytuacją. Zanim Anakin został jego uczniem, Qui-Gon zachęcał chłopca, żeby zachowywał się w sposób, który Obi-Wanowi nie bardzo się podobał. A teraz Rada i Thracia Cho Leem przysłali ich tu, na tę planetę, aby znów kusić Anakina w wyjątkowo nieodpowiedni - według Obi-Wana - sposób.

- Idziemy tam, gdzie prowadzi nas Moc -szepnął łagodnie Anakin, wyczuwając kierunek, w którym podążały myśli jego mistrza. -Nie wiem, czy możemy zrobić coś jeszcze oprócz obserwacji i akceptacji.

- A potem przyjdzie pora na działania - dodał Obi-Wan. -Musimy być przygotowani, żeby pójść drogą jaką nam wytyczono, i otworzyć się na nieoczekiwane. Moc nie jest niczym niafką.

- Będę wiedział wcześniej, gdyby coś miało się zdarzyć - odparł Anakin z pełnym ufności spokojem. - Podoba mi się ta planeta. A tutejsze żywe istoty lubią mnie. Nie wyczuwasz, że coś nas strzeże?

Obi-Wan rzeczywiście tak czuł, ale to wrażenie nie było zbyt krzepiące. Nie miał pojęcia, kto lub co mogło wywierać na nich tak ogromny wpływ - zwłaszcza na jego młodego padawana.

Podróż trwała jeszcze prawie godzinę. Anakin spojrzał na wschód i wskazał palcem wielką brunatną wyrwę w zielonym krajobrazie, ciągnącą się aż po horyzont. Obi-Wan widział ją już przez chwilę z przestrzeni - tę samą albo bardzo podobną. Charza Kwinn sprowadził ich jednak na dół, zanim zdążyli zatoczyć pełny krąg wokół planety.

W tym miejscu wydarto ziemię do litej skały. Bogaty w rudę żelaza czerwony łuppek otwierał się niby brzegi rany pod czarnymi rumowiskami bazaltu.

- Kto to zrobił? - zapytał Anakin.

- Nie dawniej niż kilka miesięcy temu - mruknął Obi-Wan. Cienkie białe nitki wospadów spływały czerwonym klifem do otwartej szczeliny. - Wygląda jak blizna po bitwie.

Pojazd skręcił i skierował się wprost na południe, lecąc środkiem monotonnej szarości. Pod nimi kłębiły się i wzdymały nie kończące się pióropusze grubej warstwy chmur.

Anakin okręcił się wokół siebie.

- Patrz! - zawołał podniecony, pokazując palcem na prawo. Kierowali się teraz na północny zachód, w stronę najeżonej skałami, lśniącej czerwono góry, wznoszącej się

wysoko nad warstwę chmur. Jej strome zbocza były prawie pozbawione sekotańskiej roślinności, a płaski szczyt pokrywał śnieg. Wglądała jak stary i mocno zerodowany wulkan.

- Za trzy minuty będziemy w domu Magistra - oznajmił pilot. - Mam nadzieję, że miło wam się drzymało.

Anakin uśmiechnął się do Obi-Wana.

- Całkiem niezłe wypocząłem! - oznajmił.

Schylili się znowu, żeby przejść przez luk transportera, i znaleźli się na płaskim polu pokruszonej lawy. O kilka metrów dalej ciągnęła się równa kamienna ścieżka wiodąca do wspaniałego warownego zamku, składającego się ze spadzistych bloków opartych na jednej przysadzistej centralnej wieży. Za zamkiem po czterech wulkanicznych tarasach spływała pomarańczowo zabarwiona woda. Powietrze przesycone było oddechem z czeluści Zonamy - siarkowodorem, od czasu do czasu rozwiewanym przez świeża, południową bryzę.

Każdy z bloków skalnych otaczających wieżę mógł mieć z dziesięć metrów wysokości i pięćdziesiąt szerokości. W ścianach tkwiły liczne okna o szybach lśniących w świetle zachodzącego słońca wszystkimi kolorami tęczy. Na wzgórzu rosło trochę pnączy grubych jak ludzkie ramię, rozrzuconych beładnie pośród kamieni. Pięły się wokół skamieniałych fontann i tarasów jak czerwone i zielone nici.

- Magister mieszka z dala od swych poddanych - zauważył Obi-Wan. Otarł ręce o brzeg tuniki, a potem dotknął podbródka. Jego oczy czujnie przeczesywały horyzont. - I ma bardzo niewiele służby.

Sądząc po przepływających po niebie strzępach obłoków i ciemnej masie chmur widocznej na południu, znajdowali się około tysiąca kilometrów poniżej równika.

- Ciekawe zwyczaje. Wydaje się, że wolą mieć klientów niedoinformowanych i zdezorientowanych.

- Przynajmniej nie sprawdzili, czy nie mamy broni - zauważył Anakin.

- Są pewni, że sprawdzili - spokojnie poinformował Obi-Wan.

- Zrobiłeś to... bez mojej wiedzy? - Chłopiec był wyraźnie zdumiony.

Obi-Wan uśmiechnął się.

- Wciąż mnie zaskakujesz, mistrzu - szepnął Anakin z podziwem. - Ale tego właśnie uczeń powinien oczekiwać od swojego nauczyciela.

Obi-Wan uniósł brew.

- Świetna z nas drużyna, co? - zawołał chłopiec i radośnie wyszczerzył zęby. Na samą myśl o czekającej go przygodzie zarumienił się z emocji.

- Rzeczywiście - zgodził się Obi-Wan.

- Cieszę się, że tu jesteś. Cieszę się, że jesteś moim mistrzem, Obi-Wanie - wyznał Anakin. Zadrzał lekko. Teraz i on otarł dłonie o tunikę, uniósł je wysoko i rozejrzał się wokoło. Już parę lat temu Obi-Wan się przekonał, że Anakin w chwilach podniecenia i niepewności chętnie naśladuje zachowanie innych.

Padawan podniósł wzrok na gorejący wir plazmy rozwijający się wokół odległego układu podwójnej gwiazdy, częściowo przesłonięty smugami wysokich chmur. Słońce

Zonamy znajdowało się tuż nad horyzontem, zmieniając otaczające je niebo w płonący kobierzec, niczym nie ustępujący pięknem astronomicznemu spektaklowi w górze.

- Jest tu. Zbliża się.

- Widzisz go teraz wyraźnie?

- To czas próby. Dla mnie.

- Boisz się? - zapytał Obi-Wan.

Anakin potrząsnął głową ale nie odrywał wzroku od czerwono-pomarańczowego nieba.

- Obawiam się własnej reakcji. Co będzie, jeśli nie okażą się wystarczająco dobry?

- Wierzę w ciebie.

- A co, jeśli Magister nas odprawi?

- To... chyba całkiem oddzielna kwestia, nie sądzisz?

- Aha - mruknął Anakin, ale z dziecinnym uporem wciąż powracał do tematu, który w tej chwili wydawał mu się najważniejszy na świecie. - A co będzie, jeśli Magister nie pozwoli nam zbudować statku?

- Wtedy dowiemy się czegoś nowego - cierpliwie odparł Obi-Wan. Tytuł Magistra sugerował osobę wybitnie mądrą dostojną i wzniosłą ale choć bardzo dokładnie rozglądał się po otoczeniu, nie dostrzegł nigdzie śladu tak imponującej istoty.

Może Zonamanie potrafią się maskować. Mistrzowie Jedi też opanowali tę umiejętność - nie można ich było wykryć nawet z bliska. Samemu Obi-Wanowi nieraz udało się ukryć swoją obecność przed wzrokiem osoby tak spostrzegawczej jak Mace Windu, ale nigdy nie był z góry pewien rezultatu.

Czy miało to znaczyć, że ten, kto tu mieszka, potrafi przez tak długo oszukiwać dwóch Jedi?

Lampy jarzeniowe zawieszono wzdłuż drogi zapłonęły, oświetlając drogę wiodącą do najniższej położonego i najbliższego z bloków siedziby Magistra. Na końcu ścieżki pojawiła się drobna postać i ruszyła w ich stronę z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Była to dziewczynka nieco wyższa od Anakina, ale w jego wieku, ubrana w długą sekotańską szatę. Do widoku takich strojów zdążyli się przyzwyczaić. Szata wirowała wokół kostek dziewczynki, jakby obdarzona własnym, niespokojnym życiem.

Anakin cofnął się na jej widok.

- Witajcie! Nazywam się Wiatr - powiedziała. Miała długie włosy, ciemne jak kamienie na ścieżce, mniej więcej w tym samym odcieniu. Czarne źrenice otaczały złociste tęczy. Przyjrzała się Obi-Wanowi z aprobatą, a on złożył jej lekki pokłon. Anakina widocznie uznała za niewartego zainteresowania. Chłopiec ścisnął dłonie w pięści, ale zaraz je rozluźnił. Bardzo nie lubił być ignorowany.

- Mój ojciec się nudzi i chętnie powita każdą rozrywkę- oznajmiła dziewczynka. - Proszę za mną.

- Mam cztery córki i trzech synów. Synowie i dwie córki studiują gdzieś na Zonamie sprawy obronności. Ale kto pomoże nam lepiej niż Jedi?

Magister był drobnym, żylastym człowieczkiem o długiej, wąskiej twarzy i wielkich oczach, takich samych jak oczy jego córki. Włosy jednak miał barwy szarobłękit-

nej, typowej dla Ferran. Nie nosił sekotańskiej odzieży, tylko proste spodnie z gładkiej, beżowej tkaniny produkowanej w Republice i luźno tkaną białą koszulę.

Wyszedł im na spotkanie w holu najwyższego z trzech poziomów tej części pałacu. Wnętrza pomieszczeń, które do tej pory udało im się zobaczyć, urządzone skromnie, wręcz ascetycznie, choć meble były doskonale zaprojektowane i wygodne, prawdopodobnie wykonane poza Zonamą. Obi-Wan nie znał się dobrze na ferrańskim stylu, ale uznał, że wszystkie meble muszą pochodzić z rodzinnego świata Magistra i że zostały tu przywiezione przez pierwszych osadników.

- Moi asystenci w Średnim Zasięgu powiedzieli, że zapłaciliście w aurodium - rzekł Magister. - To dało mi do myślenia. A... wasze doświadczenie z nasionami-partnerami potwierdziło moje przypuszczenia.

Córka przyglądała im się z progu drzwi do małej pracowni Magistra. Tu gospodarzowi najwyraźniej wystarczały biurko i krzesło, ustawione pośrodku pomieszczenia.

Ostatnie przebłyski zachodzącego słońca wpadały przez sferyczne okno, złocąc po drodze skłębione chmury i rozsiewając złoto-pomarańczowy pył po blacie biurka i stose wypisów i czytników.

Pokój czuć było siarczkami ze źródeł na zewnątrz.

- Nie mieliśmy zamiaru się ukrywać - oznajmił Obi-Wan.

- Ale nie przedstawiliście się jako Jedi - zwrócił uwagę Magister. Nerwowo poruszał palcami. - Cóż, nie było potrzeby trzymać tego w tajemnicy. Nie mam nic przeciwko Jedi, ba, zawdzięczam im bardzo wiele. Nie mam także nic przeciwko Republice, której służą ani nic do ukrycia... jeśli nie liczyć całej planety. Mojej planety - zachichotał. - Tylko ją chcę chronić.

Anakin stał rozluźniony i gotowy, niczego nie zakładając z góry, tak jak go nauczono. W chwili pojawienia się Magistra Obi-Wan dyskretnym sygnałem poinformował padawaną, że od tej chwili działają jako Jedi, przedstawiciele zakonu i świątyni, ale nie przechodzą do ofensywy.

Coś było nie w porządku. Coś tu nie pasowało.

- Przybyliśmy tu w innym celu - wyjaśnił Obi-Wan. - Szukamy...

Powietrze w dużym pokoju wydawało się lekko drżeć. Obi-Wan potrząsnął głową. Miał zamiar zadać jakieś pytanie, ale uleciało mu bez śladu z pamięci.

- Nasz sposób życia jest dla mnie bardzo cenny - spokojnie tłumaczył Magister. - Jak widzicie, mamy tu, na Zonamie Sekot, jedyną w swoim rodzaju sytuację. Klienci przybywają tu i odjeżdżają zachowując tylko niewyraźne wspomnienie tego, co widzieli i gdzie byli. - Uśmiechnął się.

- Nie sądzę, aby nasze sztuczki podziałały również na Jedi. No i oczywiście musimy ufać tym, którzy przywożą do nas klientów.

Z drzwi po przeciwnej stronie pokoju wyszła druga dziewczynka. Była identyczna jak pierwsza, w tym samym wieku i tego samego wzrostu, ubrana w taką samą długą zieloną sekotańską suknię.

Anakin przyglądał się jej z zadumą. Podejrzliwość Obi-Wana rosła z minuty na minutę. - Ktoś się tu nami bawi, myślał. Albo nas sprawdza. Albo się ukrywa.

- A jednak cieszę się z waszego przybycia - ciągnął Magister.

- Chciałem... musiałem się z wami spotkać osobiście. Wydajecie się autentyczni... Mistrz i jego uczeń.

- Interesował się pan Jedi?

- Nie - odparł Magister z lekkim grymasem, jakby naszło go nieprzyjemne wspomnienie. - Byłem obiecującym uczniem. Oczywiście zdarzały się trudności, nie zawsze z mojej winy. No, ale to było pięćdziesiąt lat temu.

Obi-Wan oceniał, że stojący przed nim mężczyzna ma nie więcej niż czterdzieści lat. Ale gdzieś głęboko tliło się pytanie: co to za człowiek? Wygląda na fałszywego. Nie, on nie kłamie... ale zachowuje się, jakby nie umiał rozmawiać z ludźmi. Jak marionetka.

Magister podniósł obie dłonie.

- Mam wrażenie, że Sekot polubił was od pierwszego wejrzenia. Wszystko jest jasne. Sekot jest bardzo wrażliwy, a skoro faworyzuje Jedi... Doskonale. Przyjmuję was na klientów. A teraz... proszę mi wybaczyć. Mam bardzo dużo pracy. Mam nadzieję, że podróż do Średniego Zasięgu będzie przyjemna.

Magister uśmiechnął się ciepło do Anakina i wyszedł z pokoju.

- I to wszystko? - zdziwił się Anakin, unosząc brwi. - Nie ma zamiaru nas poddać jakimś próbom? Możemy wracać do domu?

Obi-Wan przycisnął palce do skroni, usiłując oczyścić umysł, ale nie był w stanie otrząsnąć się z iluzji ani też przeniknąć jej, jeśli to iluzja ich otaczała.

Druga córka wyprowadziła ich z kamiennego budynku na ścieżkę, prawie czarną w późnym wieczornym świetle. Nie odzywała się, ledwie racyła na nich spojrzeć.

Obi-Wan miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej, ale opanował się szybko. Nie należy w tym momencie ujawniać swoich podejrzeń.

Podwójna gwiazda i najjaśniejszy zwój spirali leżały nad horyzontem. Rozrzucone po niebie gwiazdy i blade smużki kosmicznego pyłu przeświecały przez cienki welon szybko płynących chmur.

Kiedy dotarli do transportera, owionęła ich wieczorna bryza, słodka i chłodna. Córka Magistra odwróciła się i spokojnym, równym krokiem odeszła w kierunku ciemnej bryły siedziby Magistra.

Było to najdziwniejsze spotkanie w całym życiowym doświadczeniu Obi-Wana. Dziwne, pozbawione sensu, nie wyjaśniające nic. Wiedzieli teraz niewiele więcej niż przed przybyciem tutaj. Próbował sobie przypomnieć każdy szczegół spotkania. Nie starał się nawet skłonić skromnie ubranego człowieczka, aby powiedział im coś jeszcze o sobie czy o Vergere, bo uważał, że postać, z którą rozmawiali, nie była w stanie powiedzieć im nic więcej.

Mężczyzna i jego córki nie byli prawdziwi. Iluzja była jednak na tyle silna, że prawie całkowicie przekonująca. Z doświadczenia Obi-Wana wynikało, że żadna żywa istota - nawet mistrz Jedi - nie potrafi zwiść dwóch Jedi naraz. Co innego ukryć się. Qui-Gon i inni często to robili. Jednakże Rada od dawna podejrzewała, że Sithowie doskonale wiedzieli, jak się ukrywać, by pozostać niezauważonym.

Pomimo wszystko Obi-Wan miał pewność, że to nie jest konspiracja Sithów. Nawet teraz, kiedy miał dość czasu, żeby się nad tym zastanowić, nie było dla niego całkiem jasne, czego byli świadkami.

- Może teraz wreszcie wiemy, dlaczego nazywają go Magistrem - mruknął Anakin półgłosem, gdy wchodzili do transportera. - Może naprawdę nikt go nie odwiedza, bo się nauczył chronić przed intruzami.

Obi-Wan przyłożył palec do warg. Nie wystarczyło skłonić pilota, by nie podsłuchiwał. Teraz cały transporter, jako część Sekot, stawał się podejrzany. Obi-Wan wątpił, czy zdoła skutecznie użyć perswazji i zwodniczych technik Jedi na żywym organizmie stanowiącym cały świat.

Transporter wzniósł się ponad płaskowyż i skierował się na północny wschód, z powrotem do Średniego Zasięgu.

Trafiliśmy na godnego przeciwnika, myślał Obi-Wan. Może to samo przydarzyło się Vergere i teraz jest dla nas nieosiągalna... Całkowicie nieosiągalna.

Zwrócił się swojemu padawanowi i nawiązał z nim kontakt wzrokowy. Poruszył wargami, nie wydając dźwięku:

- Najbliższa przeszłość planety jest dla nas niedostępna - przekazywał mu. - Obserwuj trasę transportera. Pogoda jest spokojna, na drodze nie ma przeszkód, a jednak lecimy zygzakiem. Może omijamy ślady bitwy, jeśli w ogóle była jakaś bitwa. Nie jesteśmy jednak w stanie wszystkich ominąć, wydaje mi się, że ta jest na to za duża.

Anakin zgodził się z mistrzem.

- Ktoś tu coś ukrywa. Dlaczego jednak dali nam możliwość zobaczenia tej szczeliny?

- Magister może przypuszczać, że już ją widzieliśmy z orbity. Po prostu nie chce robić tego zbyt ostentacyjnie - szepnął Obi-Wan z półprzymkniętymi powiekami. - On wierzy, że nie ma się czego bać ze strony Jedi. Może się jednak wstydzi niedawnej słabości, prawie klęski. Cóż, na razie to tylko spekulacje.

- I to jeszcze jakie! - podskoczył Anakin i uderzył się ręką w kolano. - Przynajmniej pozwolą nam budować statek.

Obi-Wana jakoś to nie pocieszyło.

- Jakie kłamstwo mogło tak długo przetrwać? Co mogło sprawić, aby cała planeta poczuła się zagrożona... tu, na krawędzi nicości?

Anakin potrząsnął głową. Takie rozważania przekraczały granice jego doświadczenia.

- Założę się, że tu chodzi o Vergere i o to, po co tu przyjechała - westchnął.

ROZDZIAŁ

28

Nastrój w Średnim Zasięgu był dość minorowy, co zdecydowanie kontrastowało z radosnym festiwalem na otwarciu ceremonii wyboru. Ludzie krzętałi się na tarasach, zajęci własnymi sprawami, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego. Obi-Wan stał na galerii swojego apartamentu i obserwował taniec świateł po drugiej stronie kanionu, wsłuchując się w dźwięk odległych głosów. Trzy nasiona-partnerzy przyłgnęły do niego jak do dawno nie widzianego ojca.

Anakin prawie nie zmrużył oka tej nocy. Jego łóżko było zatłoczone dwunastką stęsknionych nasion-partnerów. Nasiona nie były przyzwyczajone do rozstawania się z klientem tuż po dokonaniu wyboru, więc przeżyły chwilę rozpacz. Pocieszyła je Sheekla Farris, więc szybko przyjdą do siebie. Nasiona pełzały po cienkim kocu, popiskując żałośnie, czasem spadały na podłogę z miękkim plaśnięciem i zaczynały lamentować, żeby je pozbić.

Zaczynały już pękać z jednej strony, ukazując jędrne, białe wnętrza pokryte grubym, puszystym włosem. Kolce po jednej stronie poskręcały się, a wzdłuż szwu rozchodzącej się skorupy zaczęły już więdnąć i odpadać.

Teraz, gdy obaj z Obi-Wanem mieli już za sobą inspekcję Magistra, a przynajmniej Gann tak uważał, dostali klucze do Średniego Zasięgu. Rankiem Gann przyniósł im szaty klientów: czerwono-czarne, wyraźnie odbijające się od zielonego otoczenia. Pozwolono im również korzystać ze skromnej biblioteki w dolinie, mieszczącej się nad pniami jednego ze starożytnych drzew bora.

Niestety, nie zanośli na to, że będą mieli dużo czasu na korzystanie z biblioteki albo na podróżowanie gdziekolwiek po Średnim Zasięgu. Zaczynała się faza projektowania. Sheekla Farris oznajmiła, że jej mąż Shappa będzie im służył pomocą.

Następnie nasiona zostaną połączone i przesłane do tajemniczych sekotańskich fabryk zwanych Jentari, o których do tej pory słyszeli tylko pogłoski. Gann poinformował ich, że Jentari zbudują tylko jeden statek, ale będzie to statek wyjątkowy, aż z piętnastu nasion. „Normalna liczba to trzy lub cztery”, oznajmił z lekką dezaprobatą. Był człowiekiem o ustalonych poglądach, przywiązany do tradycji.

Anakin przyjął swoje obowiązki bez szemrania. Znosił piski, rozsiewanie kolców gdzie popadnie i nieustanne wędrówki nieznośnych towarzyszy, bo wiedział, że jest bliżej niż kiedykolwiek swojego celu - pilotowania najszybszego statku w galaktyce.

Mógłby nawet w ogóle przestać sypiać.

Obi-Wan wyrzwał z pokoju, wlokąc za sobą trzy swoje nasiona, równie wymięty i roztargniony jak jego uczeń. Powitał padawan burknięciem i przeszedł na werandę, gdzie podano śniadanie.

Usiedli w wygodnych krzesłach z laminy i pili słodki sok, którego żaden z nich nie potrafił zidentyfikować. Obi-Wan pociągnął nosem i zauważył:

- Inaczej pachniemy.

- Przygotowują nas do kolejnego etapu - wyjaśnił Anakin. - Jeśli mamy prowadzić nasze nasiona-partnerów, musimy odpowiednio pachnieć.

Obi-Wan nie był szczególnie zadowolony, że ktoś manipuluje jego wewnętrznym metabolizmem, ale reakcja Anakina zmartwiła go jeszcze bardziej.

- Wolałbym, żeby to wszystko było odrobinę mniej tajemnicze - westchnął.

Anakin roześmiał się. Obi-Wan wiedział, że chłopiec z trudem powstrzymuje się od zawołania: „A dlaczego?”. Zamiast tego padawan oznajmił:

- Jestem pewien, że ten zapach minie.

Nasiona-partnerzy uznały ich teraz za nieodparcie pociągających i starały się znaleźć jeszcze bliżej. Niektóre już całkiem straciły starą skorupę i wyloniły się z niej jako blade, spłaszczone kule. Miały po dwie grube, szeroko rozstawione przednie nogi z dwiema czarnymi kropkami oczek pomiędzy nimi i parę mniejszych łapek z tyłu. Wszystkie łapy były wyposażone w trójpalczaste chwytaki, którymi potrafiły nieźle uszczypnąć.

Wczesnym popołudniem, gdy Gann i Sheekla Farris przyszedli po nich, sytuacja była już prawie nie do opanowania. Nasiona-partnerzy rozlały się po całej kwaterze, biegając jak opętane, zwieszały się ze ścian i sufitu, żeby zaraz popędzić z powrotem, dopaść i uściskać Obi-Wana i Anakina. Piszczwały z rozpacz, gdy inne nasiono stanęło im na drodze, co zdarzało się dość często.

Farris na widok tego zamieszania uśmiechnęła się jak matka, która wchodzi do pokoju dziecinnego. Gann przyjął tę sytuację z pewną troską, ponieważ już planował kolejny etap budowy i zastanawiał się, jak przetransportuje tyle nasion-partnerów w sposób w miarę zgodny z rytuałem.

Farris wykpiła jego upór.

- Musimy nagiąć rytuał - rzekła. - Weźmiemy większy statek.

- Ale kolory...!

- Wszyscy będą wiedzieć, o co chodzi, i wszyscy zrozumieją. Gann nie czuł się wcale pocieszony. Wreszcie wziął do ręki komlink i zarządził, żeby pod czarnoczerwony rytualny balon podczepiono większą gondolę.

Anakinowi udało się unieść na sobie wszystkie swoje nasiona-partnerów, choć kilka odpadło w chwili, gdy przechodził przez drzwi. Podreptały za nim, miaucząc i popiskując żałośnie. Obi-Wan ze swoją trójką miał znacznie mniej problemów, choć bez

przerwy łączyły po fałdach jego stroju. Wspiwały się na spodnie i tunikę, żeby na chwilę zatrzymać się na ramieniu lub na głowie i, wbijając mu boleśnie w uszy haczykowate pazury, rozejrzeć się malutkimi oczkami-kropkami.

Obi-Wan wiedział, że można wyrobić sobie opinię o późniejszym charakterze dzieci, obserwując je w zabawie z ulubionymi zwierzakami. Nigdy jeszcze nie widział swojego padawana tak szczęśliwego. Anakin będzie kiedyś cierpliwym, kochającym człowiekiem, myślał, zupełnie innym niż ten zwariowany nicpoń, jakim jest teraz.

Chłopak szeptał coś kojącym głosem do swoich nasion-partnerów. Obi-Wan poszedł za jego przykładem i zdołał wreszcie uspokoić swoje. Sheekla wyjaśniła im, że zanim wsiądą na statek, będą się musieli rozstać jeszcze raz.

Architekt statków, jej mąż Shappa wyznaczył im spotkanie tego dnia rano.

- Polecimy tam już teraz - oznajmiła. - Uważa, że jego czas jest bardzo cenny, ja wolę go nie drażnić, żeby mieć spokój.

- Niech zgadnę - rzucił Anakin z błyskiem w oku. - Większość dnia spędza, myśląc o swoich statkach!

- Myśląc? - prychnęła Sheekla i pociągnęła nosem. - Raczej śniąc. To całe jego życie. Magister naprawdę uszczęśliwił go tą pracą.

Obi-Wan i Anakin szli wąskim chodnikiem pod oknami biura Shappy Farrsa. Pchnęli drzwi z laminy i szkła i weszli do małej, zagraconej pracowni, zawieszanej na krawędzi tarasu nad kanionem. Pomieszczenie było zalane blaskiem porannego słońca.

Shappa Farrs siedział na wysokim stołku pośrodku półkolistej rysownicy, z kaskiem kreślarskim na głowie, i opisywał szerokie łuki repligrafem trzymanym w lewej ręce. Była to jego jedyna ręka; nie miał w ogóle prawego ramienia. Anakin zauważył, że na pozostałej ręce miał tylko dwa palce i kciuk.

- Praca w Jentari musi być niebezpieczna - szepnął do Obi-Wana. Shappa podniósł głowę i przez chwilę rozglądał się po pracowni, jakby próbując zlokalizować dźwięk, choć oczy miał zasłonięte kaskiem. Ukazał w uśmiechu garnitur ogromnych zębów i zdjął kask.

- To nie Jentari - rzekł z krótkim, melodyjnym śmieszkiem. - Kucie i formowanie potrafi pozbawić cię paru członków. Kowale i formierzy nigdy nie uczyli mnie, jak korzystać z narzędzi. No i teraz tak wyglądam. Już mnie nie dopuszczają do kadzi, boją się, że stracę nogę albo głowę. - Wstał i uklonił się nisko. - Witajcie w moim królestwie. Czy wymyślimy dziś coś pięknego i jedyne w swoim rodzaju?

Shappa Farrs był niski, smukły i nieskazitelnie czysto ubrany. Miał wąską płaską twarz z nosem ledwie wystającym pomiędzy wydatnych kości policzkowych. Włosy już mu prawie poczerniały ze starości. Wyszedł zza stołu i obserwował Jedi z dziecinnie rozbawionym wyrazem twarzy.

Dostrzegł Sheekłę, która przystanąła za drzwiami, rozmawiając z Gannem, i szybko pochylił się do przodu, wyciągając szyję. Zamachał jedynym ramieniem i zaskrzeczał ostro:

- Skradasz się, najdroższa?

- Przestań - mruknęła Sheekla, wchodząc do pokoju. Miała niewesołą minę. - Pomyślą że zwariowałeś. Wiecie co, jemu czasami naprawdę odbija. Kompletnie.

. Gann niechętnie powlókł się za nią jakby wchodził do sklepu z damską bielizną.

- Zna mnie, a jednak nie przestaje kochać - radośnie oświadczył Shappa. - W jej sercu jestem wart tyle, co dwóch chłopców zdrowych na ciele i umyśle. Nawet jeśli mi tego i owego brakuje. A Gann... mój jedyny kontakt ze wszystkim, co praktyczne i życiowe na Zonamie Sekot! Taki wstydlivy! Tak się boi mrocznych sekretów sekotańskiego życia! Dla niego to jak zaglądać w łono matki.

Twarz Ganna wydłużyła się, ale przemilczał uwagę.

- Wchodźcie, wchodźcie - gruchał Shappa. - Witam wszystkich.

Stół był zarzucony stosami flimsiplastu i starożytnych dysków informacyjnych. Na Coruscant nie widziano ich od stuleci, chyba że w muzeum. Shappa obejrzał się najpierw na Anakina, potem na Obi-Wana.

- Ty płacisz, on lata, mam rację? - zapytał.

- Razem kupujemy ten statek - sprostował Obi-Wan. - Ale latać będzie on.

- Założę się, że wasze nasiona-partnerzy już z niecierpliwości ogryzają tapicerkę w poczekalni - zaśmiał się Shappa. - Nie, nie mogę ich tu wpuścić, bo lubią jeść flimsi i rzucać w siebie dyskami. Ale nie zatrzymam was dłużej niż kilka godzin. - Zwrócił się do Anakina. - Chcesz zobaczyć, jakie mamy możliwości?

Twarz chłopca promieniała entuzjazmem.

- Po to tu jestem-szepnął.

- Możliwości to znaczy statki. Tylko statki, młody człowieku - wyjaśnił Shappa, cofając się lekko na widok reakcji chłopca. - Młodzieniec ma apetyt, szkoda gadać. No dobrze, posilmy się zatem. Do dzieła! - Wyciągnął rękę i chwycił wielki, szeleszczący płat zmiennego flimsiplastu. - Trzymaj - polecił Gannowi. Gann trzymał za jedną krawędź, a Shappa rozwijał arkusz zwinnymi, szybkimi palcami.

Na arkuszu, zgrabnie wyrysowany czerwoną i brązową kreską widniał uroczy stateczek, pełen skomplikowanych krzywizn i delikatnych wypukłości, z silnikami ujętymi we wdzięczne gniazda i o starannie wycieniowanym pancerzu. Dzięki cudownemu talentowi rysownika powłoki wyglądały na gładkie i napięte, jak u świeżej szelawy. Sądząc ze skali, statek miał około trzydziestu metrów długości, a rozpiętość skrzydeł - choć skrzydła niewiele się różniły od reszty kadłuba - ponad trzykrotnie większa.

- Od jakiegoś czasu chciałem zbudować taki statek, ale uważałem to za marzenie - mówił Shappa. - Żadne nasiono nie chciało przybrać tak skomplikowanego kształtu, a klienci mają ich tylko po trzy lub cztery. Ale dla was... - uśmiechnął się i pogładził rysunek czubkami palców. Na ten sygnał zmienny flimsi zaczął demonstrować różne rzuty i perspektywy pojazdu. Każdy nowy rysunek został wcześniej utrwalony w porowatej powierzchni i teraz ukazywał się na polecenie artysty.

Anakin aż gwizdnął.

- To jest całkiem obłędne! - stwierdził

- Ocena najwyższa z możliwych - przetłumaczył Obi-Wan zaskoczonemu Shappie.

- A wy przynosicie mi piętnaście nasion, największy zapas, jakiego kiedykolwiek użyto do budowy statku.

- Poradzisz sobie z taką ilością? - zapytał Gann.
 - Czy sobie poradzę? - jęknął Shappa, a jego ciało aż dygotało od ukrytej energii. - Popatrz tylko! Najlepszy statek, jaki kiedykolwiek zbudowałem! Cudo.
 - Mówi to samo wszystkim - ostrzegła Sheekla.
 - Ale tym razem sam w to wierzę. - Shappa podał Obi-Wanowi brzeg zmiennego flimsi i poklepał Anakina po ramieniu. - Potrafisz kreślić? - zapytał. - Mam drugi kask. Trzeci też. Chodźcie, klienci. Jestem pewien, że macie własne pomysły.
 - Ja też? - mruknął Obi-Wan i skinął głową w stronę Anakina.
 - No to ruszmy kaskami i głowami. Musimy władać grafami tak, jakby to były... miecze świetlne, nie? Zacznijmy marzyć. Wszystko pojawi się na zmiennym flimsi. Nowy projekt zastąpi stary. To będzie jak magia, młody Anakinie Skywalkerze.
 - Nie potrzebuję magii - poważnie odparł Anakin.
 Shappa zaśmiał się nieco nerwowo.
 - Ty też nie, prawda? - zwrócił się od Obi-Wana. Jedi uśmiechnął się bez słowa.
 - Zapomniałem, że jesteście Jedi. A więc bez magii, ale za to z mnóstwem tajemniczości. Wątpię, żeby formierzy i kowale odkryli nawet przed wami wszystkie swoje sekrety, moi drodzy Jedi.
 Podał Obi-Wanowi i Anakinowi wyjęte z szuflady kaski kreślarskie i przyciągnął dodatkowe stołki z drugiej strony stołu. Kiedy usiedli, wspiał się na swój znacznie wyższy stołek i poklepał blat.
 - Wasza kolej!
 - Potrzebujemy czegoś solidnego - przypomniał chłopcu Obi-Wan. Anakin zmarszczył nos.
 Shappa podniósł kask i przez chwilę trzymał go nad głową z nieprzeniknioną miną obserwując ich po kolei przez kilkanaście sekund. Zacisnął usta.
 - Wszystko jest w umyśle właściciela. Czasami musicie najpierw się dowiedzieć, kim sami jesteście, a statki, najpiękniejsze statki, będą tam na was czekać jak wspomnienia utraconej miłości.
 - Ty nie miałeś żadnej utraconej miłości - rzekła rozbawiona Sheekla. - Tylko mnie. Pobraliśmy się, kiedy byliśmy jeszcze bardzo młodzi - wyjaśniła Obi-Wanowi.
 - To taka metafora - odparł Shappa. - Pozwól mi na trochę entuzjazmu.
 Reszta poranka upłynęła bardzo szybko. Obi-Wan stwierdził nagle, że proces projektowania pochłania go całkowicie, równie mocno jak jego padawana. Anakin był zaangażowany bez reszty. Obi-Wan także był coraz bardziej zafascynowany architektem, który pod powierzchnością wesołka ukrywał silną twórczą osobowość. Kenobi widział to już wielokrotnie: silny artysta, który w jakimś sensie zdawał się otaczać Mocą i współpracować z nią na głębokim, prawie instynktownym poziomie.
 Pewnego dnia, w czasie sesji szkolenia z Qui-Gonem i Obi-Wanem, Yoda powiedział:
 - Moc jest artystą. Musicie tylko patrzeć, co robią artyści. Są nieprzewidywalni jak dzieci.
 Pod zręcznym, chociaż ekscentrycznym kierunkiem mistrza architektów Zonamy Sekot Obi-Wan odniósł wrażenie, że jego własne poczucie wolności i wspomnienie

wieku chłopięcego nagle wróciło. Z rozkoszą zagłębił się w wewnętrzną konstrukcję statku, który budził się do życia w przestrzeni ich trzech kasków i jego własnej pamięci. Pamięci czasów, kiedy jeszcze nie był uczniem Qui-Gona. Młodość: bolesna, niezręczna, jaśniejsza niż tysiąc słońc. Chłopiec śniący o podróżach, szybkich statkach i nieskończonej sławie, nieskończonej przyszłości pełnej wyzwań i mistrzowskich walk, a także, w odpowiednim czasie, wiedzy i mądrości.

Niczym nie różnił się od Anakina Skywalkerera.

Niczym istotnym.

O, gdybym tylko sam mógł w to uwierzyć, pomyślał Obi-Wan.

ROZDZIAŁ

29

Krwawy Rzeźbiarz złożył raport Raithowi Sienarowi. Obaj stali na kładce przeluźconej nad hałą, w której trzymano większość robotów bojowych od działu. Wciąż znajdowali się zbyt daleko od Zonamy Sekot, aby poczynić dokładniejsze obserwacje, dlatego Sienar wysłał Ke Daiva z flotą dwuosobowych stateczków wywiadowczych o niezgrabnych silnikach, stanowiących wsparcie „Admirała Korwina”. Ke Daiv poleciał z pilotem, którego Raith Sienar wybrał osobiście jako najbardziej doświadczonego z personelu Federacji Handlowej.

- Weszliśmy w atmosferę i wróciliśmy. Nikt nas nie namierzył
 - wyjaśnił Ke Daiv. - Planeta jest w połowie pokryta chmurami.
 - Nie próbowaliście zejść poniżej pułapu chmur?
 - Patrzyliśmy na to, co było widoczne, i tyle - potwierdził Ke Daiv.
 - W porządku - skinął głową Sienar. - Z tego, co słyszałem, cała planeta jest żywa i czująca.

- Jeśli chodzi o południową półkulę, to niewiele na niej widać
 - ciągnął Krwawy Rzeźbiarz. - Z warstwy chmur wystaje tylko jakiś stary wulkan i nic więcej.

- Tak - potwierdził Sienar, jakby ten szczegół był mu znany.
 - Północna półkula jest praktycznie wolna od chmur, choć z południa na północ migrują burze, niosąc ze sobą ogromne ilości deszczu i trochę śniegu.
 - Naturalnie - Sienar wyduł usta.

Ke Daiv zawiesił głos, wściekły, że komendant tak ostantacyjnie się nudzi, ale Sienar podniósł dłoń.

-Mów dalej.
 - Są oznaki niedawnej walki. Co najmniej piętnaście głębokich szczelin w skorupie, każda szerokości ponad trzech kilometrów. Na pewno są naturalne. W większości zakrywa je południowa warstwa chmur, ale widziałem długie, proste wgłębienia na długości całego równika, oznaczające rozpadliny głębokości wielu kilometrów. Może to skutki stosowania jakiejś potężnej orbitalnej broni, ale nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Twarz Sienara przybrała nieprzenikniony wyraz. Myślał nad czymś intensywnie.

- Jesteś pewien, że to nie wykopy? Nie jakiś ogromny projekt budowlany?
 - Na pewno nie - odparł Ke Daiv. - W szczelinie nad równikiem widać postrzępione krawędzie, nadpalenia, zwałowiska. Ale na północnej półkuli zauważyłem wiele regularnych wzniesień, z dala od zamieszkałych rejonów. Wszystkie te wzniesienia są jednakowej wielkości, czterysta na dwieście kilometrów, i gęsto porośnięte roślinnością.

Sienar przechylił głowę na bok i kciukiem szturchnął się w podbródek. Gładził go teraz palcami, jakby czegoś szukał pod szczęką.

- A widzieliście dolinę fabryczną?
 - Tak - odrzekł Ke Daiv. - Chociaż w tym momencie uznaliśmy, że najlepiej będzie zawrócić, żeby nas nie zauważyli.

- Dobrze. Opowiedz mi o dolinie.
 - Ma tysiąc kilometrów długości, trzy kilometry głębokości i po obu stronach jest porośnięta ogromnymi drzewami, większymi niż gdziekolwiek na planecie.

- Jentari - westchnął Sienar. - Czego byśmy nie dali, żeby przenieść tę dolinę na inną planetę, w bardziej praktyczne miejsce! Widziałeś może statki?

- Nie. W dolinie trwała produkcja innych wielkich obiektów, może części do statków, a może rozmaitych urządzeń. Niektóre przewożono do południowej części doliny, tam, gdzie dochodzi ona do szerokiej rzeki. Dalej dolina jest zarośnięta ogromnymi chaszczami, które ją niemal całkowicie zakrywają. Sądzę, że nikt nas nie widział, ale wolałem nie ryzykować i dlatego zdecydowałem, że powinniśmy wrócić.

- Doskonale, doskonale - pochwalił Sienar.
 Ke Daiv nie zareagował. Krwawi i Rzeźbiarze traktowali jednakowo komplementy i obelgi. I jedno, i drugie mogło doprowadzić do pojedynku. Sienar jednak, zdaniem Ke Daiva, należał do szczególnej kategorii, której nie dotyczył kodeks honorowy.

- Teraz następny krok, ten najważniejszy. Musimy działać szybko. Tarkin poinformował cię, że będzie próbował porwać statek?

- Tak.
 - Nie ma pojęcia o trudnościach, jakie go czekają... chyba że uważa, że siła jest lepsza od rozumu. Za bardzo przyzwyczał się do pieniędzy, żeby zdawać sobie sprawę, jakie potrafią być użyteczne.

- Siła - powtórzył Ke Daiv.
 - Zapomnij teraz o sile. Właśnie zamierzam wyjawić ci część mojego sekretu... bo mam cię za wspaniałego, skutecznego faceta.

Ke Daiv stał na kładce jak kamienny posąg. Pod nimi właśnie przeprogramowywano i uruchamiano roboty. Hałas tysięcy warczących silniczków utrudniał rozmowę nawet tu, na kładce. Fałdy nosowe Krwawego Rzeźbiarza stanowiły jednak również doskonałe anteny odbiorcze. Pochylił się tylko do przodu, żeby lepiej łowić słowa Sienara.

- Mamy tu elegancki mały stateczek, przycumowany na stanowisku statku flagowego. Nie jest to część zwykłego wsparcia powietrznego. To jedna z moich prywatnych maszyn, a wygląda tak, jakby należała do bogatego turysty. Teraz czeka na nowego właściciela. - Sienar uśmiechnął się na wspomnienie, jak skłonił Tarkina do zaakcepto-

wania tego dodatku. Wmawiał mu z uporem, że bez choćby jednej ze swoich zabawek będzie znacznie mniej skuteczny jako dowódca. Tarkin zgodził się wreszcie, ale nie mógł ukryć politowania dla dawnego kolegi z roku.

- Będzie miał majątnego właściciela z dobrej rodziny - ciągnął Sienar - który naknął się kiedyś na jednego z autoryzowanych przedstawicieli handlowych Zonamy Sekot i przekonał go o swoim bogactwie i zainteresowaniu sztuką projektowania statków. Ty będziesz tym koneserem. Dokładnie cię sprawdziłem na Coruscant i wiem, że pochodzisz z potężnej i wpływowej rodziny.

- Potężnej, ale nie bogatej - poprawił go Ke Daiv i syknął cicho. Ten gość, chociaż należał do chronionej kategorii, potrafił nieźle wytrącić go z równowagi.

- Oczywiście, wiem, że gromadzenie bogactw jest u was czymś w rodzaju grzechu. No cóż, teraz możesz sobie nieźle pogrześcić, mając do dyspozycji ponad sześć milionów w niemożliwych do prześledzenia obligacjach Republiki. W zupełności wystarczy, żeby kupić sekotański statek.

Oczy Ke Daiva cofnęły się jakby w głąb czaszki. Był wprawdzie fizycznie niezdolny do fascynacji bogactwem, ale wiedział, ile to jest sześć milionów kredytów i jakie wrażenie zrobi taka suma na innych.

- Skąd tyle wiesz o Zonamie Sekot? - zapytał.

- Nie twój interes - lekko odparł Sienar. Bardzo lubił obserwować reakcje Ke Daiva. Ciągle miał wrażenie poruszania się po niebezpiecznym gruncie, co było niesłychanie stymulujące.

Nie okazując najmniejszego niepokoju, jakby w pełni panował nad rozjuszonym zwierzęciem i wiedział, kiedy może się do niego odwrócić plecami, Sienar przechylił się przez poręcz i spojrzął na produkcję Xi Char. Eleganckie, silne roboty-myśliwce zmagazynowano na długich, przesuwanych regałach, a ich szponiaste kadłuby były złożone na płask. Grupy robotów astromechanicznych przesuwały regały z tylnej części hali do smukłych, aerodynamicznych ładowników, okrytych maskującą ciemnoszarą powłoką.

Na „Admirale Korwinie” było pięć ładowników, z których każdy mógł zabrać ponad trzydzieści uniwersalnych robotów-myśliwców. Smukłe kadłuby robotów mogły się rozszczepiać, obracać i przeistaczać w łapy, a same roboty były pomysłowe w działaniu i potężnie uzbrojone. Uważano je za najlepsze z centralnie sterowanych systemów uzbrojenia Federacji Handlowej.

Wewnątrz szerokich paszczy uzbrojonych ładowników kręciły się ładowarki, wydając pusty, grzechoczący dźwięk. Myśliwce przyczepiano do szerokich, płaskich bębnow pozwalających na błyskawiczne otwarcie zmasowanego ostrzału tuż nad atmosferą planety. Same bębny montowano na pionowych karuzelach. Po wystrzeleniu myśliwce wyłaniały się z ładowników jak kule z wirującego magazynka. Pusty bęben wylatywał w przestrzeń, a jego miejsce na karuzeli zajmował drugi, pełny.

Sienar podziwiał konstruktorów z Xi Char, którzy zaprojektowali i wybudowali te myśliwce, ale miał wątpliwości, czy będą one miały decydujące znaczenie.

Prawdopodobnie niedawno na tej planecie rozegrała się ząarta bitwa i wszystko wskazywało na to, że wygrali ją miejscowi. Ci, którzy pozostawili na powierzchni planety te potworne ślady, odlecieli, i to chyba daleko.

- Chciałbym przedstawić cię twojemu pośrednikowi na Zonamie Sekot, jej autoryzowanemu przedstawicielowi. Za godzinę w mojej kwatrze - oznajmił Sienar Krwawemu Rzeźbiarzowi.

Ke Daiv może nawet odczuwał zaciekawienie - trudno było odczytać uczucia z twarzy wysoko urodzonego Krwawego Rzeźbiarza - ale skłonił tylko głowę i złożył fałdy nosowe, układając je znów w kształt groźnego ostrza; taki wyraz twarzy mógł oznaczać respekt i posłuszeństwo albo - w połączeniu z nieznacznymi zmianami barwy - wściekłość i gotowość zabijania.

ROZDZIAŁ

30

Czarno-czerwony statek rytualny uniósł ich daleko poza ostatnie domostwa Średniego Zasięgu, za nagłe przewężenie doliny. Tu, daleko na północny zachód, skalne ściany były mokre, śliskie i prawie pozbawione sekotańskiej roślinności. Drzewa bora nie miały najmniejszych szans. Długie pasma chmur błękały się po kanionie, nasycając powietrze wokół gondoli intensywną wilgocią.

Anakin stał na dziobie w bohaterskiej pozycji; oparł jedną stopę na wystającej liście. W ciągu następnych kilku tygodni będzie miał niewiele rozrywek. To, co odkrył kilka dni temu i nazwał „pojedynczą falą”, teraz nasączyło atmosferę wrażeniem nadchodzącej potężnej zmiany w Mocy, którą Obi-Wan potrafił opisać tylko jako próżnię. Ani Qui-Gon, ani żaden inny mistrz Jedi nigdy nie wspominali o takim zjawisku. Jednak zmiana zdawała się pochodzić spoza Zonamy Sekot, co nie było dla Obi-Wana sprawą tak oczywistą jak dla Anakina. Czuję, że to jest blisko, wyzwolone przez się z zewnątrz, myślał. Anakin ma rację, to będzie ciężka próba. Liny holownicze stateczku uginały się pod naciskiem wiatru unoszącego się z głębokiej rozpadliny, na której dnie rzeka toczyła wzburzone wody. Pilot miał problemy z utrzymaniem statku w takiej pozycji, aby nie naciągnąć zbyt mocno i nie zerwać lin. W takim wietrze lekki pojazd mógł wytrzymać zaledwie kilka minut, zanim rozbije się o niepokojąco bliskie, surowe skalne ściany. Byłby to smutny koniec klientów.

Taki rodzaj niebezpieczeństwa Obi-Wan bardzo lubił-bliskie, łatwe do opanowania, jeśli się ufało pojazdowi i pilotowi. Dziewczyna wydawała się dość doświadczona, a żaden z pozostałych pasażerów - ani Gann, ani Sheekla Farris, ani trzy pomocnice - nie okazywał laku. Wręcz przeciwnie, wszyscy wydawali się podzielać fascynację Obi-Wana.

Anakin obejrzał się na mistrza i radośnie wyszczerzył zęby.

- Czujesz, jak nasiona drżą? Dotknij! Widocznie przeczuwają, że zaraz stanie się coś wielkiego!

Gann, wczepiony w balustradę obiema dłońmi, przysunął się do Obi-Wana.

- Ten chłopak na wrodzony talent - zawołał, przekrzykując wiatr. - Statek może mieć jednego pilota. Zdecydowaliście już, który z was nim będzie?

- Chłopak - odparł krótko Obi-Wan. Nie mógł żywić najmniejszej nadziei, że kiedykolwiek dorówna Anakinowi w tej dziedzinie.

Gann skinął głową z zadowoleniem.

- Widać, że się do tego nadaje! - zachichotał. - Ale ilu on ma partnerów! Nigdy jeszcze nie łączyliśmy tylu naraz - potrząsnął głową z niepokojem. - Nie mam pojęcia, jak je będziecie kontrolować. Sam jestem bardzo ciekawy, co ma do powiedzenia Shappa Farris.

Ściany kanionu rozstały się nagle; stateczek żeglował teraz bliżej wschodniej krawędzi. Jego kable-prowadnice zwisały z nagich, pokręconych konarów garbatych drzew bora rosnących wzdłuż skraju przepaści. Pilot zręcznie utrzymywał stały, jednokowy ciąg.

Wraz z rozszerzaniem się kanionu hałas wzburzonej rzeki przycichł nieco. Wiatr również trochę się uspokoił. Gondola kołysała się łagodnie.

Nasiona-partnerzy Anakina stały się niespokojne, kiedy statek przelatywał nad wyjątkowo okazałymi skupiskami sekotańskiej roślinności. Tu, gdzie ściany kanionu oferowały większą przestrzeń życiową, bora i inne organizmy wyrzeźbiły tarasy podobne do tych, na których w Średnim Zasięgu zbudowano domy. W stanie naturalnym tarasy te porośnięte były gęstą dżunglą bora. Duże zwierzęta o długich kończynach, których nie widzieli w Średnim Zasięgu, wspinały się jak linoskoczki po baldachimie z liści, czepiając się gałązek cienkimi, chwytymi pazurkami. Owady o przezroczystych tułowach trzepotały nad ogromnymi kwiatami, które szeroko rozpościerały się do słońca. W chwilę potem przepyszne kwiaty zwinęły barwne płatki, oderwały się od bora i powoli wspięły po zwisających pnączach w inne, bardziej nasłonecznione miejsce.

Anakin czule szeptał do swoich nasion-partnerów, jednocześnie chłonąc wzrokiem olśniewającą przyrodę Sekot.

Z małej kabiny gondoli wyjrzała młoda, uśmiechnięta kobieta; przeszła obok Obi-Wana, ale jej uwaga była skupiona na Anakinie. Przystanąła obok niego na dziobie. Obi-Wan obserwował ich z zainteresowaniem; od razu zauważył, że dziewczyna jest kubek w kubek podobna do iluzorycznych bliźniaczych córek Magistra.

Ta jednak była realna i całkiem namacalna.

Jedno z nasion zsunęło się Anakinowi z ramienia i boleśnie wbiło mu pazurki w ciało. Anakin skrzywił się, odwrócił, żeby je podsadzić z powrotem i wtedy zobaczył dziewczynę. Wybałuszył oczy.

- Czy my się znamy? - zapytała, uroczo marszcząc brwi ze zdziwienia.

- Wydajesz mi się znajoma - odrzekł Anakin.

- Och, w takim razie to pewnie jedna ze sztuczek ojca - mruknęła, kiwając głową tak, jakby to wszystko wyjaśniało. - Umieszcza moje hologramy w różnych dziwnych miejscach i porach. To okropnie irytujące.

- Jak on to robi? - zainteresował się Anakin, ale dziewczyna uśmiechnęła się, że nie słyszy.

- Sheekla kazała mi opowiedzieć wam o różnych gatunkach bora.

- Wreszcie! Wszystko tu jest takie tajemnicze.

- Wiem, to tajemnice handlowe - odparła. - Nieraz to okropnie nudne. Jak masz na imię? Ojciec często zapomina, że kiedy mnie naprawdę nie ma, nie mogę poznać ludzi.

Anakin na chwilę stracił głos i spojrzał ponad jej ramieniem na Obi-Wana. Ona także się obejrzała.

- Czy to twój ojciec?

- Nie - odrzekł chłopak. - To mój nauczyciel. Ojciec ci nie powiedział?

- Ojciec nie mówi mi wielu rzeczy, a ty niewiele wiesz na jego temat. Właściwie nie widziałam go już od kilku miesięcy... to znaczy od... - jej oczy na chwilę zmatowiały, ale zaraz odzyskały blask.

- Jestem Anakin Skywalker, a to jest Obi-Wan Kenobi.

- Mieszkam w Średnim Zasięgu z matką i młodszym bratem - powiedziała dziewczyna - ale on jest jeszcze całkiem mały. Ojciec od czasu do czasu przysyła nam wiadomości. Cóż, i tak ci teraz wszystkiego nie wyjaśnię. Może później. Powinam opowiadać wam o bora, skąd się wzięły i co się z nimi dzieje, kiedy są kute i zgrzewane. Ty też powinieneś posłuchać - dodała, zerkając na Obi-Wana.

- Dzięki - skłonił się mistrz.

- Aha, mam na imię...

- Wiatr - podpowiedział Anakin. Roześmiała się.

- Nieprawda! To jeszcze jeden żart taty. Naprawdę mam na imię Jabitha. Ojciec zna się na szkoleniu Jedi - oświadczyła poważnie. - Rok temu powiedział mi, że to bardzo trudne stać się rycerzem Jedi. Musisz być naprawdę niezwykły - poklepała jedno z nasion. - One też chyba tak uważają. Bardzo im się podobasz. Zaczepnęła tchu. - Bora wyrastają z nasion. Każde bora wytwarza nasiona w środku naszego lata, gdy z południa przychodzą burze i przynoszą deszcz. Większość nasion wpelza w zarośla... w dawnym języku ferrańskim nazywają się tampasi. „Bora” znaczy „drzewa”, a „tampasi” oznacza „las”, ale to nie są ani drzewa, ani las.

- Jasne - odparł Anakin. Wibrujące nasiona rozprasały go zupełnie. Od ich niespokojnego drżenia rozboleła go głowa.

Jabitha poklepała kilka zdenerwowanych nasionek, a one odpowiedziały jej cichym pomrukiem. Dotknięcie wydawało się uspokajać je na chwilę.

- Nasiona ukorzeniają się w szkółce strzeżonej przez najstarsze bora. Potem przechodzą przez wykuwanie. To naprawdę coś, co warto zobaczyć! Bora rozrzucają po szkółce stare gałęzie, suche liście i takie specjalne małe granulki, aż pokryją nimi całą otwartą przestrzeń. Nasiona nurzają się w tym i jedzą jedzą jedzą całymi godzinami, przez cały czas rosnąc. A kiedy są już dość duże, najstarsze bora wzywają błyskawicę z nieba, po prostu dając znak podniesionymi konarami. Konary mają żelazne końcówki, piorun uderza i zapala to, co pozostało ze szkółki, a nasiona jakby gotują się w ogniu, ale nie umierają. Od tego gorąca się otwierają. Potrafią się rozszerzać, aż prawie eksplodują rozdymać się w bąble i różne inne kształty o cienkich ściankach z żywej tkanki. Tak jak lamina, tylko jeszcze bardziej żywe i podatne.

Inne bora, zwane zgrzewaczami, mają specjalne konary przeznaczone do nadawania kształtu eksplodującym nasionom. Powietrze przepojone jest przy tym słodkim zapachem, przypominającym ciasto w piecu. To bardzo skomplikowane, ale kiedy nasiona są już gotowe, stają się odpowiednimi rodzajami bora i mogą opuścić szkółkę, żeby zająć swoje miejsce w tampasi.

- Kiedy osadnicy nauczyli się kontrolować formowanie? - zapytał Obi-Wan.

- Jeszcze przed moim urodzeniem - odparła Jabitha. - Mój dziadek był pierwszym Magistrem. On i moja babcia studiowali bora i zaprzyjaźnili się z nimi. To naprawdę długa historia. Bora pozwoliły im oglądać zmiany w szkółce tampasi. Po długim czasie bora zaprosiły ich na formierzy, tej sztuki uczyli się przez całe dwadzieścia lat. Potem nauczyli jej swojego ojca. Kilka lat później z Ferro przybyła cała grupa osadników.

- Obraz, który widzieliśmy w domu Magistra, nie był hologramem - wtrącił Obi-Wan. - Był to przekaz mentalny, projekcja czyjejś niezwyklej woli.

Jabitha zmieszła się.

- Myślę, że to zrobił mój ojciec - powiedziała. Rozejrzała się i wychyliła przez poręcz kosza. - To są dzikie bora - powiedziała. - Nazywamy je wyrzutkami. Nie mają przynależności do szkółek. Żyją kradnąc z pól wspólnoty.

Anakin zauważył trójkątne kształty unoszące się w powietrzu, wielonożne pełzające walce większe od ludzi, rojące się w jaskiniach ukrytych w ścianach rozpadliny. Niewielkie owady migotały w cieniu doliny jak nocne duszki na Tatooine. Spod cieniowych nawisów skalnych strzelały w ich stronę ciemne macki, zgarniając po kilka naraz.

Ta część doliny wydawała się oddawać zajęciom charakterystycznym dla większości planet - jeść lub być zjedzonym.

- Czy one kiedykolwiek wracają do wspólnot bora? - zapytał Anakin.

- Nie. Nazywamy je straconymi - odparła Jabitha. - Ojciec sądzi, że uciekają z płonących szkółek i kształtują się gdzie indziej, może przy pomocy innych wyrzutków. Sądzę, że utrzymują wspólnoty w czujności. Nieraz porywają nasiona, żeby je zjeść lub wychować jak własne. Widziałam całe chmury małych dzikusów przylatujące tuż przed wygrzewaniem, zanim przyjdzie piorun, żeby porywać kawałki gałęzi, liście i granulki przeznaczone dla nasion. Generalnie wyrzutków nie ma zbyt wielu, ale akurat w tej części doliny aż się od nich roi.

- Próbowalas kiedyś coś formować? - zapytał Anakin.

- Kilka lat temu pomagałam mamie formować nasz dom. Mieliśmy trzy nasiona-partnerów, które związały się z mamą a ja pomagałam jej użyć dłut i pretów... ale uprzędam fakty. Myślę, że Gann będzie chciał osobiście zapoznać was z narzędziami.

Anakin potrząsnął głową.

- Wszystko to brzmi wspaniale, ale wciąż nie wiem, jak zmieniacie nasiona w statki kosmiczne.

- Musisz być cierpliwy - uparcie powtórzyła Jabitha. Spojrzała na Obi-Wana. - Ojciec zbudował pierwszy statek, kiedy był chłopcem. Wykorzystali silniki z pojazdu kolonistów. To było wkrótce po tym, jak mój dziadek pojechał szukać kolejnych osadników. Chcieliśmy, żeby mieszkali tu różne istoty.

- Spotkaliśmy wyłącznie Ferran - zauważył Obi-Wan.

- Inni też są. Teraz nawet dość sporo. Pracują w dolinie fabrycznej.

- Dlaczego twój ojciec postanowił sprzedawać te statki? Jabitha udała, że nie słyszy pytania Obi-Wana.

- Patrzcie! Już blisko!

Sheekla Farris wystąpiła naprzód. Statek przyciągnięto do pochylni dokowej i zamocowano. Jabitha przeskoczyła przez poręcz wprost na podest i pomogła wyjść z gondoli Anakinowi. Obi-Wan musiał sobie poradzić sam. Anakin wydawał się ogromnie zainteresowany wszystkim, co dziewczyna miała do powiedzenia.

Jabitha stanowiła dla Anakina pewne urozmaicenie, wydawało się, że raczej przyjemne. Przynajmniej tak uznał Obi-Wan. Na pewno trochę odwróci jego uwagę od statków i pomoże mu lepiej zrozumieć panujące to stosunki społeczne. Obycie towarzyskie Anakina, jeśli nie liczyć kontaktów z innymi uczniami i akolitami, pozostawiało wiele do życzenia. Spotkania z normalnymi istotami ludzkimi w jego wieku mogłyby pomóc - a ta dziewczynka sprawiała wrażenie cudownie normalnej. Oczywiście wtedy, kiedy była rzeczywiście obecna!

Sam Obi-Wan jednak miał uwagę zaprzątą wieloma pytaniami, które pozostawały bez odpowiedzi. Ani o krok nie zbliżyli się do zrozumienia, jaki los spotkał Vergere.

Poprzedniej nocy, kiedy Anakin spał, Obi-Wan wymknął się do biblioteki; nawet udało mu się powstrzymać nasiona-partnerów przed zjedzeniem notatek. Niestety, biblioteka nie powiedziała mu nic, czego już nie wiedział.

Obi-Wan Kenobi nie znosił zagadek, łamigłówek i tajemnic. Jak często przypominał mu Anakin - a przedtem Qui-Gon - był prostolinijnym facetem. Jedną rzecz rozumiał jednak doskonale.

Moc nigdy nie bywała niańką.

ROZDZIAŁ

31

Raith Sienar z natury był bardzo cierpliwym człowiekiem, ale tym razem aż go korciło, żeby przyspieszyć misję. Instynkt podpowiadał mu, że czas gra tu najważniejszą rolę, że świat dysponujący tak cenną tajemnicą, jest jak dojrząca padlina pod niebem pełnym skrzydlatych ścierwojadów.

Co nie znaczyło, że miał ochotę stawać z nimi w zawody. Sienar wolał wyszukane wygody oferowane przez dobrze prosperujące planety, których dzikość została poskromiona dawno temu. Był jednak wykształconym człowiekiem i potrafił poznać się na ścierwojadzie, kiedy się na niego natknął.

Teraz zaś sam czuł się podobnie.

Pierwszy z wielu.

Spojrzał w dół, na mały wizerunek Ketta, który właśnie obudził się do wirtualnego życia na pulpicie dowódcy.

Kett wydawał się zmieszany.

- Wypełniłem pańskie rozkazy i wypuściłem Krwawego Rzeźbierza w pańskim statku, dowódcu.

- Wszystko poszło dobrze? - Sienar przedstawił Ke Daiva jego „pilotowi” dopiero w niewielkim doku dla wahadłowców, gdzie przechowywał swój statek. Ke Daiv wydawał się zakłopotany tym, że musi pracować z robotem. Sienar nie uznał za stosowne wyjaśniać, jak zdobył tego robota ani jak robot stał się opiekunem klientów Zonamy Sekot. Niektóre tajemnice powinny pozostać tajemnicami.

- Tak, sir.

- I odleciał na pewno w kierunku Zonamy Sekot?

- Tak, dowódcu.

- I nikt na planecie nie odkrył naszego oddziału tak głęboko wewnątrz systemu?

- Nie, dowódcu.

Sienar odetchnął z ulgą.

- No to teraz zaczekamy na wiadomość od Ke Daiva, zanim zrobimy kolejny krok.

Wydaje się pan niezadowolony, kapitanie Kett.

- Czy mogę mówić szczerze, dowódcu?

- Proszę o to.

- To wszystko nie zgadza się z naszymi poprzednimi rozkazami, przekazanymi przez Tarkina.

- I co z tego?

- Mam nadzieję, że moja szczerość nie obrazi pana. To delikatna chwila, dowódcu. Moje statki stanowiły kiedyś część słynnej i skutecznej formacji obronnej przeznaczonej do ochrony statków Federacji Handlowej. Nasza historia liczy się na stulecia i jest bez skazy.

- Historia, z której może być pan dumny, kapitanie.

- Nie wiem, jak będziemy traktowani, stanowiąc część sił obronnych Republiki. Mam nadzieję, że integracja przebiegnie gładko i będę mógł dalej pozostawać w tej szaczonej służbie.

Słowo „honor” w zestawieniu z waszą historią to gruba przesada, pomyślał Sienar. Braliście udział w najgorszych akcjach Federacji Handlowej. Osobiście trzymałeś całe planety na celowniku miotacza, wymuszałeś ustępstwa, eskortowałeś przemyt narkotyków i maszyn, transportowałeś imigrantów, których ciała były pokryte bombami biologicznymi z opóźnionym zapłonem... Będiesz miał szczęście, jeśli ludzie tacy jak Tarkin zdołają odwrócić uwagę senackiego aparatu sprawiedliwości, co oszczędzi ci procesu za przestępstwa handlowe i zbrodnie.

Mimo wszystko Sienar zachował uprzejmą twarz.

- Nie wierzę Krwawemu Rzeźbiarzowi, sir. Jego lud znany jest z ognistego temperamentu i paskudnych uczynków.

- Wybrał go osobiście Tarkin. W swoich rozkazach ma pan polecenie, żeby okazać mu pomoc i pełną współpracę w każdej akcji, jaką podejmie. - Włącznie z zamordowaniem twojego dowódcy, jeśli sprawy pójdą w niewłaściwym kierunku, pomyślał Sienar.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir.

- Więc o co panu chodzi, kapitanie?

- Chciałem tylko okazać mój niepokój, sir.

- Odnotowałem to. Mam nadzieję, że zachowa pan czujność.

- Tak, sir.

Sienar przerwał połączenie i obraz rozpląnął się w nicłość.

Wykorzystanie Krwawego Rzeźbiarza w roli klienta nie było najbardziej błyskotliwym posunięciem, ale przydatnym. Sądząc po tym, czego się dowiedział od pilota zniszczonego sekotańskiego statku, spoczywającego głęboko w podziemnym hangarze...

Były to sprawy, których nie ujawnił nawet Tarkinowi. Okłamał go także co do sposobu, w jaki wszedł w posiadanie statku. Fakty, o których dowiedział się na długo przedtem, zanim Tarkin obłudnie próbował wciągnąć go w swój bezsensowny ostentacyjny plan.

Ze słów umierającego gensangijskiego pilota, wzmocnionego dawką agrilackich narkotyków, Sienar wywnioskował, że osadnicy z Zonamy Sekot bardzo czegoś pragnęli - i nagle natrafili na skarb niewiarygodnej wartości. Zamiast zająć się jego eksploatacją i organizować korzystne przetargi wśród członków Federacji Handlowej, wybrali drogę znacznie bardziej ryzykowną. Zaopatrywali w swoje znalezisko zepsu-

tych do szpiku kości i nadzianych młodzieńców z całej galaktyki, a sami spróbowali, choć nieskutecznie, ukryć się w przestrzeni.

Osadnicy potrzebowali kapitału, żeby kupować różne rzeczy. Kosztowne rzeczy. Chcieli zdobyć pieniądze szybko i dyskretnie, najlepiej natychmiast.

Pilot, z którym rozmawiał Sienar, nowobogacki złodziej gensangijskiej przyprawy, którego przodkowie przez ponad tysiąc pokoleń uprawiali przemyt bez wielkiego powodzenia, zdobył w pałacu hazardu na Serpine przedziwny typ małego robota protokolarnego.

Robota tego przegrał nierozsądny i ogromnie bogaty młody Rodianin. Gra szła w banque, o życie i śmierć. Młodemu Rodianinowi nie było sądzone przeżyć. Biedaczysko potoczył rubinową kulę do jooma wielkości pięści po klasycznej spiralnej trasie. Kula wpadła do pyska złośliwego, ociekającego jadem starego Passara, który wyrzucił z siebie bełkotliwe prorocstwo. Prorocstwo to okazało się obraźliwe dla niezwykle przesadnego gubernatora Serpine i Rodianin został posiekany na drobne kawałki przez oburzonych strażników pałacowych. Wszystko, co miał, wraz ze statkiem i ładownią pełną kredytów, przeszło na własność Gensangijszczyka, który był najszcześniejszy w świecie, że miał aż takiego pecha.

Mały robot, który wchodził w skład tego fantastycznego łupu, opowiedział swojemu nowemu panu niezwykłą historię. Twierdził, że jest wykwalifikowanym przewodnikiem i ma prawo zabierać klientów do tajemniczego świata, który produkuje najszybsze statki... i tak dalej, i tak dalej. Jego poprzedni właściciel Rodianin nie żył na tyle długo, aby odbyć tę podróż.

Gensangijszczyk był zaintrygowany. Poddał się dziwnemu testowi socjopsychologicznemu poprowadzonemu przez robota, pokazał mu część zawartości kryjówek z kredytami, która okazała się aż nadto wystarczająca, po czym dowiedział się, że czeka go przygoda życia w egzotycznym świecie, której pewne szczegóły wkrótce zresztą zapomni.

Pech sprawił, że kiedy Gensangijszczyk kupił wreszcie swój sekotański statek, wkrótce potem trafił na złodziei. Zranili go ciężko, a robota wraz z rozkładającymi się resztkami statku sprzedali za niezłą sumkę agentom Sienara. Ci z kolei wymordowali złodziei.

I tak toczyła się ta nieskończona lawina pieniędzy i zachłanności. Może lud Krwawych Rzeźbiarzy ma rację, do tego stopnia gardząc bogactwem.

Sienar leżał w salonie przed długim oknem, teraz otwartym na rozgwieżdżoną przestrzeń z Zonamą Sekot w tle. Przed rozmową z Kettem zjadł parę biskoptów i popił parującym alderańskim winem. Pod tym względem wyjątkowo miał takie same upodobanie jak Tarkin.

Na ogół zarówno jedzenie, jak i napoje Sienar traktował obojętnie. Inne cielesne pokusy także nękały go stosunkowo rzadko. Tylko na myśl o władzy krew zaczynała szybciej krążyć mu w żyłach. O władzy, pozwalającej projektować i budować niezwykłe rzeczy. O władzy, która sprawi, że stary przyjaciel pożałuje swoich brudnych machinacji.

Budowałem wspaniałe statki dla najbogatszych istot galaktyki, myślał. I właśnie ja mam być manipulowany przez drugorzędnego absolwenta akademii wojskowej, który uległ złudzeniu, że lepiej rozumie kształt nowego porządku niż inni, znacznie przewyższający go intelektem!

Sama myśl o tym sprawiała, że usta mu się zaciskały, a oczy zwężyły w ciemne szparki.

Sienar pozwolił robotowi protokolarnemu przeprowadzić na Krwawym Rzeźbiarzu wszystkie niezbędne testy. Tak jak podejrzewał, Ke Daiv przeszedł je bez problemu - elegancja, wykształcenie, dobre pochodzenie i widok stosu kredytów poukładanych na podłodze kabiny dowódcy wyłączyły wszystkie obwody awaryjne robocika.

Dlaczego przywódcy zaginionego świata powierzają takie testy robotom protokolarnym?

A teraz robot leciał razem z Ke Daivem na Zonamę Sekot osobistym statkiem Sienara. Jeśli Krwawy Rzeźbiarz przywiezie ze sobą jeden z tych cudownych statków, Sienar był gotów za pomocą wszystkich znanych technik prania mózgu przeistoczyć go w swojego osobistego szofera. Przeanalizuje żywy sekotański statek, pozna jego sekrety, a potem skieruje grę Tarkina w dokładnie przeciwnym kierunku z szybkością, która sprawi, że jej autor już nigdy nie dojdzie do siebie.

A to da Sienarowi władzę i wpływy niezbędne do robienia dobrych interesów z każdą nowo powstałą siłą polityczną.

Cudownie. Po prostu cudownie. O wiele lepsze niż najbardziej wyszukane alderańskie wino, podgrzane w ozdobionym złotem kryształowym pucharze nad ogniem z drzewa piżmowego.

Sienar westchnął. Ta gra z godziny na godzinę stawała się coraz ciekawsza.

Drogi kapitanie Kett, pomyślał, mój honor nie jest bardziej nieskalany niż twój, aleja przynajmniej nie jestem hipokrytą.

ROZDZIAŁ

32

Rampa dokowa okazała się kolejnym zwrotem w ich podróży. Anakin, Obi-Wan, Jabitha i Gann zeszli szybkim krokiem po stopniach wrytych w stromym kominie wulkanicznym, by znaleźć się w niskiej jaskini oświetlonej mdłym blaskiem latarni.

Słychać było szum wzburzonej wody.

- Podwodna rzeka - szepnął Anakin. Jabitha skinęła głową, wyciągnęła rękę i dotknęła czubka jego głowy. Chłopak skrzywił się lekko, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

- Chciałam ci tylko pokazać, jaki jesteś mądry! Musimy zejść jeszcze kawałek w dół, żeby dotrzeć do rzeki.

Obi-Wan nie lubił przebywać pod ziemią. Zdecydowanie wolał otwartą przestrzeń niż wnętrze jakiegokolwiek planety, choć nigdy nikomu się z tego nie zwierzał.

Po dwudziestu minutach wyszli z komina i znaleźli się w obszernej, okrągłej komnacie wrytej w bazalcie. Potężny gładz wbijał się w nurt wody, która opływała go z cichym bulgotem. Regularne rozbryzgi znaczyły powierzchnię kamienia ciemnymi plamami. W zacisznym kącie przy gładzie unosiła się na falach smukła łódka. Daleko w przdzie widać było wlot do kolejnej jaskini, wiodącej jeszcze głębiej do wnętrza planety.

Wsiadli do delikatnej łódeczki, a dwóch pomocników odepchnęło ją od brzegu. Gann za pomocą żerdzi wyprowadził ją na wartki nurt. Rzeka z hukiem wpadała do szerokiego ciemnego kanału.

Nasiona-partnerzy siedziały nieruchomo. Anakin martwił się, że są chore, a może nawet nie żyją. Jabitha pocieszyła go, że nie o to chodzi.

- Wiedzą że jedziemy spotkać się z kowalami i formierzami. To dla nasion szczególnie chwila.

- Skąd one to wiedzą? - zapytał Anakin.

- Rzeka zasila w wodę dolinę fabryczną - odpowiedziała dziewczyna. - Nosila nasiona przez miliony lat. Po prostu rozpoznają.

- Co to są Jentari? - zapytał Obi-Wan.

- Pierwszych wyszkolił mój dziadek. Wyszkoilił czy stworzył... albo i jedno, i drugie. To wielcy formierze, którzy pracują dla nas i z nami. Sam zobaczysz.

Była bardzo z siebie dumna.

Teraz, gdy oczy już przywykły do mroku, zauważyli długie barwne linie, lśniące na stropie tunelu, wysoko nad wodą. Gann przesunął światłem latarki po skale, ukazując im splątane pnącza, czerwone i zielone.

- Sekot wysyła je przez rzeki, tunele i jaskinie - wyjaśnił z szacunkiem. - Wszystkie części planety są nimi połączone.

- Z wyjątkiem południa - cicho dodała Jabitha.

- A dlaczego ich tam nie ma? - zainteresował się Obi-Wan.

- Nie wiem - odparła Jabitha. - Ojciec powiedział, że tam już wszystko skończone.

- Tam był jego dom - dodał Anakin.

- Południe umarło kilka miesięcy temu na dziwną chorobę - wtrącił Gann. - Cała półkula.

Jego twarz w ruchomym blasku latarni wydawała się śmiertelnie błąda.

Ręce mu się trzęsą zauważył Obi-Wan.

- Czy to była wojna? - zapytał Anakin. Gann zacisnął szczęki i potrząsnął głową.

- Nie - rzekł twardo. - Tylko choroba.

- Nie powinieneś mówić o tym nikomu - dodała Jabitha. - Nawet ja nie wiem, co się tam stało.

- A czy twój ojciec wie? - zapytał Obi-Wan.

Posłała mu spod zmrużonych powiek gniewne spojrzenie. Uznał, że lepiej skończyć ten temat.

Podróż rzeką trwała kilka godzin. Anakin i Jabitha siedzieli na ławeczce na dziobie, pograżeni w rozmowie. Obi-Wan pozwolił, by jego wzrok bezmyślnie błądził po czerwonych pnączach, lśniących w mroku jak zatrzymane w locie pociski smugowe.

Dokądkolwiek zdążali, sekotański transporter powietrzny mógł zawieźć ich tam w kilka minut. Widocznie osadnicy chcieli zachować parę spraw w tajemnicy przed swoimi klientami. A może po prostu doceniali wartość rytuału.

Obi-Wan uważał wszelkie rytuały za śmiertelnie nudne. Szkolenie Jedi było ich na szczęście pozbawione i tylko najważniejsze chwile nosiły uroczysty charakter.

Rozmowa z Anakinem chwilami się nie kleiła, więc Jabitha wyciągnęła z kieszeni pudełko zawierające skomplikowane geometryczne łamigłówki wykonane z laminy. W pewnej chwili odstawiła pudełko na ławkę, a Anakin zauważył, że natychmiast przywarło ono jednym rogiem do siedzenia. A kiedy dziewczyna skończyła łamigłówkę, jej elementy same zmieniały kształt, tak że nigdy nie musiała układać dwa razy tego samego.

Komunikacja, koordynacja, stały kontakt - ci ludzie okiełznali niezwykłą sieć żywych istot, które wydawały się ze sobą blisko spokrewnione jak ogromna rodzina.

Jakim ciosem musiało być dla planety, kiedy prawie połowa tej rodziny wymarła na okrutną chorobę! Jakie okropne przeżycia przyniosło ze sobą zniszczenie, spowodowane przez nieznaną energię, która do nagiej skały wypaliła okolice równika planety.

Ta podróż była dziwaczna, ale nie tylko z powodu rytuału. Także z powodu wyczuwalnego wszędzie strachu.

ROZDZIAŁ

33

- Pański statek wylądował na północnym płaskowyżu - zameldował Sienarowi kapitan Kett. - Ke Daiv przekazał nam informację sygnalizatorem laserowym. Robot przedstawił jego referencje potrzebne do wprowadzenia. Teraz czekają na transport do Średniego Zasięgu.

Kett poprowadził komendanta wzdłuż jasno oświetlonego korytarza do stanowiska wahadłowców Admirała Korvina".

Sienar słuchał nowin z nieobecną miną i przytakiwał. Właśnie miał zamiar dokonać inspekcji oddziału. Jeśli Ke Daivowi nie uda się kupić sekotańskiego statku, następny krok będzie całkiem tarkinowski: pokaz siłowej dyplomacji twarzą w twarz.

Przez chwilę marzył, że przehandluje cały swój oddział za jeden republikański statek klasy „Nieustraszony". Hej, takie marzenia nie są w twoim stylu, skarcił się w myśli. Czyżbyś zaraził się od Tarkina? Nie jesteś pewien, czy Ke Daiv da sobie radę? I tak subtelność zwycięży. Masz wszystko, co ci potrzebne.

Był prawie przekonany, że używając tego, co ma, zdoła stworzyć pozór bardzo realnego zagrożenia, zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności. Tamci już raz się sparzyli. Teraz powinni być podwójnie ostrożni.

Chyba, że kiedyś stawili czoło większemu zagrożeniu... i zwyciężyli.

Nie potrafił sobie wyobrazić, jak to możliwe. Planeta była słabo rozwinięta i jeszcze słabiej zaludniona. Praktycznie dziewicze tereny. Kto by się pokusił o inwazję na skalę całego świata?

Po krótkiej rampie weszli do małego wahadłowca.

Kett z filozoficznym spokojem analizował długą przerwę w rozmowie. Zaczynał już przywykać do stylu nowego dowódcy, ale mu się nie podobał. Sienar odrzucił połę długiego płaszcza i usiadł na środkowym fotelu, skąd był dobry widok na gwiazdy rozsiane przed długim, spiczastym dziobem.

- Wiecie coś więcej na temat tych szczelin?

- Nie, sir.

- Blizny po bitwie? - zastanawiał się Sienar. Przypominały mu raczej cięcia wykonane na nabrzmiałym ciele przez mistrza chirurgii.

- Sądzę, że okażą się anomalią geologiczną - powiedział Kett.

- Utrzymaj oddział w odpowiedniej odległości. Rozmowy w eterze trzeba zredukować do minimum - polecił Sienar. - Nikt, ale to nikt nie może obserwować planety. Nas tu po prostu nie ma. Przekaż to do wszystkich statków jako specjalny rozkaz. Mają o tym pamiętać.

- Tak jest, sir.

- Jesteśmy bardzo blisko - szepnął Sienar, rozcierając ramiona. Dłonie miał wilgotne od potu. - Nie będę tolerował żadnych błędów.

ROZDZIAŁ

34

Z wylotu tunelu niczym gęsty syrop sączyło się zielone, przyćmione światło. Nurt tracił szybkość, w miarę jak jaskinia rozszerzała się na boki; rzeka płynęła teraz gładko i spokojnie. Gann kierował łodzią za pomocą zręcznych, pewnych uderzeń żerdzi. Płynęli pod naturalną półką z której zwisały się festony zielonych i czerwonych pnączy. W wolnym od roślinności miejscu Gann wraz z dwoma pomocnikami rzucili liny parze starszych Ferran, ubranych w czarno--szare szaty.

Łódź przyciągnięto do brzegu i zamocowano. Uderzała lekko w odbijaki niczym zwierzę, trącające nosem starego przyjaciela.

Obi-Wan poszedł na dziób i stwierdził, że jego padawan śpi. Po długiej, niespokojnej nocy zmogło go wreszcie. Anakin leżał pogrążony w głębokiej drzemce, otoczony przez nieruchome nasiona-partnerów. Twarz miał niewinną i spokojną brwi gładkie, usta rozchylone w powolnym, płytkim oddechu; wyglądał jak dzieło sztuki życia.

Jabitha siedziała przy głowie, lekko gładząc jedwabiste włosy chłopca. Podniosła wzrok na Obi-Wana i zagryzła dolną wargę.

- Jest bardzo ładny - szepnęła. - Pozwolimy mu trochę pospać? Jest jeszcze dużo czasu.

Anakin w obecności dziewczyny spał jak dziecko. To także miało swoją wymowę. Obi-Wan dobrze wiedział o nocnych koszmarach, które dręczyły chłopca. Teraz, uspiiony, wydawał się o wiele młodszy. Obi-Wan bez trudu przywołał z pamięci obraz dzieciolatka, którego mu powierzono, a który od tamtej pory urósł o dwie szerokości dłoni - te same miłe wyraziste rysy, troszkę dłuższy nos.

Brak mu kobiety, pomyślał. Thracia Cho Leen wiedziała o tym.

Obi-Wan wyciągnął rękę, ale się zawahał. Przemknęło mu przez głowę, że nie powinien budzić chłopca, tylko pozwolić mu tak spać już na zawsze; zawsze śnić o wielkiej przygodzie, o własnych triumfach i radościach. Wiedział, że to sentymentalizm, ale chętnie mu ulegał. Chyba właśnie tak czuje się ojciec, który patrząc na śpiącego syna, martwi się o jego niepewną przyszłość, pomyślał. Nie chciałbym widzieć jego klęski, ale jeszcze bardziej nie chciałbym go stracić. Wolałbym raczej zatrzymać czas tu i teraz i sam się zatrzymać wraz z nim, niż to przeżyć.

Wydało mu się nagle, że u jego boku stanął ktoś znajomy. Pograżony we wzruszeniu, nietypowym dla Jedi, speszony Obi-Wan wyszeptał:

- Nie jest bardziej wyjątkowy niż inne dzieci, prawda?

- Dla ciebie jest - doleciała odpowiedź, cicha jak szept, jak tchnienie wiatru - Teraz już wiesz.

Obi-Wan obejrzał się i ujrzał nadchodzącego Ganna. Głos jednak nie należał do niego.

- Czas ruszać - oznajmił Gann ze zmarszczonymi brwiami, patrząc na ściągniętą i zaskoczoną twarz Kenobiego. - Coś nie w porządku?

- Nie, nie. - Obi-Wan wzdrygnął się lekko, ale ujął ramię chłopca i potrząsnął nim lekko. Anakin jak zwykle z głębokiego snu przeszedł momentalnie w stan pełnej przytomności. Jego nasiona-partnerzy również drgnęły i zgodnie przyczepiły się do jego tuniki i spodni.

Nasiona Obi-Wana rozlały mu się po ramionach i piersi. Mistrz i jego uczeń wysiedli z długiej łodzi. Gann i Jabitha ruszyli za nimi.

- Śniło mi się, że jestem z Qui-Gonem - mówił Anakin. - Uczył mnie czegoś... ale nie pamiętam czego. Uśmiechnął się. - Kazał cię pozdrowić. Mówił, że trudno do ciebie dotrzeć.

Biegiem ruszył w górę rampy i wyskoczył na kamienną półkę.

Obi-Wan stanął jak wryty. Czuł się, jakby dostał w głowę, ale po chwili zacisnął szczękę i ruszył za padawanem.

Po mrocznym szybie niósł się dźwięk bębnów i strun, a razem z muzyką brzmiał chór męskich głosów, złączonych w potężnej, basowej pieśni.

- Czekają - niespokojnie szepnął Gann. - Wykuwanie zaraz się zacznie!

Jabitha dogoniła Anakina.

- Czujesz podniecenie? - zapytała.

- Niby dlaczego? - odparł ze sztuczną brawurą.

- Ponieważ jesteś najmłodszym klientem w historii - odpowiedziała. - A jeśli ci się uda, twój statek może być najlepszy, jaki tu kiedykolwiek zbudowano.

- No dobrze - Anakin zaczerpnął tchu. - To rzeczywiście bardzo podniecające.

Jabitha obdarzyła go szerokim uśmiechem i objęła go ramieniem. Twarz chłopca znieruchomiała w przyplwywie młodzieńczej dumy, a Obi-Wan zauważył na jego policzkach lekki rumieniec, widoczny nawet w przyćmionym świetle. Razem minęli dwa chóry ferrańskich mężczyzn, grających na bębnach i strunowych allutniach. Śpiewali w świetle latarek elektrycznych, a ich głosy towarzyszyły wspinającej się czwórce aż do wylotu szybu.

- Czy nie są wspaniali? - szepnęła Jabitha.

- Skoro tak uważasz... - odparł Anakin.

ROZDZIAŁ

35

- Tu się zaczyna dolina fabryczna - oznajmił Gann, gdy znaleźli się na szczycie ostatniej kondygnacji schodów. Po tak długiej wspinaczce dodatkowy ciężar nasion na plecach doskwierał Anakinowi szczególnie dotkliwie. Jabitha pobiegła naprzód, by dotrzeć na szczyt przed nimi; wyszła im teraz na spotkanie z radosnym uśmiechem.

Anakin podniósł wzrok na potężne, wygięte konary bora, splecione gęsto sto metrów nad ich głowami niczym sklepienie ogromnej hali. Słońce przesączało się przez ten gruby baldachim, rzucając baśniowe, zielonkawe światło na kamienny chodnik. Chodnik ten ciągnął się przez, wiele kilometrów, z obu stron strzeżony przez pionowe ściany utworzone przez wysokie, gęsto rozmieszczone ośmioboczne kolumny lawy.

Dawno temu, zanim ściany zdążyły się zestalić, uwięzły w nich brunatne, ogromne głązy. Jeden z nich, wielkości celi Anakina w Świątyni, pękł wzdłuż, ukazując puste wnętrze, w którym błyszczały pomarańczowe i zielone kryształy, ściśnięte gęsto jak szpilki w poduszeczce Shmi. Przez całą długość ścian ciągnęły się czarne, czerwono pręgowane pnącza, wciskając się pomiędzy regularne, ośmiokątne bazaltowe płyty chodnika i rozpychając je na boki. Pięły się też na kilkanaście metrów w górę, by wreszcie połączyć się z pniem bora. Mniejsze, zielono pręgowane pnącza odgałęziały się od tych grubszych i zwijały w pęknięciach głązów, jakby odpoczywając przed ostatecznym wysiłkiem.

Powietrze pod baldachimem było gęste i przesycone wilgocią o temperaturze krwi. Dość trudno było nim oddychać. Wokół unosił się słodki zapach kwiatów i ciasta, ale dominowała woń wilgotnej gleby.

- Te kamienie były tu jeszcze przed naszym przybyciem - szepnęła Jabitha z poważną miną. Stała pograżona w zielonym półmroku. - Były też bora. W zeszłym roku ojciec wprowadził nową zasadę. Kiedy fabryka zaczyna pracować, bora zasłaniają to, co robimy, żeby nikt nas nie zaskoczył.

- Twój ojciec to bardzo mądry człowiek - uroczyście oznajmił Gann. Obi-Wan znowu zauważył, że Gann błędnie, kiedy mowa o wydarzeniach z niedawnej przeszłości.

Potężny dźwięk, przypominający głos wielkich rogów, poniósł się wzdłuż bazaltowych ścian, niosąc ze sobą nowe poduchy gorącego, jeszcze bardziej wilgotnego

powietrza. Ponad ich głowami masywne pnie bora drżały i skręcały się, a splecione gałęzie szeleściły i szumiały, co brzmiało jak miliony syczących szeptów. Kawalki pokruszonej skóry-kory bora spadały na chodnik.

Nasiona-partnerzy zadrżały gwałtownie.

- Już się nie mogą doczekać - wyjaśnił Gann.

Anakin z trudem wierzył, że naprawdę tu jest. Czyżby wyśnił to miejsce, że wydaje mu się tak bardzo znajome? Czuł się tak, jakby był dwojgiem ludzi: jednym, który już kiedyś tu przebywał i wszystko znał doskonale, i drugim - młodzieńcem urodzonym na innej planecie, bardzo, bardzo daleko stąd. I z każdą chwilą coraz mniej był pewien, który z nich jest nim samym, który z nich myśli i idzie. Spojrzał na Obi-Wana i przez moment nie mógł sobie przypomnieć, kim jest ten człowiek idący obok Ganna, ubrany w zieloną rytualną szatę Sekot.

W końcu Anakin zwyciężył i zdołał zjednoczyć obie połówki. Skorzystał z dyscypliny Jedi, by wyostrzyć świadomość, by zebrać i uporządkować wszystkie warstwy myśli ukryte głęboko pod nią.

Wszystkie - z wyjątkiem najniższego, najbardziej prywatnego poziomu własnego „Ja”, prawie na krawędzi niebytu. To właśnie tam ukrywała się ta druga osobowość, wraz z jej niejasnymi, mrocznymi, indywidualnymi wspomnieniami.

Anakin stwierdził, że nie czas teraz wspominać mistrzowi o tej anomalii. Chodnikiem zdążyły w ich kierunku istoty przypominające ogromne czarne, czerwone i zielone siedmionożne owady. Ciała miały szerokie i płaskie, nogi po trzy z każdej strony, siódma noga tkwiła pośrodku, w przedniej części korpusu. Z obu stron tej środkowej nogi sterczały długie, szare rogowe wyrostki. Owady wyglądały tak, jakby urodziły się po to, by przenosić duże ciężary.

Każde z tych stworzeń niosło na grzbiecie, pomiędzy wyrostkami, krzepkiego, umorusanego jeźdźca, który trzymał się tego dziwnego poroża dłońmi obleczonymi w grube, czarne rękawice.

- Czy to Jentari? - zapytał Anakin Jabithy.

- Nie - zaśmiała się cicho. - To karapody. Ci ludzie, którzy ich dosiadają, to kowale.

- Czy te karapody żyją?

- W większości. Niektóre z nich są częściowo maszynami. - Jabitka patrzyła na wielonogie stwory.

Gann zerknął na Anakina.

- Teraz zostawimy was w rękach kowali. Przygotują wasze nasiona i zabiorą was do formierzy i do Jentari. - Gann spoglądał smutno i żałośnie. - Nigdy nie byłem dalej. Taka jest wola Magistra.

- Życzę wam szczęścia - szepnęła Jabitha. - Spotkamy się na drugim końcu!

Zawróciła za Gannem na schody i po raz ostatni spojrzała przez ramię na Anakina. Oczy jej błyszczały, wargi miała mocno zaciśnięte. Szybko zbiegli w dół schodów.

- Mam już chyba dość ceremonii i tajemnic - westchnął Obi-Wan. - I mam dość przechodzenia z rąk do rąk jak stary łach.

- A ja myślę, że to pełny odlot - odrzekł Anakin. Czuł się podekscytowany i to w jakiś sposób - choć nie potrafiłby wyrazić tego słowami - pomagało mu wyobrazić sobie, co ich czeka. Wiedział jednak, że Obi-Wan jest podejrzliwy nie bez powodu.

Anakin zmarszczył brwi.

- Jestem bardzo podniecony, mistrzu, a jednocześnie trochę się boję. Dlaczego się tak dziwnie czuję?

- Nasiona do nas przemawiają - wyjaśnił Obi-Wan. - Niektóre już tu były, może nawet z Vergere. Słyszysz ich entuzjazm i reagujesz na ich wspomnienia.

- Oczywiście! Nasiona! - zawołał Anakin. - Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

- Bo masz ich tyle, że cię zagłuszają - odparł Obi-Wan. - Chciałbym mieć sprzęt, żeby pomierzyć im zawartość midichlorianów.

Jego twarz przybrała nagle dziwny wyraz, jakby wsłuchiwał się we wspomnienia.

- Byłaby bardzo wysoka - odparł Anakin i szturchnął mistrza w ramię jak nauczyciel, który budzi z zadumy nieuważnego ucznia.

Obi-Wan uniósł jedną brew.

- Ale chyba nie tak jak u ciebie - mruknął, potrząsając głową. Słuchaj ich głosu, ale kontroluj swój kontakt z Mocą, padawanie. Nie zapominaj, kim i czym jesteś.

- Nie zapomnę - mruknął Anakin ze skruszoną miną.

Karapody znalazły się teraz o kilkanaście metrów od miejsca, gdzie stali pod ogromnym, niespokojnym baldachimem bora. Anakin otarł pył z twarzy i złożył przed sobą ręce, jakby trzymał w nich ćwiczebny miecz świetlny.

Owady były tak wielkie, że główny przegub każdej z sześciu łap znajdował się na wysokości ludzkiej głowy. Na ich ciałach tu i tam lśniły kawalki metalu, jakby żywa tkanka Sekot stopiła się ze stalą.

Twarz mistrza przybierała coraz bardziej nieobecny wyraz.

- Mistrzu, teraz ty jesteś roztargniony!

Karapody otoczyły ich kręgiem, ale Obi-Wan nie zwracał na nie uwagi.

- Vergere - powiedział wreszcie. - Zostawiła wiadomość... w nasionach...

Wyprostował się i przybrał obojętny wyraz twarzy w tej samej chwili, gdy jeden z jeźdźców zsiadł z wierzchowca i szedł do nich z mroczną, zdeterminowaną miną.

- Co powiedziała? - szeptem zagadnął Anakin.

- Opuściła Zonamę Sekot w pogoni za jeszcze większą tajemnicą.

Co takiego?

- Wiadomość nie jest jasna. Coś na temat istot spoza najdalszych granic, nieznanych nawet Jedi. Musiała działać w pośpiechu.

Twarde, głęboko pobrużdżone zmarszczkami oblicze jeźdźca wydawało się spalone słońcem i jakby zmięte. Oczy miały barwę czerwonego złota, jakby płonęły żywym ogniem.

- Klienci? - zapytał w najgorzej akcentowanym wspólnym, jaki zdarzyło im się słyszeć na Zonamie Sekot.

Tak odparł Anakin i zrobił krok do przodu, wysuwając podbródek, jakby chciał bronić Obi-Wana.

- Zostawili was tutaj ludzie Magistra?

- Tak.

- Wsiadajcie - burknął jeździec i krzywiąc się, wskazał im płaski pierwszy staw na środkowej łapie stwora. - Spóźniliście się! Właśnie zbieramy ostatni wsad!

Anakin i Obi-Wan wspięli się na grzbiet dziwnego wierzchowca. Jeździec spojrział w górę wytrzeszczonymi oczami.

- Jesteśmy waszymi kowalami - oznajmił i zawołał: - Grupa, do szeregu!

Karapody i ich jeźdźcy ustawili się w pojedynczy rząd.

Z krawędzi doliny zbiegła w dół po rampach gromada pozbawionych jeźdźców karapodów i otoczyła cały szyb aż do rzeki. Prawdopodobnie dotarli tu aż z tamiasi, bo nosły na grzbietach wielkie sterty liści bora, połamanych gałązek, przedziurawionych liści-balonów, wysuszonych, szeleszczących śmieci podtrzymywanych przez uniesione boczne łapy.

Obladowane karapody pędem przebiegły obok nich, nawołując się głosami podobnymi do staccato na bębnie i zaczepiając idących w szeregu towarzyszy.

W tym samym czasie inne stworzenia, prawdopodobnie spokrewnione z karapodami, ale z innym układem chwytnych nóg, wspinały się pod łukowatym sklepieniem bora, unosząc w podwieszonych koszykach jeszcze większe porcje śmieci.

- Paliwo do kadzi - wyjaśnił kowal, zajmując miejsce między wyrostkami karapoda. - To już ostatni wsad. Chodźcie, zajmiemy się waszymi nasionami, zanim wezmą się za większe!

Karapody obróciły się w miejscu i popędziły gromadą. Galopowały gładko i spokojnie, a nogi uderzały w kamienne płyty chodnika równym, niemal hipnotycznym rytmem.

Anakin znów spojrział na Obi-Wana. Wydawało się, że mistrz odzyskał już panowanie nad sobą bo jego twarz przybrała zwykły stanowczy wyraz. Chłopiec wsłuchał się w piski swoich rozradowanych, pełnych entuzjazmu nasion, które obiecywały mu nieznówną przyjaźń i nadzwyczajne, cudowne przeżycia.

Nagle Anakin zdał sobie sprawę, że przecież one nie wiedzą, co z nich powstanie!

ROZDZIAŁ

36

Karapody dotarli do miejsca, gdzie kończyły się bazaltowe kolumny. Formierzy zatrzymali je. Tu, poza chodnikiem, dolina fabryczna rozszerzała się w polanę, pokrytą mocno skrzyżowanymi pnączami ułożonymi jak pionki na planszy. Obladowane paliwem karapody popędziły między monumentalne słupy z rzeźbionej wodą skały, wysokie na kilkaset metrów i wspierające zielony dach z gałęzi bora.

Była to największa zamknięta przestrzeń, jaką kiedykolwiek widział Anakin. Wokół szczytów kolumn gromadziły się chmury, a w oddali, o kilkanaście kilometrów dalej, gruba warstwa mgły wpleciona w splecione gałęzie skraplała się w prawdziwy deszcz.

Tu mamy nasze kadzie - powiedział kowal o czerwonej twarzy. Zeskoczył z karapoda i wskazał palcem na miejsce, gdzie z czerwono oświetlonych czeluści pod zarośniętymi ścianami doliny unosiły się kłęby dymu. Tym samym wyciągniętym palcem policzył ich nasiona-partnerów, poruszając przy tym ustami.

- Dużo ich masz, chłopcze! Co one do ciebie mówią? Słyszysz je?

Anakin skinął głową.

- No? Powiedz swojemu kowalowi.

- Mówią, że się bardzo cieszą.

- Właśnie to chciałem usłyszeć. Daj mi je i chodź.

Anakin delikatnie zdjął z ubrania swoje dwanaście nasion i zgromadził je razem. Każde pisnęło cichutko, gdy je odrywał, ale nie próbowało się bronić. Podał je kowalowi, który wrzucił wszystkie na grzbiet karapoda.

- One pojadą, a wy pójdziecie - oświadczył kowal i odebrał od Obi-Wana jego trójkę. - Najwięcej i najmniej - dodał, pociągając nosem. - Przekuwamy je w jedną całość dla klientów, którzy nam je powierzają. Oto, co robimy. Cieszcie się, że macie mnie, a nie ich! -kciukiem pokazał pozostałych kowali, którzy odpowiedzieli mu śmiechem. Huknął na nich i także się roześmiał.

- To amatorzy w porównaniu ze mną! Tylko ja potrafię przetopić piętnaście, a przedtem namówić je, żeby się połączyły!

- Nie słuchajcie tego pyszałka - zawołał inny kowal. - Będziecie mieli szczęście, jeśli dostaniecie taczkę!

- Oni naprawdę chcą, żebyście zobaczyli wszystko! - burknął czerwonolicy kowal. - Nieważne. I tak wszyscy jesteśmy kumplami.

Mrugnął do nich i otrzepał z ramion resztki białawych skorupki nasion-partnerów, które rozsypały się wokół niego i spadały na ziemię powoli jak śnieg.

- Stary Magister podzielił nas na górnych i dolnych mieszkańców doliny. My jesteśmy na dole i znamy ten etap procesu lepiej niż ktokolwiek. Wybrał nas pojedynczo i kazał nam założyć rodziny. Ferranie na górze, Langesi na dole. Znamy swoje miejsca. Dobrze to urządził.

Anakin słyszał o starej, niewielkiej planecie zwanej Langhesa. Czytał o niej w pokoju map na Coruscant. Planeta została sto lat temu najechna przez Tsinimali, którzy pojмали w niewolę tubylczy lud Langhesich, wymuszając masową migrację w różne części galaktyki. Ich specjalnością było rolnictwo i sztuka życia, nauczanie, jak stąpać żywe elementy w nowe, oryginalne formy. Przez wiele stuleci zaopatrywali bogate rodziny całej Republiki w egzotyczne zwierzęta domowe.

Tsinimale, wytworni i nietolerancyjni, uważali sztukę życia Langhesich za grzech przeciwko ich własnym bogom, którzy zresztą zachowywali całkiem obojętny stosunek na przykład do piractwa i galaktycznych podbojów.

- No, ale dajmy spokój szczegółom. Dostaniecie swój statek, a potem ci z góry sprowadzana was zapomnienie. W ten sposób doświadczyćcie wszystkiego od początku do końca. Będziecie pamiętać kadzie do wygrzewania. - Wyszczerył zęby, układając twarz w groteskową, prymitywną maskę, - Ja nazywam się Vagno. Mnie także zapamiętacie.

ROZDZIAŁ

37

- Zdaje się, że na Zonamie Sekot pojawiły się jakieś problemy - odezwał się kapitan Kett. Wspiął się na mostek nawigacyjny i podał Sienarowi zdekodowany komunikat od Ke Daiva. Sienar przeczytał wiadomość z kamienną twarzą, po czym zmarszczył brwi, patrząc na Ketta tak, jakby to wszystko była jego wina.

Oczy Ketta zwięziły się w odruchu obronnym.

Został odrzucony - syknął Sienar. - Coś na temat nasion-partnerów, które go nie chciały. Zeżarły mu całe ubranie. Kett nie musiał udawać, że nie wie, o co chodzi.

- Nie możemy polegać na Ke Davie - oświadczył Sienar.

- Mam też wiadomość od Tarkina - dodał Kett z lekkim drgnieniem ust. Podał Sienarowi drugi niewielki cylinder i dowódca odczytał krótką wiadomość.

- Tarkin zaczyna się denerwować. Żąda nowych informacji - mruknął Sienar, zaciskając wargi.

Czy nie powinniśmy się przenieść na orbitę dyplomatyczną albo negocjacyjną? - zapytał Kett. - Wszystkie systemy i roboty są przygotowane. Natychmiastowa akcja będzie doskonałą podstawą do dyskusji.

- Jasne, gdybym był Tarkinem - odparł Sienar, uważnie obserwując swojego pierwszego oficera. - Ale nie jestem tu po to, żeby grać w polityczne gierki. Nie ma czasu. Ke Daiv wciąż ma swoje instrukcje, a ja chcę dać mu jeszcze jeden dzień.

Sam się zastanawiał, czy to rozsądny gest, aby stawiać wszystko na Krwawego Rzeźbiarza. Ale czy miał wybór? Coś mu mówiło, że zmasowane działania wojenne z ich strony byłyby grubym błędem.

- Sir, jeżeli nie zaczniemy natychmiast działać, będziemy odsłonięci nawet dla najbardziej prymitywnych systemów wykrywania. Element zaskoczenia...

- Czy twoje czujniki wykryły jakiegokolwiek systemy uzbrojenia na Zonamie Sekot?

- Nie, sir, ale nie polegałbym na tych czujnikach. To płytkie...

- Planeta od lat dbała o utrzymywanie tajności. Może są skłonni do zgody? - Ale nie licz na to, dodał w duchu.

- Sir, myślałem o tych śladach niedawnej bitwy na powierzchni planety...

- Ja też, kapitanie Kett. I do jakich pan doszedł wniosków?

- One nie mogły powstać wskutek użycia jakiegokolwiek ze znanych mi broni. Turbolasery i broń protonowa pozostawiają w kamieniu zupełnie inne ślady. Te szramy mogą pochodzić od dezintegratorów neutronowych, które teoretycznie powodują podobne skutki, ale nikt w znanych nam obszarach galaktyki nie opanował dotąd takiej broni.

Sienar słuchał słów Ketta jak wykładu wygłaszanego przez przedszkolaka. Po chwili z westchnieniem odwrócił wzrok, zmarszczka na jego czole się pogłębiła. Zaczął bębnić palcami o poręcz, wystukując długimi paznokciami wyraźny rytm.

- Myślisz, że tamci ukrywają taką broń i że niedawno stoczyli bitwę? - zapytał, z trudem ukrywając satysfakcję.

- Nie, sir. Układ uszkodzeń jest taki, że przypomina raczej lekki ostrzał wstępny albo pokaz siły bez większych następstw. Nie potrafię sobie wyobrazić takiego stanu pozornego pokoju i kompletnego braku uzbrojenia, jeśli władze tej planety niedawno przeżyły poważnie wyzwanie. Od naszego przybycia prowadzimy nasłuch planety i nic. Całkowity spokój. Wszystkie systemy komunikacyjne są bezpieczne i skutecznie nakierowywane. Jedno mogę stwierdzić z czystym sumieniem: jest zbyt wiele rzeczy, których nie wiemy.

Sienar nie był głupcem. Własne wnioski wygłoszone ustami kogoś innego wcale go nie pocieszyły. Jeśli jednak ma unieść z tej opresji własne życie, pozycję i reputację, pociecha była ostatnią rzeczą jakiej teraz potrzebował.

Wystukał na zabezpieczonym komputerze krótką odpowiedź i podał Kettowi.

Kett zwlekał, jakby się spodziewał, że komputer odezwie się głosem szefa. Sienar jednak odwrócił się do niego plecami. Kett posłusznie opuścił mostek nawigacyjny.

W pamięci komputera Sienar wpisał: „Twój najemnik próbował mnie zabić, ale mu się nie udało. Powierzyłem mu samobójczą misję honorową. Odkryłem coś nieoczekiwane i naprawdę cudownego. Działam według własnego planu. Nie potrzebuję pomocy”.

Sienar uśmiechnął się. Teraz Tarkin bez wątpienia przygalopuje pędem z największą załogą jaką zdoła zebrać, ale zanim się zjawi, upłynie cały dzień, a przez ten dzień Sienar wypróbuje własny plan, w który włączy wszystkie siły, jakie ma do dyspozycji.

No i zawsze jest jeszcze tajny plan Ke Daiva.

Jeśli im się uda, będą mieli nietknięty sekotański statek, żywego - i bardzo przerażonego - pilota, a może także dwóch Jedi, choć Sienar z nimi akurat wolałby nie mieć do czynienia.

Wiedział, do czego zdolni są Jedi.

ROZDZIAŁ

38

Anakin przyglądał się z niepokojem, jak Vagno wrzuca wszystkie nasiona-partnerów do jednej kadzi. Nad liściastym sklepieniem zapadła noc; jedyne światło pochodziło od latarek, które pomocnicy kowali nosili ze sobą albo zawieszali na tyczkach zatkniętych w pokryte popiołem podłoże, a także od ognisk rozpalonych pod ścianami kotliny.

- Niektóre z kadzi są ogromne - mruknął Anakin do Obi-Wana. - Ciekawe, co oni w nich robią?

- Na pewno nic, kiedy mają pod bokiem klientów - wytłumaczył Obi-Wan. Dlaczego ten kowal powiedział: „Zanim wezmą się za większe”? - zastanawiał się. Co ma być większe?

Pomocnicy Vagno zebrali się nad kadzią o średnicy ponad dwudziestu metrów. Każdy z nich był uzbrojony w długie, ostre jak brzytwa narzędzie, wyglądające jak szabla zatknięta na końcu metalowej żerdzi.

Karapody zrzuciły swój ładunek śmieci z górnych tamiasi na nasiona-partnerów. Vagno kierował grupą która wyrównywała stopy i uzupełniała braki przy użyciu długich żerdzi. Wreszcie osobiście wszedł do kadzi, by ją skontrolować; spojrzawszy stamtąd na Anakina i Obi-Wana, podniósł do góry oba kciuki i wyszczerzył zęby, po czym zwinnie przemknął po sterce śmiecia.

- Dołóżcie tu i tu trochę granulek - polecił ludziom, którzy natychmiast przynieśli kosze pełne małych, czerwonych kulek, okrągłych i gładkich jak orzeszki, i wysypali je we wskazane miejsca.

- Wasze nasiona są spokojne - zapewnił ich Vagno. - Teraz ważą się ich losy.

- Ile z nich przeżyje? - zapytał Anakin. Słowa z trudem przeciskały mu się przez wyschnięte gardło. Wciąż wyczuwał echo głosów nasion, ich czułości i przywiązania.

- Większość. Nie martw się. Będziemy dokładnie rozprawdzać żar. Lepiej tu niż w tamiasi. I pamiętaj: taka jest tradycja Sekot.

Anakin miał nadzieję, że Vagno powie: „Wszystkie”. Chłopiec skulił się obok Obi-Wana, bawiąc się kawałkiem suchej gałązki. Vagno podszedł do niego, spojrzawszy w dół i polecił mu dorzucić gałązkę do kadzi.

- To nasza tradycja - powtórzył. - Podłoga musi być czysta.

W innych punktach doliny pozostali klienci - Anakin naliczył ich trzech w zasięgu wzroku, w mniej więcej półkilometrowych odstępach - przyglądali się, jak przysypują razem ich nasiona-partnerów.

- Ilu jest klientów? - zapytał Anakin.

- Na płaskowyżu widziałem trzy statki - odpowiedział Obi-Wan. - I trzy aktywne kadzie.

- Racja - odparł Anakin. - Ależ się denerwuję!

- To przez połączenie z nasionami - mruknął mistrz. - Uważaj.

- Na co?

- Za chwilę ulegną transformacji. Nikt tutaj nie wie, jak to odczuwają. .. ale być może ty i ja zaraz się tego dowiemy.

- O rany - szepnął Anakin. Przelknął stojącą mu w gardle gulę i wstał, otrzepując spodnie i skraj tuniki.

Vagno zakończył inspekcję. Poświecił w górę latarką i Anakin zobaczył coś na kształt wielkiej obręczy, która powoli opadała w dół spod sklepienia. Karapody spuszczały ją na długich pnączach. Kiedy już znalazła się nad kadzią rozwinęła liczne kończyny; trzymały w rozmaite narzędzia, niektóre naturalne, nie wykonane z metalu.

Anakin znał wiele kultur łączących formy organiczne z techniką. Mistrzami w tej dziedzinie byli Gunganie - ale oni nigdy nie budowali statków międzygwiazdnych. Większość tych procedur do tej pory utrzymywana była w sekrecie. Teraz jednak sam będzie świadkiem, a może nawet zrozumie, jak Zonamanie zdołali osiągnąć takie rezultaty. Gdyby pozostał tym samym chłopcem z Tatoonie, którego uwolnił Qui-Gon, pewnie byłby teraz bardzo dumny. Szkolenie Jedi nauczyło go jednak przynajmniej tego, jak zdradliwym uczuciem jest duma. Odczuwał więc tylko ogromną ciekawość.

Ciekawość była dla Anakina najgłębszym wyrazem jedności z żywą Mocą.

Spojrzał na mistrza. Twarz Obi-Wana wyrażała zarazem troskę i zainteresowanie. Anakin wyczuwał gorący, ale ujarzmiony płomień, płynący od ducha swojego mistrza, płomień niewiele się różniący od jego własnego, choć może nieco bardziej opanowany.

Krąg różnokształtnych narzędzi zatrzymał się, a spomiędzy zwisających kończyn wychyliły się krainy. Narzędzia znów poszły w ruch, co wprawilo całą obręcz w drżenie. Vagno krzyknął głośno i grupa ustawiona wokół kadzi równocześnie wyciągnęła w górę żerdzie z narzędziami, stukając w obręcz czubkami ostrzy.

Z otwartych zaworów spłynęła ciecz tak aromatyczna, że Anakinowi zakręciło się w nosie. Cofnął się w tej samej chwili, gdy Vagno zatrzymał się tuż przed nimi. Z pasa wyciągnął krzesiwo i hubkę. Zapalił ją jednym uderzeniem.

- Na wszelki wypadek - mruknął. - Może być ciężko.

Obręcz zniżała się teraz szybko.

Ludzie wokół kadzi zaintonowali pieśń w języku Langhesi, wyciągnęli w grę ostrza i popatrzyli w ślad za nimi. W baldachimie liści utworzył się kolisty otwór o średnicy około stu metrów. Nad otworem kłębiły się gęste czarne chmury

Anakin zobaczył długie pnącza, wznoszące się w niebo krawędzi otworu. Ich końce lśniły lekko. Nad innymi kadziami również rozwarły się okna w niebo. Powietrze pachniało elektrycznością.

- Tampasi kontrolują pogodę - szepnął do Obi-Wana.

- Mądry wniosek - odparł Obi-Wan.

Twarz Vagno skurczyła się. Podniósł ramię jakby w oczekiwaniu. Drugą ręką dał znak, aby Anakin i Obi-Wan uczynili to samo.

Napięcie w powietrzu stało się nie do zniesienia. Włosy Anakina trzeszczały i sypały iskry, ubranie przywarło do skóry, drgając jak żywe. Wydawało mu się, że gałki oczne za chwilę wyskoczą mu z oczodołów na policzki. Było to straszne, przerażające uczucie, chłopiec miał ochotę krzyknąć na cały głos.

W tej samej chwili z ciemnych, wzdętych chmur spłynęły pomarańczowe błyskawice, zatańczyły na wzniesionych stalowych końcówkach pnaczy i z trzaskiem uderzyły w kadzie. Oplotły wzniesione narzędzia kowali Vagno i szybciej, niż oko mogłoby nadażyć, odepchnęły w tył ich żerdzie, choć ludzie trzymali je całą siłą masywnych ramion.

Śpiewali teraz jednym głosem; znów skierowali żerdzie do przodu, aż ich czubki zetknęły się nad kadzią.

Vagno w upojeniu mlasnął językiem i odrzucił płonąca hubkę.

- Ogień z nieba! zawołał. - Najlepszy, jaki może być!

W miejscu, gdzie uderzyła błyskawica, rozjarzył się jaskrawy płomień. Podpałka zrzucona z obręczy rozprzeczona go po powierzchni kadzi w ciągu sekundy i wkrótce płonąca już sterta paliwa i granulek. W jednej chwili potężny stos plonął ogniem w pełną dymu ciemność i mroczne niebo na wysokość co najmniej czterdziestu metrów, oświetlając zielony strop i biegające po nim stworzenia. Całe sklepienie wydawało się żywe i ruchome.

Anakin poczuł się nagle jak w gigantycznej kolonii myrminów.

Wtedy poczuł głosy nasion. Boją się, pomyślał. Skwierczą w żarze. Ich skorupki pękają.

Ciepło ulatniało się w pulsujących warstwach powietrza, ale w miarę rozgrzewania się kadzi i opadania popiołu nasiona zaczęły się piec jak słodkie bulwy w obozowym ognisku.

Mimo gorąca Anakin zadrżał, jakby owionął go chłód.

Obi-Wan objął go ramieniem. Anakin spostrzegł, że twarz mistrza pokrywają kropelki potu. On także wyczuwał nasiona w żarze.

- Coś nie tak? - zainteresował się Vagno. Jego twarz lśniła w żółtym blasku ognia, jakby stanowiła część żaru, jak zbłąkany węgielek, który przybrał ludzką postać. Przejrzał się im krytycznie.

- Nic nam nie jest.

Z Anakinem jednak działo się coś niedobrego. Miał ochotę zwinąć się w kłębek i ukryć albo uciec stąd, ale wiedział, że nasiona już nie mają łapek i nie zdołałyby pobiec za nim, nawet gdyby chciały.

- Nigdy jeszcze nie straciłem klienta. Nie ma obawy - mruknął Vagno.

Nasiona były wystraszone, ale nie protestowały pod brzemieniem rozżarzonego popiołu i ognia. Anakin czuł ich odwagę i świadomość przeznaczenia.

Nasiona nie dorównywały ludziom rozumem, nie umiały nawet samodzielnie myśleć, ale każde z nich zawierało potencjał świadomości i inteligencji. Ogień wydobywał tę świadomość na pierwszy plan.

To samo czeka ciebie - usłyszał w myślach.

Anakin westchnął głośno. Teraz już nie śnił.

To twój los, twoje przeznaczenie.

Obi-Wan milczał. Anakin wiedział, skąd dochodzi głos, do kogo należy, ale nie mógł w to uwierzyć.

Będzie żar, śmierć i odrodzenie. Ziarno ulegnie przemianie. Spłonie czy załśni? Będzie myśleć i tworzyć czy zostanie sługą strachu i zniszczenia?

Nagle głos zamilkł.

Ramię Obi-Wana obejmujące Anakina drgnęło lekko, jakby chcąc ochronić chłopca.

- Spodziewaliśmy się fali, a tymczasem... - szepnął.

Anakin zapatrzył się w płomienie. Uspokoił się nagle. Nasiona zaczęły przemianę. Już się nie bały.

- Pękają jak bomby! Odsuńcie się! - Vagno odepchnął Obi-Wana i Anakina w tej samej chwili, gdy pierwsza eksplozja wyrzuciła wysoko w powietrze chmurę rozżarzonego popiołu. Iskry zatańczyły wokół nich, wypalając dziurki w tkaninie szat. Przez chwilę Anakin wyglądał jak diabeł, otoczony smużkami dymu unoszącymi się z włosów. Obi-Wan ugasił mały pożar szybkimi, lekkimi uderzeniami palców.

Jeden... dwa... trzy... eksplozja za eksplozją zbyt wiele, żeby je policzyć. Ale Anakin wiedział już, że wszystkie nasiona przeżyły, a ich przemianę przyspieszył ogień.

- To będzie bajeczny statek! - krzyknął radośnie i w podnieceniu poklepał się po kolanach. - Najwspanialszy statek, jaki kiedykolwiek zbudowano!

- Zaraz, zaraz - zmitygował go Vagno, krzywiąc się z niesmakiem. - Trzeba je teraz zebrać, wygrzać i uformować... nauczymy je życia na innych światach! Chodźcie, trzeba poruszyć popioły. - Wypchnął Anakina i Obi-Wana z kręgu kadzi, aż znaleźli się obok pustego karapoda. - I trzymać się z daleka! Niektóre nasiona eksplodują dwa razy.

ROZDZIAŁ

39

Obi-Wan czuł się słaby, prawie chory. Nigdy do tej pory nie doświadczył tak niezwykłego zwrotu w swojej świadomości żywej Mocy. Powodem tego był Anakin, to oczywiste, ale coś w tym miejscu - a może nawet w całej planecie - nadawało temu zwrotowi niezwykle intensywność i szczególne znaczenie.

Był prawie przekonany, że gdyby Mace Windu, Yoda lub jakiegokolwiek inny Jedi znalazł się na Zonamie Sekot, ta zmiana kształtu niezwyklej fali przeznaczenia zaskoczyłaby ich równie mocno jak jego.

I może właśnie te niezwykle okoliczności sprawiły, że tak wyraźnie i bez przerwy czuł przy sobie obecność Qui-Gona.

Obi-Wan widział swojego mistrza przebitego lśniącym ostrzem Dartha Maula. Wtedy Moc nie była dla niego ani dobra, ani pomocna. Ciało Qui-Gona nie znikło; ukazało mu całą prawdę śmierci, polegającej na zerwaniu wszystkich połączeń z materią ciała.

Właśnie tak być powinno. Moc ma kształt, a śmierć jest jego nieuniknioną częścią. Obi-Wan nie był chyba wtedy dość dojrzały, aby okazać umierającemu mistrzowi całą swoją miłość, aby pożegnać go na zawsze.

Vagno i jego ludzie zaczęli grzebać w popiele, stojąc przy brzegu kadzi. Gdy tylko płomień przygasł, niezawodna obręcz z narzędziami opadła niżej i poczerniałe, masywne łopaty zaczęły razem z ludźmi przekopywać żar. Dym i popiół unosiły się wysoko w mrok, a płatki czerwonych iskier lśniły jak złowrogie oczy.

W dolinie fabrycznej, w innym miejscu pod zielonym baldachimem zapłonęły nowe ognie. Obi-Wan widział wiele kilometrów dalej, za niskimi wzniesieniami terenu, jak zielone sklepienie jarzy się od palenisk znacznie większych niż to obok. Wypalano nowe nasiona, o wiele za dużo, jak na potrzeby klientów z innych światów. Cała dolina była pełna ognia, były ich dziesiątki, a może setki.

Właśnie teraz wzięli się za robotę, na naszych oczach, pomyślał Obi-Wan.

Vagno włożył cięższe, odporne na ogień buty i wskoczył do kadzi. Wzbił w górę obłok gorącego popiołu i roześmiał się, bo natrafił na coś wielkiego, że dwadzieścia razy większego od nasienia. Odrzucił własne narzędzie i chwycił szeroką płaską łopatę. Kopiając w popiele, podważył szeroki, płaski dysk otoczony frędzlą nieruchomy, pokryty sadzą. Stał dłonią

część popiołu i odsłonił gładką perłowo-białą powierzchnię. Kowale chwycili dysk i wrzucili na karapoda. Vagno wbił łopatę w piasek, sondował chwilę, zaśmiał się znowu i wydo był kolejny dysk. Kowale odebrali go od niego i położyli przy pierwszym.

Anakin spojrział na Obi-Wana błyszczącymi z radości oczami, Nasiona zostały wypalone. Wszystkie przeżyły. Wszystkie eksplodowały w żarze, zamieniły się we frędzlaste dyski i właśnie teraz ładowano je na karapoda.

Nagle oczy chłopca rozszerzyły się ze strachu.

- Nie czuję ich! - zawołał. - Czy one jeszcze żyją?

Obi-Wan nie potrafił odpowiedzieć. Był dosłownie pijany tym, czego przed chwilą doświadczył. Sam czuł się jak chłopiec, zagubiony w szoku, w zdumieniu, zachwycie i w irytującym dreszczu lęku.

Nareszcie wiesz, co to znaczy duch przygody!

Obi-Wan mocno zacisnął powieki, jakby chciał się odciąć do tego głosu. Tęsknił za mistrzem zbyt mocno: nie dopuści, aby wybujałe fantazje skalaly jego pamięć. Już przekonał sam siebie, że to, co właśnie odczuwa, nie jest niczym innym, jak tylko mrzonką. Coś się z nim działo, coś go próbowało osłabić.

- Przygoda - mruknął Anakin. Chłopiec jechał obok Obi-Wana na grzbiecie karapoda. Vagno wiozł ich na drugą stronę doliny, ku wąskiej, mrocznej szczelinie na południu. - Czy przygoda to to samo, co niebezpieczeństwo?

- Tak - odparł Obi-Wan nieco zbyt ostrym tonem. - Przygoda to brak planowania, błąd w szkoleniu.

- Qui-Gon tak nie uważał. Twierdził, że przygoda pomaga w rozwoju, a zaskoczenie umożliwia uświadomienie sobie własnych ograniczeń.

Przez sekundę Obi-Wan miał ochotę spoliczkować chłopca za to bluźnierstwo. Byłby to koniec ich związku mistrza i ucznia. Pragnął, żeby tak się stało. Nie chciał już więcej odpowiedzialności; nie mógł dłużej pozostawać w pobliżu kogoś tak wrażliwego, tak radośnie obnażającego wszystko, co każdy ukrywał głęboko w duszy.

Qui-Gon powiedział kiedyś Obi-Wanowi dokładnie to samo. Dawno zapomniana nauka.

Anakin w napięciu zajął mistrzowi w twarz.

- Słyszysz go? - zapytał. Obi-Wan potrząsnął głową.

- To nie Qui-Gon - rzekł sztywno.

- Ależ tak, to on - upierał się Anakin.

- Mistrzowie nie wstają z martwych.

- Jesteś pewien? - zapytał padawan.

Obi-Wan spojrział na południe, w czarną paszczę szczeliny. Tam nie było ani ognia, ani kadzi. Zamiast nich po mokrych kamiennych ścianach przebiegało zimne, niebieskie światło, a długie pnącza pełzły jak węże po ścianach i po kamienistym podłożu.

- Klienci nigdy nie wracają - zawołał Vagno. Szedł obok karapoda, mocno wybijając rytm grubymi, krzepkimi nogami. Wymachiwał w powietrzu swoją żerdzią. - Nie pamiętają a jeśli nawet, to za bardzo się boją! Aleja tu mieszkam i moi chłopcy też! Jesteśmy najodważniejsi w całym wszechświecie!

Akurat w tej sprawie Obi-Wan zgadzał się z nim w zupełności.

ROZDZIAŁ

40

Vagno przedstawił ich majstrowi brygady formierzy, wysokiemu, żyłastemu mężczyźnie zwanemu Vidge. Jak Vagno był krępy i czerwony, tak Vidge przypominał wysmukłe słupy mgły nad ranem - błydy, o wielkich, wilgotnych oczach. Nawet ubranie miało wilgotne i zroszone lśniącymi kroplami, co sprawiało, że wyglądał jak stwór dopiero co wyłowiony z mrocznych głębin oceanu.

- Tyle ich przywieźliście - poskarżył się grobowym tonem, kiedy już policzył dyski załadowane na trzy karapody. - Co my zrobimy z piętnastoma?

Vagno wymownie wzruszył ramionami. Vidge odwrócił się i z ponurą miną zmierzzył wzrokiem najpierw Anakina, a potem Obi-Wana.

- Zapłaciliście więcej tym z góry, żeby dostać tyle nasion?

- Żadnych pytań - wrzasnął Vagno. - Czas na malowanie i formowanie!

Vidge podniósł ramiona w geście kapitulacji i zwrócił się do swojej brygady. Wszyscy formierze byli wysocy, mokrzy i jakby niematerialni. Mieli przy sobie rozmaite narzędzia, długie, ciężkie szczotki i toporne łopaty. Za nimi było widać potężny magazyn, wykonany z białej jak poszczepianych arkuszy laminy, walący się i skorodowany od długich lat bezceremonialnego traktowania. Vidge złapał najbliższego mu karapoda za środkową łapę i pociągnął w stronę magazynu. Karapod ociągał się trochę, podobnie jak dwa pozostałe, popychane przez innych formierzy.

Vagno odsunął się na bok.

- To nie dla mnie - mruknął spokojnym tonem. - To całkiem inna sztuka.

Pokazał im, żeby poszli za Vidge'em.

Magazyn był pełen cichych bulgotów i westchnień. Pnącza pięły się po ścianach i wysuwały na środek, a na ich końcach wisały ogromne owoce, jakich nigdy jeszcze nie widzieli: nabrziałe, przezroczyste, wypełnione musującym, gęstym sokiem, który z wolna wirował w ich wnętrzu, poruszany ledwo widocznymi, śrubowatymi częściami w środku.

Anakin i Obi-Wan pomogli brygadzie Vidge'a rozładować nasiona-dyski i ułożyć je pionowo w uchwytach w pobliżu platformy formierskiej. Tu, na platformie o szerokości może dziesięciu metrów, Vidge i dwaj jego asystenci długim nożem ścięli jeden z owoców i rozkroili go wzdłuż trzema szybkimi, pewnymi cięciami. Jasny, świetlisty

płyn wylał się i teraz ściekał powoli po platformie, wypełniony mgiełką małych, ruchomych białych igiełek.

Z tylnych drzwi magazynu wyszedł ogromny karapod. Na jego grzbiecie kołysała się konstrukcja z metalu i plastiku, prawdopodobnie forma ich statku.

- Gotowa konstrukcja, wykonana na podstawie waszego projektu. Przysłał ją Shappa Farris - smutno oznajmił Vidge, jakby właśnie ogłaszał śmierć najdroższego przyjaciela. - Formowanie ją ożywi.

Kolejny karapod, w płóciennym kitlu wzmocnionym metalowymi płytami, niósł obiekty, które Anakin rozpoznał natychmiast: dwa silniki Haor Chall typ siedem, klasy Silver, używane do lekkich statków międzygwiazdnych, a także bardzo cenny rdzeń hipernapedu. Zauważył, że zarówno w silniku, jak i w rdzeniu niektórych części brakowało, a inne zostały oryginalnie zmodyfikowane.

A potem pojawił się trzeci karapod, o wiele mniejszy - wzrostu Anakina - i zważym kroczkiem powędrował w stronę plamy zielonkawego światła emanującego ze ścian magazynu. Niósł na grzbiecie delikatną krystaliczną strukturę, której Anakin nie potrafił rozpoznać.

Rozpoznał ją za to Obi-Wan. O obwodach organoformicznych krążyły plotki od wielu, wielu lat. Podobno opracowano je na bardziej rozwiniętych planetach Rubieży, które wciąż opierały się zaangażowaniu w sprawy Republiki i Federacji Handlowej. Były to tylko plotki... aż do tej chwili.

- Co to takiego? - zapytał Anakin, zafascynowany błyszczącymi krzywiznami i aktywnymi obwodami.

- Sądzę, że to urządzenie, które zintegruje nasz statek - wyjaśnił mistrz. - Łącznik między żywą istotą a maszyną.

Vidge najpierw odłączył potężną porcję galaretowatego soku z owocu. Rzucił go w górę i pochwycił na długą łopatę, formując kulę. Następnie wrzucił ją zgrabnie na grzbiet najmniejszego z karapodów, gdzie z cichym sykiem osiadła na obwodzie organoformicznym. Nabierał teraz po kolei następne porcje płynu i rozsmarowywał je po krawędzi każdego z białych nasion-dysków, które po kolei podsuwali mu asystenci. W miejscach, gdzie zostały pokryte sokiem, dyski zmieniały barwę na ciemnopurpurową, a frędzlaste krawędzie zaczynały się skręcać i wyginać, wysuwając kręte, badawcze nibynóżki.

Teraz formierz krytycznym wzrokiem zanalizował konstrukcję na grzbiecie największego karapoda.

- Nie wystarczy - burknął. - Shappa nigdy nam nie mówi tego, co trzeba. - Przynieście drugą - rzucił brygadzie.

Formierze komentowali między sobą to polecenie, kiedy Vidge krzyknął:

- Piętnaście wypalonych płyt to za dużo na jedną konstrukcję!

Potrzeba dwóch!

- Czyżby chcieli zrobić dwa statki? - zapytał Anakin Obi-Wana.

- Nie sądzę - odparł mistrz, ale nie miał sposobu, żeby się dowiedzieć.

- Teraz szybko do roboty - zawołał Vidge grobowym głosem.

- Do Jentari!

Anakin i Obi-Wan wspięli się na wielkiego karapoda w tej samej chwili, gdy przyniesiono drugą konstrukcję i ustawiono obok pierwszej.

Vidge przekazał im instrukcje. Od tej chwili będą podróżować wewnątrz konstrukcji, siedząc na płaskich, grubych belkach między owalnymi żebrami, otoczeni elastyczną plecionką krzyżujących się umocnień i podpórek.

- Tak to się robi - wyjaśnił krótko.

Anakin zasiadł w środku jednej konstrukcji, Obi-Wan w drugiej. Na grzbietach karapodów ładunki chwiały się i klekotały.

Magazyn pachniał kwiatami i świeżo upieczonym chlebem. Wszystkie te aromaty przyprowadziły Anakina o zawrót głowy. Poczul, jakby sen nagle go przerwał, stał się zbyt silny. Żołądek podchodził mu do gardła.

Obi-Wan też czuł mdłości, ale koncentrował się na powolnym, spokojnym marszu Vidge'a u boku trzech karapodów niosących części sekotańskiego statku. Karapody wyszły przez tylne drzwi magazynu i pogrążyły się w cieniu szczeliny niczym w morskiej otchłani. Jeszcze ciemniejsze cienie zalegały po obu stronach drogi jak szereg olbrzymów. Wznosiły się na setki metrów pod liściaste sklepienie, gdzie kilka gwiazd przeświecało przez krzyżujące się gałęzie.

Anakin czuł się jak owad, którego zaraz rozdepczą. Chociaż teraz formierze szli obok, nie miał do nikogo zaufania. Nawet wspomnienie słów Qui-Gona - jeśli rzeczywiście pochodziły od niego, a nie zrodziła ich wyobraźnia obu Jedi - nie przyniosło mu otuchy. Co za niepokojąca myśl... czy to rzeczywiście giganci stoją po obu stronach drogi? Może powietrze jest przesycone narkotykiem, a może to tylko iluzja i zaraz coś strasznego stanie się z nim i z jego mistrzem? Poczul, jak gardło ścisną mu strach i szybko wbił podbródek w pierś, sięgając do ćwiczeń, które poznał dwa lata temu: trzymanie w ryzach fizycznego strachu, kontrola zwierzęcego metabolizmu i burzy hormonów.

Strach umysłu - największy strach, najgłębszy, najmroczniejszy ból Anakina Skywalker - to całkiem inny problem, którego pewnie nigdy nie pokona.

Obi-Wan czuł wahanie swojego padawana, które zajęło miejsce niemal bezgranicznego zaufania. Dziwne, ale on sam był teraz spokojny. Zapachy przeszkadzały mu trochę, ale nie były bardziej agresywne niż w innych, mniej przyjemnych miejscach, gdzie stał u boku Qui-Gona i spokojnie spełniał swoje zadanie.

Asystenci Vidge'a omietli jasnymi promieniami latarek ciemne sylwetki gigantów i Anakin zobaczył, zamiast ramion i nóg, zielone i purpurowe pnie, przebliski metalu, lśnienie innych jeszcze nieograniczonych substancji - dodatki do naturalnych surowców bora i tampasi.

Spomiędzy cieni uniosła się purpurowa mgła. Gałęzie drgnęły, stawy zaskrzypiały.

- Pozostańcie wewnątrz konstrukcji, cokolwiek się stanie - ostrzegł Vidge. Podał Anakinowi i Obi-Wanowi maski tlenowe, podobne do tych, które nosili w fałdach szat Jedi. - Teraz zmontujemy silniki, rdzeń i obwód organoformiczny. Zostaną ulokowane obok konstrukcji, aż przyjdzie czas włożenia ich na miejsce. Statki zostaną obudowane

wokół was. Nasiona użyczą wam części swoich snów o wzrastaniu. Będą wam też zadawać pytania. - Vidge uważnie przyjrzał się Anakinowi. - I zażądają odpowiedzi. To bardzo ważne. Nie zbudują statku, jeśli nie usłyszą od was odpowiednich informacji.

- Nie zawiodę - zapewnił Anakin.

Brygada Vidge'a przeniosła silniki, rdzeń i obwody do mniejszych Jentari. Potężne konary uniosły je jak gigantyczne dźwigi w stoczni remontowej dla statków międzygwiazdnych.

- A ty? - zagadnął Vidge Obi-Wana. - Co z tobą?

- Nie zawiedziemy - zapewnił go Obi-Wan.

- Jeśli się nie mylę, będzie tylko jeden statek - szepnął Vidge. - A nie mylę się nigdy.

Cofnął się. Potężne, chwytne konary opadły i podniosły konstrukcje wysoko nad ziemię, ponad karapody i formierzy.

- Jentari! - zawołał Vidge. Wszyscy formierze jednocześnie zaczęli wymachiwać ostrzami. - Twórcy Sekot!

- Trzymaj się! - zawołał Obi-Wan. Nadeszła ich kolej. Konary opadły, unosząc ich razem ze szkieletemi konstrukcji; przekazywały teraz od jednego Jentari do drugiego, jednocześnie ze stosami wypalonych i pomalowanych nasion-dysków. Inne konary przylepiały dyski na konstrukcjach, o mało nie wyrzucając przy tym pasażerów. Nasiona natychmiast zaczęły się łączyć i rozrastać, kształtować i stapiać.

Obie konstrukcje szepiły się razem. Silniki zostały umieszczone w gondolach. Nasiona-dyski wsuwały purpurowe brzegi w spoiny, iskry pryskały, gdy lasery wyskakiwały nagle i strzelały promieniami na wszystkie strony.

Rozpoczęła się podróż.

Przechodzili z konara na konar przez całą długość szczeliny. Konstrukcje jęczały, półpłynna tkanka nasion i soki zmiękczające plaskały wokół nich. Wędrowali coraz głębiej w królestwo Jentari. Ledwo nadążali ze śledzeniem całego procesu.

Połączone konstrukcje poddawano w ciągu każdej sekundy tysiącom operacji i montowano w nich tysiące podzespołów. Statek wokół Obi-Wana i Anakina zaczął nabierać kształtu jakby za dotknięciem magicznej różdżki. Giganci przekazywali ich sobie coraz szybciej i szybciej, z konara na konar, niby z ręki do ręki; słychać było przy tym dziwne dźwięki, jakby setki głosów intonowały pod ziemią basową pieśń.

- Jentari to składaki! Cybernetyczne organizmy! - krzyknął Obi-Wan. - Magister musiał je zaprojektować, wyhodować i przystosować do pracy!

Anakin nie zaprzeczał, ale daleki był od wyjaśnienia tego w sposób racjonalny. Jego nasiona-dyski, dawne nasiona-partnerzy, pytały, czego pragnie. Zaoferowały mu katalog projektów Shappy, plany poprzednich statków, sny o przyszłości, o statkach, jakie pojawią się za sto lat rozwoju i dalszej nauki. Projekt Shappy nie był ostateczny: Sekot także chciał mieć w nim swój udział.

Anakin Skywalker znalazł się w bardzo szczególnym raj. Po pewnym czasie dołączył do niego także Obi-Wan, na swój własny sposób i we własnym rytmie. Teraz razem wsłuchiwali się w nasiona-dyski i w Jentarich.

W wirze pracy i nasuwających się pytań zatracili poczucie czasu.

Szkielec i nowi właściciele statku przesuwali się w głąb szczeliny, otoczeni iskrami i oparami, fruwającymi wokół kawałkami tkanki, pociętymi fragmentami metalu i plastiku.

W ciągu mniej niż dziesięciu minut przenieśli się o ponad dwadzieścia kilometrów od magazynu i formierzy, aż trafili w sam środek prac wykończeniowych.

Przejście przez Jentarich zwolniło teraz tempo.

Otępienie mijało. Zmysły powoli wróciły do normy.

- Niech mnie! - jęknął Anakin, kiedy już znowu mógł oddychać. - To było niewiarogodnie obłądne!

- Niech mnie! - zgodził się Obi-Wan.

Anakin przepełniony był nieskazitelną pierwotną radością. Nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o sekotańskim statku. Obi-Wan widział to w jego wzroku, przesuwanym się tam i z powrotem po gładkiej, perłowej powłoce statku. Zieleń, błękit i czerwień lśniły jak powłoka z rubinowej i szmaragdowej emalii, ale nie był to sztuczny, martwy połysk, tylko pulsujący blask młodości i życia.

- Bombowe! - krzyknął Anakin z gorącym zachwytem. - Nie mogę uwierzyć, że naprawę tu jest!

- Nie wygląda na całkiem gotowy - zauważył Obi-Wan.

Po twarzy Anakina przebiegł ulotny grymas.

- Jakież tam drobiazgi, to wszystko - rzekł spokojnie. - A potem poleci. Widziałeś ten rdzeń hipernapędu? Nie mogę się doczekać, żeby sprawdzić, co z nim zrobili... jak go zmodyfikowali...

ROZDZIAŁ

41

Pierwsze niejasne przeczucie nawiedziło Raitha Sienara, gdy E-5 przeszedł mechaniczny dreszcz. Robot bojowy jak strażnik stał w kącie kabiny komendanta, obserwując wrażliwymi zmysłami wszystkie wejścia.

Sienar wszedł w obszar wizyjny w nocnej koszuli. Zastanawiał się, o co chodzi, kiedy usłyszał cichy brzęk.

- Wstań - polecił robotowi, kiedy zobaczył, że coś się z nim dzieje. Automat zmienił pozycję na „spocznij”, zmniejszając nieco napięcie wibrujących członków, ale i tak pozostał rozdygotaną skorupą.

Sienar zawrócił do sypialni i pogrzebał w swoich rzeczach. Wydobył niewielki hołoanalizator i wrócił do robota, ale urządzenie nie znalazło żadnej awarii w jego zewnętrznych mechanizmach. Jednak za każdym razem, kiedy E-5 usiłował wrócić do pozycji aktywnej, ogarniała go wibracja i biedak grzechotał jak metalowy dzwonek na ostrym wietrze.

- Autoanaliza - polecił Sienar. - Co się dzieje?

Robot odpowiedział serią pisków i jęków, zbyt szybkich i wysokich, by przyrząd Sienara mógł je zrozumieć.

- Jeszcze raz. Ponowna analiza.

Robot odpowiedział, a analizator próbował przetłumaczyć, ale znów bez skutku. Wydawało się, że robot przemawia całkiem nowym językiem - co było niemożliwe. Nikt inny przy nim nie manipulował, a przecież Sienar programował go osobiście. Miał na ten temat ogromną wiedzę i znał się na drobnych pracach konstruktorskich.

Miał również szósty zmysł, jeśli chodzi o statki, a nagle, krótka seria wibracji, którą wyczuł pod podeszwami stóp, była zdecydowanie nieprawidłowa. Zanim zażądał raportu z mostku, pośrodku obszaru wizyjnego pojawił się obraz kapitana Ketta w pełnej skali i alarmująco czerwonej barwy.

- Dowódco, pięć robotów bojowych nieoczekiwanie opuściło komorę uzbrojenia. Czy zarządził pan ćwiczenia... bez mojej wiedzy?

- Niepodobnego.

Kett zdawał się słuchać kogoś. Zwrócił się do Sienara, którego nie mógł widzieć, i rzekł głosem drżącym z gniewu:

- Sir, detektory meldują... właściwie mamy ich na wizji... że pięć automatycznych myśliwców opuściło, Admirala Korvina" przez luk załadowczy na prawej burcie i lecą w kierunku Zonamy Sekot. Zablokowałem już wszystkie pozostałe roboty przy użyciu neutralnych ograniczników i wysłałem moich inżynierów pokładowych, żeby sprawdzili magazyny uzbrojenia. Żaden więcej nie ucieknie.

Sienar przyjął jego relację, jakby chodziło o zmianę w jutrzejszym jadłospisie. Odwrócił się bez słowa, zostawiając migoczący obraz Ketta zawieszony nad podłogą kabiny, a sam powoli podszedł do E-5.

- Zainstalowałeś mój program we wszystkich myśliwcach? - zapytał kapitana.

- Zgodnie z rozkazem. Wypełniłem go co do joty, dowódco.

Usta Sienara poruszyły się w krótkim, bezgłośnym przekleństwie. Nie docenił Tarkina, który prawdopodobnie dostosował myśliwce do swoich potrzeb, blokując kod niższego stopnia z programami warunkującymi. Sienar nie zadał sobie trudu, żeby ich poszukać. Pewne sprawy przyjął za oczywiste.

I kto teraz wyszedł na idiotę?

- Zniszcz myśliwce - rzucił, usiłując zachować spokój.

- To ujawni naszą obecność, komandorze.

- Jeśli ich nie zniszczymy, one i tak ogłoszą naszą obecność wszem i wobec. Nie mam ochoty na dzikie ataki na planetę.

- Tak, sir. - Kett jedną dłonią wykonał gest cięcia. Kadłub statku przebiegło kolejne drżenie; to turbolasy zaczęły strzelać na krótki dystans.

- Przechwyciliśmy jeden z pięciu - zameldował Kett. - Pozostałe są poza zasięgiem. Zaraz wyślę...

- Nie. Zaczekaj. Przeczysz cały system czujnikami, kapitanie Kett, i natychmiast doniesiesz mi o wynikach.

- Tak jest, sir.

Sienar wziął do ręki pistolet laserowy i z wahaniem podszedł do E-5. Ciekaw był, czy kody niższego rzędu Tarkina również zawierały polecenie zabójstwa. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedział, czy takie kody istniały naprawdę... a musiał się tego dowiedzieć, i to jak najszybciej.

- Zmniejsz spójność pancerza. Zdezaktywizuj i zamknij wszystkie źródła zasilania - polecił, błyskając kodem autoryzacji z analizatora. Robot wykonał wszystkie polecenia. Oznaczało to, że programy w kodach niższego stopnia nie zdołały przejść sterowania od inteligentnej jednostki centralnej.

E-5 osunął się na ziemię z cichym, znużonym stęknieniem. Sienar włożył maskę tlenową i skierował laser na zewnętrzną powłokę robota. W ciągu kilku minut kabina komendanta wypełniła się gęstym dymem, włączając alarmy przeciwpożarowe, które Sienar zignorował z ponurą miną.

ROZDZIAŁ

42

Robotnicy na końcu doliny fabrycznej pomogli Anakinowi i Obi-Wanowi wydość się z nowego sekotańskiego statku i zaprowadzili ich na platformę otaczającą stację wykończeniową. Był wczesny poranek i dolinę wciąż jeszcze ogarniał mrok, choć teraz znajdowali się już powyżej sklepienia. Blask gwiazd, rozżarzonych gazów i ponury czerwono-niebieski wir na niebie rzucały blade cienie na słabo oświetloną platformę.

Nowy statek spoczywał w kołysce pnączy Jentarich, kołysząc się lekko. Może to był skutek pospiesznej drogi, a może szok. Anakin jednak sobie wyobrażał, że statek drży od nadmiaru młodzieńczej energii.

Chłopiec nigdy nie widział równie pięknego statku. Powłoka kadłuba lśniła lekko, jakby wewnętrznym blaskiem, a pod lśniącą zieloną powierzchnią przesuwały się plamy światła rodem z głębin morskich. Anakin okrążył go, wędrując po platformie z Obi-Wanem u boku. Teraz wspólnie obserwowali statek, w którego stworzeniu odegrali tak ważną rolę.

- Ciekawe, czy czuje się samotny - szepnął Anakin.

- Na pewno wytrzyma bez nas te kilka minut - zapewnił go Obi-Wan. - Poza tym muszą wstawić ostatnie...

- Wiem - przerwał Anakin. - Zastanawiałem się tylko.

Irytowało go, że mistrz nie rozumie, co ma na myśli. Statek sycił jego oczy i radował serce. Wydawał się częścią jego samego.

Robotnicy i rzemieślnicy z tego końca doliny byli Ferranami. Mieli na sobie długie czarne szaty obrzeżone jaskrawym błękitem. Prawie po ciemku wędrowali po platformie z laminy, człapiąc po cichu stopami w miękkich pantoflach, a młodszy asystenci - niektórzy w wieku Anakina - kierowali światła latarek na punkty powłoki nowego statku, które należało skontrolować.

Z tej strony dolina była szczerlnie zastawiona kamiennymi filarami. W najbliższych mieściły się mieszkania, urzędy, biura konstruktorów i magazyny. Mosty wykonane z sieci pnączy i laminy łączyły je w jedną gęstą sieć.

Transporter przeleciał nad platformą i wylądował na samym szczycie kamiennej kolumny o jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Obi-Wan poklepał Anakina po ramieniu na znak, że nie jest całkiem pozbawiony uczuć, że rozumie. Popatrzył na zachód, ciekaw, czy zdoła zauważyć jakieś ślady prac, które niedawno odbywały się w dolinie.

Podejrzał, że w grę wchodzi jakiś tajny projekt o ogromnym zasięgu. Właściwie był tego pewien. Chodziło o coś, co prawdopodobnie dotyczyło całej Zonamy Sekot. Magistrowie już dawno opanowali powiązane ze sobą w szczególny sposób organizmy planety. Teraz mogli tylko wymagać. Czy możliwe, aby Sekot i osadnicy z Zonamy mieli wspólne interesy, wymagające jeszcze szerszej zakrojonej współpracy, jeszcze intensywniejszego budowania?

Anakin spał na stojąco. Jeszcze nigdy nie czuł się tak zmęczony, nawet po wyścigach. Z wielką ulgą usiadł obok Obi-Wana na długiej kanapie. Przełożony rzemieślników, w tej części fabryki Ferranin przyniósł im na tacy zimne napoje i stos planów.

- Nazywam się Fitch - przedstawił się. Był niższy od innych, bardziej krępy, a jego włosy miały barwę głębokiej czerni. W gwiezdny blasku twarz lśniła mu upiorną bladeścią. - Macie niezwykły statek - dodał po chwili z wyraźną dumą. - Moi ludzie wykończą go w ciągu kilku godzin. Jentari dobrze wykonali swoją pracę. Bez spoin, bez wypełniania, w środku tylko kilka małych poprawek. No i przyrzady nie pochodzące z Sekotu, które pozwalają na podniesienie standardu do norm Republiki albo i wyżej.

- Skąd macie rdzeń hipernapędu? - zainteresował się Anakin, gdy wysączył szklankę słodkiego napoju. - Wyprodukowaliście go tutaj? Nigdy takiego nie widziałem.

- Mamy nasze źródła - odparł Fitch z uśmiechem. - Prędkość statku częściowo zależy od tych rdzeni, ale także i od tego, jak połączymy je z sercem statku, no i z tobą. Następne kilka tygodni spędzisz na uczeniu się go. Zamieszkacie tutaj. Nie wolno wam się oddalać od statku, przynajmniej przez następne czterdzieści osiem godzin. Umarłby bez was... zgniłby od środka. To tak, jakbyście wyjęli sobie mózg z czaszki.

- Aleja nie jestem mózgiem statku - zaprotestował Anakin. - Czuję tylko, jak... jak on myśli. Przecież wszystkie nasiona-partnerzy połączyły się i teraz myślą same, prawda?

Fitch spojrzął na Obi-Wana.

- Mądry chłopak. Czy to on będzie pilotem?

- Tak, to on - potwierdził mistrz.

- A więc - wrócił do tematu Fitch - nie jesteś mózgiem, młody właścicielu, nie do słownie. Ten statek potrafi myśleć samodzielnie, oczywiście w pewnym sensie, ale cię potrzebuje, bo wciąż jest młody. Teraz, kiedy go wykańczają czuje się zagubiony. Jak dziecko. Jesteście teraz jego opiekunami.

Fitch wstał i poszedł na drugi koniec platformy, do kołyski z pnączy, która wisiała teraz wyżej, aby można było sprawdzić dolną część statku. Rzemieślnicy wchodzili i wychodzili przez właz, wnosząc części urządzeń doskonale znane obu Jedi: komunikatory podprzestrzenne, kompaktowe skrzynki rozkazów do komunikacji z niesekotańskimi robotami naprawczymi, zdalne systemy naprowadzania i sterowania niezbędne do wchodzenia na orbitę bardziej zaludnionych planet, transpondery i układy sygnaliza-

cji awaryjnej, regulatory hipernapędu, pulpity sterownicze, dwie dodatkowe prycze przeciążeniowe dla pasażerów i jeszcze tuziny małych aparacików i układów, których produkcji prawdopodobnie nie zlecono nasionom-partnerom i Jentarim.

Teraz, kiedy statek był podniesiony tak wysoko, można go było obejrzeć w całej okazałości. Obi-Wan natychmiast zatracił się w zachwycie, tak samo jak jego padawan.

W młodości Obi-Wan fascynował się maszynami nie mniej niż Anakin. On także budował latające modele statków i marzył o tym, aby zostać pilotem, ale z wiekiem i z czasem, pod przewodnictwem Qui-Gona, przekształcił te impulsy w poczucie obowiązku i pracę nad własną osobowością.

Nigdy jednak naprawdę nie przestał marzyć. Jego własne, dwunastoletnie „ja”, tak długo krępowane rygiem szkolenia rycerza Jedi, stało teraz obok Anakina na platformie. Obaj, mistrz i padawan, okrążali sekotański statek - ich własny statek - i rozmawiali półgłosem, pełni podziwu i zachwytu.

- Czy to nie najpiękniejszy statek we wszechświecie? - mruknął Anakin, szeroko otwierając oczy.

- Na pewno najzgrabniejszy - zgodził się Obi-Wan.

Statek miał szeroki i niski kadłub podzielony na trzy człony, jak trzy gładkie, owalne kamienie połączone i spojone ze sobą. Dziób i przednia krawędź statku były ostre jak nóż. Wewnętrzny żar statku koncentrował się w tym miejscu, jarząc się w półmroku. Rufa była bardziej zaokrąglona, podzielona wzdłuż członów przez gniazda silników, wymiennik ciepła i kanary tarcz. Broni nie było. Jednostka miała około trzydziestu metrów wszerz i dwadzieścia pięć od dzioba do rufy. Z przodu widać było wyraźnie, że oba tylne człony tworzyły ze sobą kąt około piętnastu stopni.

Kiedy skończyli obchód, dwa przednie iluminatory rozszerzyły się jak skośne oczy umieszczone w przednim członie kadłuba. Wyjrzał jeden z techników, uniósł kciuk na znak aprobaty i uśmiechnął się do nowych właścicieli

- Pomyśl tylko, dokąd można w tym zalecieć! - jęknął Anakin.

- Jeśli świątynia nas gdzieś wypuści - ostudził go Obi-Wan.

- Wypuszczą. Będą chcieli zobaczyć, co ten statek potrafi, a my razem z nim. Wiem, że tak będzie.

Obi-Wan był mniej pewny, ale uznał, że nie czas na dyskusje. Zakończył przegląd - a przynajmniej pierwsze zachłyśnięcie podziwem - i stanął przed statkiem, krzyżując ramiona na piersi. Uspokoił i dostroił wszystkie zmysły, pozwalając, aby Moc znów przejęła prowadzenie.

- Anakinie - rzekł cicho.

Padawan odwrócił się i spojrzał na mistrza niespodziewanie poważnym wzrokiem.

- Wiem - szepnął. - Czuję.

- Środek fali - szepnął Obi-Wan. - Twoja próba, jak sądzę. Krew odpłynęła z twarzy padawana.

- Czy to nie mogło zaczekać... aż sobie polatamy? Obi-Wan nie odpowiedział. Anakin spuścił wzrok, spojrzał na

swoje dłonie, odruchowo zwijające się w pięści, i rozprostował palce.

- Dobrze - szepnął. - Jeśli tak ma być, przyjmuję mój los.

- Czy na pewno, padawanie? - łagodnie zapytał Obi-Wan

- Do tego jesteśmy przygotowywani.

- Czujesz, że mówisz prawdę, czy tylko chcesz mnie uspokoić?

- Nigdy nie kłamię- odparł Anakin i spojrzał mu prosto w oczy. Kolory wróciły mu na policzki.

- Nigdy nie kłamałeś innym, to prawda. Ale jeszcze gorzej jest okłamywać samego siebie.

- Ale statek... przecież jesteśmy za niego odpowiedzialni! On żyje, Obi-Wanie! Umrze bez nas!

Drugi transporter przeleciał nisko nad ich głowami i wylądował na pobliskiej kolumnie. Fitch był zajęty krzątaniem wokół nowego statku i konferowaniem ze swoimi technikami. Obi-Wan zauważył Sheeklę i Shappę Farsów, Ganna i Jabithę; wszyscy zmierzali ku nim po moście wiodącym na platformę

Jabitha stanęła obok Anakina, uśmiechnęła się do niego i dumnie poklepała go po ramieniu.

- Jest przepiękny!

Anakin przechylił głowę na bok, przytaknął i z niepokojem spojrzał na Ganna.

- Mieliśmy problemy - wyjaśnił Gann. Twarz miał poszarzałą ze zmęczenia. - Jeden z klientów spowodował poważne szkody w Średnim Zasięgu. Poranił kilku naszych ludzi i uciekł. Ale to jeszcze nie jest najgorsze. W systemie pojawił się oddział sił inwazyjnych. Cztery małe statki zbliżają się do Zonamy. Obawiamy się, że to myśliwce. Weszliśmy na pokład statku, którym przybyliście, zresztą za zgodą właściciela, i znaleźliśmy ukryte układy naprowadzające... Ktoś śledził was aż tutaj. Albo... przyprowadziliście ich tu umyślnie.

Sheekla i Shappa stali do tej pory w pewnym oddaleniu. Sheekla zrobiła krok na przód.

- Przesłaliśmy wiadomość do Magistra - powiedziała. - Nie przekazemy wam statku, dopóki nie usłyszymy odpowiedzi.

- Nie mamy nic wspólnego z tymi statkami - odparł Obi-Wan. - Ale jeśli w pobliżu pojawiły się wrogie siły... jak się obronicie? Możemy wam pomóc?

- Nie ufamy nikomu, nawet Jedi - odparła Sheekla Fars z kamienną twarzą. - Musicie zostać tutaj. Statek także pozostanie na Zonamie. Nie mamy jeszcze pełnego obrazu zagrożenia. Może być niewielkie... jacyś drobni handlarze albo garstka piratów.

- Podejrzewam, że to nie piraci - odrzekł Obi-Wan. Anakin skinął głową.

- Więc dlaczego jest ich tak mało? - zapytał Gann, zwracając się do Obi-Wana. - To nie ma sensu. Siły inwazyjne Federacji Handlowej otoczyłyby nas całą flotą. Może popełniły jakiś błąd albo nastąpiła awaria systemów.

Obi-Wan potrząsnął głową.

- Możemy wam pomóc tylko w przypadku, gdy opowiecie nam o pewnych sprawach.

Jabitha cofnęła się z oczami rozszerzonymi strachem. Shappa wepchnął się pomiędzy Ganna a Sheeklę Fars.

- Uważam, że możemy zaufać tym Jedi - rzekł. - Może czas opowiedzieć im historię Vergere...

Obi-Wan przypomniał sobie krótką wiadomość pozostawioną w nasionach. Vergere musiała opuścić Zonamę Sekot w pościgu za jeszcze większą tajemnicą.

- Nie! - zawołał Gann. - Musimy skontaktować się z Magistrem!

- Nikt już od wielu miesięcy nie widział Magistra - odparł spokojnie Shappa. - Wydaje polecenia ze swojej góry i zwraca się do nas bardzo rzadko. Nawet własna córka już go nie widuje!

- Magister tu rządzi! Zawsze tak było i zawsze tak będzie!

Obaj Ferranie wyglądali tak, jakby za chwilę mieli się rzucić na siebie z pięściami. Fitch wydawał się głęboko zakłopotany tym niegodnym rozłamek.

- Co się stało z Vergere? - zapytał Obi-Wan, wpychając się między mężczyzn.

- Nikt nie wie - odpowiedziała Sheekla Farris. Jej wysoki głos niósł się wyraźnie nad szmerem rozmów robotników zgromadzonych wokół platformy. - Baliśmy się, że pomyślicie, iż ją zamordowaliśmy.

- Żyjemy w strachu od czasu Przybyszów z Dali - dodał Shappa. - Oni pierwsi zaatakowali nas za nasz sposób życia.

- Kim są przybysze z Dali? - zagadnął Obi-Wan.

- Nie wiecie? - Sheekla wydawała się zdumiona, że Jedi są tak kiepsko poinformowani. - Ta kobieta Jedi... - połapała się, że mówi zbyt wiele i zakryła dłonią usta.

Gann o mało nie wyszedł z siebie.

- Magister musi zdecydować! - upierał się.

- Więc zabierzcie nas do niego - odparł Obi-Wan, zły. Denerwowało go to zamieszanie. Czuł, że zostało im bardzo niewiele czasu. - Niech nam to opowie osobiście.

Pośród Ferran na chwilę zapanowała cisza.

- Ufamy Jedi, czy nie? - zapytał Shappa. - Jeśli leci do nas Federacja Handlowa...

- A więc działają nielegalnie i mogą równie dobrze być piratami - odparł Obi-Wan. - Federacja Handlowa przekazuje wszystkie swoje statki i broń senatowi. W Republice wracają rządy prawa.

- Tak też słyszeliśmy od naszych informatorów - przytaknęła Sheekla Farris. - Ale uważaliśmy, że to nie ma znaczenia, skoro Zonama jest tak oddalona.

- Należy się skonsultować z Magistrem - nalegał Gann, ale coraz słabiej. Załamał ręce, bliski rozpacz. - To zawsze było nasze jedyne prawo.

Anakin stanął obok sekotańskiego statku, gładząc dłonią powłokę. Miał półprzyknięte oczy, wydawał się zatopiony w marzeniach o lataniu. Obi-Wan zawołał go po imieniu, ale chłopiec nie odpowiedział od razu.

- Anakinie! - zawołał raz jeszcze Obi-Wan, tym razem głośniejsz.

Padawan podskoczył i ocknął się.

- Jesteśmy w niebezpieczeństwie - rzekł cicho, prawie szeptem. - Musimy stąd odejść.

Obi-Wan nie potrzebował dalszych ostrzeżeń, ale stanął jak wryty, gdy zobaczył na moście kolejnych Ferran, wzywających Ganna.

- Są już następni! - krzyczeli chórem.

- Kto następny? - zapytał Gann.

- Druga flota w systemie, jeszcze większa od pierwszej!

- Obi-Wan, teraz! - krzyknął Anakin.

Obi-Wan podniósł wzrok i nisko na niebie zobaczył błyski - dwa błyski. Leciały z orbity, ciągnąc za sobą smugi gorącej plazmy. Jego ostry wzrok pozwolił mu dostrzec rozjarzone tarcie kształty. Rozpoznał je natychmiast.

Widział je już kiedyś na Naboo, u boku Qui-Gona. Najzręczniejsze i najbardziej śmiertelne z robotów Federacji Handlowej.

- Roboty myśliwskie! - zawołał i pociągnął Anakina w dół, w ostatniej chwili, by uniknąć czterech promieni ognia laserowego. Wyszarpał zza pasa miecz świetlny - nie swój, Qui-Gona - i zielone, buczące ostrze wyciągnęło się na całą długość. Ze wszystkich stron otoczył ich dym ze stopionej skały, na chwilę przesłaniając widok. Obi-Wan natychmiast przeszedł w stan czujności wszystkich zmysłów. Słuchem wyśledził wycie silników i naddźwiękowe eksplozje manewrujących myśliwców. Robiły zwrot do kolejnego ataku. Skierował się w ich stronę z ostrzem przygotowanym do odbijania strzałów.

- Zostań - syknął do Anakina, który próbował podnieść się na kolana.

- Statek...

- Zapomnij o statku - odparł. Musimy znaleźć schronienie.

- Uciekajmy statkiem! - nalegał Anakin. - Jest gotów do lotu.

Obi-Wan chwycił go za ramię i przycisnął do gładkiej powierzchni kamienia. Odwróciło to jego uwagę na tyle, że nie był w stanie na czas unieść miecza, by choć częściowo odbić nadlatującą kolejną salwę. Eksplozja odrzuciła go na kilka metrów i poturlała jeszcze kawałek. Rozbite i stopione kamienie leciały w ślad za nim, paląc mu ubranie i wżerając się w ciało. Instynktownie podniósł ramię, żeby osłonić twarz; a drugim miał zamiar osłaniać Anakina.

Ale chłopiec znajdował się poza jego zasięgiem. Obi-Wan nie mógł wstać. W splot słoneczny uderzyła go wielka kamienna bryła. Znalazł w tym miejscu plamę krwi i dziurę w tunice.

Potem usłyszał tupot wielu nóg, krzyki ludzi, jęki bólu.

Zza dymnej zasłony usłyszał głos Anakina: najpierw kaszel, a potem jęk, jakby został trafiony. Obi-Wan próbował się przetoczyć, by dosięgnąć swojego padawana, ale nie mógł odzyskać kontroli nad własnym ciałem, nawet kosztem największej możliwej koncentracji.

W gęstym dymie zamajaczyła nagle jakaś postać i pochyliła się nad Obi-Wanem: wysoka, ubrana w ciemny błękit, o perłowozielonej skórze i wieloczłonowych kończynach. Obuta stopa spoczęła na jego ramieniu i przycisnęła je do podłoża.

- Mógłbym cię teraz zabić, Jedi. Twoja śmierć zwróci mi honor.

Małe czarne oczka wpatrywały się w Obi-Wana. Chwycił rękojeść miecza i włączył ostrze. Stopa raz jeszcze przycisnęła mu ramię, prawie je łamiąc, i wytrąciła miecz z dłoni. Ostrze obróciło się i z sykiem wbiło w kamień.

Kolejne salwy laserów przecięły powietrze za plecami Krwawego Rzeźbiarza, rozbijając podwieszany most. Budynki na najbliższym filarze stanęły w płomieniach. Żar zniszczenia zalśnił na jego perłowej skórze, przydając jej płomienistego blasku.

- Tak, Jedi. Ja żyję-warknął Krwawy Rzeźbiarz. - Ciągle jeszcze żyję.

ROZDZIAŁ

43

Anakin robił, co mógł, aby uciec przed koszmarem, który nagle wyłonił się z dymu, ale ogień z laserów ogłuszył go równie skutecznie jak Obi-Wana. Mógł tylko odpełznąć w tył, podpierając się łokciami; krzywił się z bezsilności, usiłując przyspieszyć swoje ciało albo spowolnić czas. Czas prawie się zatrzymał, ale ciało nie chciało przyspieszyć.

Cień znikł w kolejnym kłębie dymu i pojawił się znowu, już wyraźniejszy.

- Mały niewolnik!

Był to ten sam Krwawy Rzeźbiarz, którego Anakin spotkał w wysypisku śmieci. Trzymał w dłoni długą lancę formierza zakończoną groźnym ostrzem. Był szybki jak błyskawica. Pchnął lancą tak szybko, że Anakin zaledwie zdążył przetoczyć się na bok. Płaska strona ostrza uderzyła chłopca w tył czaszki i w kark. Głowa eksplodowała mu porażającym bólem,

Cios ogłuszył go, ale nie pozbawił świadomości. Poczul, jak ktoś go unosi za nogę niczym ziemnowodny przysmak z Tatooine i rzuca w kłęby dymu. Krople krwi ściekały mu z nosa. Zanim napastnik zatoczył nim koło, chłopiec zobaczył jeszcze sekotański statek, który, nietknięty, wciąż wisiał w swojej sieci.

Krwawy Rzeźbiarz niedbale odrzucił na bok technika, który wystawił głowę z otworu w powłoce, po czym przeniósł Anakina przez boczny człon kadłuba i wrzucił do środka. Sam wpelznął za nim.

Anakin stwierdził, że wreszcie może się poruszyć, ale udawał nieprzytomnego. Gdzie jest Obi-Wan? - zastanawiał się gorączkowo. Jak wszystko mogło się odbyć tak szybko?

Ale wiedział, że to jest jego próba, test, którego żadna świątynia Jedi nie mogła mu zapewnić, żaden mistrz Jedi nie mógł nadzorować.

Moc nigdy nie bywa niańką.

Anakin był zdany sam na siebie. Podczas gdy Krwawy Rzeźbiarz przetrząsał wnętrze statku w poszukiwaniu innych techników, chłopiec przystąpił do odrzucenia wszelkich uraz, wszelkich uczuć ponizienia i klęski, a co najważniejsze, gniewu na samego siebie, że idiotyczną troską o statek odwrócił uwagę Obi-Wana.

Ta troska nie była wcale idiotyczna, mówił głos. Statek stanowi część twojej mocy... jest bardzo ważny, tu i teraz. To początek twojej próby, która zakończy się próbą dla całej Zonamy Sekot. Mistrz nie może ci teraz pomóc.

Przez chwilę sądził, że to głos Obi-Wana albo Qui-Gona Jinn, ale szybko odgadł, że się myli. Jeśli ten głos miał jakiegoś właściciela, był nim on sam, a raczej jego starsza, bardziej dojrzała osobowość. Jedi, jakim się stanę, pomyślał. Taki, jakim uczyłem się być.

Krwawy Rzeźbiarz warknął ze złością, a zaraz potem Anakin usłyszał cichy okrzyk. Napastnik wyciągnął Jabithę z tylnej części kabiny, gdzie się ukrywała za grubą belką i pchnął na środek.

Spojrzała na Anakina oczami rozszerzonymi przerażeniem, jak małe zwierzątko schwymane w sidła. Krwawy Rzeźbiarz szarpnął ją za ramię i cisnął niedbale do wnęki obok prycz przyspieszeniowych.

- Nie ruszaj się! On jest niebezpieczny! - ostrzegł ją Anakin.

Jabitha otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale Krwawy Rzeźbiarz trzepnął ją w twarz, po czym określił się z wdziękiem, złapał Anakina za ramiona i wcisnął go w fotel pilota. Siedzenie automatycznie dostosowało się do sylwetki chłopca i Anakin poczuł przekazaną przez statek falę powitania - radosne rozpoznanie jego osoby.

Nasiona-partnerzy zjednoczyły się. Przemawiały teraz jednym głosem, zdając sprawę ze stanu statku, jego gotowości - i swojego zatroskania. Statek wiedział, że coś jest nie w porządku, ale Anakin wciąż jeszcze był zbyt oszołomiony, a jego ruchy za słabo skoordynowane, żeby mógł podjąć jakiegokolwiek działanie.

Jabitha, łkając, wdrapała się na tylny fotel pasażera. Twarz miała całą we krwi.

Anakin poczuł lód w żyłach. Jednoczył się z bólem dziewczyny. Krwawy Rzeźbiarz zajął miejsce przeznaczone dla Obi-Wana. Wiercił się przez chwilę, wreszcie sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął małą, zieloną szklaną bańkę.

Anakin obserwował go przez półprzymknięte powieki, bezwładnie zwisając z fotela. Długie, trójstawowe ramię wyciągnęło się w jego kierunku, a silne złociste palce zmiażdżyły bańkę pod nosem chłopca.

I znów Anakinowi wydawało się, że jego głowa zaraz eksploduje - choć tym razem rozsadała ją wściekłość. Rzucił się w bok, aby uniknąć gryzącego smrodu z bańki, i uderzył ramieniem w pulpity z przyrządami. Zadrżał na całym ciele, ale twardym wzrokiem spojrzał na porywacza.

- Młody Jedi, nie ma czasu na wyjaśnienia. - Głos Krwawego Rzeźbiarza zmienił się nagle, stał się cichszy, uprzejmiejszy.

- Czy Obi-Wan żyje?

- Nie twoje zmartwienie - odparł Krwawy Rzeźbiarz. - Statek potrzebuje ciebie, żeby latać, a nie jego. A ja potrzebuję statku. Polecisz na orbitę nad Zonamą Sekot.

- A jeśli nie?

- Wtedy zabiję twoją samicę. - Przyciągnął do siebie lancę i ostrzem lekko pchnął Jabithę w pierś. Jęknęła, ale nie poruszyła się.

Anakin usiłował wyczuć żywą obecność swojego mistrza, ale na zewnątrz statku było zbyt wiele głosów, zbyt wiele zamieszania -nie potrafił uchwycić spokojnego kon-

taktu z Obi-Wanem. Jeśli nie został ranny, bez wątpienia przeżyje nawet najbardziej zajadłe ataki Krwawego Rzeźbiarza. Ale jeśli ogłuszył go ogień laserów...

Krwawy Rzeźbiarz wygramolił się z drugiego fotela i długim ramieniem sięgnął w tył, do włazu.

- Przyjmuję, że milczenie oznacza upór i że nie polecisz. A więc moja misja poniosła klęskę. Teraz zabiję samicę i wyrzucę jej ciało na zewnątrz.

- Nie! - wrzasnął Anakin. - Polecę. Zostaw ją.

Jeszcze raz sięgnął myślą i westchnął z ulgą. Wyczuł Obi-Wana - był ranny, ale żył. Anakin nie potrafił wyobrazić sobie wszechświata bez swojego mistrza.

To dobrze. Gdybyś stracił mistrza, byłby to koniec twojej próby. Teraz... zaczynaj.

Anakin przesunął dłońmi po pulpicie. Przyciski nie były oznaczone, ale ich układ wyglądał znajomo.

Statek raz jeszcze przedstawił mu swój stan. Był gotów do lotu, ale miał mało paliwa - technicy nie zdążyli napełnić zbiorników.

- Nie mamy dość paliwa, by polecieć gdzieś dalej - poinformował Anakin Krwawego Rzeźbiarza. Ten chwycił pełną garścią przód paradnej szaty chłopca i przyciągnął go do siebie. Gorący oddech o zapachu pikantnego pieprzu owionął twarz Anakina.

- To prawda - upierał się chłopiec. - Nie kłamie.

- To leć do miejsca, gdzie jest paliwo. Musimy zachować statek.

- To ty nie zdołałeś zbudować własnego statku! Nasiona-partnerzy znienawidziły cię od razu!

- Tak. Jestem w niełasce - zimno zgodził się Krwawy Rzeźbiarz. - Teraz leć.

Anakin położył dłonie na sterach, podciągnął tylne dopalacze i silniki natychmiast, gładko i ze śpiewem obudziły się do życia, inaczej niż silniki wszystkich znanych mu pojazdów.

Właz zamknął się sam.

Ładna dziewicza podróż, pomyślał Anakin.

Pchnął do przodu dźwignie sterów. Konsola uniosła się wokół jego palców i dłoni, nie pozwalając na fizyczne ruchy. Statek przemawiał do niego, uczył, co ma robić. Anakin ze swojej strony zasugerował, że statek może unieść się z kolebki i podlecieć w górę na kilkaset metrów, potem wyrównać i skierować się na południowy zachód.

Statek posłusznie wykonał polecenia.

Anakin odciągał Krwawego Rzeźbiarza od Obi-Wana, dając mistrzowi czas na odzyskanie sił. Niefortunne było tylko to, że Jabitha znalazła się na pokładzie. Anakin martwił się o jej bezpieczeństwo.

Czuł, jak wracają mu siły. Ku swojemu przerażeniu stwierdził, że głównym impulsem powodującym powrót sił jest czerwony żar gniewu.

Właśnie tak, mały. Gniew i nienawiść są paliwem. Nagromadź je, zbieraj siły.

Znów ten głos, przerażający w swojej mocy. Anakin nie mógł odczytać jego intencji - ten surowy głos lojalności i przetrwania wydawał się natrząsać z wszelkich domysłów.

Nie chciał, żeby Jabitha widziała to, czym głos nakazywał mu się stać i czym się stanie, aby ocalić Obi-Wana, pokonać wrogów i przeżyć samemu.

ROZDZIAŁ

44

Raith Sienar wyjrzał z mostka dowodzenia i zobaczył, że nowa flota w sile dwunastu statków rozpoczyna manewry, niezbędne, aby przyłączyć się do jego oddziału. Rozpoznał dwa przerobione holowniki towarowe Hoersch-Kessel - mniejsze niż niezgrabne statki, które blokowały Naboo, ale tego samego typu. Pozostałe dziesięć statków pochodziło ze stoczni koreliańskich. Były to lekkie krążowniki przeznaczone do eskortowania wielkich republikańskich jednostek typu „Nieustraszone”, najpotężniejszych w republikańskim uzbrojeniu.

A więc Tarkin nie zdołał „Nieustraszonej”. Jego powiązania z rządem Republiki nie były aż tak silne...

Kapitan Kett z pewną satysfakcją obserwował nowe statki. Roboty myśliwskie przyjęły nowe oprogramowanie, ale i tak uruchomiły swoje ukryte kody, przeznaczone, by dokonać sabotażu planów Sienara. O ile się orientował, myśliwce zabiły Ke Daiva, wystraszyły mieszkańców Zonamy Sekot i zniszczyły wszelką nadzieję przejścia sekońskiego statku.

Może Tarkin miał tylko zamiar pokazać się z jak najlepszej strony przed najwyższym kanclerzem. Jeśli tak było, to na pewno miał już ważnych sprzymierzeńców w senacie, skoro zdołał zorganizować tyle republikańskich statków i połączyć je z dobrze znanymi holownikami Federacji Handlowej.

Kett wszedł po schodkach na mostek dowodzenia. Sienar obejrzał się i wyszedł mu na spotkanie.

- Kapitanie Kett - oznajmił. - Proszę się przygotować na przyjęcie komandora Tarkina. Upoważniam pana do przejścia pod jego rozkazy i jednocześnie przekazuję moją rezygnację ze stanowiska dowódcy.

- Sir, to niezgodne z przepisami.

- Nic, co do tej pory zrobiono, nie było zgodne z przepisami. Znowu jest pan na łasce odszczepieńców, kapitanie Kett, ale ja już nie będę jednym z nich.

- Sir, nie rozumie pan...

- Rozumiem aż za dobrze.

- Mam rozkazy od komandora Tarkina.

- Czy on już tu jest? - zapytał Sienar, na wpół zaskoczony, na wpół rozbawiony.

- Może wejść na pokład „Admirała Korwina” i przejąć dowodzenie w każdej chwili. Nie potrzebuje pańskiego zezwolenia.

- Rozumiem.

- Nie może pan zrezygnować, ponieważ został pan aresztowany. Pańska funkcja zostaje zawieszona do czasu formalnego przesłuchania.

- Czy przedstawili zarzuty?

- Nie, sir.

Sienar potrząsnął głową i roześmiał się.

- No cóż, wobec tego proszę robić, co do pana należy. Powinien pan mnie zamknąć.

- Komandor Tarkin żąda kodów zabezpieczenia do wszystkich nowych programów zainstalowanych w robotach na statku, sir.

- Powiedział mu pan?

- Nie zdradziłem niczego, sir. Prawdopodobnie spodziewał się, że pan coś takiego zrobi.

Sienar roześmiał się nieszczerze. Twarz poczerwieniała mu z gniewu.

- Powiedz mu, że programy robotów zostały wypalone i nie można ich zmodyfikować. I jeszcze to, że wszelkie próby usunięcia rdzeni komputera lub wykasowania pamięci spowodują samozniszczenie robotów.

- Sir, to spowodowałyby likwidację całego oddziału!

- Jakoś nie powstrzymało to myśliwców, kapitanie Kett. Jestem pewien, że Tarkin wymyśli sposób obejścia tych kodów. Po prostu nie mam ochoty mu w tym pomagać.

Kett przyglądał się Sienarowi w zadumie.

- Sir, o co tu chodzi? Pokłócił się pan z komandorem Tarkinem?

- Ależ skąd - odparł Sienar. - Po prostu od samego początku przydzielił mi rolę kozła ofiarnego. Nasza misja miała się nie powieść i nie powiodła się. Ostrzegaliśmy Zonamę o naszej obecności. Mamy się pożegnać z wszelką delikatnością. Od tej chwili zapanuje brutalna siła i terror. To bardziej w stylu Tarkina. Cokolwiek zrobię lub czego nie zrobię, nie mogę tego zmienić. Gdyby Tarkin chciał się ze mną zobaczyć, będę w swojej kwaterze.

Ruszył po schodach w kierunku kwatery dowódcy i robota E-5, który już tam na niego czekał.

W połowie drogi, w głównym korytarzu biegnącym nad ładowniami, „Admirała Korwina”, drogę zagroził mu republikańscy żołnierze.

Po chwili rozstąpili się, przepuszczając Tarkina, który powitał Sienara krótkim skinieniem głowy.

- Musimy porozmawiać - powiedział Tarkin i wziął go pod ramię. - Sprawy potoczyły się złym torem i muszę wiedzieć dlaczego. Senat jest bardzo zmartwiony twoimi działaniami. Nawet kanclerz Palpatine zainteresował się tobą.

- Pewnie sam mu o wszystkim zameldowałeś? - Sienar zachował kamienną twarz.

- Powinniśmy przejść do mojej kwatery. Tam będziemy mogli porozmawiać.

- Tak, i pozwolic, aby jakiś robot zabił nas obu? Honorowe wyjście, muszę przyznać, ale bardzo głupie, Raith. Udamy się na mój statek. Tam przynajmniej wiem, czego się spodziewać.

ROZDZIAŁ

45

- Sheekla jest ranna - oznajmił Shappa. - Zajmują się nią lekarze, a ona mówi mi, co trzeba zrobić. Gann jest w szoku.

Obi-Wan ściągnął z siebie ceremonialną szatę. Pod spodem miał starą tunikę. Skalny odłamek ugodził go mocno, posiniaczył i zakłócił kontrolę nad mięśniami, ale nic poza tym. Bolało, ale dla rycerza Jedi nie był to wielki problem. Zdjął tunikę, wziął od Shappy długi bandaż i owinał się nim ciasno, po czym ubrał się z powrotem. Architekt podał mu miecz świetlny. Obi-Wan wziął go delikatnie.

Gann podszedł do nich, zataczając się, z twarzą zmienioną wstrząsem.

- Co my teraz zrobimy? Ja... ja... Magister musi się tym zająć. Kto wyda rozkaz uruchomienia obrony? Może już czas? Musimy uciekać!

Shappa delikatnie odsunął go na bok.

- Wygląda na to, że musimy przejąć dowództwo - powiedział. - Jak mogę ci pomóc, Jedi? - zapytał Obi-Wana.

- Potrzebny mi transport. Najlepiej statek, jeśli to możliwe - odparł Obi-Wan. - Trzeba ich gonić.

- Mamy mój statek - odrzekł Shappa. - Przyleciałem nim tutaj ze Średniego Zasięgu. Sam cię zawiozę.

- A co z obroną planety? - nalegał Gann, na przemian załamując ręce i wznosząc je do nieba.

- To problem Magistra - rzucił Shappa przez ramię. - Pracowałeś z jego grupą bardzo długo. Wszystko jest już chyba gotowe, jak sądzisz?

- To oni sprowadzili tu najeźdźców! - wrzasnął Gann, wskazując drżącym palcem Obi-Wana.

- Pamiętaj, że to Jedi - powiedział Shappa. - Nigdy by czegoś takiego nie zrobili. Mam rację?

Pytając zerknął na Obi-Wana.

- Świadomie? Nigdy - odparł mistrz.

Twarz Shappy pociemniała z gniewu.

- Nie po raz pierwszy bronimy się przed inwazją. I pewnie nie po raz ostatni. Odzyskamy twojego chłopaka, a potem... cóż, zobaczymy, co się stanie.

Shappa gwizdnął ostro. Jego sekotański statek wyłonił się na powierzchni platformy, wdzięcznie obrócił i wysunął podwozie i rampę. Shappa wszedł na pokład pierwszy. Obi-Wan deptał mu po piętach.

Shappa położył dłoń na pulpicie. Żywa powierzchnia zamknęła się wokół jego palców.

- Polecieli na południe - rzekł. Statek uniósł się w górę, bezszelestnie zamykając właz. - Są już daleko, o jakieś sto kilometrów od nas. Trudno będzie ich dogonić, zwłaszcza, jeśli polecą w przestrzeń. Najpierw jednak muszą zdobyć paliwo albo nigdy nie dotrą do orbity.

- Gdzie mogą znaleźć paliwo? - niecierpliwie rzucił Obi-Wan.

- Średni Zasięg. Ale wątpię, żeby tam polecieli... jest dobrze broniony i czujny. Muszą wrócić do Dalekiego Zasięgu albo polecieć jeszcze dalej na północ, do płaskowyżu na biegunie... albo na górę Magistra, na południu. - Shappa spojrzał na Obi-Wana. - Może nadszedł czas, żebyśmy porozmawiali ze sobą całkiem szczerze. Ten chłopiec ma w sobie coś szczególnego. Możesz mi powiedzieć, co to takiego?

Obi-Wan ufał Shappie. Architekt wydawał się znacznie rozsądniej szy niż większość Ferran i - być może - lepiej zestrojony z Mocą.

Potrzebny nam jeszcze jeden sprzymierzeniec.

Teraz Obi-Wan rozumiał wewnętrzny głos. Tak jak podejrzewał, choć jednocześnie miał nadzieję, że się myli, nie był to głos Qui-Gona. Była to pozostałość po naukach mistrza, wspomnienie niezliczonych dni i tygodni cierpliwej nauki, głos wspólnie spędzonych lat.

Nie było ducha. Qui-Gon nie zniknął. Umarł naprawdę.

- Najpierw wezwę nasz statek z północy. Charza Kwinn na pewno nam pomoże.

- A ja poinstruję naszych ludzi, żeby go wypuścili. A teraz opowiadaj, proszę. Po co tu jesteście?

- Rok temu nasza świątynia przysłała na Zonamę Sekot rycerza Jedi imieniem Vergere.

- Wiem, znam ją. Miałem projektować dla niej statek.

- Co się z nią stało?

- Najpierw ty.

- Przyjechaliśmy, aby kupić od was statek i dowiedzieć się, co się z nią stało.

Shappa zachichotał ponuro.

- Ale się pomieszało, nie? Odleciała.

- Dokąd się udała?

- Odleciała z Przybyszami z Dali.

- Kim oni są?

- Wciąż nie wiemy do końca. Przybyli dwa lata przed Vergere. Przyczaili się na zewnątrz naszego systemu, wysyłając statki badawcze. Myśleliśmy, że to klienci, którzy natknęli się na nas przypadkiem, bez przewodnika czy agenta. Ale byli bardzo dziwni... Nie wiedzieli nic o naszej polityce, ekonomii, nie mówiąc już o zwykłej grzeczności. I byli bardzo ciekawi, co zrobiliśmy z Zonamą Sekot. Oni także budowali statki i inne rzeczy z żywej materii. Udało nam się częściowo porozumieć. Magister

rozmawiał z ich wysłańcami i szybko się zorientował, że pragną tylko naszych sekretów. Chcieli przejąć pełną kontrolę nad Zonamą Sekot. Najpierw byliśmy naiwni, ale szybko się zorientowaliśmy, że stanowią zagrożenie, więc rozpoczęliśmy przygotowania do obrony. A kiedy odmówiliśmy poddania się, można powiedzieć, że się trochę obrazili. Vergere przybyła tu z pieniędzmi na statek - aurodium starej Republiki w sztąbkach, tak samo jak wy. Kiedy sytuacja stała się napięta, zaoferowała nam pomoc. Zaczęła działać w imieniu Magistra i próbowała przemówić Przybyszom z Dali do rozumu. Najpierw w ogóle nie chcieli słuchać. Widziałeś te blizny na równiku?

Obi-Wan skinął głową.

- Mieli bardzo potężną broń. - Shappa przez moment wsłuchiwał się w swój statek, wreszcie dodał: - Chłopiec żyje. Rozmawia z istotą która porwała wasz statek.

Obi-Wan poczuł nagły przypływ ulgi. Wiedziała, gdyby Anakin został zabity lub ranny, a jednak...

- Możesz ich słyszeć?

- Oczywiście. Na wszystkich naszych statkach instalujemy układy naprowadzające. Nie powinienem o tym mówić nikomu, ale... mam wrażenie, że w tej chwili przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie wiem, jak Magister zareaguje na ten drugi atak...

- Ale co może zrobić? - zapytał Obi-Wan. Może wiem na temat waszego Magistra coś, czego wy nie wiecie, pomyślał. - Wasza planeta jest prawie bezbronna.

Shappa uśmiechnął się.

- Jesteś Jedi i tak mało wiesz! Czy chłopiec podejrzewa coś więcej?

- Powiedział, że wszystkie żywe istoty tej planety tworzą symbiotyczną jedność. Sam też to czuję.

- To zaledwie początek - uśmiechnął się Shappa. - Wierz mi, Jedi, nie jesteśmy słabi. Doskonale potrafimy się bronić. Odpędziliśmy Przybyszów z Dali. Może Vergere też ich przekonała po swojemu, tego nie wiem. Ale daliśmy im kopa.

- Czym? - Obi-Wan ledwie wierzył własnym uszom.

- Za dużo chcesz wiedzieć od razu - uśmiechnął się Shappa. Przechylił głowę na bok i nasłuchiwał przez chwilę. - Z głębokiego kosmosu lecą do nas duże statki. Sądzę, że zbliża się kolejna inwazja na Zonamę Sekot... Nie potrafię przewidzieć, jak na to zareaguje Magister. Jesteśmy teraz o wiele silniejsi, niż byliśmy rok temu.

Obi-Wan otworzył kanał komunikacyjny z Charzą Kwinnem.

ROZDZIAŁ

46

- Kombinowałeś coś z robotami - westchnął Tarkin, z politowaniem potrząsając głową. - Nie ufasz mi?

Siedzieli naprzeciw siebie w kabinie Tarkina na jego statku dowodzenia, przerbionym holowniku „Kupiec Einem z Rubieży” Kabina wydawała się mniej luksusowa niż apartament Sienara, ale ten statek był większy i lepiej uzbrojony.

- Nie bardziej niż ty mnie. - Sienar wycelował długi palec w Tarkina. - Miałeś zamiar sprawić, aby wszystkie moje wysiłki legły w gruzach, a wtedy pojawiłbyś się tu i posprzątał ten bałagan. Już prawie miałem ten sekotański statek, a ty wszystko schrząniłeś. I wiesz, co teraz będzie?

- Rozumiem - odparł Tarkin, przemierzając kabinę wzdłuż i wszerz. - Roboty-myśliwce, które same startują... bardzo niezwykle - nie potrafił ukryć krzywego, sardonicznego uśmiechu. - Wywieranie wpływu na inteligencję robotów to skomplikowana operacja. Jesteś pewien, że niczego nie poplątałeś?

Sienar nie odpowiedział.

Tarkin wywołał na środku kabiny obraz Zonamy Sekot i obszedł go dokoła, trąc dłonią podbródek.

- Nasze czujniki mówią że coś tam się teraz dzieje... może wywołały to myśliwce. Wygląda to na wyścigi trzech statków. Gdzie teraz jest Ke Daiv?

Sienar wskazał palcem miejsce na planecie.

- Chyba że twoje sztuczki go zabiły.

- Kapitan Kett poinformował mnie, że miałeś dłuższą rozmowę z Ke Daivem, a potem zmieniłeś mu przydział. Czy to, co miałeś mu do powiedzenia, zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie?

- Powiedziałem mu tylko, że może zdobyć sekotański statek i oszczędzić nam wszystkim fatygi. Zdaje się, że uznał to za świetną przysgodę.

- Od tej pory już nie miałeś od niego wiadomości, prawda?

Sienar potrząsnął głową.

- Ci Krwawi Rzeźbiarze to twarde sztuki. Ciężko ich zabić. Są bardzo użyteczni, pomysłowi, ale i sprytni. - Tarkin był najwyraźniej w filozoficznym nastroju. - Spójrz, dokąd nas doprowadziło to współzawodnictwo, Raith. Co za niedorzeczność!

- Przypuszczam, że masz zamiar podbić i zawładnąć Zonamą Sekot... Czy rozpoczniesz inwazję?

- Już wydałem rozkazy. Statki zajmują pozycje wokół planety - oświadczył Tarkin.

- Republika ma silnego kanclerza, prawdziwego przywódcę. A senat jest ostatnio wyjątkowo posłuszny. Można ich przekonać, jeśli ma się odpowiednie kontakty. A ja mam. Zawsze miałem, Raith.

- Jaka broń?

- Dostaliśmy statki do rozmieszczania latających min i przejęliśmy kontrolę nad większą liczbą bezzałogowych myśliwców Federacji Handlowej. Mamy ich o wiele więcej od ciebie... a ich inteligencja pozostała nienaruszona. Mamy również dość siły ognia na krążownikach, aby zmieść z powierzchni planety każde zamieszkałe osiedle, gdyby oparło się naszym dyplomatycznym żądaniom. Od dawna podejrzewałem, że ta planeta zdolna jest do budowania statków i produkowania broni dla rebeliantów.

- Wyjątkowo subtelne środki - zadrwił Sienar.

- Wyjątkowo skuteczne - poprawił Tarkin. - No, ale popatrzmy teraz na ten interesujący wyścig, a przez ten czas moja flota pokaże się gospodarzom. - Obraz się powiększał, aż ujrzeli zarysy trzech statków przelatujących tuż na czubkami drzew dżungli na równiku. - Rozpoznaję YT-1150. Czy dwa pozostałe statki to Zonanie? Jednostki atmosferyczne czy przestrzenne?

Sienar milczał. Szczerze mówiąc, sam nie wiedział.

- Wydaje mi się, że nasz YT-1150 jest agresorem i ściga miejscowe statki - spekulował Tarkin. - Chyba poinformujemy człowieka sprawującego władzę na Zonamie Sekot, że rozpoczniemy nasze działania od pojmania lub unieszkodliwienia tego statku, a następnie usiądziemy i podyskutujemy o umowie wspólnej obrony.

Kapitan Mignay z „Kupca Einema z Rubieży” zgłosił się niewielkim hologramem własnej postaci.

- Komandorze Tarkin, zdaje się, że z ukrytych hangarów na Zonamie Sekot wylatują dalsze statki. Na planecie zauważyliśmy ogromne podziemne konstrukcje niewiadomego przeznaczenia.

Tarkin zmarszczył brwi i skoncentrował uwagę na nowym obrazie z Zonamy Sekot. Z sekotańskiej dżungli otaczającej długi, zamieszkały kanion, znany jako Średni Zasięg, unosiły się dziesiątki statków.

- Zdaje się, że spowodowałeś pewne zamieszanie - skomentował Sienar.

- Może mają tam jakąś obronę - mruknął Tarkin. - Nic, czym by nie mogły się zająć myśliwce. Kapitanie Mignay, proszę wypuścić pierwszy rząd myśliwców i skoordynować ich działania z wyrzutniami min powietrznych.

- Czy przed rozpoczęciem działań wyślemy ostrzeżenie na planetę, sir? - zapytał kapitan.

- Nie - burknął Tarkin. - Jeśli nie rozpoznają władzy prawa, którego ambasadorami są statki Republiki, nie sądzę, żebyśmy mieli o czym rozmawiać.

Tarkin nie zadowolony się niczym poza całkowitym poddaniem. Sienar zgrzytnął zębami. Nawet jak na tę zdegenerowaną epokę to już przekraczało wszelkie granice przy-

zwoitości. Ale co on mógł wiedzieć na ten temat? Nie miał pojęcia, jakie nastroje panują teraz

w senacie.

Sienar wąpił, aby Zonama Sekot była w stanie odeprzeć zmasowany atak dwóch oddziałów i przeżyć koszmar latających min, namierzających wszystko, co się rusza.

Prawie było mu ich żal.

ROZDZIAŁ

47

Anakin przyszedł już do siebie i teraz natychmiast wyczuwał reakcje statku: cudownie szybkie fale energii, ślizg przez powietrze tak gładki, jakby znajdowali się w próżni. Kadłub znakomicie trzymał się w powietrzu i był wyjątkowo stabilny. Wylądowanie idealnie na każdej planecie z atmosferą.

Jednak całą radość, jaką czerpał z pierwszego lotu, skaziła obawa o życie Obi-Wana. Twarz chłopca zniekształcał grymas bólu.

Krwawy Rzeźbiarz przyglądał się młodemu człowiekowi. Fałdy nosowe miał złożone w ostrą klingę.

- Nie zabiłem twojego mistrza - rzekł. - To by się na nic nie zdało.

- Ale kiedyś chciałeś zabić mnie - syknął Anakin przez zaciśnięte zęby. Lot pochłaniał tylko niewielką część jego uwagi. Informacja napływała w łatwych do przyswojenia strumieniach poprzez kontakt z umysłem statku. Był to naprawdę statek jak ze snu, reagujący życiem na najlżejszy dotyk.

- Wypełniam rozkazy - odparł Krwawy Rzeźbiarz.

- A więc jesteś płatnym zabójcą. Wiesz chociaż, jak się nazywam?

- Tylko ty nosisz nazwisko Skywalker.

- Jeśli masz mnie zabić, chciałbym znać i twoje.

- Ke Daiv.

- Nigdy przedtem nie rozmawiałem z Krwawym Rzeźbiarzem - odparł Anakin. - Nie mogę powiedzieć, że jest mi miło.

- Leć. Musimy znaleźć paliwo.

- Nie wiem, skąd je wziąć! - skłamał Anakin. Nasiona wiedziały, bo porozumiewały się z innymi częściami Sekot.

Coś lub ktoś jeszcze przepływał przez jego palce, splecione ze sterami. Anakin wciąż widział wokół siebie jakieś przejrzyste duchy, niczym powidoki jasnego blasku słonecznego. Musiał naprawdę się skoncentrować, żeby zachować przytomność umysłu.

- Napracowałem się trochę w Średnim Zasięgu - rzekł Ke Daiv. - Dowiedziałem się, gdzie trzymają tajne rezerwy paliwa. Leć prosto na południe.

- Po co im tajne rezerwy? - zapytał Anakin, robiąc zwrot statkiem.

- Ta planeta ma swoje tajemnice - odparł Ke Daiv z cichym sykiem. - Niedawno była tu wielka wojna.

- Widziałem szkody.

- Dowiedziałeś się, co było przyczyną wojny?

- Nie jestem pewien, czy powinienem z tobą rozmawiać.

Powinienem jednak sprawdzić, jak działa na niego sugestia Jedi, pomyślał. Nigdy nie uczyłem się żadnych sztuczek umysłowych, ale wiem, że mogę to zrobić. Może nawet lepiej niż Obi-Wan.

Chłopiec potrząsnął głową rozpraszając przejrzysty obraz, który zdawał się nakładać na rysy Krwawego Rzeźbiarza. Podobna do widma postać odciągała jego uwagę pojawiając się w różnych punktach kabiny.

- Kim naprawdę jesteś? - zapytał, aby ukryć zmieszanie.

- Pochodzę ze starego klanu jeszcze starszego narodu, wchłoniętego przez Republikę, która wyzwoliła nas po klęsce, jaką ponieśliśmy z rąk Lontarów.

Koncentracja stawała się coraz bardziej kłopotliwym zadaniem. Anakin z wielkim trudem podtrzymywał rozmowę, która miała głównie odwrócić uwagę od jego planów.

- To było setki lat temu. Senat zmusił Lontarów do zaprzestania agresji.

- Nie dość szybko. Mój lud został prawie całkowicie zmieciony z powierzchni planety - odparł Ke Daiv. - Kilku ocalałych zabrano na Coruscant, gdzie żyli prawie jak w więzieniu. Byliśmy wojownikami. Nazywano nas sprzymierzeńcami, ale nam nie ufano. Niewielu nas rozumiało. Z czasem, kiedy władcy galaktyki stracili zainteresowanie naszym ludem, zaczęliśmy zarabiać na życie, sprzedając nasze wyroby.

- A więc całe życie spędziłeś na Coruscant.

- Powiedziałeś, że nie powinieneś ze mną rozmawiać - przypomniał mu Ke Daiv.

- A co mam robić innego? Dlaczego nie kupiłeś sobie statku?

Widmo nabrało kształtów - owalna głowa, tułów jakby płynny, jeszcze zbyt przezroczysty, by go zidentyfikować. A potem rozróżnił pióra i owalne oczy. Anakin z trudem powstrzymał okrzyk, poczuł na czole kroplisty pot. Tylko tego mi teraz potrzeba! - pomyślał.

- Nie podobam się nasionom-partnerom - stwierdził Ke Daiv.

- Szkoda. Te statki są naprawdę fantastyczne.

- Zawsze miałem nadzieję na niezależność - odparł Ke Daiv.

- Aha, ja też - ostro rzucił Anakin. - Latać po całej galaktyce... zatrzymać się tylko po to, by nabrać paliwa. Możliwość zobaczenia wszystkiego, żadnych zobowiązań, żadnej...

- Żadnej historii, żadnej przyszłości - dokończył Ke Daiv.

- Właśnie - zgodził się Anakin. Traci koncentrację, zorientował się. Teraz jest słaby. Czas, żeby się za niego zabrać. Muszę zachować kontrolę. Żadnego roztargnienia.

Nie mógł jednak odsunąć od siebie obrazu pierzastej istoty. Próbowła mu coś powiedzieć, powtarzając w kółko jakieś słowa, co wyglądało jak zapis holo z wyłączonym dźwiękiem.

Anakin podniósł dłonie, uwalniając je od pulpitu z lekkim cmoknięciem. Obraz pierzastej istoty znikł. Udał, że rozprostowuje palce.

- Muszę się przyzwyczaić do tych sterów - rzekł i popatrzył na Krwawego Rzeźbiarza. W jednej chwili ułożył palce w zgrabny znak sugestii.

Ke Daiv wydawał się niewzruszony.

- Powinieneś pozwolić, abym zabrał cię z powrotem na Coruscant - rzekł Anakin. - Pokazałbym ci świątynię, w której mieszkam.

Ke Daiv spojrział na niego. Małe, czarne oczka wydawały się smutne, zaskakująco przystojna twarz była całkowicie nieprzenikniona.

- Nie jest naszym przeznaczeniem dzielić jeden klan.

- Mówię o zwykłej wizycie.

Anakin przesunął palce w inną pozycję - delikatniejszej postaci perswazji - i zaczął szukać połączenia z Mocą. Jedi musi czuć współczucie i zrozumienie dla tych, których chce kontrolować. Ty i on nie różnicie się od siebie aż tak bardzo.

- Nie różnimy się od siebie aż tak bardzo.

- Różnimy się, Jedi. Ty masz honor. Ja mam tylko obowiązek uwolnić się od brzemienia niesławy.

- Opowiedz mi o tym - szepnął Anakin. - Byłem niewolnikiem.

- Jesteś ceniony pośród Jedi. A ci, którzy mi rozkazują, twierdzą, że Jedi stanowią zagrożenie.

- Chronimy. Nie sprawiamy kłopotów.

- To słowa młodości - przerwał mu Ke Daiv.

- Ty też jesteś młody.

Ke Daiv spojrział na swoją część pulpitu. Przed samym nosem pojawił mu się wyświetlacz. Ke Daiv cofnął się w fotelu, który nie pozwalał mu na przyjęcie wygodniejszej pozycji.

- Ściąga nas jakiś statek. To ten, który was przywiózł na tę planetę. A dalej jeszcze jeden. Leć szybciej.

Anakin spojrział na niego spod zmrużonych powiek. Ke Daiv machnął giętkim ramieniem. Lanca o mało nie trafiła Jabithy w twarz. Dziewczyna krzyknęła.

- Kieruj się na górę Magistra. Sybko - rozkazał Krwawy Rzeźbiarz lodowatym głosem.

- Lecimy tak szybko, jak się da! - krzyknął Anakin. Okazało się, że nie miał wystarczającego przeszkolenia, a może umiejętności koncentracji, żeby zasugerować cokolwiek Krwawemu Rzeźbiarzowi. Położył dłonie na pulpicie.

Obraz pierzastej istoty wrócił natychmiast, wypełniając jego umysł i oczy. Nie było sensu z nim walczyć. Wyraz twarzyczki istoty był gniewny i poważny, a wielkie, skośne oczy rozglądały się na prawo i lewo jakby w poczuciu zagrożenia.

Teraz Anakin ją rozpoznał. Vergere.

- Jedi - usłyszał w umyśle. - Kimkolwiek jesteś. Pozostawiłam tę wiadomość w moich nasionach-partnerach w nadziei, że cię odnajdą albo że tyje odnajdziesz. Niewiele czasu mi zostało. Odlatuję z przybyszami, którzy rozpętali tu wojnę i starli z po-

wierzchni planety połowę Zonamy Sekot. To jedyny sposób, żeby ich poznać, uniknąć jeszcze większej wojny i ocalić ten świat.

Anakin usiłował zachować spokój. Połączone nasiona zawierały całą wiadomość, ale Obi-Wan odczytał ją tylko częściowo. To bardzo niesprawiedliwe, że statek przekazuje mu tę informację w chwili, gdy jest zdany tylko na siebie, bezbronny, w trakcie ciężkiej próby. To nawet nieuczciwe.

Uczciwość jednak nigdy nie znaczyła zbyt wiele dla Anakina Skywalkera.

- Zonamanie nazywają ich Przybyszami z Dali. - Słuchał dalej. - Są odmienni od wszystkich żywych istot, jakie do tej pory poznaliśmy. Przybysze z Dali nie wiedzą nic o Mocy, a Moc nie wie nic o nich. A jednak to nie maszyny, lecz z całą pewnością żywe istoty. Mogą dla nas stanowić wielkie zagrożenie. Zafascynowały ich moje zdolności i zgodzili się, aby w zamian za moją osobę przerwać atak i opuścić ten system. Jadę więc z nimi, by poznać ich tajemnice. Ślubuję, jako rycerz Jedi, że przeżyję i wrócę, by zdać sprawę ze swoich odkryć. Na razie pragnę odciągnąć ich od planety, którą pokochałam. Wiedz, Jedi... - Twarz Vergere zdawała się płonąć entuzjazmem. Jest tu wielka tajemnica, którą może z czasem odkryjesz. Serce ogromnej, żywej istoty zaczęło bić, wielki umysł zyskał świadomość swego istnienia. Byłam świadkiem narodzin zadziwiającej ...

Vergere odwróciła się bokiem i wiadomość urwała się nagle.

Koniec.

- Na co się gapisz? - zapytał Ke Daiv, uderzając lancą w ściankę nad głową Anakina. Ostry szpic pozostawił ryse, która błyskawicznie zasklepiła się i znikła.

Anakin podskoczył.

- Pozwól mi lecieć - rzekł, marszcząc brwi.

Nagle wszystko - sekotański statek, dziecięcy entuzjazm dla maszyn, pretensje do losu, który tak pokierował jego życiem, to, co składało się do tej pory na osobowość Anakina Skywalkera - stało się nagle mgliste i nieważne.

Vergere być może poświęciła życie, aby przekazać tę informację innemu Jedi.

Teraz wyraźniej widział kształt swojej próby. Wiedział, dlaczego jest ważny, dlaczego musi pokonać Ke Daiva i wszystkich innych, którzy próbują go zniszczyć.

Stawką może być życie wszystkich Jedi.

ROZDZIAŁ

48

Shappa uniósł się wysoko w mezosferę, prawie na krawędzi przestrzeni. Popędzał statek, aż jego powłoki zaczęły żarzyć się od tarcia. Doganiali już pojazd Anakina, który znajdował się teraz jakieś czterdzieści kilometrów przed i trzydzieści pod nimi. Powietrze miało tu barwę głębokiej purpury, a krzywizna Zonamy Sekot była wyraźnie widoczna. Przednie iluminatory zwężyły się, aby nie przenosić ciepła z powłoki statku, ale Obi-Wan i tak z łatwością odróżniał rozległą warstwę chmur poniżej i wystającą ponad nie górę Magistra na horyzoncie.

Chara Kwinn był teraz o tysiąc kilometrów za nimi. „Kwiat Morza Gwiazd” zaczął mieć kłopoty.

Mój lud nie powstrzyma już dłużej ognia - mruknął Shappa.

- Ciekawe, czy wiedzą, w co się pakują, napadając na nas?

- Prawdopodobnie nie - odparł Obi-Wan. Nie potrafił sobie wyobrazić żadnego powodu, żeby atakować Zonamę Sekot. Coś musiało pójść nie tak w okresie przejściowym, w czasie przejmowania statków Federacji Handlowej przez siły Republiki. Może przestępczy element Federacji wyłamał się z szeregów i podjął działania na własną rękę. Wyjaśnialoby to obecność myśliwców-robotów, ale nie ich działania.

- To statki Republiki - zauważył Shappa, zerkając na Obi-Wana.

- Wyrzutnie min, jak mi się zdaje.

Obi-Wan przez chwilę przyglądał się obrazom z czujników Shappy. Tak, to były wyrzutnie min powietrznych, a dziesięć tysięcy kilometrów nad nimi lekkie krążowniki koreliańskie, spotykane wyłącznie w siłach Republiki.

- Wybacz mi - szepnął Shappa. - Ale jeśli reprezentujesz Republikę...

- Nic o tym nie wiem - ponuro odparł Obi-Wan.

- Nieważne - podsumował Shappa. Uważaliśmy, że pozostajemy poza jurysdykcją Republiki, Federacji Handlowej i wszelkich innych organów władzy. Nasz Magister przewidział sytuację, a wcześniej jego poprzednik. Wiedzieliśmy zawsze, że pewnego dnia przyjdzie nam poszukać innego, jeszcze lepiej ukrytego miejsca. Taka jest wola Potęgi.

Znów to słowo. Zdyskredytowana ideologia z przeszłości.

- Czy pierwszy Magister przeszedł szkolenie Jedi? - zapytał Obi-Wan.

- Tak - niechętnie przyznał Shappa.

- Jakie było jego prawdziwe nazwisko?

- Nazwisko to jest święte dla Zonaman, nie należy go wymawiać - odpowiedział Shappa.

Obi-Wan próbował sobie przypomnieć najdrobniejsze, najbardziej zapomniane fragmenty historii Jedi, jakich nauczone go w świątyni. Potęga oznaczała dla Jedi poważne kłopoty jeszcze sto lat temu. Obrońcy tej idei wierzyli, że Moc nie może popchnąć nikogo do złych czynów, że wszechświat przepelniony jest dobrotliwym polem energii życiowej, którego wpływ był niezmiennie właściwy. Potęga, jak ją nazywali, była początkiem i końcem wszechrzeczy, a połączenie z nią nie mogło odbywać się za pośrednictwem czy pod kontrolą jakiegokolwiek szkolenia albo dyscypliny. Wyznawcy Potęgi twierdzili, że mistrzowie Jedi i hierarchia świątyni nie mogą zaakceptować uniwersalnego dobra Potęgi, ponieważ znaczyłoby to, że nie są już potrzebni.

Ostatecznie jednak Jedi przyłapani na sympatii do tego ruchu opuścili świątynię albo zostali z niej wyrzuceni i rozjechali się po całej galaktyce. O ile Obi-Wan pamiętał, żaden z wyznawców nie przeszedł naprawdę na ciemną stronę Mocy - historycy Jedi uważali to za cud. Od czasu do czasu młodzi Jedi, zagubieni w pierwszych doświadczeniach z Mocą kierowali się instynktownie ku filozofii Potęgi i potem trzeba ich było cierpliwie nawracać na historię Mocy. Wpajano im przekonanie, że w czasie i przestrzeni, jakie zdołają objąć w ciągu jednego życia, istnieje wiele rozmaitych podziałów i zagrożeń.

Imię, którego szukał Obi-Wan, od wielu dni miał prawie na końcu języka. Wreszcie sobie przypomniał. Było to imię wyjątkowo uzdolnionego młodego rycerza Jedi, który z własnej woli opuścił świątynię i odmówił dalszej nauki?

- Czy wasz pierwszy mistrz nazywał się Leor Hal? - spytał Shappy

Shappa wbił wzrok w obraz przesuwający się za oknem kabiny.

- Wiedziałem, że szybko wpadniesz na właściwy trop - mruknął.

- Był dobrym Jedi - powiedział Obi-Wan. - Nawet po swoim odejściu był nadal szanowany.

- Uważaliście go za głupca i szaleńca - zaoponował Shappa.

- Idealistę, być może, ale nie szaleńca.

- No cóż, jego poglądy na temat systemów politycznych i organizacji filozoficznych... miały wielki wpływ na charakter osad Zonamy.

- Rekrutował was spomiędzy Ferran? - zaryzykował Obi-Wan.

- Tak. Mój lud zawsze był ludem słońca, wiary w niezależność i dobro leżące u podstaw wszechrzeczy. Przybyliśmy tu, aby wychować nasze dzieci w nowym poczuciu łaski.

- A kiedy zjawili się Przybysze z Dali...

- Przebudzenie było brutalne - zgodził się Shappa. - Ale następca Magistra upierał się, że oni pozostają poza Potęgą. Nie wiedzieli nic na jej temat, a my mieliśmy ich tego nauczyć.

- Jak zareagował na obecność Vergere?

- Unikał jej przez wzgląd na swojego ojca. Nie chciał jej pomóc.

- Ale zbudował broń.
- Tak. Wiedział, że niektórzy mogą źle interpretować Potęgą i próbować nas zniszczyć za naszą odmiennność
- Co zbudował pierwszy Magister?
- To on zaczął sprzedawać statki. Powiedział, że musi zebrać dość pieniędzy, aby kupić części do budowy ogromnych rdzeni hipernapędu. Chciał importować największe silniki, przestudiować ich budowę i nauczyć Jentari budować jeszcze większe, jeszcze mocniejsze, potrzebne nam do własnych celów.
- Jakich celów?
- Ucieczki - odparł Shappa i wyprostował się. - Wydaje mi się, że właśnie nad-szedł czas.
- Ale on nie żyje - podpowiedział Obi-Wan.
- Nonsens. Przecież z nim rozmawiałeś.
- Nie. Teraz to rozumiem.
- Magister nie umarł! - krzyknął Shappa, potrząsając pięścią przed nosem Obi-Wana. - Przekazuje nam instrukcje ze swojego pałacu!
- A może pałac także już nie istnieje - ciągnął Obi-Wan.
- Nie chcę tego słuchać! - zawołał Shappa. - Pomogę ci odzyskać chłopca, a potem... potem musicie odejść!
- Odwrócił się mocno wzburzony i wbił wzrok w ekrany.
- Może Jedi naprawdę przysłali was tutaj, żeby siać zamęt. A statki Republiki... Niebo przed nimi nagle wypełniło się maleńkimi świetlnymi punktami. Z powietrza zaczęły spadać tysiące min powietrznych, rozpościerając się wokół jak wielopłatkowe kwiaty.
- Próbują zniszczyć nas wszystkich! - jęknął Shappa. Twarz miał wykrzywioną strachem i rozczarowaniem.

ROZDZIAŁ

49

Anakin opuścił statek nad szczyt góry, zataczając piękny, gładki, doskonale kontrolowany łuk.

W kabinie panowała cisza. Jabitha skuliła się na fotelu i chyba próbowała zasnąć. Anakin bardzo pragnął się nią opiekować, ale nic nie mógł zrobić. Zbyt pochopne działania skończyłyby się prawdopodobnie jego śmiercią. Nie czas na uleganie młodzieńczym, szalonym porywom.

- Pałac powinien być pod nami - oznajmił Anakin. Ke Daiv milczał, ale czubek ostrza lancy krążył w okolicy karku chłopca. -Nie widzę nic... żadnego lądowiska ani pałacu.

- Byłeś tu już? - zagadnął Ke Daiv.

- Kilka dni temu - odrzekł chłopiec. - Pałac był... zajmował cały szczyt góry.

- A to jedyna góra... - zastanawiał się Ke Daiv. - Jedi, chyba nie próbujesz żadnych sztuczek?

- Nie - odparł zdenerwowany chłopiec. - Próbowałem... ale nie działają.

Ke Daiv mlasnął językiem.

- Jeszcze jedno okrążenie.

- Czy już jesteście nad pałacem? - zapytała Jabitha. Anakin nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Chodź tu i pokaż nam, dokąd mamy lecieć - polecił Ke Daiv. Zerwała się z fotela i skwapliwie podbiegła do iluminatora.

- Nie widzę go - zawołała ze zdumieniem. Wytrzeszczyła oczy. - Czekaście... to Jaskinia Smoka obok podziemnego lodowca... Dawniej, wiele lat temu przychodziliśmy tutaj na wycieczki... A co to takiego? Nigdy przedtem tego tutaj nie widziałam.

Wskazała palcem na długie zbocze rumowiska. Ogromne kawały skał w chwiejnej równowadze opierały się o skarpę. Rumowisko znikło w chmurach otaczających podnóże góry.

- Tego tu nie było.

- Mówiłaś, że nie byłaś tu od roku - przypomniał jej Anakin. -Od czasu ataku?

Twarz Jabithy spąsowiała.

- Ojciec powiedział, że nie wolno mi rozmawiać o ataku z obcymi.

Ke Daiv obserwował i słuchał ich z zainteresowaniem, ale czujnie.

- Wygląda mi na to, że góra została trafiona promieniem z działa laserowego albo czegoś jeszcze mocniejszego - zauważył Anakin, zdając sobie sprawę, że dziewczyna chciałaby zapewne usłyszeć coś całkiem innego.

- Śmieszne! Ojciec powiedział, że góra... Zakryła usta dłonią i z uporem potrząsnęła głową.

- Nie ujawnię naszych sekretów.

- Za późno na sekrety - przerwał jej Ke Daiv. - Mów.

- Kiedy nie wiem, co powiedzieć!

- Ona nic nie wie - wtrącił się Anakin. - Byłem tu niedawno i widziałem pałac.

- Na mapach Średniego Zasięgu figuruje do tej pory - odparł Ke Daiv, jakby zgadzając się z nim. - Ale cokolwiek się stało, musimy znaleźć paliwo.

- Musimy najpierw znaleźć pałac! - uparła się Jabitha. - On tu na pewno jest. Mój ojciec też. Muszą tu być!

Anakin odwrócił statek i wszedł na wyższy pułap. Dopiero teraz spostrzegł kwiaty min powietrznych rozpościerające się nad nimi. Ke Daiv dostrzegł je w tej samej chwili.

- Zdaje się, że niezbyt im na tobie zależy - zauważył z napięciem Anakin.

Krwawy Rzeźbiarz gapił się w iluminator z nieodgadnioną miną. Czubek lancy opadł lekko. Anakin wiedział już, że trzeba będzie lądować, uwolnić Jabithę i zabrać się za Ke Daiva. I wszystko to musi zrobić sam.

Miny powietrzne stanowiły znakomitą wymówkę. Zaprojektowano je tak, aby nie dopuszczały do startu statku z powierzchni planety. Rzadko, jeśli w ogóle, wybuchały na powierzchni.

- Musimy wylądować - mruknął Anakin.

- No to do roboty - odparł Ke Daiv.

Jabitha wepchnęła się na miejsce obok Anakina, by wyjrzeć przez iluminator. Nagle jęknęła.

- Popatrzcie! - zawołała ze łzami.

Okружиłi już połowę szczytu góry. Tu, na pół pogrzebane pod potężną lawiną kamieni, widoczne były ruiny ogromnego kompleksu budynków. Miejsce było zasypane rumowiskiem tak dokładnie, że podczas pierwszego okrążenia po prostu nic nie zauważyli.

Anakin zobaczył odsłonięty skraj starego lądowiska, jego powierzchnię z czerwonej lawy.

- Posadzę nas tutaj - oznajmił.

- Gdzie ojciec? - pytała Jabitha. Policzki miała mokre od łez.

ROZDZIAŁ

50

Miny powietrzne krążyły w poszukiwaniu ofiar. Ciągące się za nimi smugi rysowały na chmurach płonące podniebne znaki. Było ich coraz więcej, setki tysięcy. Małeńkie, wybuchowe, owalne, wyposażone w niezwykłą zdolność śledzenia celu i manewrowania w ułamku sekundy, zmuszały Shappę do schodzenia coraz niżej i niżej.

- Nie zostaniemy w powietrzu zbyt długo - szepnął. - Może jeszcze kilka minut, potem nas dopadną.

Obi-Wan milczał przez dłuższą chwilę. Za podniebnymi minami pojawiają się mordercze myśliwce, a cała przestrzeń nad chmurami stanie się miejscem masakry. Statek Sekot był nieuzbrojony. Nie mieli najmniejszej szansy.

- No to ląduj - rzekł wreszcie.

- Tamci wylądowali na górze Magistra. Przynajmniej znajdą schronienie w pałacu.

- Shappa obejrzał się na Obi-Wana, jakby go prowokując, by spróbował sprzeciwić się jego nadziejom i wierze.

Sekotański statek opadł poniżej poziomu chmur. Otoczyła ich srebrzysta ciemność. Wiatr miotał nimi na wszystkie strony, aż wreszcie Shappa posadził pojazd na platformie spalonej, nagiej, poczerniałej skały. Wokół nich sterczące, postrzępione resztki skał świadczyły o tym, jak wielka furia niszczycielskiej energii zmieniła ten krajobraz, zabijając wszelkie życie.

Shappa zdjął rękę ze sterów i zajrzał na tył kabiny, by sprawdzić zainstalowane tam urządzenia. Wreszcie wrócił i zastał Obi-Wana siedzącego nieruchomo w fotelu, pogrążonego w głębokiej zadumie.

- Popatrz, co zrobili powiedział, wyglądając przez iluminator naprzeciwko Jedi. - Cośmy zrobili, by zasłużyć na takie zniszczenie? Jak Potęga mogła zezwolić na takie zło?

Obi-Wan wstał z miejsca. Nie miał zamiaru kłócić się teraz z Shappą. Skłonność projektanta do mentorskiego tonu, wydawała się tu dziwnie nie na miejscu. Cóż, Shappa był sprzymierzeńcem i musiał sobie radzić, jak umiał. Znajdował oparcie w wierzeniach, które dodawały mu siłę.

- Jak daleko jesteśmy od góry? - zapytał Obi-Wan.

- Około stu kilometrów.

- A gdzie Charza Kwinn? Shappa spojrział na ekrany.
- Drugi statek również zszedł poniżej poziomu chmur.

Na razie Obi-Wan nie mógł nic zrobić. Jego widzenie przyszłości było zamglone jak niebo nad głową. Los Anakina znajdował się teraz w decydującym punkcie, na rozstajach, skąd różne drogi prowadziły do różnej przyszłości. Najbardziej wstrząsnęła nim świadomość, ile przerażających powiązań łączących te różne przyszłości spiętrzyło się w ciągu kilku ostatnich godzin. Jego padawan był ośrodkiem tak wielu zdarzeń, łączył ze sobą tak wiele istnień.

Zaprzagnął nagle porozmawiać z Mace'em Windu, z Yodą, Qui-Gonem. To, co widział, przekraczało jego możliwości pojmowania. Jeśli po piętnastu latach szkolenia Jedi wciąż czuł się w ten sposób, nie bardzo mógł sobie wyobrazić, jak reaguje Anakin.

Obi-Wan przymknął oczy, aby wejrzeć w mądrość, jaką pozostawił mu w dzieciństwie Qui-Gon.

Próba chłopca... stawi jej czoło całkiem sam. Musisz ufać swojemu padawanowi. Musisz ufać Mocy. Po śmierci Qui-Gona w pewnym sensie straciłeś tę ufność. Twoim oparciem było poczucie obowiązku, codzienny reżim pracy, nauki i szkolenia, który miał zająć miejsce podziwu i zachwyty nad mądrością Mocy.

Moc cię zawiodła, prawda, Obi-Wanie?

Pozwoliła umrzeć twojemu mistrzowi.

Może pozwoli umrzeć Anakinowi.

A jeśli tak, zginie ostatnia nadzieja na to, abyś pozostał Jedi.

Przyszłości nie da się odczytać. Moc milczała i trwała w bezruchu, jakby wstrzymując oddech.

ROZDZIAŁ

51

Jabitha szła nagim polem, wspinając się i przeskakując nierówności niedawno stopionego kamienia. Oddech miała krótki i urywany, jakby powietrze było dla niej zbyt rzadkie. Przywykła do pachnącej, gęstej atmosfery w północnych dolinach, nie do ubożego w tlen powietrza na górze jej ojca.

- Pałac powinien być tutaj - powiedziała głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Anakinowi zakręciło się w głowie. Przez chwilę musiał korzystać z techniki Jedi, by dostosować metabolizm ciała i ciśnienie krwi. Było to potrzebne do zachowania sił i jasności umysłu, gdy brakowało tlenu.

Ke Daiv stał o kilka kroków w tyle, a lancę trzymał w pogotowiu. Anakin mierzył odległości, oceniał czas. Krwawy Rzeźbiarz znajdował się bliżej Jabithy; zabije ją bez trudu, zanim Anakin zdąży go dosięgnąć. A w ogóle co mu może zrobić taki Anakin?

Zbieraj gniew. Zbieraj frustrację. Przekształć je i zachowaj energię.

Anakin lekko skinął głową.

- Prawie nic nie zostało - szepnęła Jabitha, zwracając się ku niemu. - Gdzie jest mój ojciec? Gdzie są ci wszyscy, którzy tu pracowali?

- Wszyscy nie żyją - odpowiedział Ke Daiv. - Teraz martw się tylko o paliwo.

- Zapasy paliwa znajdowały się w pobliżu pałacu - odparła Jabitha z dumą. - Jeśli nie znajdziemy pałacu, nie znajdziemy i paliwa!

Anakin zauważył kawałek kamiennego muru wystający spod zwałowiska jakieś sto metrów dalej. Obejrzał się na Ke Daiva.

- Może tam - odpowiedział.

Jabitha była bliska omdlenia. Krwawy Rzeźbiarz zdawał się zupełnie nie reagować na za rzadkie powietrze. Anakin zastanawiał się, dlaczego tego nie zauważyli za pierwszym razem. Z pewnością pałac już od dawna jest w tym stanie. Coś sprawiło, że ulegli dziwnemu, niezrozumiałemu złudzeniu.

Dziewczyna potknęła się, odwróciła jak we śnie i pobiegła w stronę ruin. Anakin i Ke Daiv poszli za nią. Anakin pilnował, by znajdować się jak najbliżej Krwawego Rzeźbiarza. Obserwował ruchy lancy, żółty i czerwony blask zachodzącego słońca tańczący na ostrzu. Szczyt góry, czarny i ciemnoczarny jeszcze kilka dni temu, teraz przybrał pomarańczowy kolor, który upiornie odcinał się na tle nieba porysowanego

fosforyzującymi łukami, pętlami i tajemniczymi hieroglifami min, wciąż uganiających się za celem, głodnych zabijania. Ponad tym gęsto zapisanym niebem unosił się wir odległych gwiazd, odcinając się purpurą na tle oranżu, czerwieni i złota.

Anakin obejrzał się na swój statek. Jeszcze go nie nazwaliśmy, pomyślał. Ciekawe, jakie imię nadałby mu Obi-Wan?

Ramiona Jabithy drżały. Resztkę energii włożyła w gwałtowne łkanie.

- Wszystkie wiadomości kłamały! Nikt tu nie przyjeżdżał! On twierdził, że wszystko jest w porządku... A ty? - rzuciła się w kierunku Anakina. - Przecież tu byłeś!

- Widzieliśmy pałac - odparł łagodnie Anakin. - A przynajmniej wydawało nam się, że...

- Paliwo, i to szybko - przerwał ostro Ke Daiv. - Miny zaraz opadną niżej i zorientują się, gdzie wylądowaliśmy. Inni też zaraz mogą się tu zjawić.

- Poświęćcie, prawda? - zaczepnie zapytał Anakin. Nad nimi wznosiła się ponuro ściana budynku. Po prawej stronie widać było niskie drzwi, prawdopodobnie dla służby, na pół zasłonięte gruzem. - Co ich obchodzi, jaki los cię spotka...

Ke Daiv nie zaszczycił go odpowiedzią.

- Co takiego zrobiłeś, żeby zasłużyć na niełaskę? - zapytał chłopiec, przechylając głowę na bok. Bezmyślnie zgiął trzy palce prawej dłoni.

- Zabiłem syna mojego dobroczyńcy - odparł Ke Daiv. - Przepowiadano mu, że zginie od ciężkiej rany w głowę w czasie bitwy. Ojciec ubłagał klan, by nigdy nie pozwalano mu walczyć. Klan wyraził zgodę, ale nakazał mu się udać na rytualne łowy, by dopełnić szkolenia. Ja byłem sierotą wychowanym przez jego rodzinę i naczelnik klanu wyznaczył mnie na obrońcę syna mojego dobroczyńcy. Towarzyszyłem mu na łowach. Walczyliśmy z dzikim feragryfem w rytualnym rezerwacie na księżycu nad Coruscant. - Fałdy nosowe Krwawego Rzeźbiarza rozpostarły się szeroko. Był to ruch, który Anakin nauczył się interpretować jako niepewność, poszukiwanie współczucia, informacji, potwierdzenia. Teraz jest słabszy, pomyślał. Przeszłość czyni go słabym, tak jak mnie.

Anakin spostrzegł, że Jabitha wchodzi przez drzwi. Ke Daiv tego nie widział.

- Przepowiednia się sprawdziła. Zabiłeś go przypadkowym strzałem - dokończył historię.

- To był wypadek - wymamrotał Krwawy Rzeźbiarz i wyprostował się nagle. Jego twarz znów się wyostrzyła. Dotknął lancą Anakina, by zmusić go do przejścia przez te same drzwi, w których znikła dziewczyna.

- Nie - powiedział Anakin.

Podniebne miny szalały kilkaset metrów nad ich głowami. Silniki wyły w rzadkim powietrzu. Wyżej chłopiec zobaczył znajomy kształt - myśliwiec-robot. Tylko jeden. Najeźdźcy skoncentrowali siły na północy, ale powietrzne miny były tanie. Można je było rozrzucać dosłownie wszędzie. Z czasem mogły nawet zablokować całą planetę. Ktoś zamierzał być może zabić wszystkie żywe istoty na Zonamie Sekot: Jabithę, Ganna, Sheekłę Fars, Shappę, Fitcha, Vagna, Obi-Wana. I wszystkich innych.

- Wciąż masz honor - dodał Anakin. - Wciąż możesz odkupić to, co zrobiłeś.

W jego wnętrzu narastał mroczny cień, znacznie gęstszy niż zapadająca noc. Bez trudu mógł wypełnić całą jego istotę.

Krwawy Rzeźbiarz zranił Obi-Wana, zagrażał Jabicie, nazwał Anakina niewolnikiem. Tego nie można było odkupić. Nagromadzona wściekłość groziła wybuchem - czysta i bolesna, gorąca jak serce słońca. Palce Anakina zacisnęły się mocniej.

- Mój dobroczyńca mnie przeklął - rzekł Ke Daiv.

Niech się stanie. Anakin podjął decyzję, a może ktoś ją podjął za niego. Nieważne.

Powoli rozprostował palce.

Ke Daiv zbliżał się do niego, zamierzając się lancą.

- Przestań - zimno rzucił Anakin.

- I co mi zrobisz, niewolnicze szczenię?

Tego właśnie Anakin szukał: połączenia między wściekłością a mocą. Jak przestawiony wyłącznik, jak zamykany obwód, zatoczył pełny krąg aż do wyścigu na wysypisku, do bólu, jaki sprawiła mu pierwsza obelga Krwawego Rzeźbiarza, jego pierwszy nieuczciwy, złośliwy ruch, kiedy strącił go z rampy. I dalej, do mrocznych domów niewolników na Tatooine, do wyścigu Boonta i zdrady Duga, do ostatniego obrazu Shmi, wciąż w niewoli u obrzydliwego Watta, do wszystkich obelg i urazów, i wstydu, i nocnych koszmarów, i hańby nakładającej się na poprzednią hańbę, na które przecież nie zasłużył, o które nigdy nie prosił, a które znosił z niemal nieskończoną cierpliwością.

Nazwijcie to instynktem, zwierzęcą naturą, nazwijcie to wezbraną nienawiścią i ciemną stroną - w duszy Anakina Skywalkera to wszystko leżało tuż pod powierzchnią na końcu podróży, u wylotu z długiej, głębokiej jaskini, wiodącej do niewyobrażalnej mocy.

- Nie! Przestań, proszę! - zawył chłopiec. - Pomóż mi to powstrzymać!

Grzmot narastającej w nim siły zagłuszył to błaganie, zanoszone do mistrza, by przybył i zapobiegł nieszczęściu. Tak się boję, przepelnia mnie nienawiść i gniew, myślał. Wciąż jeszcze nie umiem walczyć.

Jabitha stanęła w drzwiach i wytrzeszczyła oczy, widząc chłopca klęczącego przed Krwawym Rzeźbiarzem. Ke Daiv podniósł lancę. Ruch, który przed chwilą jeszcze wydawał się szybki jak błyskawica, teraz, w oczach młodego padawana, zmienił się w powolny, dziwnie rozciągnięty w czasie gest.

Anakin podniósł ręce w podwójnym, pełnym wdzięku znaku sugestii Jedi. Wszystkie tkanki jego ciała przeniknęła czysta fala woli. Pęd do obrony i zniszczenia zlał się w jedno. Wyprostował się. Wyglądał, jakby urósł o kilka centymetrów.

Oczy pociemniały mu jak najmroczniejsza noc.

- Przestań, błagam! - krzyknął. - Już nie mogę tego powstrzymać!

R O Z D Z I A Ł

52

- Mają o wiele więcej statków niż sądziliśmy - zauważył Tarkin. Z podziwem spoglądał na rozgrywającą się w dole bitwę. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Sienar, zrezygnowany, gotów na wszystko, czerpał sporo pociechy ze stanu ducha Tarkina.

Powiększone obrazy scen walki otaczały mostek „Kupca Einema z Rubieży”. Miny przesyłały sygnały zwrotne do statków macierzystych, a one przekazywały je do centrum dowodzenia.

Roboty-myśliwce wciągały w walkę niezliczone statki unoszące się z hangarów ukrytych głęboko w dżungli. Były ich już całe roje, jak chmary zielonych i czerwonych owadów. Obrońcy zdawali się lekko uzbrojeni, ale bardzo zwrotni. Główną ich taktyką było doganianie robotów-myśliwców, przechwytywanie ich w pola ściąające i wleczenie tak długo, aż rozbiją się w dżungli. W ten sposób Tarkin ponosił ogromne straty.

- Nie uciekną przed powietrznymi minami - orzekł. Rzeczywiście, wiele min znajdowało swój cel, niszcząc czerwonych i zielonych obrońców, zanim zdolali odlecieć daleko z ukrytych baz.

Ale Sienar spostrzegł nagle, że coś się dzieje. Prostokątne wypukłości, które zauważyli już wcześniej, rzucały teraz dłuższe cienie w miarę, jak zbliżał się wieczór. Było to właściwie całkiem naturalne, ale cienie rosły szybciej niż sugerowałby to zmniejszający się kąt padania promieni słonecznych. Prostokąty jakby się unosiły.

Sienar ocenił, że najwyższy z nich wystawał już ze dwa kilometry nad dżunglę.

Przypominało mu to powoli się otwierające klapy awaryjne.

Nie wspomniął o tym Tarkinowi. Ta walka nie należała już do Raitha Sienara.

Tarkin mruknął coś pod nosem i przesunął kamery bardziej na południe. Tysiące przesyłanych obrazów rozłożyły się przed nim jak talia tasowanych kart.

- Proszę! - zawołał z nutą triumfu w głosie. - Mamy naszą zdobycz, Raith.

Sekotański statek spoczywał na skraju pokrytego gruzem pola, na szczycie jedynej góry wznoszącej się ponad warstwą chmur na południu. W pobliżu nie było widać nikogo. Zupełnie jakby statek został opuszczony.

Raith pochylił się naprzód, żeby się dokładniej przyjrzeć pojazdowi. Był większy niż te, o których słyszał, i całkiem inaczej wyglądał. Prawie zaczął się ślinić na ten widok.

- Zamierzasz go zniszczyć? - zapytał Tarkina z goryczą. - Żeby dopełnić mojej porażki?

Tarkin potrząsnął głową, zasmucony brakiem zaufania Sienara. Zwrócił się do kapitana:

- Odciągnijcie od góry wszystkie miny. I zajmijcie się wreszcie tym przeklętym YT-1150. Niech go gonią wszystkie miny z tego sektora.

Spojrzał na Sienara. Wyglądał jak krwiożercza bestia, gotowa rzucić się na ofiarę.

- Porwiemy ten statek i zawieziemy na Coruscant. Będę uczciwy i przyznam, że to twoja zasługa, Raith. Częściowa zasługa.

ROZDZIAŁ

53

Miny opadają poniżej poziomu chmur - zauważył Shappa. -Niedługo pozostaniemy tu bezpieczni. Wydaje mi się jednak, że oddalają się od góry Magistra.

Obi-Wan zgiął palce i nachylił się.

- Wciąż są tam, na górze?

Shappa z trudem przełknął ślinę i skinął głową.

- Wasz statek donosi, że są na zewnątrz, ale ich nie widzi. On jest jeszcze młody, Obi-Wanie. Nie rozumie, co się dzieje, tęskni za kontaktem z pilotem. Coś go jednak niepokoi. Nie wiem, co.

- Miny?

Shappa potrząsnął głową

- Nie sądzę.

- Jeśli tu nie jesteśmy bezpieczni... - zaryzykował Obi-Wan.

- Powinniśmy spróbować akcji ratunkowej - dokończył Shappa. - Córka Magistra była na pokładzie.

Shappa uniósł statek z ponurej i pustej równiny pełnej kamieni. Szybko znaleźli się nad chmurami.

- Nasze czujniki ostrzegą nas przed zbyt bliskimi minami, ale te statki nie są zaprojektowane, żeby stanowić broń w walce albo wykonywać manewry obronne. Zrobię, co będę mógł.

Obi-Wan skinął głową wciąż zginając i prostując palce. Wiedział, że Anakin żyje, ale czuł też, że stało się coś naprawdę ważnego. Jakiś problem na drodze chłopca rozwiązał się nagle, choć nie potrafił powiedzieć, co dobrego lub złego z tego wyniknie.

Powrót z załamaniem psychicznym chłopcem obdarzonym zdolnościami Anakina mógł być czymś znacznie gorszym niż znalezienie go martwym. Może to okrutne, ale Obi-Wan zgadzał się z tym. Qui-Gon też by się zgodził.

- Miny powietrzne koncentrują się na YT-1150 - zauważył Shappa, studiując po drodze ekrany. - Do tej pory udaje mu się uciec.

- Charza Kwinn jest jednym z najlepszych pilotów w całej galaktyce - mruknął Obi-Wan. - A jego statek jest uzbrojony., i to dobrze!

ROZDZIAŁ

54

Jabitha szła przez lądowisko. Chciała jak najszybciej znaleźć się obok dwóch kłęzących sylwetek. Ich walka, jeśli to w ogóle była walka, trwała tylko kilka sekund, a jednak jakimś cudem udało im się schować w cieniu potężnego głazu, gdzie zaledwie mogła rozróżnić kontury postaci. Zwolniła kroku, lękając się, co zastanie. Nie chciała zobaczyć lancy formierza w rękach Krwawego Rzeźbiarza, nie chciała też natknąć się na ciało zabitego chłopca. Bała się także innych rzeczy.

Czuła gęsią skórę na myśl o tym, co by się zdarzyło, gdyby tak młody chłopiec zwyciężył w walce niepokonanego przeciwnika.

- Anakin? - zawołała półgłosem. Była już tylko o kilka kroków od kamienia.

Z cienia wyłonił się Krwawy Rzeźbiarz. Trzystawowe ramiona zwiślały mu po bokach. Wydawał się zmęczony. W ostatnich promieniach słońca jego skóra lśniła głęboką złocistą czerwienią. Serce podeszło dziewczynie do gardła. Chłopak wciąż nie wychodził z cienia.

- Anakin! - zawołała jeszcze raz. Głos jej drżał coraz bardziej.

Ke Daiv podszedł bliżej i uniósł dłoń. Zbyt mocno się bała, by spojrzeć mu w twarz, ale kiedy już to zrobiła, krzyknęła ze zgrozy. Oczy Krwawego Rzeźnika zbieleły, skóra na głowie i szyi popękała. Krwawił obficie, a ciemnopomarańczowa krew spływała mu po ramionach. Chyba usiłował coś powiedzieć.

Jabitha cofnęła się. Z przejęcia straciła głos.

- Próbowałem to opanować odezwał się Anakin, wynurzając się z mroku. Purpurowy wir oświetlał ich, przepędzając ostatnie promienie zmierzchu. Krwawy Rzeźbiarz krok po kroku, zataczając się, kierował się na skraj lądowiska, byle dalej od sekotańskiego statku.

- Zatrzymaj go -jęknął Anakin. - Błagam, pomóż mi go zatrzymać.

Jabitha u boku chłopca odważyła się podejść do ich wspólnego wroga.

- Czy on umiera? - zapytała.

- Mam nadzieję, że nie - odparł jakby zawstydzony. - Na Moc, mam nadzieję, że nie.

- Chciał cię zabić - przypomniiała.

- To nie ma znaczenia - odrzekł. - Nie powinienem był tak tego uwolnić. Wszystko zrobiłem źle.

- Co uwolnić?

Potrząsnął głową próbując pozbyć się koszmaru. Chwycił Krwawego Rzeźbiarza za ramię. Ke Daiv obrócił się jak na karuzeli i upadł na kolana. Krew strużką spływała mu z ust.

Jabitha miała przed sobą młodzieńca o krótkich, jasnobrązowych włosach i wysokiego, złocistego Krwawego Rzeźbiarza, który być może umierał. Zmieszana, potrząsnęła głową w desperacji.

- Uratowałeś nas, Anakinie - szepnęła.

- Nie w ten sposób - odpowiedział. - On był na swój sposób dzielny. Na jedyny znany mu sposób, tak jak go nauczyli. Jest bardzo podobny do mnie, ale on nigdy nie miał Jedi do pomocy. Proszę, bądź silny - szepnął do Ke Daiva. - Nie umieraj.

Jabitha nie mogła już dłużej wytrzymać.

- Muszę znaleźć ojca - wymamrotała. Odwróciła się i pobiegła w stronę ruin.

Anakin chwycił ramię Ke Daiva i trzymał je mocno. Spojrzał w niebo. Upiorne hieroglify nakreślone przez miny błędy powoli, większość smug kierowała się teraz ku wschodowi, dryfując i rozpraszając się w wietrze nad chmurami.

Ke Daiv odezwał się w rodzinnym języku. Powtarzał coś znajomego, rytmicznie, jakąś pieśń czy poemat. Powoli przykleknął, podpierając się jedną ręką, wreszcie osunął się na ziemię.

Anakin stał obok niego i trzymał go za ramię, dopóki nie umarł. Wtedy wstał, okręcił się wokół własnej osi i wydał głośny okrzyk, słyszany tylko przez górę, niebios, pokruszone, zwęglone kamienie, rozpadające się ruiny pałacu Magistra.

ROZDZIAŁ

55

Anakin Skywalker zrozumiał teraz naturę Mocy - wielorakość tej natury - lepiej, niż mógłby się nauczyć przez całe wieki studiowania w świątyni. Teraz wiedział też, że jego próba jeszcze się nie skończyła. Koniec był bardzo daleko. Musiał zabrać Jabithę z góry i wrócić do Obi-Wana, i jeszcze pogodzić się z tym, co odkrył na swój temat.

To jednak musi poczekać. Jedi, na którym ciąży odpowiedzialność, powinien odsunąć na bok sprawy osobiste i wypełniać dalej swój obowiązek, choćby miało go to wiele kosztować.

Wejście do ruin było zupełnie ciemne. Pył przesypanywał się przez zdruzgotane kamienne nadproże. Otarł go z oczu i wszedł w mrok. Wyminął gruz i znalazł się w długim, ciemnym korytarzu.

Jego zmysły wyostrzyły się w cudowny sposób, wrażliwsze i bardziej przenikliwe niż kiedykolwiek. Pomimo mroku korytarz nie krył tajemnic. Był to po prostu hol w resztkach zburzonego pałacu. Na końcu korytarza ujrzał nagle samego siebie, skracającego w prawo.

A kiedy rzeczywiście dotarł do końca korytarza i skręcił w prawo, ujrzał kolejny korytarz, o wiele szerszy. Jego sklepienie podtrzymywało gruz i odłamki skalne, które przysypały ruinę pałacu. Korytarz prowadził do komnaty, w której Anakin i Obi-Wan po raz pierwszy spotkali Magistra.

Jabitha już tu była; dzieliła ich niewielka odległość. Podeszedł do niej pewnym krokiem, mimo że myśli kołowały mu w głowie bolesnym wirym.

Sklepienie zadrżało, wydając głos jak umierający bantha. Jęki i zgrzyt kamienia o kamień odbijały się echem od rozgałęziających się korytarzy. Gdzieś bardzo blisko rozległ się huk; runął strop, blokując drogę wyjścia. Po chwili wszystko się zapadło. Podmuch powietrza i pyłu owionął ich jak przedostatni oddech umierającego pałacu.

Anakin przekroczył pnącza, pełzające po spękanej podłodze. Nowe pnącza. Sekot wciąż tu był, wciąż wyszukiwał sobie drogę poprzez strzaskane szyby i pustkę. Wciąż było tu życie, prawie jak głos ich statku, cicho szemrzący w myśli, pogrążony w dramacie śmierci Ke Daiva.

Przez chwilę sądził, że widzi Vergere, jak lśniaca zjawia w oddali. Zaczął podejrzewać, że Jedi umarła na Zonamie, pozostawiając swojego ducha, by go prowadził.

Ale kiedy tam dotarł, obrazu już nie było. Anakin potrząsnął głową. Śnił, miał halucynacje, a może właśnie tracił zmysły.

Jego matka często miała sny na jawie, niepokojące, dziwne. Opowiadała mu o nich. Trochę się tego bał.

Dotarł do okrągłej komnaty z wysoko sklepionym sufitem. Światlik był teraz zgruchotany, przez dziurę po nim wpadał strumień gruzu. Jabitha klęczała z boku, przy sterce kamieni. Głowę miała spuszczoną.

Anakin podszedł bliżej. Dziewczyna podniosła głowę i oświetliła latarką jego twarz. Znalazła tę latarkę w gruzach, może nawet w ruinie własnego pokoju w pałacu.

Spomiędzy dwóch potężnych gładów sterczało ramię pozbawione ciała. Na jednym z palców błyszczał gruby stalowy pierścień, w którym osadzono w pięciokąt małe czerwone kamienie. Anakin rozpoznał jeden z sygnetów, które dawano kiedyś uczniom Jedi.

- Nie żyje - szepnęła Jabitha. - Tylko Magister mógł nosić ten pierścień. Oznaczał jego więź z Potęgą.

- Musimy odejść - szepnął łagodnie Anakin. Korytarze niosły echa jęków, zgrzytów i rumorów. Podłoga drżała pod ich stopami.

- Musiał umrzeć dawno temu, w czasie walki z Przybyszami z Dali - westchnęła. Omiotła pomieszczenie promieniem latarki, szukając śladu innych ludzi. Pokój był pusty. - Kto zatem przesyłał wiadomości?

- Nie wiem - odparł Anakin. Kątem oka znów pochwycił w bocznym korytarzu, tam, gdzie nie sięgała latarka Jabithy, ulotny promyk światła. Obrócił się i ujrzał pierzastą postać. Stała na szeroko rozstawionych nogach o kolanach zginających się odwrotnie niż u ludzi. Stopy miała ustawione jak do skoku, ale spoglądała na niego bez szczególnych uczuć.

Anakin nie czuł lęku. Pomagała mu obecność drugiej młodej osoby, przyjaciółki. Znów rozważył realną możliwość utraty zmysłów.

- To ja wysyłałem wiadomości - powiedziała postać.

Dziewczyna trwała skulona przy martwym ramieniu ojca. Anakin schylił się i dotknął jej głowy. Jabitha natychmiast usnęła i łagodnie opadła na bok. Podparł ją i upewnił się, że leży wygodnie, po czym wstał i stanął przed pierzastą wizją.

- Kim jesteś? - zapytał urywanym, drżącym głosem.

- Przyjacielem Vergere - powiedziała postać. - Myślę, że niektórzy nazywają mnie Sekot.

ROZDZIAŁ

56

Chcąc przygotować na gorze miejsce do lądowania statku wydobywczego, Tarkin polecił, aby cały rój robotów-myśliwców zajął się wszystkimi pozostałymi statkami w tym obszarze. Sam pozostawał na wysokiej orbicie z Sienarem u boku i z satysfakcją obserwował, jak myśliwce nękają przestarzały YT-1150 i drugi sekotański statek.

- Poświęćmy jeden, żeby zdobyć drugi - zdecydował.

- Uważajcie na większy statek Sekot - polecił Sienar, choć nie był wcale pewien, czy Tarkin posłucha głosu rozsądku. - On może być wyjątkowy.

- Sir - zwrócił uwagę kapitan - tracimy większość myśliwców w zamieszkałych rejonach doliny na północy. Ich siły obronne są bezlitosne i chyba niezniszczalne. I jeszcze...

- Cicho! - krzyknął Tarkin. - Myślę, że przeceniacie tych dzikusów. Gdy tylko skończymy naszą misję, załatwimy ich głównymi siłami. Koniec z delikatnością. Jeśli się nie poddadzą, zmieciemy wszystko z powierzchni planety.

ROZDZIAŁ

57

Anakin stał obok Jabithy, żeby nad nią czuwać. Powietrze w komnacie było ciężkie od kurzu, który przesączał się ze świetlika w suficie, przywiewany tu z innych korytarzy, gdy tylko gdzieś zapadło się kolejne sklepienie.

Pnącza na podłodze powoli kierowały się w stronę Jabithy i otaczały ją kręgiem. Sam Sekot chronił córkę swojego Magistra. Z powodów, których Anakin na razie nie potrafił rozszyfrować, postać przed nim traktowała dzieci Magistra jak własne siostry i braci.

- Jesteś uczniem Jedi - odezwała się zjawa. Anakin skinął głową.
- A twój mistrz jest gdzie indziej, walcząc z nowym najeźdźcą.
- Wyczuwam go tam - szepnął Anakin.

- Bardzo chciałbym poznać sekrety Jedi. Czego możesz mnie nauczyć?

- Kim jesteś? - spytał Anakin. Podobnie jak Obi-Wan, uważał teraz, że tajemnice bardzo go irytują.

- Sam nie wiem dokładnie. Nie jestem bardzo stary, ale moje wspomnienia sięgają miliardów obrotów planety. Jakaś część mnie pamięta czasy, kiedy wir na niebie dopiero się tworzył.

Anakin pomyślał o informacji od Vergere, zawartej w nasionach.

- Ty jesteś umysłem, który wyczuwałem? - zapytał. - Tym głosem, który słyszałem zza głosów nasion?

- To moje dzieci - odparło widmo. - To komórki mojego ciała.

- Naprawdę jesteś Sekot? - Nawet w tych okolicznościach Anakin nie potrafił ukryć zdumienia i zachwyty w głosie.

- Próbowałem być Magistrem, ale już nie mogę. Rozpaczam po nim. To on pierwszy mnie poznał. Magister miał właśnie ujawnić moją obecność swojemu ludowi, gdy zjawili się Przybysze z Dali. Nigdy nie widziałem istot podobnych do nich. Lud Magistra był łagodny.

- Możesz zobaczyć całą planetę? Co jeszcze dzieje się na zewnątrz?

- Widzę wszystko i wszędzie, gdzie sięgają moje pnącza. Tu jestem niemal ślepy. Pogrzebali mnie. Nigdy nie znalazłem takiego cierpienia. Magister kazał mi ich palić, tak jak oni palili nas. Pomogłem mu stworzyć broń, ale nie wiem, w co wierzyć.

- Dlaczego? - Anakin ukląkł obok Jabithy. Pnącza otoczyły ich, z szelestem przesuwając się po podłodze.

- Powiedział mi, że jestem Potęgą siłą życia. Myślał, że sięgam wszędzie. To nieprawda. Jestem tylko tutaj. Widział to, co chciał widzieć, mówił, co mam mu szeptać do ucha. Twierdził, że we wszechświecie nie ma zła, tylko dobro. Nie wiedziałem, jak bardzo się myli, dopóki nie umarł. Wtedy sięgnąłem do broni, którą stworzyłem, i zacząłem zabijać. Magister powiedziałby, że dobrze zrobiłem, ale ja wiedziałem, że tak nie jest.

Anakin westchnął boleśnie.

- To tak jak ja- szepnął.

- Zabijałem dalej, ale wciąż było za mało. To Vergere odciągnęła od nas Przybyszów z Dali. Nie zabiła ich, tylko przekonała. Chciałem, żeby została, ale tutaj są tylko drobne jej cząstki. Wiadomość dla ciebie i twojego mistrza.

- Czy wiedziała, że Magister nie żyje?

- Nikt nie wiedział, aż do tej chwili.

Anakin wyciągnął rękę, by odsunąć natrętne pnącze. Zjawa wydawała się urażona tym gestem.

- Dlaczego mi nie ufasz? Chcę jej bronić.

- Nie chodzi o brak zaufania. Myślę po prostu, że obaj nie bardzo wiemy, co robimy. Musimy wynieść ją na zewnątrz i czekać, aż przybędzie mój mistrz.

- To ty jesteś mi najbliższy - rzekła postać. - Ludzie Magistra uczynili mnie swoim sługą, a ty także byłeś niewolnikiem. Robiłem to, co mi kazali. Ty robiłeś to, co kazał ci robić twój właściciel. Tak jak ja. Próbowałem upodobnić się do innych, ale mi się nie udało. Mój umysł składa się z tylu różnych części, rozrzuconych prawie po całym świecie. Twój umysł też jest niepodobny do innych. Nigdy nie miałem prawdziwych rodziców, a twoi rodzice...

- Co cię obudziło? - wymamrotał zmieszany chłopiec - Po co się nagle pojawiłeś po tylu miliardach lat?

- Przybyłem, aby porozumieć się z ludem Magistra. Zebrałem się, sięgnąłem do nich i byłem...

W głębi komnaty zawalił się z hukiem wielki kawał dachu, zasypując ich deszczem odłamków kamienia.

- Musimy uciekać - zawołał Anakin. - Możesz mi pomóc?

Zjawa uniosła się z wirującego pyłu, lśniąc blado w ciemności.

- Podtrzymam korytarze. Ty wynieś ją na zewnątrz.

Pnącza wyrastały z pni, które przepychały się teraz przez pęknięcia w podłodze. Rozpostarły się przed Anakinem, tworząc nad jego głową czerwone, zielone i lśniące czarne łuki. Podniósł Jabithę i przerzucił sobie przez ramię. Bezwładne ciało dziewczyny nie było lekkim brzemieniem. Prawie żałował, że ją uspił, ale w tamtej chwili wydawało mu się to najlepszym możliwym wyjściem.

Ocknęła się, zaledwie minęli ostatnią bramę. Zaczęła się szarpać, żeby stanąć na nogi.

- Gdzie jesteśmy? - krzyknęła. Popatrzyła ze zdumieniem na wir na niebie i baldachim gwiazd ponad nim.

Nad lądowiskiem przesunął się cień. Zakrył wir na niebie i spadł na ich sekotański statek, okrywając go jak drapieżca, który atakuje swoją ofiarę. Nie był to drugi statek Sekot i nie był to „Kwiat Morza Gwiazd”. Anakin słyszał wycie uderzających o skałę silników repulsorowych.

Była to jednostka do rozstawiania min powietrznych, w tej chwili odgrywająca rolę ładownika.

Z jednej strony kadłuba rozbłysnął nagle promień światła. Z rampy w krótkich, zwartych szeregach zbiegli uzbrojeni żołnierze, otaczając kręgiem Anakina i Jabithę. Drugi oddział stanął nad ciałem Krwawego Rzeźbiarza.

Z rampy schodziło dwóch oficerów. Szli spokojnie, dostojnie, jakby mieli do dyspozycji cały czas wszechświata. Anakin pomyślał, że mogliby być braćmi, tak bardzo byli do siebie podobni, choć nosili różne mundury. Obaj szczupli, nosili się z wielką pewnością siebie i jeszcze większą dumą. Obaj wyglądali na arogantów. Instynktem, który rozwinął w sobie na długo przedtem, zanim został Jedi, Anakin poznał, że są niebezpieczni. Bardzo niebezpieczni. Od razu zwrócili się w kierunku chłopca i dziewczyny.

W normalnych warunkach żaden z nich nie zastanawiałby się nad losem dwojga dzieci. Wyższy z nich - wyższy zaledwie o centymetr lub dwa - podniósł rękę i szepnął temu drugiemu coś do ucha.

- On - powiedział ten niższy, władcym gestem wskazując na Anakina. - Dziewczynę zostawić.

Anakin próbował zostać z Jabithą. Wyciągnęła do niego ręce. Ich palce na krótką chwilę splotyły się ze sobą dopóki potężny oficer w mundurze Specjalnych Sił Taktycznych Republiki nie odciągnął go na bok. Przez sekundę wydawało mu się, że jego gniew wybuchnie z nową siłą ale stwierdził, że tamci nie mają zamiaru skrzywdzić Jabithy, a zabić ich wszystkich przecież nie mógł.

A nawet gdyby mógł, nie zrobiłby tego.

- Nazywam się Tarkin - zmanierowanym tonem przedstawił się niższy z oficerów. A ty jesteś chłopcem Jedi, który zbiera stare roboty, prawda? Jesteś teraz pilotem tego statku?

Anakin nie odpowiedział. Tarkin zareagował na jego milczenie uśmiechem. Poklepał go po głowie i mruknął:

- Ucz się manier, mały.

Dwóch żołnierzy powlokło opierającego się chłopca do mrocznego wnętrza statku.

- Co z Ke Daivem? - zapytał Raith Sienar.

- Kłeska od samego początku - rzucił Tarkin. - Niech tu gnije.

Jabitha wołała Anakina, ale rampa zamknęła się już z sykiem i metalicznym brzękiem. Chłopiec poczuł, że statek gwałtownie wznosi się i przyspiesza. Tarkin i Sienar zaprowadzili go do ładowni, gdzie wciągnięto i ustawiono sekotański statek, uwięziony w mocnej uprzęży.

- Zostań ze swoim statkiem, chłopcze - polecił Tarkin. - Utrzymuj go przy życiu. Jesteś dla nas bardzo ważny. Świątynia Jedi oczekuje twojego szybkiego powrotu.

ROZDZIAŁ

58

- Trzymają miny powietrzne z dala od tego statku - poinformował Shappę Obi-Wan. Lecieli zakosami w górę i w dół górskich kotlin poniżej pokrywy chmur. - Na małą odległość nikt im nie ufa. Mogą zaatakować także swoich.

Trzy roboty-myśliwce pędziły za nimi z uporem godnym lepszej sprawy. Statek Shappy był zbyt szybki i zwrotny, by dać się złapać.

- Chcą zabrać córkę Magistra! - ponuro oznajmił Shappa. Potrząsnął głową i jeszcze głębiej zanurzył ramię w konsoli, która teraz sięgała mu prawie do łokcia.

- Nie sądzę. - Obi-Wan zmarszczył czoło, koncentrując się intensywnie. Przyklnął oczy i sięgnął do przodu, do różnych wersji przyszłości, do węzła, który nagle zaczął się błyskawicznie rozplątywać, do nici losu wirujących we wszystkich możliwych kierunkach jak kosmiczny wir wypełniający niebo nad ich głowami.

- Masz rację - odparł Shappa i gwałtownie poderwał statek, przeskakując przez krawędź lądowiska. Zatoczył koło. - Zostawili ją, żyje!

- Podleć i zabierz ją- polecił Obi-Wan. - Ja tu zostanę.

- Myśliwce cię zabiją!

- Może - mruknął Obi-Wan. - Ale nie możesz zrobić dla mnie już nic więcej, a ja nie mogę nic zrobić dla ciebie.

Shappa otworzył i zamknął usta, usiłując wymyślić właściwą odpowiedź, ale tylko skinął głową i skupił się na sprowadzeniu statku w dół.

Nie było czasu na pożegnania. W jednej chwili rycerz Jedi stał obok niego, w drugiej już go nie było. Zniknął jak obłok dymu na wietrze, kiedy tylko otworzył się właz.

Następną rzeczą, jaka dotarła do Shappy, był widok krzyczącej i wierzgającej córki Magistra na podłodze statku.

- Ruszaj! - krzyknął Obi-Wan i uderzył dłonią w kadłub.

Shappie nie trzeba było nawet takiej zachęty. Myśliwce nosiły się już nad krawędzią lądowiska. Pchnął statek w górę. Jabitha przytrzymała się kurczowo, czego się dało.

Obi-Wan Kenobi zdjął krępujące swobodę ruchów bandaże i wyciągnął świetlny miecz. Ostrze z gniewnym pomrukiem obudziło się do zielonego życia. Niegdyś ta broń należała do Qui-Gona. Kiedy trzymał ją teraz w dłoniach, czuł w sobie siłę dwóch Jedi.

Potrzebował każdego grama nadziei; to uczucie dodawało mu siły, pomagało się skupić i czerpać otuchę ze wspomnienia o dawnym mistrzu.

Moc nie miała nic przeciwko temu. Qui-Gon miał z nią specjalne układy i dobrze wyszkolił swojego ucznia.

- No, chodźcie - mruknął Obi-Wan, wielkimi krokami przemierzając lądowisko. Dwa myśliwce pozostały, najwyraźniej rozglądając się za jakąś ofiarą na szczycie góry. Trzeci ruszył w pogoń za statkiem Shappy.

- No, chodźcie! - powtórzył mistrz, tym razem głośniejszym głosem.

Podszedł do ciała Krwawego Rzeźbiarza, które leżało jak kupa zmiętych szmat, otoczone śladami butów. Coś w tym widoku dziwnie go zaniepokoiło, ale nie miał czasu na zastanowienie.

Gdy tylko wstał z klęczek, spadł na niego z nieba myśliwiec, strzałami z działa laserowego oświetlając ruiny. Obi-Wan zdołał odbić dwa strzały ostrzem świetlnego miecza, ale ich siła o mało nie wyrwała mu broni z ręki. Trzeci strzał posłał smugę pulsującego światła w bok i uderzył w ciało Krwawego Rzeźbiarza.

Ke Daivowi zapewniono w ten sposób rytualny obrządek kremacji.

Do pierwszego myśliwca dołączył drugi i oba pomknęły łukiem w niebo.

I nagle, jakby znikąd, wyłaniając się zza zasłony gwiazd, nad lądowiskiem, pojawił się z rykiem silników wysłużony YT-1150 Charzy Kwinna. Jego działka plunęły szybkim ogniem, który roztrzaskała oba myśliwce, zanim zdążyły pomyśleć o tym, by zawrócić. Ich płonące szczątki z hukiem uderzyły o zbocze góry, dając początek potężnej lawinie, która zasypała ostatnie fragmenty ruin pałacu.

Na lądowisko spadły ogromne glazy, bardziej bezlitosne i okrutne niż falanga wojowników.

Obi-Wan podniósł miecz nad głowę i pomachał nim jak sygnalizatorem.

„Kwiat Morza Gwiazd” zrobił zwrot przez rufę i ślizgiem zszedł w dół jak spadająca liść, zatrzymując się o parę metrów od dymiącego, wciąż ruchomego zbocza. Rampa opadła jak szczeka. Obi-Wan wywinął kozła w powietrzu i wylądował na niej w tej samej chwili, gdy ostatnie kawałki lądowiska zniknęły pod lawiną. Statek błyskawicznie uniósł się w niebo.

Obi-Wan z chłupotem przebiegł przez mokry korytarz do kabiny pilota. Jadalni krewni wypryskiwali mu spod nóg, popiskując z podniecenia.

- Mają twojego padawana - zaszeleścił Charza Kwinn, wyginając się na lewą stronę, by spojrzeć na Jedi. - Siadaj i zapnij pasy.

ROZDZIAŁ

59

Anakin czuł się tak, jakby został połknięty żywcem. Przyłgnął do swojego statku, a dłoń oparta na kadłubie czuła jego drzenie. Skulony chłopiec próbował uspokoić przyspieszony oddech i wymyślić jakiś plan, żeby odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

Nie potrafił otrząsnąć się ze wspomnienia śmierci Krwawego Rzeźbiarza. Strzelanie z miotacza do robotów to żadne przygotowanie do pierwszego zabójstwa własnymi rękami... ani do sposobu, w jaki je popełnił.

Jęknął boleśnie. Czterej strażnicy w ładowni obejrzeni się zaniepokojeni, po czym wzruszyli ramionami i odwrócili wzrok. To tylko przerażony dzieciak.

Nagle u jego boku pojawiła się Jabitha. Anakin zamrugał ze zdumienia. Obraz zamigotał i miejsce Jabithy zajęła Vergere, a potem Magister. Anakin wstał i oparł się plecami o dziób statku. Nie był pewien, ile jeszcze iluzji jest w stanie znieść.

- Próbuja zniszczyć osiedla - powiedział Sekot, a jego wizerunek zdawał się klęczeć obok chłopca. - Nie mogę na to pozwolić ani chwili dłużej.

- Co mam zrobić? - zapytał Anakin ścisłym głosem.

- Magister przygotował mnie na to, ale nigdy nie zdążyliśmy... - Sekotowi zdawało się brakować słów - ćwiczyc. Nie mieliśmy żadnych szkoleń i nie próbowaliśmy wszystkiego naraz.

- Czego nie próbowaliście? Setko spojrział przed siebie.

- Silników, rdzeni hipernapędu...

- Zamierzacie uciec w wielkich statkach?

- Zrobimy to, co trzeba, żeby przeżyć. Czy wiesz, gdzie jesteś?

- Na statku do rozstawiania min. Jestem więźniem - odparł Anakin.

- Jesteś na orbicie wokół mnie. Ten statek należy do floty, którą może wkrótce będą musiał zniszczyć. Cierpiałbym, gdybym musiał skrzywdzić ciebie.

- Możesz to zrobić? Możesz rozwalić te wszystkie statki?

- Chyba tak. Staram się nie niszczyć zbyt wiele naraz, ale Magister nigdy nie miał czasu, żeby mnie czegokolwiek nauczyć. Nie wiem, do czego będziemy zdolni, jeśli zacznę działać wspólnie z osadnikami.

- Zabijałeś Przybyszy z Dali?
 - Musiałem - odparł Sekot.
 - Czy to ci sprawia jakąś różnicę? - Nie wiedzieć czemu Anakin czuł, że to ważne.
 - Nie wiem. Każde doświadczenie jest dla mnie nowe. Nie znam siebie zbyt dobrze. W tej chwili czuję tylko, ile śmierci tkwi w rdzeniu mojej istoty, jak walczą ze sobą jak utrzymują równowagę przychodzenia i odchodzenia, bytu i końca. Na całej mojej powierzchni w każdej sekundzie coś się rodzi i coś umiera. Nie wiem, czy mi z tym źle. Czy ty czujesz, kiedy części twojego ciała zabijają atakujące je organizmy?

- Nie - odrzekł chłopak. Niektórzy mistrzowie uświadamiali sobie istnienie najmniejszych nawet żywych istot wewnątrz swych ciał. Padawanów rzadko uczono takich umiejętności, ponieważ utrudniały koncentrację.

Jeden ze strażników przyszedł sprawdzić, co się dzieje.

- Z kim rozmawiasz? zapytał, zezując na opleciony siecią statek.

- Z planetą- odparł Anakin. - Szykuje się, żeby was postrzącać z firmamentu.

Strażnik wyszczerzył zęby.

- To przecież zapadła dziura, dżungla - odrzekł. - Nieźle walczą muszę to przyznać, ale nie ma obawy, poradzimy sobie.

Anakin zacisnął wargi. Strażnik nie mógł znieść spojrzenia chłopca. Odwrócił się i poszedł na swoje miejsce, potrząsając głową. Sekot powrócił.

- Chciałbym, żeby istniał inny sposób. Nie życzę wam źle.

- Jakoś przecież musicie się bronić.

- Gdyby choć było więcej czasu.

Anakin zadygotał.

- Ja też bym chciał - szepnął. Najwyższy czas uspokoić wewnętrzne drżenie i przygotować się na honorową śmierć, godną ucznia Jedi.

ROZDZIAŁ

60

Tarkin o mało nie pękł z dumy.

- Myśleli, że uda im się ukryć przed nami wszystkie tajemnice

- tłumaczył Sienarowi, gdy wysiadali z turbowindy na mostku statku-rozstawiacza min. Obdarzył pełnym wzgardy spojrzeniem kapitana statku, rozczochranego, starszego faceta o włosach barwy brudnej piany, który natychmiast ukrył się w jakimś zakamarku, żeby zejść z oczu komandorowi floty.

- Siły Republiki potrzebują manikiuru i porządnego fryzjera - zwierzył się Tarkin, okazując dobry humor. - I to ja się tym zajmę, Raith, jak tylko załatwimy tę sprawę.

- Z radością ci pomogę - głuchym głosem odparł Raith. Tarkin zachichotał.

- Mój sukces rzuci blask na wszystkich, którzy mnie otaczają

- rzekł. - Nawet na tego pryszczę, który się ukrywa przed zwierzchnikami. Nie mogę się doczekać powrotu na „Einema”. Chciałbym już dokończyć dzieło.

- Może zostawimy im tylko to ostrzeżenie... do rozważenia w przyszłości. - niechętnie zaproponował Sienar. - Wątpię, żeby gdzieś uciekli.

Tarkin nie odpowiedział. Przez szerokie panoramiczne okno stanowiska dowódcy obserwował pokrytą chmurami półkulę południową. Powyżej równika wciąż wrzała bitwa między siłami obronnymi planety a robotami-myśliwcami. Rozbłyski i smugi wystrzałów laserowych i płonącej dżungli rozjaśniały nocne niebo planety ponad szaropomarańczowym pasmem równika.

Nie wydawał się ucieszony tym widokiem.

- Wciąż się trzyma - mruknął.

- Przecież systematycznie niszczysz ich obronę - odparł spokojnie Sienar. W ciemności zabłysły nagle dziwne światła i Sienar, mniej arogancki i pewny siebie od Tarkina, przyjrzał im się z uwagą. Pionowe prostopadłościanny długości wielu kilometrów otoczone były świetlistą mgiełką błyskawic. W atmosferze zachodziła jakaś znacząca zmiana.

Wątpliwe, żeby jej autorstwo można było przypisać myśliwcom.

- Ile jeszcze potrwa, zanim wylądujemy na „Einemie”? - zapytał Tarkin kapitana, który wciąż ukrywał się w cieniu.

- Piętnaście minut - wychrypiął kapitan.

- Co za antyk - mruknął Tarkin z odrazą. - Czas na nowe i czas na młodość. Chodźmy przepyttać chłopca, zanim dolecimy.

ROZDZIAŁ

61

- Nie wiem, w jakim jest stanie - szepnął Obi-Wan do Charzy Kwinn, gdy „Kwiat Morza Gwiazd” wznosił się ponad atmosferę. Niebo pociemniało i szum powietrza na zewnątrz wyraźnie przycichł.

- Wydaje mi się, że skurczył się w sobie, ukrył wszelkie ślady życia głęboko w środku.

- Ale wciąż żyje, prawda? Jesteś tego pewien?

- Został pojmany wraz ze statkiem. Muszą pozostawić go przy życiu, jeśli chcą utrzymać przy życiu również statek.

- Nie chce mi się wierzyć, by Republika mogła uczynić coś takiego - zaszeleścił Charza Kwinn. Jadalni krewni usadowili się rządkiem na tablicy rozdzielczej, z oczkami wysuniętymi na całą długość, czujni i gotowi do działania.

- Podejrzewam, że przy okazji wcielania do armii nastąpiło pewne zamieszanie - rzekł Obi-Wan. - Jakież ambitne i pozbawione skrupułów jednostki prawdopodobnie próbują to wykorzystać.

- Przysięgałeś chronić Republikę - rzekł Charza. - Możesz walczyć przeciwko nim?

- Przysięgałem chronić mojego padawana - odparł Obi-Wan. To prawo było starsze, sięgało głębszych korzeni, ale pytanie Charzy było trafne. Co on, Obi-Wan, właściwie wie na temat decyzji, jakie zostały podjęte na Coruscant?

Charza jakby czytał w jego myślach.

- Nigdy nie pozwoliliby zniszczyć niewinnego, bezbronnego świata - powiedział. - Bardziej przypomina mi to ostatnie zachowanie Federacji Handlowej. A skoro wiedzą, że chłopak jest Jedi...

- To nie ma znaczenia - zaproponował Obi-Wan - Zostaliśmy nielegalnie zaatakowani. Musimy ratować chłopca. A senat niech to sobie sam rozstrzyga po naszym powrocie.

- Już wykreśliłem kurs - Charza wyświetlił holograficzny obraz planety pokazując wytyczony kurs i punkt spotkania. - Ten statek będzie najbardziej odsłonięty tuż przed wejściem do doku. Wielkie, stare statki flagowe mają kiepskie możliwości obserwacji z góry i z dołu. Wsunę się w dolny ślepy klin, walnę w statek minowy w miejscu, gdzie

jego kadłub jest najcieńszy, a potem wypróbuję swoją nową zabawkę. - Na znak rozbawienia Charza wydał z siebie wysoki dźwięk, coś pośredniego między chlupotem a szelestem.

- Co to za zabawka? - zainteresował się Obi-Wan.

- Doskonała na piratów, szczerze mówiąc - odparł Charza. - Muszę coś sobie zaplanować na przyszłość, na wypadek, gdyby Jedi chcieli zrezygnować z moich usług.

Obi-Wan skrzyżował ramiona na piersi. Wciąż jeszcze czuł chłód, jaki przeniknął go na widok ciała Krwawego Rzeźbiarza i sposobu, w jaki zginął. Anakin po raz pierwszy zabił żywą istotę w bezpośredniej walce, pomyślał. Wiem, że to była samoobrona. Nie użył nawet miecza świetlnego w walce przeciwko znacznie silniejszemu wrogowi. Dlaczego więc mam wrażenie, że stało się coś strasznego?

ROZDZIAŁ

62

- Jestem naprawdę pod wrażeniem - powiedział Tarkin do Anakina Skywalker'a, gdy sekotański statek przeniesiono wciągnikiem nad drzwi doku, w tej chwili służące jako podłoga. Regały z pustymi uchwytami na miny brzęczały cicho w rytm wibracji starego statku. - Sam to zrobiłeś?

Anakin stał ze spuszczoną głową, bez ruchu i bez słowa. Wyczuwał umysł statku: spokojny, wyczekujący, cichy. Jak jego własny.

Raith Sienar wspiął się na uprząż podtrzymującą statek i przykląkł, aby zbadać kadłub za pomocą specjalnego przyrządu.

- Bardzo mocny - zawyrokował.

Ten wyższy, Sienar, jest inteligentniejszy, myślał Anakin. Niższy jest za to bardziej pomysłowy i silniejszy. I bezwzględny jak mało kto. Znów przemawiał ten starszy głos. Anakin zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji, bez szans na pomoc z zewnątrz, będzie musiał uważnie słuchać tego głosu, aby w ogóle przetrwać. A przetrwać musi za wszelką cenę. W jego życiu pozostało jeszcze tyle niedokończonych spraw, nawet jeśli jego kariera jako Jedi dobiegła końca.

Nie wierzył, że wróci do świątyni.

Nie wierz w nic, co mówią. Dla nich jesteś tylko częścią statku.

- Czy te statki są tak szczególne, jak słyszałem? - zapytał Tarkin konwersacyjnym tonem.

- Nie miałem wiele czasu, żeby go wypróbować - odparł Anakin. - Zaatakowaliście planetę, a nas o mało nie pozabijaliście. -

- Przykro mi, że musiałeś przez to przejść - gładko odparł Tarkin, wpatrując się w chłopca. - Strategia jest nieraz trudnym partnerem, każdy Jedi powinien to zrozumieć. Chronimy ważniejsze interesy, czasem kosztem mniej ważnych.

- Zonama Sekot nie zrobiła wam krzywdy - odparł chłopiec, zdając sobie nagłe sprawę, że ignoruje ten starszy, mądrzejszy głos.

- Lekceważy nasz autorytet, a czasy są niespokojne - rzekł Tarkin. Chłopiec wydał mu się interesujący. Bardzo silny charakter, ponad wiek - Czy to ty zabiłeś Krwawego Rzeźbiarza?

- On się nazywał Ke Daiv - odpowiedział chłopiec. - Zabiłem go, kiedy zaczaj grozić Jabicie.

- Rozumiem. Co za niezręczna interpretacja naszych rozkazów. Cóż, wiemy już, że temu gatunkowi nie można ufać. Wolę pracować z ludźmi, a ty?

Anakin nie odpowiedział.

- Opowiedz mi o statku. Pozwolimy ci nim latać i oczywiście dowodzić - kiedy wrócimy na Coruscant.

- Gdybyście im zapłacili, mogli dla was zrobić więcej takich i...

- Dość - przerwał zniecierpliwiony Tarkin.

Sienar z rękami na biodrach stał na szczycie sekotańskiego statku i przysłuchiwał się rozmowie. Anakin spojrział na niego. Raith skinął głową i uśmiechnął się, jakby całkowicie się z nim zgadzał.

- Wpuścisz mnie na pokład? - zapytał Tarkin, odzyskując spokój. Poglądził krawędź prawej burty i obszedł statek dookoła.

Anakin nie ruszył się z miejsca, tylko spuścił głowę.

Tarkin obejrzał się przez ramię i zmarszczył brwi, widząc spokojne skupienie chłopca. Przypomniał sobie stan ciała Krwawego Rzeźbiarza i rzucił szybkie, rozkazujące spojrzenie własnej straży przybocznej. Rozstawieni wokół doku żołnierze położyli ręce na broni.

- Pytam jeszcze raz, czy... - zaczął Tarkin.

Anakin nagle podniósł głowę i spojrział mu prosto w oczy.

- Niech pan robi, co chce - rzekł dobitnie. - Nie pomogę panu.

Znów ten upór, ten gniew, który wydawał się kompletnie nielogiczny. Starsze, mądrzejsze „ja” w jego wnętrzu kipiało wściekłością

Czuł, że zbliża się następna część próby. Daleko jeszcze do końca. Brak nadziei był słabością której należało się pozbyć. Jeśli jednak zaczniesz współpracować z tymi ludźmi, jeśli okaże im choćby cień pokory, jeśli się podda, wówczas naprawdę wszystko będzie stracone, czy z mądrzejszym „ja”, czy bez niego.

Sienar wzruszył ramionami i po kadłubie przeszedł do górnego włazu.

- Musimy poczekać, aż znajdziemy się na „Einemie” - z westchnieniem zauważył Tarkin. - Może chłopak zmądrzeje.

Roboty ładownicze toczyły się po pokładzie, przygotowując wszystko do dokończenia. Piszcząc, kręciły się wokół nóg Anakina, usiłując zmusić go do zmiany miejsca. Wkrótce otworzą się drzwi do ładowni.

- Chodź. - Tarkin wziął chłopca za ramię i poczuł palący ból. Szarpnął dłoń i zaczął machać nią w powietrzu jak po oparzeniu. Naprawdę imponujący chłopak! - pomyślał. Z trudem powstrzymał się od trzepnięcia go w twarz.

Anakin spojrział na Tarkina, któremu wydawało się, że oczy chłopca gdzieś odpływają. Poczuł dziwny ucisk w piersi, potem w żołądku...

W tej samej chwili na statku rozdzwoniły się alarmy. Sienar oderwał wzrok od Tarkina i od chłopca. Zmrużył oczy przed pulsującym czerwonym światłem i wyciem syren.

Anakin opanował ogarniający go gniew. O mało znów tego nie zrobiłem! - pomyślał.

Coś ciężkiego z brzękiem uderzyło w drzwi ładowni i statek zadrżał. Z miejsca styku dwóch skrzydeł drzwi wytrysnęły gorące rozpryski metalu, wir gazów i dymu spiralą wzniosł się pomiędzy regały.

Gwardia przyboczna odprowadziła Tarkina z ładowni. Sienar zeskoczył ze statku, rozejrzał się nerwowo, ale gdy poczuł, że ciśnienie powietrza spada, rzucił się w ślad za strażnikami, nawet nie oglądając się na Anakina.

Pozostali strażnicy błyskawicznie nasunęli na twarz maski tlenowe, przypadli do podłogi i wyciągnęli miotacze.

Z wiru dymu i oparów metalu, przez metrowej średnicy dziurę w podłodze wyłoniła się zakapturzona postać. Ścisnęła w dłoni jaskrawozielony miecz świetlny. Przybysz jeszcze zdążył stanąć na tle drzwi, kiedy otoczyła go sieć promieni laserów. Spokojnym, płynnym ruchem miecz świetlny odbijał każdy syczący promień po kolei.

Anakin wrzasnął z radości i natychmiast poczuł gorącą falę wstydu. Zwątpił w swojego mistrza, w te wszystkie cuda, których potrafi dokonać Jedi głęboko zaangażowany w swoje dzieło. Było mu naprawdę wstyd.

Nie miał jednak czasu do stracenia. Obi-Wan stał na osi strzału co najmniej tuzina działek laserowych, a promienie ze świstem odbijały się od metalowych ścian doku.

Chłopiec stanął obok statku, zgął kolana i wyskoczył na trzy metry w górę, żeby znaleźć się na szczycie kadłuba. Właz otworzył się, zaledwie jego buty dotknęły powłoki. Statek w jednej chwili włączył silniki. Podgrzany strumień powietrza przeleciał przez dok.

Obi-Wan, do tej chwili wymachując ostrzem z niezwykłą zręcznością i oślepiającą szybkością, stanął na kłapie doku i pomaszerował w stronę statku. Wokół niego sywały się kawałki regałów, pociętych chybionymi i odbitymi strzałami laserów. Dziewięciu strażników wyrwało się z szeregów i rzuciło do ucieczki.

- Anakin? - krzyknął Obi-Wan. - Odlatujemy i to już! Przygotuj statek!

Ryki alarmu w doku stawały się coraz bardziej przeraźliwe. Ostatni trzech strażnicy stwierdzili widocznie, że nie działają już nic więcej, bo uciekli przez jedyny otwarty właz, strzelając po drodze prawie na oślep. Obi-Wan skoczył na kadłub statku i umiejętnie przeciął uprząż mieczem świetlnym: najpierw trzy liny z jednej strony, potem trzy z drugiej, a wreszcie dwa zręczne cięcia, które dokończyły dzieła. Po przecięciu trzech ostatnich kabli statek unosił się już tylko na własnych silnikach.

- Prawie nie mamy paliwa! - zawołał Anakin.

Obi-Wan rozejrzał się pomiędzy dymiącymi zgłiszczami regałów i spostrzegł węże dystrybutorów ciasno zwinięte pod grodzią. Ich dysze pozwalały na podawanie paliwa zarówno myśliwcom, jak i statkom rozstawiającym miny. I jedno, i drugie używały wysokootanowego paliwa, które nadawało się również do sekotańskiego statku.

- Trzy minuty! krzyknął Obi-Wan i wspiał się na niebezpiecznie chwiejny regał, żeby ściągnąć na dół jeden z węży. Anakin podniósł statek jeszcze o metr, żeby ułatwić zadanie mistrzowi.

Obi-Wan nie powiedział swojemu padawanowi, że właśnie w tej chwili „Kwiat Morza Gwiazd” rozkładał działające z opóźnieniem ładunki wokół drzwi doku statku, który ich więził.

Do wybuchu zostało im dokładnie trzy minuty... i kilka sekund.

ROZDZIAŁ

63

Tarkin kipiał zimną wściekłością. Twarz miał prawie fioletową gdy wcisnął się obok Sienara do kapsuły ratowniczej statku. Kapitan dokładnie zamknął właz i uszczelnił go. Zrezygnowany kiwał głową.

- Dwie minuty do dokowania! - zgrzytał zębami Tarkin, waląc pięścią w cienką grodz. - Byliśmy tak blisko!

- Ostrożnie - ostrzegł Sienar. - Te wnętrza nie są zbyt trwałe.

Tarkin zamarł, dygocząc z gniewu - i spojrzął na Sienara ponurym wzrokiem.

- No wiesz, najtańsza oferta. Zostały zaprojektowane pod kątem lekkości, a nie wytrzymałości - dodał Raith.

Tarkin chwycił komlink i wyszarpał go ze ściany. Był połączony bezpośrednio z „Einemem”

- Kapitanie, cokolwiek się dzieje, zniszcz ten cholerny statek towarowy i wszystko, co jeszcze pozostało na planecie!

ROZDZIAŁ

64

Charza Kwinn oddalał się „Kwiatem Morza Gwiazd” od statku-rozstawiacza min. Wciągnął tunel transferowy. Zostawił w dziurze niewielką zatyczkę, a do tej zatyczki przymocował ładunek, który wystarczy, aby zniszczyć całe drzwi doku.

Kępą bystrych oczu obserwował ciągle zmieniającą się sieć ognia osłonowego z „Kupca Einema z Rubieży”. Statek-rozstawiacz dryfował niebezpiecznie blisko centrum dowodzenia. Z jego luku wyprysnęła nagle kapsuła ratunkowa, która została błyskawicznie przejęta przez promień ściągający z „Einema”.

Obi-Wan i Anakin mieli już tylko kilka sekund do wybuchu ładunku, a Charza musiał zadbać także o własną skórę.

ROZDZIAŁ

65

Obi-Wan kopniakiem odrzucił na bok wąż podający paliwo, uchylając się przed fontanną żrącej cieczy. Nawa pełna była skłębionego dymu. Grawitacja zaczynała zawodzić: otwór zrobiony przez Charze musiał uszkodzić kable sieciowe w drzwiach. Kawalki gruzu i metalu unosiły się z podłogi i wędrowały w powietrzu.

Jedi wskoczył do wnętrza statku i starannie zamknął za sobą właz. Anakin zakoczył statkiem w tył i w przód, żeby pozbyć się szczątków regałów. Mocno uściśnął dłoń mistrza, gdy ten sadowił się w swoim fotelu.

- Gotów? - zapytał Obi-Wan.

Anakin nigdy w życiu nie był bardziej gotów do ucieczki.

- Trzymaj się - ostrzegł mistrz.

Ładunek eksplodował. Wyrwał z futryny drzwi w czasie krótszym od sekundy. Regały, dym i inne szczątki wystrzeliły w przestrzeń. Statek-rozstawiacz z dodatkowym impetem spowodowanym przez eksplozję grzmotnął w kadłub „Einema”. Tarcze zdołały wprawdzie ochronić statek dowodzenia przed uderzeniem, ale mniejsza jednostka nie miała żadnych szans. Starsza i zbudowana bez troski o trwałość pękła wzdłuż poszycia jak jajko, a całe paliwo, wraz z trzema uszkodzonymi minami, które pozostały na regałach, eksplodowało z oślepiającym błyskiem.

Fala uderzeniowa przepchnęła sekotański statek przez wyrwę w drzwiach. Kawalek rurki przebił poszycie i w umyśle Anakina zabrzmiał jęk bólu, jaki wydał statek, zanim zasklepił ranę. Pilot jeszcze nie przejął kontroli nad pojazdem. Turbulencje były zbyt silne. Odczuwał kolejne uszkodzenie, w końcu rozdarcie poszycia na rufie. Statek znowu zasklepił rany, ale bardzo cierpiał.

Wreszcie jaskrawe światło eksplozji przygasło. Obi-Wan zobaczył kulę plazmy w miejscu, gdzie przedtem był rozstawiacz. Koziółkując, oddalali się od statku dowodzenia.

Anakin wzniósł statek i zrobił zwrot, wymijając zbłąkane promienie laserów. Wpadli prosto w rój myśliwców. Szybkie, śmiercionośne statki-roboty wydawały się pojawiać znikąd, dwiema niemal nieprzeniknionymi ścianami otaczały „Einema”. Ana-

kin nie miał innego wyjścia niż zrobić kolejny zwrot, przemknąć w cieniu statku dowodzenia i szukać schronienia w atmosferze planety.

Wszystkie inne drogi ucieczki były zablokowane.

- Statek jest nienaruszony - poinformował Anakin Obi-Wana i rzucił mu szybki uśmiezek. - Jest dzielny i bardzo piękny. Poleci wszędzie, gdzie mu każemy.

Obi-Wan chwycił chłopca za ramię.

- A czy my tego dożyjemy?

- Jasne.

Anakin pogrzył ramiona w pulpicie sterowniczym i statek opowiedział mu wszystko, co wiedział na temat planety - którą można polecieć i jak uciekać.

- Niebo wciąż jest pełne min - zauważył Obi-Wan. Lekko dotknął swojego pulpitu. Palce weszły w panel, a wokół obu dłoni zapłonęły rzędy zielonych światełek. Jego ramiona przeniknęła seria impulsów - w jednej chwili stał się połączony ze statkiem, podobnie jak Anakin. Statek podał mu dane techniczne i charakterystyki. W ciągu kilku sekund dowiedział się praktycznie wszystkiego, co musi wiedzieć pilot. Anakin jednak spędził przy statku wiele godzin i jego doświadczenie z całą pewnością było znacznie większe. Pilot może być tylko jeden.

- Chyba lepiej, jeśli będę tylko obserwował - odezwał się na głos.

- Możesz śledzić to, co dzieje się na dole. Sekot o wszystkim informuje statek, kiedy jesteśmy w jego zasięgu.

- Sekot?

- Ta istota, o której mówiła Vergere.

- Vergere? - Obi-Wan czuł, że coś przegapił.

Anakin wyjaśnił wszystko w kilku słowach.

Statek otarł się lekko o górne warstwy atmosfery w pobliżu równika sześć razy zanurkował i wyskoczył, pozbywając się ciepła tarcia.

- On lubi się tak ogrzewać - wyjaśnił Anakin.

- Widzę to. Kapryśne stworzenie.

- Jest cudowny! - Anakin czuł, jak odprężenie i spokój spływa na niego i ogarnia ramiona, kark i plecy. Poruszył się w fotelu, mocniej przywarł do niego całym ciałem. Rozmowa ze statkiem była jak pogawędka ze starym przyjacielem. Tyle mieli sobie do powiedzenia!

Statek prawie pozwolił mu zapomnieć o wydarzeniach ostatnich godzin.

Tarkin nie miał jednak najmniejszego zamiaru ustąpić. Wszystkie powietrzne miny i większość myśliwców zawróconych ze zniszczonej góry zbierało się teraz po zachodniej stronie Druga fala min ogarniała ich od wschodu. Za kilka chwil wkroczą w obszar automatycznej, bezlitosnej śmierci.

Nad nimi przeleciało jak burza stado myśliwców, tworząc pułap prawie nie do przeniknięcia. Może „Kupiec Einem z Rubieży” poniósł dotkliwie straty, ale w niczym nie umniejszyły one jego zdolności sterowania i kontroli.

Anakin bez trudu mógł sobie wyobrazić ponurą i zdeterminowaną twarz Tarkina, śledzącą ich czujnym spojrzeniem szarych oczu łowcy.

- Musimy zejść niżej.

- Dolina fabryczna - odpowiedział Anakin. - Statek mówi, że usunęli baldachim i zatrzymali produkcję.

Obi-Wan także potrafiłby poskładać do kupy informację statku, ale nie tak szybko jak Anakin.

- Zmagazynowali już ogromną liczbę statków, Obi-Wanie. I jest coś jeszcze...

- Co?

- Wszyscy osadnicy planują ucieczkę. Obi-Wan zmrużył jedno oko.

- Wszyscy? Jednym wielkim statkiem?

- Taki właśnie mają zamiar. Ciekawe, czy mogli zbudować coś tak wielkiego?

- Mając Jentari, teoretycznie wszystko jest możliwe, ale zebranie wszystkich osadników potrwałoby kilka dni, nawet przy dobrej organizacji.

Zza niskiego pasma górskiego wynurzył się kolejny rój myśliwców i rozwinął za nimi w wielkie V. Anakin zniżył lot do poziomu tamiasi, podobnie jak wtedy, gdy leciał z nim Ke Daiv.

Myśliwce siedziały mu na ogonie, zwinnie manewrując pomiędzy wyższymi bora.

- Jest - mruknął Anakin. Baldachim gałęzi okrywający dolinę rozstał się, obnażając bazaltowe podłoże i filary sterczące w powietrze jak ogromne zęby.

Niebo nad doliną pulsowało w rytmie zażartej bitwy między obroną planety a wciąż rosnącą liczbą myśliwców.

- Bardzo tu ciasno - mruknął Obi-Wan.

- Owszem - odparł Anakin.

Obi-Wan śledził sekotańskie statki, stanowiące obronę planety. Było ich mnóstwo, w nieprawdopodobnej różnorodności. Ani jeden nie przekraczał siedemdziesięciu metrów, żaden też nie był tak smukły i szybki jak ich statek. Wszystkie jednak ścigały myśliwce z podziwu godną determinacją ujmując je w bezlitosne kleszcze i kierując w stronę tamiasi lub dna doliny, gdzie wybuchały w rozbłyskach czerwieni i fontannach metalowych szczątków. Mniejsze jednostki załatwiały miny powietrzne, po prostu zderzając się z nimi.

- Nie mają pilotów - zauważył Obi-Wan.

- Myślę, że pilotem jest Sekot. Steruje wszystkimi naraz.

Obi-Wan z trudem przyswajał sobie ideę umysłu wielkości planety, ale nie wątpił w słowa padawana.

- Będzie ciężko - odezwał się Anakin. - Jeszcze jeden statek i zostanie z nas miażga.

- Przegrupowują się wzdłuż doliny - zauważył Obi-Wan. - Mamy około trzech minut, zanim dotrzemy do końca.

Nagle zauważył, że zmienił punkt widzenia. Leciał teraz wzdłuż ścian doliny, daleko w przód, i widział ruchy statków wroga znacznie wyraźniej. To tamiasi dostarczały ich statkowi informacji zebranych własnymi zmysłami, a statek tłumaczył je na język zrozumiały dla lecących nim ludzi.

- Czy on nie jest kochany? - czule szepnął Anakin.

- On nam po prostu pokazuje, że nie mamy żadnych szans -ponuro zawyrokował Obi-Wan. - Z orbity zbliża się jeszcze więcej myśliwców i jeszcze więcej min.

- Nigdy się nie poddawaj! - przypomniał Anakin swojemu mistrzowi.

Nagle w niebo wystrzeliły kolumny oślepiającego światła: trzy la północy, jedna na południu. Powietrzem w dolinie targnęła poczną fala uderzeniowa. Myśliwce nad nimi zostały zmiecione do stratosfery i zmiażdżone niczym gigantycznym wiosłem. Statek Jedi utrzymał się na kursie wyłącznie dzięki temu, że leciał tylko kilka metrów nad dnem doliny.

Granica nocy i dnia zbliżała się w ich stronę, oblewając jedną ścianę doliny światłem, którym w innych okolicznościach można by się zachwycać. Chmury natychmiast wypełniły pustkę po fali ciśnienia. Poranna zorza ozdobiła je niezwykłą czerwoną i złocistą aureolą.

Na północy poranne niebo rozdarło coś, co na pierwszy rzut oka przypominało strome górskie szczyty wynurzające się z powłoki planety. Jak na góry było jednak zbyt regularne i gładkie, coś jak grotty strzał.

I wyglądało dziwnie znajomo.

- Statek mówi, że jeśli nie chcemy odlecieć z nimi, to lepiej wynośmy się stąd - odezwał się Anakin. - Wycofajmy się na orbitę wokół słońca, i to szybko.

Obi-Wan dokładnie przyjrzał się „strzałom” ze wszystkich stron, korzystając przy tym z nowych punktów widzenia. „Mają ponad trzysta kilometrów wysokości i służą do odchylania pół hiperpędu, pomyślał, a kolumny ognia to stożki plazmowe silników. Ogromnych silników.

Spojrzał na swojego padawana zza konsoli.

Kolejna fala uderzeniowa targnęła statkiem. Rosnące na brzegu doliny bora, wyrwane z korzeniami, spadały na dno.

- To bez sensu - szepnął Obi-Wan. - Nie wiemy, dokąd się wybierają...

- I czy przeżyją-dodał Anakin.

- Chyba spróbujemy szczęścia w górze.

Myśliwce latały chaotycznie, bo ich aparturę obserwacyjną sparaliżowały słupy ognia wznoszące się zza doliny. Dno doliny pękło i przez szczelinę leniwie wypłynęły pierwsze krople magmy. Cały płaszcz planety aż trzeszczał od naprężeń spowodowanych ciągiem olbrzymich silników.

- Będziemy musieli manewrować pomiędzy minami - stwierdził Anakin.

- Zrób to - Obi-Wan zmarszczył brwi w skupieniu, próbując stwierdzić, dokąd wiodą te wszystkie drogi, gdzie i jak ich własna wąska ścieżyna przetnie się w najbliższej przyszłości z wielkimi wydarzeniami. Nic jednak nie potrafił dostrzec.

Anakin podniósł sekotański statek nad ściany doliny w tej samej chwili, gdy kolejny świetlisty słup wytrysnął w niebo o jakieś sto kilometrów od nich, wypalając w atmosferze dziurę i zmieniając w popiół wszystko po drodze, nieważne, przyjaciel czy wróg. Nagle słup ognia jakby rozkwitł u podstawy, pociemniał i zgasł. Ściana na pół spalonych szczątków rozprysła się na wszystkie strony. Jeśli to miał być silnik, to właśnie wysiadł, ale przedtem wypalił im przejście w przestrzeń.

Anakin obnażył zęby, w każdej chwili spodziewając się śmierci.

- Nigdy się nie poddawaj! - przypomniał mu Obi-Wan. Uśmiechnęli się do siebie.

I statek wyprowadził ich przez wrzącą atmosferę, przez spadający deszcz metalowych odłamków i spiralne wiry płonącego paliwa.

Na tle ciemnego wylotu tunelu zjonizowanego powietrza jasno błyszcząły gwiazdy. Czarny otwór kurczył się szybko.

Stateczek wyleciał z atmosfery i z niewiarygodną prędkością wystrzelił w przestrzeń, w ciągu kilku sekund osiągając prędkość orbitalną. Myśliwce zleciały się ze wszystkich stron, by ruszyć w pogoń.

YT-1150 Charzy Kwinną zaganiał je od tyłu. Charza podążał za nimi przez całą dolinę, ale teraz nie był w stanie ich dogonić, więc odpadł i metodycznie wybijał myśliwce. Wznosił się spiralą coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie wszedł na własną orbitę. Ostatni raz widziano go, gdy wciagał w walkę eskortującą jednostkę obronną.

I wtedy z „Kupca Einema z Rubieży”, zaledwie widocznego nad atmosferą Zonamy Sekot, wytrysnął promień skoncentrowanego, doskonale wycelowanego ognia z turbolaserów. Uderzył z boku w stateczek Jedi i oślepił ich na chwilę, obracając w zwęglony szkielet połowę kadłuba.

Anakin wyczuł wysoki, przeraźliwy, mrozący krew w żyłach krzyk bólu.

Obi-Wan obejrzał się, wciąż korzystając ze zmysłów dostarczanych mu przez Sekot i zobaczył silniki płonące na całej północnej półkuli planety, potężne stożki plazmy powoli, majestatycznie wypychające Zonamę Sekot z jej orbity. Wszystkie statki błakające się jeszcze w pobliżu musiały czym prędzej oddalić się zarówno od fali żaru, jak i nowego wektora pędu planety w przestrzeni.

Zonama Sekot nigdy jeszcze nie była tak piękna. Błyszczała na tle kosmicznego wiru i odległej, falującej zasłony gwiazd. Chmury i rozległe tamiasi oblانة światłem wschodzącego słońca pociemniały, bo nic nie mogło dorównać blaskowi własnej energii planety.

- Odlatuje! - wykrzyknął Obi-Wan. Wyciągnął rękę, żeby złapać się czegoś; czysto instynktowna i całkowicie zbędna reakcja.

Wydawało się, że wszystkie gwiazdy na obwodzie planety zostały na chwilę wessane do wewnątrz i zaraz wskoczyły z powrotem na miejsce. Obi-Wan poczuł nagle wielką pustkę w sobie, ale także pustkę w czasie i przestrzeni, jakiej nie doznał nigdy przedtem.

Stracił dodatkowe zmysły, połączenie z Sekot. Pozostało tylko krótkie pożegnanie, ostatnie dotknięcie wyciągniętego pnącza myśli, starożytnego i młodego zarazem.

Anakin zatracił się w cierpieniu statku. Za ich plecami flota Tarkina rozsypała się, jakby porwana gigantycznym wirem. Orbity wszystkich statków uległy zmianie w najmniej oczekiwany sposób, którego systemy nawigacyjne nie były w stanie skompensować. Miny zderzały się z minami i myśliwcami, statki dostawcze rozбивały się o eskortowe, a co najmniej dwie z tych ostatnich jednostek staranowały „Kupca Einema z Rubieży”.

Co tam. Anakin wiedział tylko, że mają bardzo niewiele czasu, aby dotrzeć tam, gdzie zamierzali. - Zabierz nas - polecił statkowi.

Znalazł się w stanie, w którym rozumiał cały kosmos. Ogrom przestrzeni nie prze-
 rażał go już. Statek twardo trzymał ich w poczuciu rzeczywistości. Nawet teraz, cier-
 piąc, uczył ich, jak nawigować w najtrudniejszych wymiarach.

Anakin w zamian ofiarował statkowi wszystkie swoje wyjątkowe zdolności.

Razem weszli w hiperprzestrzeń i uciekli z potrójnego systemu gwiazdnego, który
 kiedyś krył cudowną obietnicę Zonamy Sekot.

Statek rzeczywiście był najszybszy ze wszystkich, jakimi kiedykolwiek latał.

ROZDZIAŁ

66

Obi-Wan spał. Dopadło go zmęczenie, sprowadzając sen tak szybko, że prawie te-
 go nie zauważył. Obudził się dopiero po kilku godzinach i ujrzał, że chłopak też śpi z
 dłońmi zanurzonymi w konsoli. Powieki Anakina drgały lekko. Śniło mu się coś.

Obi-Wan delikatnie pogładził powłokę.

- Przyjaciele Anakina Skywalkera są moimi przyjaciółmi - wymruczał.

Konsola zafalowała pod jego dotknięciem. Przed jego wzrokiem rozwinął się
 ekran, ukazujący wszystkie najważniejsze obwody i systemy. Statek dawał z siebie
 wszystko, aby dowieźć ich tam, gdzie chcieli, ale to nie wystarczało. Rany były zbyt
 poważne.

Obi-Wan pochylił się do przodu.

- Jest inna stacja - szepnął.

Była to wysunięta placówka, awaryjne lądowisko, nagi, skalisty świat leżący o ty-
 siące parseków bliżej niż Coruscant, z którego Jedi nieraz korzystali. Nikt poza nimi nie
 wiedział o jego istnieniu. On sam był tam tylko raz, po jednej szczególnie ryzykownej
 przygodzie z Qui-Gonem.

Statek przyjął podane współrzędne. Nowy obraz potwierdził, że jest w stanie tam
 dotrzeć.

- I wyślij wiadomość do świątyni, gdy tylko będziesz mógł - podał częstotliwości
 transpondera. - Niech ktoś wyleci nam na spotkanie... Mace Windu albo Thracia Cho
 Leem. Albo oboje. Mój padawan po tych przejściach musi dostać poradę od innego
 mistrza. To niezmiernie ważne.

Anakin ocknął się i przez chwilę mrugał jak sowa w ciepłych światłach kabiny.

- Coś ci się śniło - zauważył Obi-Wan.

- Nie mnie. Statkowi - odparł chłopak. - A może razem śniliśmy piękny sen. Po-
 dróżowaliśmy po galaktyce i widzieliśmy cudowne rzeczy. Cudownie było po prostu
 czuć się wolnym. Byłeś tam z nami i chyba też świetnie się bawiłeś.

Wyciągnął do Obi-Wana dłoń. Mistrz podał mu swoją. Za kilka lat ten chłopak
 osiągnie wiek męski. Nie tylko wzrostem.

- Mam zamiar go nazwać - szepnął chłopak, odwracając wzrok.

- Co?

- Nazwę go „Jabitha”. Obi-Wan uśmiechnął się lekko.
 - To ładne imię, prawda?
 - Tak, to ładne imię.
 - Myślisz, że oni jeszcze żyją?
 - Nie wiem - szepnął Obi-Wan.
 - Może po prostu zniknęli i już nikt ich nigdy nie zobaczy...
 - Kto wie...
- Zadanie następnego pytania sprawiło Anakinowi ogromną trudność.
- Nasz statek umiera, prawda?
 - Tak.

Chłopiec utkwił wzrok w pustce. Twarz miał nieruchomą. Dzieciak traci wszystko, co pokochał, a jednak wciąż jest silny, zdumiał się Okbi-Wan.

- Vergere... - zaczął Anakin.
- Opowiedz mi coś więcej o tym, co mówiła Vergere.
- Poproszę statek... Poproszę „Jabithę”, żeby ci pokazała całą wiadomość.

I znów pośrodku kabiny pojawiła się Vergere z rozczochranymi piórkami na głowie i czujnym wyrazem skośnych oczu, przekazując wieść o swoich odkryciach Jedi, którzy ruszą jej śladem.

ROZDZIAŁ

67

„Jabitha” spoczywała w zimnym, nędznym hangarze na odległym świecie Seline. Powłoka sekotańskiego statku szybko traciła barwę i perłowy połysk.

Anakin siedział obok na ławce, z podbródkiem wspartym na dłoniach. Za ścianą hulał wiatr, z chropawym, grzechoczącym łomotem miotając chmury lodowych igiełek o cieniutkie, metalowe powłoki hangaru.

Chłopiec próbował sobie wyobrazić „Jabithę” w jej rodzinnej okolicy, pośród ciepła i przepysznej, tropikalnej roślinności, razem z rodziną... gdziekolwiek są teraz.

Seline to kiepskie miejsce dla umierającego sekotańskiego statku.

Do hangaru weszli Obi-Wan i Thracia Cho Leem. Thracia zdjęła ciepły płaszcz. Anakin z niechęcią podniósł wzrok i zaraz zwrócił go z powrotem na statek.

Thracia porozumiała się wzrokiem z Obi-Wanem i podeszła do chłopca.

- I co, Anakinie Skywalkerze, już nie jesteś taki młody? - zapytała, siadając obok niego na ławce. Chłopiec nie odpowiedział, przesunął się tylko, robiąc miejsce dla drobnej Jedi.

- Młody Jedi, nauczyłeś się kilku trudnych prawd. Siła, a nawet dyscyplina nie wystarczą. Z naszych wielu podróży najtrudniejsze jest poznanie samego siebie.

- Wiem - cicho odparł chłopiec.

- A mądrość wydaje się nieraz nieprawdopodobnie daleko.

Anakin skinął głową.

- Musisz pozwolić mi zobaczyć, co dzieje się teraz w twoim wnętrzu - łagodnie powiedziała Thracia i zaraz dodała z ledwie wyczuwalnym ostrzeżeniem w głosie: - Wciąż jesteś osądzany.

Anakin skrzywił się lekko, ale zaraz rozluźnił się całkowicie i poddał jej badaniu.

Obi-Wan powoli zwrócił wzrok ku martwemu statkowi, który nadawał się w tej chwili wyłącznie do bezdusznych i zimnych badań, po czym opuścił hangar. Nie mógł w tym uczestniczyć. Ocena musiała być obiektywna, ponieważ to ona właśnie stanowiła połowę szansy na pomoc Jedi.

Drugą połowę stanowiła najważniejsza, największa umiejętność Thracii - uzdrawianie.

Wiele jeszcze bitew czeka w przyszłości jego ucznia, wiele rozczarowań. I wiele radości. Miał gorącą nadzieję, że tych ostatnich będzie znacznie więcej niż smutków.

Teraz wiedział już, jak to jest, jak czuje się człowiek, który ma serce mistrza.

EPILOG

Nie buduje się już sekotańskich statków. Te, które istniały, umarły albo zostały zniszczone w ciągu kilku następnych lat.

Tarkin i Raith Sienar doprowadzają na miejsce okaleczoną flotę. Zainspirowany „wspaniałym przykładem” Tarkin odkupuje swą klęskę w oczach Wielkiego Kanclerza: przekazuje mu tajne plany stacji bojowej wielkości księżyca, uzurpując sobie wszelkie prawa do projektu. Sienar nie protestuje, ta stacja jest bowiem niechcianym dzieckiem jego umysłu, którego chętnie się pozbędzie. Tak skoncentrowana potęga budzi w nim złe przeczucia.

Nowy porządek znajdzie jednak zastosowanie i dla Tarkina, i dla Sienara.

Charza Kwinn i jego towarzysze przeżyli i wracają na Coruscant, gdzie otrzymają nowe misje. W późniejszych latach, wraz ze wzrostem siły Imperium i załamaniem się serdecznych stosunków pomiędzy ludźmi i nieludźmi, Charza, aby wyżywić swoich krewniaków, zostaje przemytnikiem i piratem. Ogranicza się jednak do atakowania wyłącznie statków Imperium.

W galaktyce rodzi się legenda o błędnej planecie, która wędruje pomiędzy gwiazdami, na zawsze zagubiona, rządzona przez władcę lub władczynię - szaleńca albo świętego. Legenda nie mówi, kogo.

W kilka miesięcy po udzieleniu pomocy Anakinowi Skywalkerowi Thracia Cho Leem opuszcza zakon Jedi bez słowa wyjaśnienia.

Obi-Wan Kenobi wie, jaka praca przypadnie mu w udziale. Młody człowiek, jego padawan, staje się coraz silniejszy, łatwiej rozprawia się z rozczarowaniami, przyswaja sobie dyscyplinę. Jednak węzeł splątanych ścieżek przyszłości nie został jeszcze ostatecznie rozwikłany. Próba nie dobiegła końca i pewnie potrwa jeszcze przez wiele dekad.

Brak równowagi.

Wciąż brak równowagi.